

ALBATROS

OBERŻA NA PUSTKOWIU

Daphne
du Maurier

Autorka słynnej *Rebeki i Ptaków*
Muza Alfreda Hitchcocka



OBERŻA NA PUSTKOWIU

Daphne
du Maurier

Z angielskiego przełożyła
Wacława Komarnicka

ALBATROS

Wydanie elektroniczne



**Niepokojąca i pełna uroku powieść zainspirowana mrocznym klimatem
*Wichrowych Wzgórz.***

Jedna z najbardziej znanych książek angielskiej mistrzyni suspensu, której twórczość weszła na stałe do kanonu literatury.

Działający na wyobraźnię obraz świata, w którym nic nie jest tym, czym się wydaje, a przemoc i zło może pokonać tylko niepokonana siła miłości.

Jaką tajemnicę kryje w sobie mroczna owerża Jamajka, ukryta pośród smaganych wiatrem wzgórz Kornwalii?

Czy Mary Yellan, odważna młoda kobieta o czystym sercu, poradzi sobie w rządzonej przez mężczyzn bez zasad brutalnej rzeczywistości, w którą rzucił ją nieubłagany los?

Owerża na pustkowiu zachwycała samego Alfreda Hitchcocka i w stworzonej przez niego ekranizacji główną rolę zagrała słynna Maureen O'Hara.

Daphne du Maurier
(1907–1989)

Angielska pisarka pochodząca z arystokratycznej rodziny, autorka powieści, które niełatwo zaklasyfikować do jednego gatunku – łączą w sobie grozę, psychologię, romans i thriller. Jej pierwsza powieść, **Dobry duch**, ukazała się w 1931 roku, ale prawdziwą sławę przyniosła jej dopiero wydana w 1938 roku **Rebeka**, sfilmowana m.in. przez Alfreda Hitchcocka, a przez Stephen Kinga uznana za jedną z największych inspiracji w jego twórczości. Słynny reżyser przeniósł na ekran także opowiadanie du Maurier pt. **Ptaki**. Autorka angażowała się w produkcję filmów na podstawie jej powieści, m.in. wpływając na wybór aktorów grających główne role. Napisała także kilka sztuk teatralnych. W 1969 roku otrzymała Order Imperium Brytyjskiego.

W 2020 roku na platformie Netflix pojawiła się najnowsza ekranizacja najłynniejszej powieści du Maurier, **Rebeka**, w gwiazdorskiej obsadzie: z Lili James, Armiem Hammerem i Kristin Scott Thomas w rolach głównych.

SERIA butikowa
ALBATROSA

Imogen Hermes Gowar
SYRENA I PANI HANCOCK

Daphne du Maurier
REBEKA
MOJA KUZYNKA RACHELA

Madeline Miller
KIRKE
PIEŚŃ O ACHILLESIE

Kate Morton
MILCZĄCY ZAMEK

Diane Setterfield
BYŁA SOBIE RZEKA
TRZYNASTA OPOWIEŚĆ
CZARNE SKRZYDŁA CZASU

Tytuł oryginału:
JAMAICA INN

Copyright © Daphne du Maurier 1936
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022
Polish translation copyright © Krzysztof M. Komarnicki 2022

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka
Ilustracje na okładce: Sketchepedia/Freepik (*gałęzie*);
macrovector/Freepik (*trawa i płot*)

ISBN 978-83-8215-978-3



Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Katarzyna Rek
woblink
woblink.com

Spis treści:

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Nota od autorki

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Nota od autorki

Oberża Jamajka stoi do dzisiaj, gościnna i otwarta na każdego przybysza, na ciągnącej się przez 20 mil drodze między Bodmin a Launceston.

W tej historii starałam się ją pokazać tak, jak mogłaby wyglądać ponad 120 lat temu; chociaż jednak pojawiają się tutaj miejsca rzeczywiste, opisane postacie i wydarzenia są całkowicie zmyślone.

Daphne du Maurier
Bodinnick-by-Fowey
Październik 1935

1

Był posepny, szary dzień, jeden z ostatnich dni listopada. Zmiana pogody przysłała nagle, gdy nieżycliwy, ostry wiatr zasnuł niebo ołowianymi chmurami, z których mżył nieustannie drobny deszcz, a choć była dopiero druga po południu, bladość zmierzchu jesiennego spadła już na wzgórza, spowijając je mgłą. Lepki ziąb mimo szczelnie zamkniętych okien przenikał do wnętrza dyliżansu i nasycił wilgocią skórzane obicia siedzeń. Musiała też być niewielka szpara w dachu, bo cienkie strumyczki deszczu raz po raz spływały z góry, zostawiając w tym miejscu na skórze granatowe smugi i plamy jak po rozlanym atramencie.

Woźnica, po uszy okutany płaszczem, zginał się na koźle wpół, daremnie usiłując stworzyć sobie osłonę z własnych ramion, a smutne konie z trudem posuwały się naprzód, zbyt silnie nękane wichurą i deszczem, aby reagować na uderzenia bata, który co chwila trzaskał nad ich łbami.

Koła dyliżansu z jękiem i skrzypieniem zapadały się i podskakiwały na wybojach, czasem zaś spryskiwały szyby płynnym błotem, co w połączeniu z nieprzerwanie siąpiącym deszczem uniemożliwiało choćby rzut oka na krajobraz.

Nieliczni pasażerowie dla rozgrzewki tulili się do siebie i wydawali chóralne okrzyki, ilekroć dyliżans wpadał do dołu głębszego niż zwykle, staruszek zaś, który narzekał bez przerwy, odkąd wsiadł w Truro do dyliżansu, w pewnej chwili zerwał się rozwścieczony, otworzył z wysiłkiem okno i nie zważając na strugi deszczu zalewające nie tylko jego, lecz także towarzyszy podróży, wysunął głowę na

zewnątrz. Piskliwym, złym głosikiem wymyślał woźnicy od łotrów, zbójów, morderców i krzyczał, że jeśli woźnica nadal będzie pędził na złamanie karku, wszyscy pasażerowie wyzioną ducha, zanim dojadą do Bodmin, bo i tak już ledwie zipią, a jeśli o niego osobiście chodzi, nigdy już nie wsiądzie do dyliżansu.

Trudno by ustalić, czy woźnica go w ogóle słyszał. Prawdopodobniejsze było, że potoki złorzeczeń porwał i uniósł wiatr. Staruszek po chwili czekania, wyziębiwszy dokładnie wnętrze dyliżansu, usiadł znów na swoim miejscu w kącie, okrył kolana pledem i coś do siebie gniewnie mamrotał.

Najbliższa jego sąsiadka, wesoła, rumiana kobieta w niebieskiej pelerynie, westchnęła ze współczuciem, po czym mrugając do pozostałych pasażerów i nieznacznym ruchem głowy wskazując staruszka, oświadczyła po raz co najmniej dwudziesty, że jak żyje, nie pamięta takiej niepogody, wichura co się zowie, tu już nikt się nie pomyli i nie powie, że jest lato. Następnie pogrzebała w okazałym koszyku, wyciągnęła wielki kawał ciasta i zatopiła w nim mocne białe zęby.

Mary Yellan siedziała w przeciwległym kącie, tam gdzie strumyczek deszczu sączył się przez szparę w dachu. Niekiedy zimna kropla spadała jej na ramię, wówczas dziewczyna strzepywała ją niecierpliwie.

Z podbródkiem wtulonym w dłoń nie odrywała oczu od okna zachlapanego błotem i deszczem, w nikłej, lecz wciąż jeszcze żywej nadziei, że jakiś promień słońca przebije się w końcu przez chmury i choć skrawek błękitu, co wczoraj jeszcze olśniewał nad Helfordem, zabłyśnie na znak pomyślnej przyszłości.

Znajdowała się zaledwie czterdzieści mil od miejsca będącego przez dwadzieścia trzy lata jej domem, lecz owa nadzieja w sercu zaczęła już przygasać, a nieustępliwa odwaga, która stanowiła dominującą cechę charakteru dziewczyny i ratowała ją podczas choroby i śmierci matki, dała się teraz zachwiać pierwszym podmuchom wichury.

Okolica była zupełnie obca, a to już samo przez się budziło przerażenie. Przez zamglone okno dyliżansu Mary, wytyżając wzrok, spoglądała na świat całkiem odmienny od tamtego, który znała, a od którego dzielił ją tylko dzień podróży.

Jakże dalekie teraz i być może utracone na zawsze wydawały się lśniąca wody Helfordu, zielone wzgórza, łagodne stoki dolin, gromadki białych domków nad brzegiem rzeki! Helfordzki deszcz był dobrotliwy, szeleścił w listowiu drzew, nikał w bujnej trawie, tworzył potoki i rzeczutki spływające do szerokiej rzeki, wsiąkał we wdzięczną glebę, która odpłacała się barwnymi kwiatami.

Ten deszcz był zajadły, bezlitosny, siekł okna dyliżansu i smagał twardą, jałową ziemię. Nie rosły tu żadne drzewa, jeśli nie liczyć jednego lub dwóch, rozpościerających nagie konary, powyginane i poskręcane przez stulecia wichrów, a tak szerniały ze starości i słoty, że gdyby nawet wiosna owiała je swym tchnieniem, pączki nie odważyłyby się chyba rozwinąć w liście, lękając się spóźnionych, zabójczych przymrozków. Uboga okolica, bez żywopłotów i łąk, kraina kamieni, czarnego wrzosu i karłowatego żarnowca.

Tutaj pewnie nigdy nie bywa naprawdę pogodnie, myślała Mary; albo szaruga jak dzisiaj, albo sucha spiekota pełni lata, a nigdzie zielonej, cienistej kotliny, dającej schronienie, sama tylko trawa, co żółknie i brunatnieje jeszcze przed końcem maja. W tym szarym, obcym krajobrazie nawet ludzie na drogach i w miasteczkach wyglądają inaczej, upodabniają się widać do otoczenia. W Helston, tam gdzie wsiadła do pierwszego dyliżansu, Mary czuła się jeszcze na dobrze znanym gruncie. Tyle dziecięcych wspomnień łączyło ją z tym miasteczkiem. Cotygodniowe wyprawy na targ z ojcem, a potem, kiedy ojca zabrakło, z matką, która mężnie zajęła jego miejsce i tak jak on jeździła niezamordowanie tam i z powrotem, w zimie i w lecie. Wozila okryte starannie słomą kury, jajka, masło, Mary zaś siedziała obok, mocno ściskając większy od siebie koszyk i opierając mały podbródek o pałąk. Ludzie w Helston byli im życzliwi, nazwisko Yellan znano tu i szanowano, gdyż po śmierci męża wdowa musiała toczyć ciężką walkę o byt i niewiele było kobiet, które mając jedno tylko dziecko i całe gospodarstwo do prowadzenia, wybrałyby samotność i nie myślały wcale o powtórny zamążpójściu. Pewien farmer z Manaccan poprosiłby ją o rękę, gdyby tylko śmiał, drugi ewentualny kandydat mieszkał w Gweek, ale czytali z jej oczu, że nie zechce żadnego z nich, bo duszą i ciałem należy wciąż do tego, który

odszedł. Harówka na farmie zmogła jednak w końcu matkę. Kobieta nie oszczędzała się nigdy i przez siedemnaście lat wdowieństwa zmuszała się ustawicznie do nadludzkich wysiłków, nie zdołała więc przetrzymać ostatniej próby i straciła serce do dalszej walki.

Inwentarz farmy wciąż się kurczył, a że nastąpiły ciężkie czasy – jak mówiono matce w Helston – i ceny gwałtownie spadły, nie sposób było nigdzie zdobyć gotówki. Wszędzie wokół panowała ta sama rozpaczliwa sytuacja. Farmerom głód zaglądał już w oczy. Na domiar złego jakaś zaraza spadła na okolicę i zabijała żywy inwentarz w wioskach dookoła Helfordu. Zaraza nie miała nazwy i nie było na nią lekarstwa. Atakowała i niszczyła wszystko, co żywe, niczym późny mróz, co wiosną przychodzi nagle wraz z księżycem w nowiu, a potem znika, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu prócz martwych stworzeń. Trudny to był, niespokojny, okres dla Mary i jej matki. Patrzyły, jak wyhodowane przez nie kurczęta i kaczęta jedno po drugim marnieją i giną. Widziały, jak młody byczek padł na łące, tam gdzie się pasł. Najboleśniej była śmierć starej klaczy, która służyła im przez dwadzieścia lat i na której szerokim grzbiecie Mary jako małe dziecko uczyła się jeździć konno. Klacz pewnego ranka w stajni wydała ostatnie tchnienie, opierając łeb na kolanach Mary, a kiedy wykopano dół w sadzie pod jabłonią, kiedy ją pochowano i nigdy już nie miała zawieźć ich w dzień targowy do Helston, matka zwróciła się do Mary:

– Jakaś część mojej duszy poszła do grobu razem z biedną Nell, Mary. Może to moja wiara w Boga, nie wiem, ale czuję, że serce mam zmęczone i nie mogę już dłużej żyć.

Weszła do domu i usiadła w kuchni, blada jak płótno, postarzała nagle o dziesięć lat. Wzruszyła obojętnie ramionami, kiedy Mary powiedziała, że zawoła lekarza.

– Za późno, dziecko – rzekła. – O siedemnaście lat za późno. – Zaczęła płakać cicho, ona, która nigdy dotychczas nie płakała.

Mary pobiegła po starego doktora, który mieszkał w Mawgan i niegdyś był obecny przy jej narodzinach. Doktor, jadąc z nią swoją dwukólką na farmę,

potrzasał smutno głową.

– Powiem ci, Mary, co to jest – rzekł. – Twoja matka od chwili śmierci ojca nie oszczędzała się wcale, a do tego wciąż miała zgryzoty, no i załamała się w końcu. Nie podoba mi się to. W złym czasie to się stało.

Zajechali krętą drogą polną pod dom. Przy furtce czekała sąsiadka, pilno jej było obwieścić niedobre nowiny.

– Twojej matce jest gorzej! – krzyknęła. – Stała przed chwilą w drzwiach, blada była jak upiór. Nagle dreszcz nią wstrząsnął i upadła na ścieżkę. Pani Hoblyn i Will Searle podbiegli do niej. Zanieśli biedaczkę do domu. Mówią, że nie otwiera oczu.

Doktor stanowczym ruchem odsunął przed drzwi gromadkę gapiów. Razem z Willem Searle'em podnieśli z podłogi bezwładne ciało i zanieśli na górę do sypialni.

– Udar – orzekł doktor. – Ale oddycha, puls jest równomierny. Tego się też obawiałem: że załame się właśnie tak, nagle. Dlaczego to się stało akurat teraz, po tylu latach, Bogu jednemu wiadomo i jej samej. Ty, Mary, musisz teraz udowodnić, że jesteś córką swoich rodziców, i dołożyć starań, aby matka odzyskała zdrowie. Tylko tobie może się to udać.

Ponad pół roku Mary pielęgnowała matkę w tej pierwszej i ostatniej chorobie, lecz mimo całej troski i opieki, jaką otaczali chorą i córka, i doktor, wdowa nie powracała do zdrowia. Zabrakło jej woli życia.

Zdawało się, że pragnie tylko wyzwolenia i modli się w duchu, aby przyszło jak najprędzej. Powiedziała do Mary:

– Nie chcę, żebyś się borykała tak jak ja. Takie zmagania niszczą ciało i ducha. Nie ma powodu, żebyś została tutaj, kiedy odejdę. Najlepiej będzie, jeżeli pojedziesz do Bodmin, do ciotki Patience.

Mary usiłowała przekonać matkę, że śmierć wcale jej nie grozi, ale perswazje na nic się zdały. Pani Yellan spodziewała się śmierci i tego jej przeświadczenia nie sposób było zwalczyć.

– Nie chcę opuszczać farmy, mamó – powiedziała w końcu Mary. – Tu się urodziłam, tutaj urodził się ojciec, a ty też pochodzisz przecież z tej okolicy. Tu jest miejsce Yellanów. Nie boję się ubóstwa ani trudności. Pracowałam tu sama jedna przez siedemnaście lat, czemu ja bym nie miała tak samo pracować? Jestem silna, podołam każdej męskiej robocie, wiesz o tym.

– To nie jest życie dla młodej dziewczyny – odparła matka. – Harowałam przez wszystkie lata, by uczcić pamięć ojca i przez wzgląd na ciebie. Praca dla kogoś daje kobiecie spokój i zadowolenie, ale kiedy się pracuje tylko dla siebie, to zupełnie inna rzecz. Nie wkłada się serca w pracę.

– Cóż bym robiła w mieście? – zaprotestowała znów Mary. – Nie znam innego życia niż to nasze nad rzeką i nie chcę znać. Dość mi miasta, kiedy jeżdżę stąd do Helston, więcej nie potrzeba. Najlepiej mi tutaj z tymi kurkami, co nam jeszcze zostały, z warzywami w ogrodzie, ze starą maciorą, z łódką na rzece. Co będę robiła w Bodmin u ciotki Patience?

– Mary, dziewczyna nie może mieszkać sama, bo albo zwariuje, albo zejdzie na złą drogę. Innego wyjścia nie ma. Nie pamiętasz już biednej Sue, jak o północy przy pełni księżyca chodziła po cmentarzu i wołała kochanka, którego nigdy nie miała? A jeszcze przed twoim urodzeniem była tu panienska, która została sierotą, mając szesnaście lat. Uciekła do Falmouth i zadała się z marynarzami. Otóż nie zaznamy spokoju w grobie ani ja, ani twój ojciec, jeżeli pozostaniesz bez opieki. Spodoba ci się ciotka Patience, zawsze była pierwsza do zabaw i śmiechów, a serce ma wielkie jak stodoła i miękkie jak masło. Pamiętasz, jak była tutaj dwanaście lat temu? Miała wstążki przy kapeluszu i jedwabną halkę. Jeden człowiek, który pracował w Treloarwarren, miał na nią oko, ale ona uważała, że warta jest lepszego losu.

Tak, Mary pamiętała ciotkę Patience z jej fryzowaną grzywką i wielkimi niebieskimi oczami, pamiętała, jak ciotka śmiała się i trajlowała, jak unosiła do góry spódnice i ostrożnie, na paluszkach, przechodziła przez błoto na podwórku. Śliczna była jak wróżka z bajki.

– Jakim człowiekiem jest twój wuj, a jej mąż, tego nie umiem powiedzieć – mówiła dalej matka – bo nigdy go nie widziałam ani nie spotkałam nikogo, kto by go znał. Ale kiedy ciotka wyszła za niego – na świętego Michała minęło dziesięć lat – napisała do mnie list pełen takich zachwyków, aż można było pomyśleć, że to pisze młodziutka dziewczyna, nie przeszło trzydziestoletnia kobieta.

– Będą mnie uważali za nieokrzesaną dzikuskę – powiedziała Mary z namysłem. – Nie mam pięknych manier, których się wymaga od dziewcząt. Nic sobie nie będziemy mieli do powiedzenia.

– Pokochają cię taką, jaka jesteś, minki i sztuczki nie mają znaczenia. Dziecko, masz mi przyrzec, że kiedy odejdę, napiszesz do ciotki Patience. Powtórzysz jej, że moim ostatnim i najgorętszym życzeniem było, żebyś się do niej przeniosła.

– Przyrzekam – powiedziała Mary, ale ciężko jej było na sercu i smutno na myśl o przyszłości tak niepewnej i niezbadanej, gdy utraci wszystko, co zna i kocha, a w trudnych chwilach nie będzie miała nawet tej pociechy, jaką daje widok domu rodzinnego.

Matka z każdym dniem była coraz słabsza, z każdym dniem uchodziło z niej życie. Przetrwiała jeszcze żniwa, zbiór owoców i pierwsze opadanie liści. Gdy jednak nadeszły poranne mgły, gdy szron okrył ziemię, wezbrana rzeka popędziła na spotkanie rozszalałego morza, a fale z rykiem rozbijały się na małych plażach helfordzkich, wdowa zaczęła miotać się niespokojnie na łóżku. Nazywała córkę imieniem zmarłego męża, mówiła o sprawach dawno minionych i o ludziach, których Mary nigdy nie znała. Przez trzy dni żyła we własnym, zamkniętym świecie, a na czwarty umarła.

Mary patrzyła, jak wszystko, co kochała i znała, przechodzi stopniowo do obcych rąk. Żywy inwentarz popędzono na targ do Helston. Farmę kupił jakiś człowiek z Coverack, któremu spodobał się dom. Nowy właściciel z fajką w zębach chodził po podwórzu, pokazywał, jakie wprowadzi tu zmiany i które drzewa wytnie, żeby mieć ładniejszy widok, a Mary z niemą nienawiścią obserwowała go ze swego okna, pakując skromny dobytek do kufra po ojcu.

Przybysz z Coverack sprawił, że poczuła się intruzem we własnym domu; najwyraźniej chciał, żeby wyniosła się stąd czym prędzej, myślała więc tylko o tym, aby najrychlej ze wszystkim skończyć i nigdy już tu nie wracać. Jeszcze raz przeczytała list od ciotki, skreślony niepewną ręką na zwykłym papierze. Ciotka pisała, że wstrząśnięta jest nieszczęściem, które spotkało siostrzenicę; nic nie wiedziała o chorobie siostry, przecież to już tyle lat, odkąd była ostatni raz w Helfordzie. Po czym następował ciąg dalszy: *U nas też zaszły duże zmiany. Nie mieszkam już w Bodmin, ale dwanaście mil za miastem, na drodze do Launceston. Okolica bezludna, pustkowie, gdybyś więc do nas przyjechała, rada byłabym z Twego towarzystwa, zwłaszcza w zimie. Pytałam wuja, nie ma nic przeciwko temu, jak powiada, jeżeli tylko jesteś cicha, niegadatliwa i będziesz nam pomagać, kiedy zajdzie potrzeba. Nie może Ci nic płacić ani żywić Cię za darmo, jak sama pewnie rozumiesz. W zamian za mieszkanie i utrzymanie będziesz musiała pomagać w barze. Bo widzisz, wuj jest właścicielem oberży Jamajka.*

Mary złożyła list i schowała go do kufra. Dziwne to było zaproszenie od zawsze uśmiechniętej ciotki Patience, którą pamiętała.

Oziębły, oschły list, bez słowa pociechy, niewyjaśniający nic prócz tego, że siostrzenica nie może żądać pieniędzy. Ciotka Patience, z jej jedwabnymi halkami i delikatnym obejściem, żoną karczmarza! Mary doszła do wniosku, że kryje się tu coś, o czym matka z pewnością nie wiedziała. List nazbyt się różnił od tamtego sprzed dziesięciu lat, napisanego przez szczęśliwą młodą mężatkę.

Jednakże Mary dała matce słowo i nie może go złamać. Dom już sprzedany, nie ma tu dla niej miejsca. Bez względu na to, z jakim spotka się przyjęciem, ciotka jest rodzoną siostrą matki, tylko o tym należy pamiętać. Skończyło się dawne życie – umiłowana farma i lśniące wody Helfordu. Przed nią leży przyszłość – i oberża Jamajka.

Tak się więc stało, że Mary Yellan znalazła się w skrzypliwym, rozchybotanym dyliżansie, jadącym z Helston na północ przez Truro z jego gromadą dachów

i wieżyc, z szerokimi brukowanymi ulicami, z błękitnym, jeszcze południowym niebem, z ludźmi, co stojąc w drzwiach, uśmiechali się i przesyłali rękami pozdrowienia, gdy mijał ich z łoskotem dyliżans. Ale kiedy Truro pozostało w dolinie, niebo powlokło się chmurami, a po obu stronach traktu rozpostarł się teren jałowy i pusty. Wioski trafiały się teraz rzadko, w drzwiach domków nie widać było uśmiechniętych twarzy. Drzew również było coraz mniej, żywopłoty znikły bez śladu. Wreszcie dyliżans z turkotem zajechał do Bodmin, miasteczka szarego i nieprzystępnego jak otaczające je wzgórza. Pasażerowie jeden po drugim zaczęli zbierać bagaże – wszyscy prócz Mary, która nadal siedziała w swoim kącie. Woźnica z twarzą ociekającą deszczem zajrzał przez okno.

– Jedzie pani do Launceston? – spytał. – Niedobra będzie dzisiaj jazda przez torfowiska. Mogłaby pani przenocować w Bodmin i pojechać jutrzejszym porannym dyliżansem. Nikt tu już dalej nie jedzie prócz pani.

– Muszę być dzisiaj, bo czekają na mnie – powiedziała Mary. – Nie boję się jazdy. Zresztą nie jadę aż do Launceston. Czy zechce mnie pan wysadzić przy oberży Jamajka?

Woźnica spojrzał na nią zaskoczony.

– Przy oberży Jamajka? – powtórzył. – A cóż pani ma tam do roboty? Jamajka nie jest odpowiednim miejscem dla młodej panienki. To chyba jakaś pomyłka.

Wpatrywał się w nią z wyraźnym niedowierzaniem.

– O, słyszałam, że to pustkowie – odparła Mary – ale nie jestem przyzwyczajona do życia w mieście. Nad rzeką Helford, tam skąd pochodzę, bardzo jest cicho, latem czy zimą, nigdy jednak nie dokuczała mi samotność.

– Nie mówiłem wcale o samotności. Może pani nie rozumie, bo jest pani tu obca. Nie chodzi mi o te dwadzieścia parę mil przez torfowiska, chociaż większość kobiet bałaby się tamtędy jechać. Niech pani chwilę zaczeka.

Zwrócił się do kobiety, która stojąc w drzwiach gospody Królewskiej, zapalała lampę nad wejściem, zapadał już bowiem zmierzch.

– Proszę pani! – zawołał. – Niech pani tu przyjdzie i przemówi do rozumu tej panience! Powiedziano mi, że jedzie do Launceston, ale ona mówi, że chce wsiąść przy Jamajce.

Kobieta zeszła po stopniach i zajrzała do wnętrza dylizansu.

– To dzika okolica, prawdziwe pustkowię – powiedziała – i jeżeli szuka pani pracy, to nie znajdzie jej pani u tamtejszych farmerów. Ci na trzęsawiskach nie lubią obcych. Lepiej się pani urządź tutaj, w Bodmin.

Mary uśmiechnęła się do niej.

– O to się nie martwię. Jadę do krewnych. Mój wuj jest właścicielem oberży Jamajka.

Nastąpiła długa cisza. W zamglonym świetle latarni Mary dostrzegła, że zarówno kobieta, jak i mężczyzna patrzą na nią szeroko otwartymi oczami. Przeszył ją nagle ziąb, wstrząsnął ją niepokój. Chciałaby usłyszeć od kobiety jakieś słowo otuchy czy zachęty, ale takie słowo nie padło. Kobieta cofnęła się od okna.

– Przepraszam – powiedziała wolno. – Oczywiście, to nie moja sprawa. Dobranoc.

Woźnica, z twarzą dość mocno zaczerwienioną, pogwizdywał jak ktoś, kto chce wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Mary pod wpływem impulsu pochyliła się do przodu i dotknęła jego ramienia.

– Niech pan mi powie – poprosiła. – Nie będę miała nic za złe. Czy mój wuj nie jest tu lubiany? Czy coś się za tym wszystkim kryje?

Mężczyzna bardzo się speszył. Odparł niechętnie, unikając jej spojrzenia:

– Jamajka ma złą sławę. Opowiadają o niej różne historie, wie pani, jak to jest. Ale nie chcę rozsiewać plotek. Może to wszystko nieprawda.

– Jakie historie? – spytała Mary. – Chodzi o to, że tam się dużo pije? A może wuj pozwala, żeby w oberży zbierało się złe towarzystwo?

Mężczyzna usiłował się wykręcić.

– Nie chcę rozsiewać plotek – powtórzył. – I właściwie o niczym nie wiem. No, gadają ludzie... A porządni goście nie chodzą już do Jamajki. Tyle tylko wiem. Za dawnych czasów poiło się tam i karmiło konie, wpadało się, żeby coś przegryźć i wypić kieliszek. Ale teraz już się tam nie zatrzymujemy. Zacinamy konie i na nikogo się nie oglądamy, dopóki nie dojedziemy do Pięciu Dróg, a i tam nie bawimy długo.

– Dlaczego ludzie nie chodzą do oberży? Z jakiego powodu? – nalegała Mary.

Woźnica milczał chwilę, zdawało się, że szuka właściwych słów.

– Boją się – powiedział wreszcie i potrząsnął głową; jasne było, że nic się z niego więcej nie wydobędzie.

Widocznie jednak poczuł, że był zbyt opryskliwy, i zrobiło mu się żal Mary, bo po chwili zajrzał znów do okna.

– Napije się pani herbaty przed wyjazdem? – spytał. – Czeka panią długa droga, a na torfowiskach jest zimno.

Mary pokręciła głową. Zapomniała o głodzie, a choć rozgrzałaby się chętnie herbatą, nie miała ochoty wysiadać z dylizansu i wchodzić do gospody Królewskiej: kobieta z pewnością będzie się na nią gapiła, ludzie będą szeptać po kątach. Poza tym jakiś zacząjony w niej tchórzliwy duszek szeptał wciąż natarczywie: „Zostań w Bodmin, zostań w Bodmin”, i kto wie, może znalazłszy się w ciepłym i bezpiecznym schronieniu gospody, uległaby jego namowom.

A przecież obiecała matce, że pojedzie do ciotki Patience, nie wolno się teraz cofnąć.

– No to jedźmy – rzekł woźnica. – Jest pani dziś wieczorem jedyną podróżną na całym trakcie. Ma pani tu jeszcze jeden koc, proszę okryć kolana. Jak znajdziemy się już na szczycie wzgórza, będę popędzał konie, bo marna dziś noc do jazdy. Nie zaznam chwili spokoju, dopóki nie znajdę się we własnym łóżku w Launceston. Rzadko który z nas lubi jeździć o tej porze roku przez torfowiska, zwłaszcza przy takiej pogodzie.

Dylichans zaturkotał po bruku, mijając zaciszne, solidne domy, migotliwe światła, nielicznych przechodniów, którzy chyląc głowy przed wiatrem i deszczem, śpieszyli do domu na kolację. Przez okna zasłonięte okiennicami Mary widziała błyski przyjaznych świateł – na kominku z pewnością płonie ogień, stół nakryty białym obrusem, kobieta i dzieci siadają do posiłku, mężczyzna tymczasem grzeje ręce przy wesołym płomieniu. Przypomniała sobie uśmiechniętą wieśniaczkę, z którą tu dziś przyjechała. Zastanawiała się, czy ona też siedzi teraz przy stole w otoczeniu dzieci. Jaka to była przyjemna kobieta, jakie miała rumiane policzki, jakie swojskie spierzchnięte, spracowane ręce! Ile ufności budził jej niski głos! Mary zaczęła układać sobie bajeczkę: gdyby tak wysiadła za kobietą z dylichansu, poszła z nią, poprosiła ją o przytułek... Nie spotkałaby się z odmową, była tego pewna. Służyłaby kobiecie, pokochałaby ją, brałaby udział w jej życiu, poznałaby jej rodzinę...

Konie wspinały się na wzgórze za miastem. Przez okno w tyle dylichansu widać było, jak znikają światła Bodmin, szybko, jedno po drugim, aż wreszcie ostatni błysk mrugnął, zamigotał i zgasł. Mary znalazła się teraz sam na sam z wiatrem i deszczem, a od celu podróży dzieliło ją jeszcze dwanaście posępnych mil przez torfowiska.

Przyszło jej na myśl, że tak się chyba czuje okręt, kiedy opuszcza bezpieczną przystań. Ale żaden statek nie mógł się czuć bardziej zgnębiony, choćby nawet wichry grzmiały w olinowaniu i fale lizały pokład.

W dylichansie było teraz ciemno, bo Mary uznała, że lepiej zgasić mizerny żółty płomyk kaganka, który w podmuchach wiatru wpadających przez szparę w dachu chygotał się na wszystkie strony, zagrażając skórze obić. Siedziała skulona w kącie, chwiejąc się to w jedną, to w drugą stronę, ilekroć dylichans podskakiwał na wybojach, i myślała o tym, że nigdy dotąd nie wiedziała, jak złowroga może być samotność. Nawet w skrzypieniu i pojękiwaniu dylichansu, który przez cały dzień kołysał ją przecież niczym kolebka, brzmiała teraz groźba. Wichry szarpały dach, strugi deszczu, coraz gwałtowniejsze, gdy zabrakło osłony wzgórz, pluły w okna ze zdwojoną zaciekleścią. Po obu stronach traktu nagie torfowiska, ciemne,

nieprzebyte, bez drzew, bez domostw, rozpościerały się aż do niewidzialnego widnokregu niby bezkresna pustynia. Człowiek nie może mieszkać na takim jałowym pustkowiu, myślała Mary, i być jak inni ludzie; nawet dzieci rodzą się tu pewnie wynaturzone niczym szerniałe krzaki żarnowca, przyginane do ziemi wiatrem, który nigdy nie ustaje, lecz dmie, jak mu się podoba, ze wschodu i z zachodu, z północy i południa. Umysły też mają pewnie spaczone, myśli niedobre, skoro muszą wciąż przebywać wśród moczarów i skał, wśród twardego wrzosu i kruszejących głazów.

Z dziwnego pnia muszą pochodzić ci, co śpią pod tym czarnym niebem, mając pod głową tę nieżyczliwą ziemię. Niezawodnie pozostało w nich dotychczas coś z Szatana. Droga biegnie przez teren ciemny i milczący, nigdzie błysku światła, który choć na chwilę dodałby otuchy podróźnej w dyliżansie, wróżąc pomyślność, budząc nadzieję. A może na przestrzeni całych dwudziestu mil dzielących Bodmin i Launceston nie ma ani jednego zamieszkanego domu, może nie ma nawet chatki pasterza przy tej bezludnej drodze, nie ma nic prócz ponurego budynku – oberży Jamajka.

Mary straciła rachubę czasu i odległości, nie wiedziała, która to mila, dziesiąta czy setna; uwierzyłaby, gdyby jej ktoś powiedział, że jest już po północy. Zaczęła cenić sobie bezpieczeństwo, jakie zapewniał dyliżans: bądź co bądź, znała wnętrze pojazdu, znała je od wczesnego ranka, czyli od bardzo dawna. Wprawdzie niekończąca się jazda stała się udręką, ale były tu jednak chroniące dziewczynę cztery ścianki, zniszczony, przeciekający dach, a na koźle woźnica, którego mogła w każdej chwili zawołać. Wreszcie zdawało się jej, że woźnica ponaglił konie do szybszego jeszcze biegu, usłyszała, jak pokrzykuje na nie, przez okno dobiegły strzępki jego okrzyków niesione podmuchami wichury.

Otworzyła okno i wyjrzała na zewnątrz. Poryw wiatru z deszczem oślepił ją na chwilę, ale otrząsnęła się, odgarnęła włosy z oczu i wówczas ujrzała, że dyliżans w największym pędzie wjeżdża na zbocze wzgórza, a torfowiska po obu stronach traktu mającą atramentową czernią przez zasłonę deszczu i mgły.

Przed nią, na szczycie, cofnięta nieco w lewo od drogi, ukazała się jakaś budowla. W ciemnościach majaczyły zarysy wysokich kominów. Ani śladu innego domu czy nawet chatki. Jeżeli to była Jamajka, to wznosiła się dumna i samotna, wystawiona ze wszystkich czterech stron na ataki wichrów. Mary otuliła się szczelniej peleryną i zapięła klamrę pod szyją. Konie zatrzymały się, ściągnięte ręką woźnicy, i stały zlane potem mimo ulewnego deszczu, z boków buchały im obłoki pary.

Woźnica zsunął się z kozła i zdjął z góry jej kufer. Wyraźnie się śpieszył, bo wciąż zerkał przez ramię ku domowi.

– Jest pani na miejscu – rzekł. – Trzeba tylko przejść przez dziedziniec. Jeżeli zakołaczę pani do drzwi, wpuszczą panią. Muszę już ruszać, bo nie dojadę przed północą do Launceston.

W mgnieniu oka był z powrotem na kozle i chwycił lejce. Krzyknął na konie, smagając je gorączkowo batem. Dylizans zaturkotał, zatrząsł się i w jednej chwili znikł w ciemnościach, jak gdyby go nigdy nie było.

Mary została sama, z kuferkiem u stóp. Usłyszała za sobą szcęk rygli odsuwanych w nieoświetlonym domu, potem zgrzyt otwieranych drzwi. Jakaś wielka postać wyszła na dziedziniec, kołysząc latarnią.

– Kto tam? – odezwał się ktoś. – Czego tu chcesz?

Mary zrobiła krok naprzód, usiłując zobaczyć twarz mężczyzny.

Światło latarni świeciło jej wprost w oczy i nie mogła nic dojrzeć. Mężczyzna wciąż kołysał przed nią latarnią, ale w końcu roześmiał się, wziął ją za ramię i popchnął bezceremonialnie na ganek.

– Ach, to ty? – powiedział. – Więc jednak przyjechałaś? Jestem Joss Merlyn, twój wuj, i witam cię w oberży Jamajka.

Roześmiał się znów, wciągnął dziewczynę do domu, zamknął drzwi i postawił latarnię na stole przy korytarzu. Mary ujrzała wreszcie jego twarz.

2

Był to istny olbrzym, grubo ponad dwa metry wzrostu, z czołem pooranym bruzdami i cerą smagłą jak u Cygana. Gęste ciemne włosy spadały mu na czoło i zasłaniały uszy. Widać było, że musi być silny jak koń miał potężne bary, długie ramiona sięgające niemal do kolan i pięści jak spore szynki. Taki był wielki, że głowa w stosunku do postaci wydawała się mała, szyja zaś krótka, co wraz z czarnymi brwiami i zmierzwionym włosiem składało się na całość przywodzącą na myśl pochylonego do przodu, gigantycznego goryla. Na tym zresztą kończyło się podobieństwo, bo mimo długich nóg i rąk oraz potężnej budowy nie miał w twarzy nic z małpy. Wydatny orli nos rysował się nad ustami, które niegdyś mogły się zapewne poszczycić idealnym wykresem, lecz teraz zapadły się i wygięły ku dołowi, a wielkie ciemne oczy nadal były piękne, mimo okalających je zmarszczek, obrzęków i krwistych cętek.

Największą jednak ozdobą, jaka mu pozostała, były zęby, wciąż jeszcze zdrowe i bardzo białe, gdy się więc uśmiechał, odcinały się od opalonej twarzy, nadając jej wilczy wyraz. A choć powinna być ogromna różnica między uśmiechem człowieka i obnażonymi kłami głodnego wilka, u Jossa Merlyna była ona niedostrzegalna.

– A więc ty jesteś Mary Yellan – powiedział w końcu, górując nad nią olbrzymią postacią i pochylając niżej głowę, żeby się lepiej dziewczynie przyjrzeć. – No i przyjechałaś z daleka, żeby się zaopiekować wujem Jossem. To bardzo ładnie z twojej strony.

– Gdzie ciocia Patience? – spytała Mary, rozglądając się po mrocznym, nieprzytulnym korytarzu z podłogą wykładaną zimnymi kamiennymi płytami i widząc pokrzywione ze starości drewniane schody, wiodące gdzieś na górę. – Nie spodziewała się mojego przyjazdu?

– „Gdzie ciocia Patience?” – przedrzeźniając ją, powtórzył mężczyzna. – Gdzie moja ciotuchna? Chcę, żeby mnie ucałowała, przytuliła, przygarnęła do serca! Cóż to, nie możesz chwili bez niej wytrzymać? Nie chcesz ucałować wuja Jossa?

Mary cofnęła się. Myśl o ucałowaniu tego człowieka napełniła ją odrazą. Musi być chyba obłąkany albo pijany. Najpewniej i jedno, i drugie. Ale nie chciała go rozgniewać, za bardzo była wystraszona.

Odgadł jej myśli i roześmiał się znowu.

– Nie bój się – powiedział. – Nie dotknę cię. Nic ci z mojej strony nie grozi. Nigdy nie lubiłem ciemnowłosych kobiet, a poza tym mam ważniejsze rzeczy do roboty, niż bawić się w łapki z własną siostrzenicą.

Patrzył na nią pogardliwie, traktując ją najwyraźniej jak idiotkę. Wreszcie znudzili mu się żarty, podniósł głowę w kierunku schodów.

– Patience! – ryknął. – Co tam, u diabła, robisz? Dziewczyna przyjechała i zapłakuje się, że ciebie nie ma. Na mnie wcale nie chce patrzeć.

Na górze rozległ się szelest, potem szuranie stóp i cichy okrzyk. Zamigotała świeca i po wąskich schodach zeszła kobieta, osłaniając dłonią płomień. Spod wyszarzałego czepka spadały na ramiona rzadkie siwe włosy, które zapewne usiłowała bezskutecznie skręcić w loki. Sucha skóra wychudłej twarzy opinała szczelnie kości policzkowe. Wielkie oczy były otwarte, jak gdyby ustawicznie o coś pytały, usta wciąż poruszały się nerwowo, to sznurując wargi, to znów je rozluźniając. Kobieta miała na sobie spłowiałą spódnicę w paski, niegdyś wiśniowe, obecnie blad różowe wskutek wielokrotnego prania, na ramiona zarzuciła zniszczony, pocerowany szal. Chcąc ożywić nieco strój, wciągnęła widocznie nową wstążkę do czepka, lecz ta jaskrawoczerwona wstążka raziła jak dysonans, podkreślała bowiem trupią bladość twarzy. Mary, osłupiała z przerażenia

i współczucia, wpatrywała się w kobietę bez słowa. Czy być może, aby ta obdarta, wynędzniała staruszka była ciotką Patience, śliczną dobrą wróżką z jej dziecięcych wspomnień?

Drobna kobieta zeszła do holu. Ujęła rękę Mary w obie dłonie i zajrzała jej w oczy.

– Naprawdę przyjechałaś? – wyszeptała. – Jesteś moją siostrzenicą, Mary Yellan, tak? Córeczką mojej zmarłej siostry?

Mary potwierdziła skinieniem głowy, dziękując Bogu, że matka nie może oglądać tego spotkania.

– Droga ciociu – powiedziała jak najserdeczniej – cieszę się, że cię znów widzę. Tyle już lat minęło, odkąd byłaś u nas w Helfordzie.

Kobieta wciąż dotykała Mary, głaskała ją po ubraniu, po włosach, aż wreszcie przywarła do ramienia dziewczyny i wybuchnęła głośnym, przeraźliwym szlochem.

– Przestań – warknął jej mąż. – A cóż to za powitanie? Czego beczysz, głupia? Nie widzisz, że dziewczyna chce jeść? Weź ją do kuchni, daj jej boczkę i kieliszek czegoś mocnego.

Nachylił się i podniósł kufer Mary, jak gdyby to było piórko.

– Zaniosę do jej pokoju – rzekł – a nim wrócę, kolacja ma być na stole, bo dopiero dam ci powód do płaczu. I tobie też, jeśli zasłużysz – dodał, przysunął twarz do Mary i położył jej wielki paluch na ustach. – Oswojona jesteś czy gryziesz? – spytał, wybuchnął znów śmiechem, który rozbrzmiewał aż pod sufitem, i podtrzymując kufer na ramieniu, ruszył z tupotem po wąskich schodach.

Ciotka Patience zapanowała nad sobą. Z wielkim wysiłkiem uśmiechnęła się, ruchem, który Mary pamiętała z dawnych czasów, poprawiła przerzedzone loki, a następnie, mrugając nerwowo i poruszając ustami, zaprowadziła siostrzenicę przez jeszcze jeden ciemny korytarz do oświetlonej trzema świecami kuchni, gdzie na kominku tlił się i dymił torf.

– Nie zważaj na wuja Jossa – powiedziała, zmieniając nagle ton; przypominała teraz psa, którego biciem nauczono bezwzględności posłuszeństwa i który mimo

otrzymywanych ustawicznie kopniaków bronić będzie swego pana jak lew. – Wujowi trzeba dogadzać, ma swoje zwyczaje i obcym z początku trudno go zrozumieć. Ale jest dla mnie bardzo dobry, zawsze był dobry, od dnia naszego ślubu.

Gadała machinalnie, snując się tam i z powrotem po wykładanej płytami kuchni, nakrywając do stołu, wydając z kredensu chleb, ser i smalec. Mary zaś usiadła w kucki przy ogniu i bezskutecznie usiłowała rozgrzać zdrętwiałe palce.

W kuchni pełno było dymu. Unosił się aż pod sufit, wypełniał kąty, wisiał w powietrzu sinym obłokiem. Szczypał Mary w oczy, wciskał się do nozdrzy, czuła jego smak na języku.

– Wkrótce polubisz wuja i poznasz jego zwyczaje – mówiła dalej ciotka. – To bardzo szlachetny i bardzo dzielny człowiek. Znany jest i szanowany w całej okolicy. Nikt złego słowa o nim nie powie. Zbiera się tu u nas czasem bardzo dobre towarzystwo. Nie zawsze jest tak cicho jak dzisiaj. Bo musisz wiedzieć, że to bardzo ruchliwy trakt. Dylizanse przejeżdżają codziennie. A tutejsi ziemianie są z nami w wielkiej komitywie. Dopiero wczoraj był tu jeden z sąsiadów, upiekłam mu ciasto, żeby zabrał do domu. „Pani Merlyn – powiedział – pani jedna w całej Kornwalii umie piec ciasto”. Tak właśnie powiedział. Nawet sam dziedzic, to znaczy pan Bassat z North Hill, wiesz, właściciel całej ziemi tu naokoło, otóż pan Bassat parę dni temu minął mnie na drodze – to było bodaj we wtorek – i jak przejeżdżał, zdjął przede mną kapelusz. „Moje uszanowanie pani”, rzucił i ukłonił mi się pięknie. Podobno za młodu okropny był z niego kobieciarz. Aż tu Joss wychodzi ze stajni, reperował właśnie dwukólkę. „Jak tam zbiory, panie dziedzicu?”, zapytał. „Wielkie jak ty, Joss”, odparł dziedzic i obaj się roześmiali.

Mary wymamrotała coś w odpowiedzi na tę tyradę, chociaż z przykrością i niepokojem obserwowała, że ciotka Patience, mówiąc, unika jej wzroku, na dodatek zaś sama potoczystość przemowy wydawała się podejrzana. Ciotka mówiła, jak mówi dziecko obdarzone bujną wyobraźnią, które samo sobie opowiada bajkę. Bolesne było, że stara się odgrywać jakąś rolę, i Mary wolałaby, żeby ciotka już zamilkła, bo ten potok słów na swój sposób bardziej dziewczynę

przeraził niż przedtem potok łez. Za drzwiami rozległ się szelest i Mary z zamierającym sercem zorientowała się, że Joss Merlyn przypuszczalnie od dłuższej chwili jest na dole i słyszał pewnie słowa żony.

Ciotka Patience również usłyszała szelest, zbladła bowiem i zaczęła sznurować usta. Wuj wszedł do pokoju i spojrzał najpierw na żonę, potem na Mary.

– Co, kury już gdaczą? – rzucił, mrużąc oczy, teraz już bez cienia uśmiechu. – Byle można sobie pogadać, to łyzy od razu wysychają. Słyszałem cię, ty durna paplo. Gul, gul, gul, jak indyczka. Myślisz, że twoja najdroższa siostrzenica uwierzyła choć jednemu słowu? Dziecka byś nie oszukała, a co dopiero takiej dzierlatki.

Wziął krzesło spod ściany i z trzaskiem przysunął je do stołu. Usiadł ciężko, aż zaskrzypiały wiązania, sięgnął po bochenek, ukroił wielką pajdę i posmarował smalcem. Odgryzł kęs, napychając usta, i gestem przywołał Mary do stołu.

– Głodna jesteś, widzę to – powiedział.

Odkroił dla niej cienką kromkę, przeciął na cztery części, posmarował masłem, a wszystko to robione było tak zręcznie i odcinało się tak rażąco od gwałtownych, szorstkich ruchów, jakimi brał jedzenie dla siebie, że Mary poczuła coś zbliżonego do lęku. Zdawało się, że jego palce kryją w sobie jakąś czarodziejską moc, która przemienia je z niezgrabnych kołków w zwinne i posłuszne sługi. Gdyby odkroił pajdę chleba i cisnął jej, nie miałaby mu tego za złe, pozostawałoby to w zgodzie z tym, co dotychczas widziała, ale ten nagły przeskok od brutalnej nonszalancji do szybkiej, pełnej wdzięku precyzji ruchów stanowił rewelację o tyle przykrą, że zupełnie niespodziewaną. Podziękowała cicho wujowi i zaczęła jeść.

Ciotka, która umilkła natychmiast, gdy mąż wszedł do kuchni, smażyła boczek nad ogniem. Nikt się nie odzywał. Mary wiedziała, że Joss Merlyn obserwuje ją bacznie, słyszała, jak ciotka za jej plecami nieporadnie przekłada z ręki do ręki gorący uchwyt patelni. Naraz z żalonym okrzykiem puściła naczynie. Mary zerwała się, chcąc jej pomóc, ale Joss ryknął, żeby się nie ruszała.

– Wystarczy jedna idiotka, nie potrzeba tu dwóch! – wrzasnął. – Siedź na swoim miejscu, niech ciotka sama sprząta. Nie bój się, to nie po raz pierwszy. – Rozparł się na krześle i paznokciami dłubał w zębach. – Czego się napijesz? – spytał dziewczyny. – Brandy, wina czy piwa? Może się zdarzyć, że będziesz tu głodna, ale pragnienia nie zaznasz. W Jamajce nikomu jeszcze nie zaschło w gardle. – Roześmiał się i mrugnął do Mary, pokazując koniuszek języka.

– Jeśli można, napiję się herbaty – odparła Mary. – Nie jestem przyzwyczajona do mocnych trunków ani do wina.

– Nie? Twoja strata. No, możesz się dzisiaj napić herbaty, ale jak mi Bóg miły, za miesiąc sama będziesz prosiła o brandy.

Sięgnął przez stół i wziął ją za rękę.

– Niebrzydką masz łapkę jak na dziewczynę z farmy – rzekł. – Bałem się, że będzie czerwona i spierzchnięta. Mężczyźni nie cierpią, kiedy brzydka ręka nalewa im piwo. Wprawdzie moi goście nie są zbyt wybredni, ale też nie mieliśmy dotychczas w Jamajce bufetowej.

Uklonił się Mary drwiąco i puścił jej rękę.

– Patience, kochanie moje – powiedział – masz tu klucz. Idź i przynieś mi butelkę brandy. Mam dziś takie pragnienie, że nie ugasiłbym go wodą z całego Dozmary.

Ciotka natychmiast wzięła klucz i zniknęła w korytarzu. Joss Merlyn znów dłubał w zębach, pogwizdując od czasu do czasu, Mary zaś jadła chleb z masłem i piła herbatę, którą wuj przed nią postawił. Nękał ją okropny ból głowy, bała się, że lada chwila padnie ze znużenia. Oczy łzawiły jej od dymu. Ale mimo zmęczenia obserwowała ustawicznie wuja, udzielił jej się bowiem lęk ciotki i czuła, że obydwie są tu uwięzione niby myszy w pułapce, bez możliwości ucieczki, a wuj bawi się nimi jak olbrzymi, okrutny kot.

Po chwili ciotka wróciła, niosąc butelkę brandy, którą postawiła przed mężem. Dokończyła teraz smażenie boczku i nałożyła porcję Mary i sobie. Joss Merlyn pił w milczeniu, patrząc przed siebie i raz po raz kopiąc nogę stołu. Nagle walnął

pięścią w blat, aż podskoczyły kubki i spodki, a jeden z talerzy spadł i stłukł się na kawałki.

– Powiem ci coś, Mary Yellan! – wrzasnął. – Ja jestem panem w tym domu i chcę, żebyś o tym wiedziała. Jeżeli będziesz robiła, co ci każę, pomagała w gospodarstwie i obsługiwała gości, palcem cię nie tknę. Ale przysięgam na Boga, jeżeli otworzysz gębę i zaczniesz skrzeczeć, tak cię wymusztruję, że będziesz mi jadła z ręki jak twoja ciotunia.

Mary patrzyła na niego poprzez stół. Ręce trzymała na podolku, żeby nie widział, jak drżą.

– Rozumiem – powiedziała. – Nie jestem z natury ciekawa i nigdy w życiu nie zajmowałam się plotkami. Nie obchodzi mnie, co wuj robi w gospodzie ani z jakim towarzystwem przestaje. Będę robiła swoje i nie dam wujowi powodów do narzekania. Ale jeżeli wuj zrobi choćby najmniejszą krzywdę mojej ciotce, uprzedzam z góry: odejdę natychmiast z Jamajki, znajdę sędziego pokoju, sprowadzę go tutaj i oskarżę wuja wobec prawa, a wtedy może mnie wuj musztrować, ile chce.

Mary zbladła bardzo, czując, że jeśli wuj ryknie na nią teraz, załamie się, rozpłacze, a wówczas on uzyska nad nią władzę raz na zawsze. Wybuchnęła potokiem słów wbrew swej woli, lecz targana bolesnym współczuciem dla nieszczęsnej, złamanej istoty, jaką stała się ciotka, nie mogła się już pohamować. Jednakże, sama o tym nie wiedząc, uratowała się tym wybuchem, bo odważna jej postawa zaimponowała olbrzymowi, który rozparł się na krześle i wyraźnie złagodniał.

– Bardzo pięknie – rzekł – rzeczywiście bardzo pięknie powiedziane. Teraz wiemy, co mamy za lokatorkę. Tylko ją poskrobać, a pokazuje pazury. Cóż, moja droga, ty i ja bardziej do siebie pasujemy, niż sądziłem. Jak się nadarzy gra, będziemy grali razem. Może będę miał dla ciebie kiedyś w Jamajce robotę, o jakiej ci się nie śniło. Męską grę, Mary, w której stawką jest życie.

Mary usłyszała, że ciotka głośno zaczerpnęła tchu.

– Och, Joss! – wyszeptała. – Och, Joss, proszę cię!

W głosie jej brzmiało takie błaganie, że Mary spojrzała na nią ze zdziwieniem. Ciotka pochyliła się do przodu i dawała mężowi znaki, żeby umilkł, a ból malujący się w jej oczach przeraził Mary bardziej niż cokolwiek, co się dotychczas tego wieczoru zdarzyło. Przeszył ją zimny dreszcz. Co wprawiło ciotkę w stan takiego podniecenia? Co Joss Merlyn miał za chwilę powiedzieć? Ogarnęła ją gorączkowa ciekawość. Wuj niecierpliwie machnął ręką.

– Idź spać, Patience – powiedział. – Dość mam przy stole twojej trupiej czaszki. Dziewczyna i ja dobrze się rozumiemy.

Kobieta wstała od razu i poszła do drzwi, rzucając przez ramię ostatnie rozpaczliwe spojrzenie. Joss Merlyn i Mary usłyszeli jej niepewne kroki na schodach. Zostali sami. On odepchnął od siebie pusty kieliszek i oparł łokcie na stole.

– Jedną mam słabość w życiu – rzekł – i powiem ci jaką: alkohol. To przekleństwo, wiem o tym. Nie potrafię się powstrzymać. Przyjdzie w końcu dzień, kiedy trunek mnie zabije, i słusznie mi się to będzie należało. Czasem po całych dniach nie wypijam więcej niż kropelkę, tak jak dzisiaj. Aż nagle chwyta mnie pragnienie i zaczynam pić. Piję bez końca. To władza, chwała, kobiety i królestwo niebieskie, wszystko naraz. Czuję się wtedy jak król, Mary. Czuję, że jestem panem świata. To niebo i piekło. Gadam wtedy i gadam, spowiadam się ze wszystkiego, co kiedykolwiek zrobiłem. Zaszywam się w pokoju i wykrzykuję swoje sekrety w poduszkę. Ciotka zamyka mnie na klucz, a kiedy wytrzeźwieję, łomoczę do drzwi i wypuszcza mnie. Nikt o tym nie wie prócz ciotki i mnie, a teraz i ciebie. Powiedziałem ci, bo jestem już trochę pijany i nie potrafię utrzymać języka za zębami. Ale nie jestem taki pijany, żeby doszczętnie stracić głowę. Nie jestem dość pijany, żeby ci powiedzieć, dlaczego mieszkam w tym przez Boga i ludzi zapomnianym miejscu i dlaczego jestem właścicielem Jamajki.

Ochryplł, mówił teraz niemal szeptem. Ogień w kominku przygasł, mrok popęzł w górę po ścianie. Świece też się dopalały, rzucając na sufit olbrzymi cień

Jossa Merlyna. On uśmiechnął się do Mary i pijackim gestem przyłożył palec do nosa.

– Nie powiem ci tego, Mary. O nie, została mi jeszcze odrobina rozsądku. Jeżeli chcesz się dowiedzieć czegoś więcej, zapytaj ciotki, ona ci już nabaje. Słyszałem, jak plotła tu dzisiaj o wspomniałym towarzystwie, które się u nas zbiera, i o tym, że dziedzic zdejmuje przed nią kapelusz. Kłamstwo, wszystko kłamstwo. Tyle ci mogę powiedzieć, bo i tak sama się dowiesz: dziedzic Bassat boi się tu nos pokazać. Gdyby mnie spotkał na drodze, przeżegnałby się i popędził konia. Tak samo zresztą jak wszyscy ci czcigodni ziemianie. Nie zatrzymują się tutaj dylizanse ani zwykłe, ani pocztowe. Niewiele sobie z tego robię, pod dostatkiem mam gości. Im dalej się ode mnie trzymają ważni panowie, tym lepiej dla mnie. O, pije się tu, owszem, i to mocno. Są tacy, co przychodzą do Jamajki w sobotę wieczór, są inni, co zatykają uszy, żeby móc spać. Zdarzają się wieczory, kiedy we wszystkich domach na torfowiskach ciemno jest i cicho, a jedyne światło na mile wokół rzucają płonące okna Jamajki. Podobno wrzaski i śpiewy słychać aż na farmach pod Roughtorem. W takie wieczory, jeżeli zechcesz, będziesz usługiwać w barze i zobaczysz, jakie się u mnie zbiera towarzystwo.

Mary siedziała cichutko, ściskając brzegi krzesła. Nie śmiała się poruszyć, lękając się raptownej zmiany nastroju, a takie zmiany zaobserwowała już u wuja, mógł bowiem nagle przejść od poufnych zwierzeń do niepohamowanego ryku wściekłości.

– Wszyscy się mnie boją – ciągnął właściciel Jamajki. – Cała ta zatracona zgraja. Powiadam ci, gdybym miał wykształcenie, gdybym był uczony, kroczyłbym po Anglii przy boku samego króla Jerzego. To gorzałka jest moim wrogiem, gorzałka i moja gorąca krew. To przekleństwo całej mojej rodziny, Mary. Nie było jeszcze Merlyna, który by umarł spokojnie we własnym łóżku. Mojego ojca powieszono w Exeter; wdał się w bójkę z jakimś przygodnym kompanem i zabił go. Dziadkowi obcięto uszy za kradzież. Zesłano go do kolonii karnej pod równikiem, tam żmija go ukąsiła i umarł w ataku szału. Jestem najstarszy z trzech braci, wszyscyśmy się urodzili w cieniu skały Kilmar, tu niedaleko, nad

Bagniskiem Dwunastu Topielców. Jeżeli pójdziesz przez Wschodnie Torfowiska i dojdiesz do Rączego Potoku, zobaczysz wielką granitową turnię, sterczącą w niebo jak ręka szatana. To właśnie jest Kilmar. Gdybyś się urodziła w jego cieniu, piłabyś tak samo jak ja. Mój brat Matthew utonął w trzęsawisku Trewartha. Myśleliśmy, że zamustrował się na statek, nie było o nim żadnych wiadomości, aż tu w lecie nastąpiła susza, przez siedem miesięcy nie spadła kropla deszczu i Matthew się odnalazł. Tkwił w bagnie z rękami wyciągniętymi nad głową, a kuliki krążyły nad nim. Mój brat Jem, niech go piekło pochłonie, był najmłodszy. Ledwo jeszcze chodził, kiedy Matthew i ja byliśmy już dorośli. Nigdy nie było zgody między mną a Jemem. Za mądry jest, za ostry ma język. O, złapią go kiedyś i powieszają tak samo jak naszego ojca.

Umilkł na chwilę, wpatrując się w pusty kieliszek. Podniósł go i znów odstawił.

– Nie – rzekł. – Dostyc już powiedziałem. Dzisiaj nie będę więcej pił. Idź spać, Mary, pókim ci łebka nie ukręcił. Masz tu świecę. Twój pokój jest nad gankiem, trafisz.

Mary bez słowa wzięła lichtarz i miała już przejść obok wuja, gdy ten chwycił ją za ramię i obrócił ku sobie.

– Czasem w nocy usłyszysz turkot kół na trakcie – powiedział. – A koła te nie potoczą się dalej, lecz zatrzymają się przed Jamajką. Usłyszysz też kroki na dziedzińcu i głosy pod twoim oknem. Wtedy nie wstawaj z łóżka, Mary, i naciągnij koc na głowę. Rozumiesz?

– Tak, wuju.

– To dobrze. Teraz idź i jeżeli kiedykolwiek zadasz mi choć jedno pytanie, połamię ci wszystkie kości.

Wyszła z pokoju na ciemny korytarz, uderzyła się o ławę w holu i po omacku ruszyła na górę. Tam zwróciła się znów twarzą do schodów, żeby się zorientować, w którą stronę ma iść. Wuj powiedział „pokój nad gankiem”, minęła więc na palcach dwoje drzwi po obu stronach – pokoje gościnne, jak sądziła, czekające na podróżnych, co nigdy już się tu nie zatrzymują i nie szukają schronienia pod

dachem Jamajki – natknęła się na jeszcze jedne drzwi, nacisnęła klamkę i przy migotliwym płomyku świecy ujrzała, że to właściwy pokój, na podłodze bowiem stał jej kufer.

Ściany były chropowate, nie tapetowane, deski podłogi niczym nieokryte. Za toaletkę służyła przewrócona dnem do góry skrzynia, na której stało pęknięte lustro. Nie było tu dzbanka ani miednicy; Mary wywnioskowała z tego, że będzie się musiała myć w kuchni. Łóżko zatrzeszczało, kiedy się o nie oparła, a dotknąwszy dwóch cienkich koców, poczuła, że są wilgotne. Postanowiła położyć się w podróżnym ubraniu, mimo że było mocno zakurzone, i nakryć się peleryną. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Wiatr ucichł, ale deszcz wciąż padał – wstrętna mżawka, osiadająca na ścianie domu i rozmazująca brud na szybie.

Z przeciwległego kąta dziedzińca dobiegł dziwny odgłos, jak gdyby zwierzę jęczało z bólu. Za ciemno było, żeby dojrzeć coś wyraźnie, Mary jednak rozróżniła kołyszący się w przód i w tył ciemny kształt. Wyobraźnia, rozpalona opowiadaniem Jossa Merlyna, na jeden okropny moment podsunęła dziewczynie myśl o szubienicy ze zwłokami wisielca. Zaraz jednak zorientowała się, że to szyld gospody, obluzowany pewnie przez zaniedbanie, kołysze się tam i z powrotem za lada podmuchem. Biedny, pogięty szyld, który pamięta lepsze czasy, teraz, wystawiony na wichry dmące ze wszystkich czterech stron świata, zamazanymi literami głosi w pustkę: oberża Jamajka, oberża Jamajka. Mary spuściła story i z trudem dojrzała do łóżka. Zęby jej szczękały, nogi i ręce zdrętwiały z zimna. Przez dłuższą chwilę siedziała na łóżku, pogrążona w rozpacz. Zastanawiała się, czy nie udałoby jej się stąd wymknąć i przebyć pieszo owych dwunastu przerażająco długich mil do Bodmin. Obawiała się jednak, że znużenie weźmie nad nią górę, że padnie bez sił gdzieś po drodze, zaśnie, a kiedy się obudzi, ujrzy nad sobą olbrzymią postać Jossa Merlyna.

Zamknęła oczy i od razu zobaczyła jego uśmiechniętą twarz, a potem uśmiech znikł, twarz się zasępiła, czoło porały bruzdy znamionujące wybuch wściekłości; ujrzała też jego gęste czarne włosy, orli nos i długie silne palce, które potrafiły być delikatne i zręczne.

Czuła się jak ptak pojmany w sieci i zdawała sobie sprawę, że choćby nie wiedzieć jak się wyrwała, nie zdoła uciec. Jeżeli chce być wolna, musi odejść stąd zaraz, wydostać się przez okno, zsunąć na dół i biec jak szalona białą drogą, wijącą się wśród torfowisk niczym wąż. Jutro będzie za późno.

Czekała, aż rozlegną się kroki wuja na schodach. Usłyszała, że mruży coś do siebie, lecz ku jej wielkiej uldze skręcił w bok i poszedł innym korytarzem, na lewo od schodów. Gdzieś zamknęły się drzwi, po czym zapadła cisza. Mary postanowiła, że nie będzie dłużej czekać. Jeżeli choć jedną noc spędzi pod tym dachem, odwaga ją opuści, a wówczas będzie zgubiona. Zgubiona, złamana, szalona – jak ciotka Patience. Otworzyła drzwi i wykradła się na korytarz. Na palcach doszła do szczytu schodów. Tu przystanęła i nasłuchiwała. Ręką chwyciła poręcz, nogę miała już na pierwszym stopniu, gdy z tamtego korytarza dobiegły ją dźwięki. Ktoś płakał. Ktoś zanosił się od płaczu i usiłował stłumić szloch, wtulając twarz w poduszkę. To płakała ciotka Patience. Mary stała przez chwilę, potem wróciła do swego pokoju, padła na łóżko i zamknęła oczy. Cokolwiek czeka ją w przyszłości, jakkolwiek wielkie odczuwa przerażenie, nie opuści teraz Jamajki. Musi zostać z ciotką. Jest tu potrzebna. Być może przyniesie ciotce choć trochę pociechy, może dojdą z czasem do porozumienia, a wówczas w jakiś sposób, którego znużenie na razie nie pozwala obmyślić, Mary stanie się opiekunką ciotki i będzie jej broniła przed Jossem Merlynem. Matka przez siedemnaście lat pracowała sama jedna i zaznała więcej niedoli, niż Mary kiedykolwiek może zaznać. Nie uciekłyby przed na pół obłąkanym mężczyzną. Nie ulękłyby się tego straszego domu, choć stoi on samotnie na owianym wichrami wzgórzu, ciskając wyzwanie ludziom i żywiołom. Matka Mary miałaby dość odwagi, aby walczyć z wrogami. Tak, walczyć i w końcu ich pokonać. Nie dałaby za wygraną.

Mary leżała na twardym łóżku i modliła się o sen, lecz w głowie roiło się jej od myśli, a każdy odgłos szarpał nerwy, poczynając od skrobania myszy w ścianie, kończąc zaś na skrzypieniu szyldu na dziedzińcu. Liczyła minuty i godziny bezkresnej nocy i dopiero gdy pierwszy kogut zapiał na polu za domem, przestała liczyć, westchnęła i zapadła w kamienny sen.

3

Mary obudziła się w bladych promieniach słońca. Zbudził ją stukot okna, wstrząsanego silnym wiatrem zachodnim. Kąt padania promieni i barwa nieba odpowiedziały jej, że zasnęła i musi być już po ósmej. Wyjrząwszy przez okno, dostrzegła otwarte drzwi stajni i ślady kopyt w błocie. Z uczuciem wielkiej ulgi pomyślała, że gospodarz pewnie dokądś wyjechał, będzie więc mogła porozmawiać z ciotką w cztery oczy.

Rozpakowała szybko kufer, wyjęła grubą spódnicę, kolorowy fartuszek i mocne buty, które nosiła zwykle na farmie. Po dziesięciu minutach była już w kuchni i myła się w komórcie służącej do zmywania naczyń.

Ciotka Patience wróciła z wybiegu dla drobiu, zbudowanego tuż za domem. W fartuchu niosła kilka świeżych jajek, które pokazała z tajemniczym uśmiechem.

– Pomyślałam sobie, że pewnie zjesz chętnie jajko na śniadanie – powiedziała. – Wczoraj wieczorem byłaś taka zmęczona, że nie mogłaś prawie nic jeść, widziałam to. Zostawiłam ci też trochę śmietany do chleba.

Zachowywała się tego ranka dość normalnie i mimo zaczerwienionych oczu, świadczących o nieprzespanej nocy, siliła się na pogodny ton. Mary doszła do wniosku, że ciotka tylko w obecności męża traci głowę niczym wystraszone dziecko, gdy zaś go nie ma, z równie dziecinną łatwością zapomina o wszystkim

i potrafi czerpać zadowolenie z drobnych powszednich czynności, jak na przykład robienie śniadania dla Mary i gotowanie jajek.

Obydwie starały się nie wspominać o wczorajszym wieczorze, toteż imię gospodarza ani razu nie padło. Dokąd pojechał i w jakiej sprawie, Mary nie pytała ani jej to nie obchodziło, zadowolona była, że go nie ma. Zauważyła, że ciotka chętnie mówi o rzeczach niezwiązanych z jej obecnym życiem i boi się pytań, żeby więc nie sprawiać jej przykrości, zaczęła opisywać ostatnie lata życia na farmie, pasmo dręczących niepowodzeń oraz chorobę i śmierć matki.

Czy słowa jej docierały do świadomości ciotki, tego nie była pewna. Ciotka wprawdzie od czasu do czasu potakiwała, poruszała ustami, potrząsała głową i wydawała okrzyki współczucia, miało się jednak wrażenie, iż lata ustawicznego niepokoju pozbawiły ją zdolności koncentracji, a jakiś wciąż obecny lęk nie pozwala skupić całej uwagi na rozmowie.

Zwykłe czynności gospodarskie, które trzeba było wykonać przed południem, dały Mary możliwość dokładniejszego poznania oberży.

Budynek był ciemny, rozległy, z długimi korytarzami i bezładnie rozmieszczonymi pokojami. Do baru prowadziło oddzielne wejście w bocznej ścianie domu, a chociaż sala świeciła teraz pustkami, w ciężkim powietrzu pozostało jakieś wspomnienie z ostatniego wieczoru, kiedy było tu pełno: posmak dymu tytoniowego, kwaśny odór alkoholu, ledwie wyczuwalny fetor niedomytych ciał ludzkich, stłoczonych na ciemnych, poplamionych ławach.

Ale mimo niemiłych skojarzeń było to jedyne miejsce w oberży tchnące jakimś życiem. Inne pokoje sprawiały wrażenie zaniedbanych lub nieużywanych, nawet salon przy ganku wydawał się dziwnie opuszczony, jakby wiele miesięcy upłynęło, odkąd autentyczny podróżny przekroczył próg, aby ogrzać się przy kominku. Pokoje gościnne na górze były w jeszcze gorszym stanie. Jeden pełnił funkcję lamusa, pod ścianą piętrzyły się stosy skrzyń, na podłodze poniewierały się dery końskie, pogryzione przez całe rodziny szczurów i myszy. W pokoju naprzeciw, na połamanym łóżku, złożono zapasy ziemniaków i rzepy.

Mary domyśliła się, że jej pokój musiał być w takim samym stanie i tylko ciotce to zawdzięcza, że został jako tako umeblowany. Do pokoju wujostwa, do którego prowadziły drzwi z dalszego korytarza, nie odważyła się wejść. Pod tym pokojem, w takim samym długim korytarzu jak ten na górze, był inny pokój, zaryglowany i zamknięty na cztery spusty. Mary wyszła na podwórze, chcąc zajrzeć tam przez okno, ale okazało się, że zabite jest od wewnątrz deskami.

Dom i zabudowania gospodarcze tworzyły trzy boki niewielkiego kwadratu, czyli dziedzińca, pośrodku którego wznosił się porośnięty trawą nasyp i stało koryto do pojenia koni. Dalej widniała droga, wąska biała wstęga, biegnąca w obie strony aż do widnokręgu przez torfowiska, brunatne i rozmokłe od długotrwałego deszczu. Mary wyszła na drogę i rozejrzała się, ale jak okiem sięgnąć nie widać było nic prócz czarnych wzgórz i torfowisk. Ciemnoszara oberża ze strzelistymi kominami, choć posępna i na pozór niezamieszкана, była w tym krajobrazie jedyną siedzibą ludzką. Na zachód od Jamajki wznosiły głowy ku niebu wysokie skaliste wzgórza, niektóre gładkie, porośnięte żółtawą trawą połyskującą w promieniach bladego słońca, inne nieprzystępne i groźne, uwieńczone nagimi, poszarpanymi zwałami granitu. Słońce raz po raz kryło się za chmurami, a wtenczas na torfowiska padały długie cienie niby palce. Barwy wciąż się zmieniały – wzgórza były chwilami fioletowe, usiane czarnymi plamami, aż naraz, gdy słaby promień słońca przebił się przez chmury, jedno wzgórze stawało się złotobrazowe, inne zaś obok niego nadal osnuwała mgła. Cały krajobraz wciąż się zmieniał: na wschodzie mogła być piękna pogoda, torfowiska leżały nieruchomo jak piaski pustyni, gdy tymczasem na zachodzie dąć zaczynał wiatr podbiegunowy, niosąc kłębiastą chmurę, przypominającą kształtem pelerynę rozbójnika, i chmura ta gradem, śniegiem i siekącym deszczem raziła granitowe skały. Powietrze było rześkie, wonne, zimne jak wysokogórskie i przedziwnie czyste. Wszystko to wprawiało w zdumienie Mary, przyzwyczajoną do ciepłego, łagodnego klimatu helfordzkiego, do wysokich żywopłotów i rozłożystych drzew. Tam nawet wiatr wschodni nie był przykry ani groźny, gdyż wysoki cypel stanowił naturalną osłonę i tylko rzeka wówczas ryczała, tocząc wzburzone, spienione fale.

Ale choć krajobraz był posępny i odpychający, tereny jałowe, nieuprawne, a samotna oberża na wzgórzu wystawiona ze wszystkich czterech stron na gwałtowne podmuchy wichru, raźny wiatr sprawił, że w serce Mary wstąpiła otucha. Szczypał dziewczynę w twarz, przywracając rumieńce policzkom i blask oczom, bawił się jej włosami, rozwiewając je i burząc, a gdy odetchnęła głęboko, poczuła, że powietrze tutejsze upaja bardziej niż dobry haust jabłecznika. Podeszła do koryta i podstawiła dłonie pod bijące tu źródło. Woda była przejrzysta, lodowata. Mary napiła się. Takiej wody nie piła jeszcze nigdy: gorzka, dziwna, miała posmak torfu, taki sam jak dym z paleniska w kuchni. Pragnienie jednak gasiła znakomicie.

Czując przypływ sił fizycznych i duchowych, Mary wróciła do domu i do ciotki, która czekała już na nią z obiadem. Mary z apetytem zasiadła do baraniny duszonej z rzepą, a gdy po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin zaspokoila należycie głód, odzyskała swą zwykłą odwagę i postanowiła wybadać ciotkę bez względu na konsekwencje.

– Ciociu – zaczęła – dlaczego właściwie wuj kupił tę oberżę?

Nagły i bezpośredni atak zaskoczył kobiecinę, która przez chwilę patrzyła na siostrzenicę bez słowa. Potem oblała się szkarłatnym rumieńcem i zaczęła sznurować usta.

– No... – bąkała niepewnie – przecież to... to doskonałe położenie... tuż przy drodze. Sama chyba widzisz. Tędy przebiega główny trakt z południa. Dylizanse przejeżdżają dwa razy w tygodniu. Jadą z Truro i z Bodmin aż do Launceston. Sama wczoraj przyjechałaś. Na trakcie zawsze jest ruch. Podróżni z dylizansów, prywatne pojazdy, czasem marynarze z Falmouth.

– Tak, ciociu, to wszystko prawda. Ale dlaczego nikt z nich nie zatrzymuje się w Jamajce?

– Owszem, zatrzymują się. Często wstępują do baru na kieliszek. Mamy doskonałą klientelę.

– Jak możesz tak mówić, skoro salonu nigdy się nie używa, a pokoje gościnne zawalone są gratami i nadają się tylko na mieszkanie dla myszy i szczurów? Widziałam je na własne oczy. Bywałam już w oberżach, i to dużo mniejszych od tej. U nas we wsi też była gospoda. Właściciel był z nami w przyjaźni. Mama i ja nieraz piłyśmy herbatę w salonie, a na górze były co prawda tylko dwa pokoje, ale zawsze pięknie wysprzątane i gotowe na przyjęcie podróżnych.

Ciotka milczała przez chwilę, poruszając ustami i jedną ręką wykręcając palce drugiej.

– Wuj Joss nie zachęca ludzi, żeby zatrzymywali się na noc – powiedziała wreszcie. – Mówi, że nigdy nie wiadomo, z kim się ma do czynienia. W takim odludnym miejscu mógłby nas ktoś bez trudu zamordować. Na trakcie trafiają się różni ludzie. Mogą być niebezpieczni.

– Ciociu, mówisz kompletne głupstwa. Po cóż w takim razie oberża, jeżeli nie może dać noclegu uczciwym podróżnym? W jakim celu ją zbudowano? I z czego żyjecie, skoro nie macie wcale gości?

– Mamy pod dostatkiem gości – odparła niechętnie kobieta. – Już ci mówiłam. Mężczyźni przychodzą z farm i z dalszych miejsc. Tu na wiele mil wokoło rozrzucone są na torfowiskach farmy i domy, no i ludzie stamtąd przychodzą. Bywają wieczory, kiedy bar jest przepełniony.

– Woźnica dylizansu mówił mi wczoraj, że przyzwoici ludzie nie przychodzą już do Jamajki. Podobno się boją.

Ciotka Patience zmieniła się na twarzy. Była teraz blada, oczy jej biegały. Przełknęła ślinę i przesunęła językiem po wargach.

– Wuj Joss jest bardzo porywczy – rzekła. – Sama widziałas. Łatwo się unosi. Nikomu nie wolno wtrącać się do jego spraw.

– Ciociu, czemu ktoś miałby się wtrącać do spraw właściciela gospody, który robi to, co do niego należy? Choćby człowiek był nie wiadomo jak porywczy, nie odstraszy tym gości. To żadne wytłumaczenie.

Ciotka umilkła. Wyczerpała już wszystkie argumenty i siedziała z upartą miną. Widać było, że nie da się już z niej nic wyciągnąć. Mary spróbowała z innej strony.

– Dlaczego wujostwo w ogóle się tu przenieśli? Mama nic o tym nie wiedziała, myślałyśmy, że mieszkanie w Bodmin. Pisałaś stamtąd, kiedy wyszłaś za męża.

– Poznałam wuja w Bodmin, ale nigdy tam nie mieszkaliśmy – odrzekła wolno ciotka. – Mieszkaliśmy przez pewien czas w pobliżu Padstow, a potem przenieśliśmy się tutaj. Wuj kupił oberżę od pana Bassata. O ile mi wiadomo, przez całe lata stała pusta, no i wuj doszedł do wniosku, że mu odpowiada. Chciał osiąść gdzieś na stałe. Dużo w życiu podróżował, widział tyle krajów i miast, że nie spamiętam wcale nazw. Był chyba nawet w Ameryce.

– Trochę to dziwne, że akurat tutaj chciał osiąść – zauważyła Mary. – Gorzej chyba nie mógł wybrać, co?

– To jego rodzinne strony – rzekła ciotka. – Wuj urodził się tylko kilka mil stąd, przy Bagnisku Dwunastu Topielców. Jego brat Jem, kiedy nie włączy się po kraju, dotychczas mieszka tam w małym domku. Przyjeżdża tu czasem, ale wuj Joss nie za bardzo go lubi.

– A czy pan Bassat bywa kiedy w oberży?

– Nie.

– Dlaczego nie bywa, skoro sam ją wujowi sprzedał?

Ciotka Patience znów zaczęła wyłamywać palce i poruszać ustami.

– Było nieporozumienie – powiedziała. – Wuj kupił oberżę za pośrednictwem przyjaciela. Dopiero jak się sprowadzili, pan Bassat dowiedział się, że oberżę kupił wuj Joss, i był trochę niezadowolony.

– Co miał mu do zarzucenia?

– Pan Bassat znał wuja przed laty, kiedy wuj za młodu mieszkał w Trewartha, a od tego czasu go nie widywał. Wuj jako kawaler był niespokojnym duchem, miał opinię awanturnika i zabijaki. To nie jego wina, Mary, tylko jego nieszczęście. Wszyscy Merlynowie to niespokojne duchy. Jem, młodszy brat wuja, jest jeszcze gorszy, niż wuj był kiedykolwiek, szkoda słów. Ale pan Bassat nasłuchiwał się plotek

o wuju Jossie i wpadł w wielką złość, kiedy się dowiedział, że to jemu sprzedał Jamajkę. No, teraz już wszystko wiesz.

Ciotka odchyliła się na krzesło, wyczerpana indagacją. Twarz miała bladą i ściągniętą, jej oczy błagały, aby Mary zaprzestała pytań. Mary widziała, że ciotka cierpi, ale z okrutnym zuchwalstwem młodości zaryzykowała jeszcze jedno pytanie.

– Ciociu – powiedziała – chcę, żebyś spojrzała mi w oczy i odpowiedziała szczerze, a nie będę cię już dłużej dręczyć. Co ten zamknięty pokój na końcu korytarza ma wspólnego z wozami, które zatrzymują się w nocy przed Jamajką?

Ledwie wyrzekła te słowa, już ich pożałowała i dałaby wiele, aby móc je cofnąć. Ale stało się, nie było rady.

Twarz ciotki przybrała dziwny wyraz, w wielkich pustych oczach odmalował się wielki strach. Usta jej zadrżały, ręka powędrowała do gardła. Wyglądała jak zaszczute, przerażone zwierzątko.

Mary odsunęła krzesło i uklękła przy ciotce. Otoczyła ją ramionami, tuliła do siebie, całowała po włosach.

– Przepraszam, ciociu, przepraszam – mówiła. – Nie gniewaj się na mnie, jestem wstrętna, jestem obrzydliwa. To nie moja rzecz, nie mam prawa cię wypytywać i wstyd mi okropnie. Proszę cię, proszę cię, zapomnij o tym, co powiedziałam.

Ciotka skryła twarz w dłoniach. Siedziała bez ruchu, nie zwracając uwagi na siostrzenicę. Przez kilka minut trwało milczenie. Mary wciąż głaskała ramiona ciotki i całowała jej ręce.

Wreszcie ciotka odsłoniła twarz. Uspokoila się, z jej oczu znikł lęk. Ujęła dłonie siostrzenicy, spojrzała na nią.

– Mary – powiedziała stłumionym głosem, szeptem prawie. – Mary, nie mogę odpowiedzieć na twoje pytania, bo na wiele z nich sama nie znam odpowiedzi. Ale ponieważ jesteś mi bliska, jesteś córką mojej ukochanej siostry, muszę cię ostrzec.

Obejrzała się przez ramię, jak gdyby niepewna, czy Joss nie stoi w półmroku za drzwiami.

– W Jamajce dzieją się rzeczy, Mary, o których nie śmiem nawet szepnąć słowa. Niedobre rzeczy, złe rzeczy. Nie mogę ci nic powiedzieć, nie śmiem nawet o nich myśleć. Z czasem sama coś niecoś zauważysz. To nie do uniknięcia, skoro masz tu mieszkać. Wuj Joss przestaje z dziwnymi ludźmi, którzy uprawiają dziwny proceder. Niekiedy przyjeżdżają w nocy i wtedy przez okno nad gankiem usłyszysz kroki, głosy i kołatanie do drzwi. Wuj wpuszcza ich i prowadzi korytarzem do zamkniętego pokoju. Wchodzą do środka, a ja z sypialni na górze przez długie godziny słyszę przyciszone głosy. Przed świtem odjeżdżają i nie pozostaje ślad, że tu w ogóle byli. Kiedy przyjadą, Mary, nie mów nic ani mnie, ani wujowi. Nie ruszaj się na krok z łóżka i zatkaj uszy rękami. Nie pytaj o nic ani mnie, ani wuja, ani nikogo innego, bo gdybyś się domyśliła choćby połowy tego, co ja wiem, osiwiłabyś tak jak ja, język odmawiałby ci posłuszeństwa i płakałabyś po nocach, a twoja śliczna, młodzieńcza beztroska znikłaby na zawsze, Mary, tak jak znikła moja.

Wstała od stołu, odsunęła krzesło i wyszła. Mary słyszała, jak ciotka ciężkim, niepewnym krokiem idzie po schodach na górę, wchodzi do swego pokoju i zamyka za sobą drzwi.

Dziewczyna nadal siedziała na podłodze przy krześle ciotki. Przez okno kuchenne widać było, że słońce ukryło się już za najwyższym wzgórzem i wkrótce posępny, złowrogi zmierzch listopadowy znów spadnie na Jamajkę.

4

Joss Merlyn nie wracał do domu blisko przez tydzień, Mary więc zdążyła tymczasem trochę lepiej poznać okolice.

Nie była potrzebna w barze, nikt bowiem nie przychodził tam pod nieobecność gospodarza, toteż gdy pomogła ciotce przy sprzątanii i gotowaniu, mogła odbywać do woli piesze wycieczki. Patience Merlyn nie nadawała się na towarzyszkę tego rodzaju wypraw – nie miała najmniejszej ochoty wychylać się poza wybieg dla drobiu na tyłach oberży, a ponadto słabo orientowała się w terenie. Znała nazwy skalistych wzgórz, bo słyszała je często od męża, ale gdzie się te wzgórza znajdują i jak do nich trafić, nie miała pojęcia. Mary tedy wyruszyła w południe sama jedna, mając za przewodników tylko słońce i zdrowy rozsądek, którą to cechę jako dziewczyna ze wsi odziedziczyła po przodkach.

Torfowiska były jeszcze bardziej bezludne, niż przypuszczała. Jak bezkresna pustynia rozpościerały się ze wschodu na zachód, poprzecinane jedynie tu i ówdzie drogami, dopiero zaś gdy się podniosło oczy ku górze, widziało się na dalekim widnokregu łamaną linię wielkich wzgórz.

Gdzie się torfowiska kończą, Mary nie wiedziała; raz tylko, kiedy zawędrowawszy daleko na zachód, wspięła się na najwyższe wzgórze za Jamajką, dostrzegła w oddali srebrzyste migotanie morza. Milcząca to była i ponura kraina. Na szczytach wysokich wzgórz olbrzymie głazy wspierały się jeden na drugim,

tworząc przedziwne kształty – potężna straż, co stała tutaj, odkąd uformowała ją ręka Boga.

Niektóre głazy przypominały gigantyczne meble, potworne fotele, powyginane stoły; czasem jakiś mniejszy odłamek skalny leżał na szczycie wzgórza niby legendarny olbrzym, a wielka jego sylwetka rzucała cień na wrzosowiska i trawę rosnącą kępami. Były też podłużne głazy, stojące sztorcem i utrzymujące równowagę niemal cudem, jak gdyby podpierał je wiatr, były kamienne ołtarze, których gładkie, wypolerowane powierzchnie odbijały w sobie niebo, daremnie czekając na ofiary. Dzikie barany mieszkwały wśród wysokich skał, jak również kruki i sępy – wzgórza były siedliskiem wszelkich stworzeń szukających samotności.

Czarne bydło pasło się na torfowiskach poniżej, ostrożne kopyta krów i byków z instynktownym wyczuciem stapały po twardym gruncie, unikając kuszących kęp trawy, która nie była wcale trawą, lecz mokradłem, grzęzawiskiem, pełnym westchnień i szeptów. Wiatr pogwizdywał żałośnie w szczelinach granitu, niekiedy zaś jęczał niby człowiek zbolący.

Osobliwe wiatry zrywały się tu nie wiadomo skąd, skradały się po powierzchni trawy i trawa dygotała, owiewały swym tchnieniem kałuże wody deszczowej we wklęsłych kamieniach i woda się marszczyła. Czasem wiatr krzyczał, nawoływał, a wołanie odbijało się echem w rozpadlinach skalnych i znów milkło. Na wzgórzach panowała cisza z innej epoki, z epoki minionej bez śladu, z epoki, kiedy człowiek jeszcze nie istniał, a po zboczach stapały pogańskie bóstwa. Cisza wisiała w powietrzu, cisza i dziwny, pradawny spokój.

Chodząc po torfowiskach, wspinając się na szczyty wzgórz i odpoczywając w kotlinach przy źródłach i strumieniach, Mary Yellan myślała o Jossie Merlynie, o tym, jakie musiało być jego dzieciństwo i jak dorastał niczym dziki, pokrzywiony żarnowiec, którego kwiecie strącił północny wiatr.

Pewnego dnia wyruszyła przez Wschodnie Torfowisko w kierunku, jaki wuj podał jej pierwszego wieczoru. Kiedy uszła już dość daleko i przystanęła na krawędzi wzniesienia, ujrzała, że teren spada w dół ku głębokim, zdradzieckim

moczarom, po których, szemrząc i śpiewając, płynie strumień. Po drugiej stronie moczarów, wskazując gigantycznymi palcami wprost w niebo, wznosiła się skała niby wyrzeźbiona w granicie ręka. Stoki jej były zielonkawoszare.

A więc to jest wzgórze Kilmar; gdzieś wśród tej zwartej masy głazów urodził się Joss Merlyn i dotychczas mieszka jego brat. Poniżej, w trzęsawisku, utonął Matthew Merlyn. W wyobraźni widziała, jak idzie wielkimi krokami, pogwizdując jakąś melodię. Wsłuchany w szmer strumienia, nie zdaje sobie sprawy, że pora jest późna, i zaskoczony nagłym mrokiem zbacza z ubitej ścieżki. Widziała, jak przystaje, zastanawia się chwilę, mruczy pod wąsem przekleństwo, następnie zaś wzrusza ramionami i odzyskując pewność siebie, zanurza się we mgle. Ale już po kilku krokach czuje, że grunt ugina mu się pod nogami. Potyka się, pada i naraz grzęźnie po kolana w zielsku i mule. Chce chwycić się kępy trawy, lecz kępa zapada się pod jego ciężarem. Usiłuje wydobyć nogi ze szlamu, ale nie może nimi poruszyć. Czyni jeszcze ostatni wysiłek, uwalnia jedną nogę, ale ogarnięty lękiem rzuca się do przodu, grzęźnie coraz głębiej i szamocze się bezradnie, bijąc dookoła rękami. Mary usłyszała jego krzyk przerażenia, ujrzała kulika, który z furkotem skrzydeł zerwał się z moczarów nieopodal, wydając żałobne jęki. Kiedy kulik znikł za najbliższym wzniesieniem, na moczarach znów zaległa cisza. Kilka źdźbeł trawy zadrgało na wietrze, a potem wszystko zastygło w bezruchu.

Mary odwróciła się plecami do Kilmaru i zaczęła biec przez torfowisko, potykając się wśród wrzosowisk i kamieni. Nie zatrzymała się aż do chwili, gdy znalazła się poniżej poziomu wzgórza i skały nie było już widać. Zaszła dalej, niż miała zamiar, i czekała ją teraz długa droga do domu. Trwało to całą wieczność, nim pokonała ostatnie wzniesienie i wysokie kominy Jamajki zarysowały się nad krętym gościńcem. Przechodząc przez podwórze, zauważyła z zamierającym sercem, że drzwi stajni są otwarte i kuc stoi wewnątrz. Joss Merlyn wrócił.

Otworzyła drzwi możliwie jak najciszej, ale otarły się o płyty kamienne i zazgrzytały z protestem. Zgrzyt rozległ się donośnie w cichym korytarzu i po chwili w głębi domu ukazał się gospodarz, pochylając głowę pod niską belką. Rękawy miał zakasane, w ręce trzymał szklanekę i ścierkę. Był widać

w znakomitym humorze, bo przywitał Mary hałaśliwie, podnosząc w górę szklanę.

– No! – wrzasnął. – Nie spuszczaaj od razu nosa na kwintę! Co, nie cieszysz się, że mnie widzisz? Nie stęskniłaś się za mną?

Mary uśmiechnęła się z wysiłkiem i spytała, czy miał miłą podróż.

– Co tam miłą! – odparł. – Zdobyłem kupę pieniędzy, a tylko to mnie obchodzi. Nie byłem z wizytą u króla, jeżeli to masz na myśli. – Ryknął śmiechem z własnego dowcipu, a ciotka ukazała się za jego plecami, uśmiechnięta przypoehlebnie.

Ale skoro tylko wuj przestał się śmiać, z twarzy ciotki znikł uśmiech, powrócił natomiast wyraz dręczącego lęku, jaki miała zawsze w obecności męża, a szeroko otwarte oczy znów spoglądały nieruchomo przed siebie niczym u osoby niespełna rozumu.

Mary spostrzegła od razu, że krótki okres wolności od trosk skończył się dla ciotki; stała się znów wylęknioną, złamaną istotą jak przedtem.

Mary skierowała się ku schodom na górę, gdy Joss ją zatrzymał.

– Hej! – zawołał. – Dzisiaj nie będziesz tkwić w swoim pokoju. Będziesz pracować w barze przy boku wuja. Nie wiesz, co za dzień jest dzisiaj?

Mary stanęła jak wryta. Rzeczywiście, straciła rachubę czasu. Kiedy to przyjechała tutaj – w poniedziałek? To znaczy, że dziś jest sobota. Zrozumiała, co wuj chciał powiedzieć. Dziś wieczór w Jamajce będą goście.

Przychodzili w pojedynkę, ci ludzie z torfowisk, mijali dziedziniec szybko i cicho, jak gdyby pragnęli, żeby nikt ich nie widział. Sprawiali wrażenie cieni, gdy w półmroku przesuwali się pod ścianą, kryli się pod osłoną ganku i pukali do drzwi baru. Ten i ów niósł latarnię, której migotliwe światelko niepokoiło widać niosącego, gdyż osłaniał je połą marynarki. Kilku wjechało na dziedziniec na kucach, których kopyta stukotały ostro o kamienne płyty, i dźwięk ten brzmiał dziwnie w ciszy nocnej, zwłaszcza że po nim rozlegało się skrzypienie drzwi

stajennych i stłumione głosy, gdy mężczyźni wprowadzali swoje wierzchowce do boksów. Inni, bardziej jeszcze płochliwi, nie mieli pochodni ani latarni, lecz przemykali się przez dziedziniec, nasuwając kapelusze na oczy, nastawiając kołnierze i całym swym zachowaniem zdradzając lęk przed wzrokiem osób niepowołanych. Powodów tajemniczości niełatwo było się domyślić, gdyż każdy podróżny musiał zobaczyć z gościńca, że Jamajka otworzyła dziś podwoje. Okna, zazwyczaj ciemne, przysłonięte okiennicami, jarzyły się światłem, a w miarę jak zapadał coraz gęstszy mrok i upływały godziny, rozlegał się wokół coraz donośniejszy gwar. Śpiewy, krzyki i wybuchy śmiechu dowodziły, że goście, którzy przybyli jak gdyby wstydliwie, znalazłszy się wewnątrz baru, wyzbyli się obaw, a przy pełnych szklanicach, kurząc fajki w miłym ścisku, zapomnieli o wszelkiej ostrożności.

Towarzystwo zgromadzone w barze wokół Jossa Merlyna było bardzo osobliwe. Mary, bezpiecznie ukryta za ladą i na pół osłonięta baterią butelek i szklanic, mogła obserwować zebranych, sama nie będąc obserwowana. Mężczyźni siedzieli okrakiem na stołkach lub rozwaleni na ławach, opierali się o ściany, kiwali się przy stołach, a ten i ów, mający słabszą od innych głowę lub żołądek, leżał już jak długi na podłodze. Byli przeważnie brudni, obdarci, zaniedbani, mieli zmierzwione włosy i połamane paznokcie – włóczędzy, kłusownicy, złodzieje, koniokrady i Cyganie. Był tu farmer, który stracił farmę przez złą gospodarkę i nieuczciwość, pasterz, który puścił z dymem zbiory gospodarza, handlarz koni, którego przepędzono z Devonu. Inny, szewc z Launceston, pod płaszczykiem swego rzemiosła uprawiał paserstwo; ten, który do nieprzytomności pijany leżał na podłodze, był niegdyś pierwszym oficerem na szkunerze w Padstow i rozbił statek o przybrzeżne skały. Drobnny człowieczek, który siedział w odległym kącie, obgryzając paznokcie, był rybakiem z portu Isaac i mówiono, że ma pończochę pełną złota, ukrytą w kominie swego domu – ale skąd złoto pochodziło, o tym nikt nie wspominał. Niektórzy mieszkali w pobliżu, tuż pod skalistymi wzgórzami, i nie znali innych widoków prócz torfowisk, moczarów i głazów; jeden przyszedł bez latarni aż z Crowdy Marsh za wzgórzem Roughtor,

inny z Cheesewring – ten, opierając nogi na stole i trzymając nos w kuflu piwa, siedział teraz tuż obok biednego półgłówka, który chwiejnym krokiem przydreptał polną drogą z Dozmary. Nieszczęśliwy chłopak miał purpurowe zamię przez cały policzek i wciąż skubał je palcami, aż Mary mimo zasłony z butelek chwyciły mdłości. Widok ten w połączeniu z odorem przepojonych alkoholem oddechów, smrodliwego tytoniu i niedomytych, stłoczonych ciał sprawił, że wezbrała w niej fizyczna wręcz odraza, i czuła, że zemdleje, jeżeli będzie musiała długo tu pozostawać. Na szczęście mogła nie wychodzić z za lady, obowiązkiem jej było tylko stać w ukryciu, zmywać w miarę potrzeby naczynia i napełniać je z kranu lub z butelek. Joss Merlyn sam podawał szklanice gościom, czasem też odrzucał klapę lady i wychodził na salę, aby pośmiać się z jednym, rzucić rubaszne słówko innemu, kogoś poklepać po ramieniu, komuś skinąć wesoło głową. Po pierwszym wybuchu wesołości, pierwszych zaciekawionych spojrzeniach i ironicznym prychnięciu kompania zebrana w barze nie zwracała już na Mary uwagi. Dziewczyna była siostrzenicą gospodarza, czymś w rodzaju służącej żony Merlyna, jak ją przedstawił, a choć ten i ów z młodszych mężczyzn chętnie by z nią porozmawiał i pobaraszkował, woleli nie narażać się na gniew gospodarza, który zapewne sprowadził ją do Jamajki dla własnej rozrywki. Toteż ku wielkiej uldze Mary nikt jej nie napastował, chociaż gdyby znała powód tej powściągliwości, wyszłaby natychmiast z baru pełna wstydu i oburzenia.

Ciotka nie pokazywała się towarzystwu, mimo że Mary widziała czasem jej cień za drzwiami i słyszała kroki w korytarzu, a raz nawet dostrzegła wystraszone oczy zaglądale przez szparę w drzwiach. Wieczór ciągnął się bez końca i Mary marzyła tylko o wyzwoleniu.

W barze panował taki zaduch, tyle było dymu, że na kilka kroków trudno było coś zobaczyć i przed znużonymi, na pół przymkniętymi oczami dziewczyny twarze mężczyzn majaczyły bezkształtne, niesamowite, same włosy i zęby, a do tego usta nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do ciał. Ci, co wypili już swoje i nie mogli więcej, leżeli na ławach lub na podłodze jak kłody, ci zaś, co byli jeszcze dość trzeźwi, aby utrzymać się na nogach, otoczyli łotrzyka z Redruth, uważanego za

głównego tu dowcipnisia. Kopalnia, w której ongi pracował, była teraz w ruinie, jeździł więc po kraju jako blacharz, kramarz, pośrednik i dzięki temu zgromadził skarbczyk sprośnych piosenek, być może zresztą pochodzących z czarnych trzewi ziemi, w których niegdyś przebywał, i tymi klejnotami zabawiał teraz kompanów w Jamajce.

Od wybuchów śmiechu, jakim witano jego dowcipy, drżały szyby, a przodował oczywiście sam gospodarz. Dla Mary jednak było coś przerażającego w tym ohydny, wrzaskliwym śmiechu, który nie miał w sobie nic z wesołości, lecz odbijał się echem w ciemnych korytarzach i pod sufitami pustych pokoi niby krzyki dręczonego stworzenia. Kramarz upatrywał sobie na ofiarę nieszczęsnego kretyna z Dozmary, a ten, oszołomiony alkoholem, stracił władzę w nogach i nie mógł wstać z podłogi, kulił się tylko jak przerażone zwierzę. Dźwignęli go na stół i kramarz kazał mu powtarzać słowa swoich piosenek wraz z odpowiednimi ruchami. Tłum szalał z radości, biedny zaś niezguła, podniecony aplauzem, trząsał się rytmicznie na stole, piszcząc z zachwyty i wciąż skubiąc połamanymi paznokciami purpurowe znamię. Mary nie mogła dłużej znosić tego widoku. Dotknęła ramienia wuja. Odwrócił się do niej; twarz jego, cała w czerwonych plamach od panującego w barze gorąca, ociekała potem.

– Nie mogę tego znieść – powiedziała. – Musi wuj sam obsługiwać swoich przyjaciół. Idę na górę do mojego pokoju.

Gospodarz rękawem otarł pot z czoła i ogarnął dziewczynę spojrzeniem. Stwierdziła ze zdziwieniem, że choć pił przez cały wieczór, jest zupełnie trzeźwy, i mimo iż przewodzi podochoconej, nieprzytomnej zgrai, bardzo dobrze wie, co robi.

– Masz dosyć, tak? – spytał. – Uważasz się za coś lepszego, tacy jak my nie są ciebie godni? Coś ci powiem, Mary. Miałaś święty spokój za ladą i na klęczkach powinnaś mi za to dziękować. Nie ruszają cię, bo jesteś moją siostrzenicą, ale gdybyś nie miała tego zaszczytu, jak Boga kocham, niewiele by z ciebie do tej pory zostało! – Ryknął śmiechem i uszczypnął ją boleśnie w policzek. – No, zabieraj się – dodał. – I tak już dochodzi północ i nie chcę, żebyś tu dłużej była. Zamknij na

klucz drzwi i zapuść storę. Twoja ciotka od godziny już leży w łóżku z kocem naciągniętym na głowę.

Powiedział to szeptem prawie, a potem chwycił ją za rękę w przegubie i wykręcił jej za plecami, aż krzyknęła z bólu.

– Dobra! – rzucił. – To przedsmak kary. Teraz wiesz, czego się możesz spodziewać. Gęba na kłódkę, a będę się z tobą obchodził jak z jagniątkiem. W Jamajce ciekawość nie popłaca, musisz to sobie zapamiętać. – Nie śmiał się już teraz, lecz patrzył na nią, marszcząc brwi, jak gdyby chciał odczytać jej myśli. – Nie jesteś taka głupia jak twoja ciotka – rzekł wolno. – W tym cała bieda. Masz małpi pyszczek i dociekliwy małpi rozumek, niełatwo cię nastraszyć. Ale tyle ci powiem, Mary: jeżeli ten twój rozumek będzie się wtrącał do nie swoich rzeczy, wezmę go w karby i złamię cię na duchu i na ciele. A teraz idź do łóżka i żebym cię dziś więcej nie widział.

Odwrócił się od niej, wciąż marszcząc brwi, wziął z lady szklankę i zaczął ją wycierać wolno ścierką. Pogarda w jej oczach musiała go zirytować, bo od razu stracił humor i ze złością cisnął o ziemię naczynie, aż się rozprysło na drobne kawałki.

– Zedrzyjcie ubranie z tego durnia – zagrzmiał – i odeślijcie go nago do mamusi. Może listopadowe zimno ostudzi tę jego szkarłatną gębę i oduczy go psych sztuczek. W Jamajce mamy go dosyć.

Kramarz i jego towarzysze zawyli z uciechy, natychmiast też przewrócili półgłówka na wznak i zaczęli zdzierać z niego kurtkę i spodnie. Chłopak machał tylko bezradnie rękami i beczał jak owca.

Mary wybiegła z baru i zatrzasnęła za sobą drzwi. Szła na górę chybotliwymi schodami, zatykając uszy, ale odgłosy śmiechu i dzikich śpiewów towarzyszyły jej aż do pokoju, wdzierając się przez szpary w podłodze.

Znów chwyciły ją mdłości. Rzuciła się na łóżko, ściskając głowę rękami. Z podwórka dobiegły wrzaski i wybuchy śmiechu, promień światła z rozkołysanej latarni padł na okno. Wstała i opuściła nieco storę, zanim jednak zdążyła to zrobić,

ujrzała nagą postać niedorozwiniętego chłopaka. Sadził przez dziedziniec wielkimi susami i krzyczał przeraźliwie niczym ranny zając, a ścigała go z pohukiwaniem i rechotem gromada mężczyzn, na której czele biegł olbrzymi Joss Merlyn, wywijając wielkim batem.

Mary zrobiła tak, jak kazał wuj. Zrzuciła ubranie, wsunęła się do łóżka, naciągnęła koc na głowę i zatkała uszy rękami, aby odciąć się od potwornych odgłosów, ale nawet z zamkniętymi oczami i z twarzą wtuloną w poduszkę wciąż widziała przed sobą okrytą purpurowymi plamami twarz biednego idioty zwróconą ku dręczycielom i słyszała jego rozpaczliwy krzyk, kiedy się potknął i wpadł do rowu.

Leżała w owym stanie półprzytomności na pograniczu snu, kiedy wydarzenia minionego dnia tłoczą się i mieszają w mózgu. Przed oczami tańczyły jej twarze nieznanymi ludzi, a chociaż chwilami miała wrażenie, że wędruje po torfowiskach z wielką skałą na szczycie Kilmaru górującą nad sąsiednimi wzgórzami, świadoma była zarazem ścieżki światła rzucanej przez księżyc na podłogę jej pokoju i regularnego postukiwania ramy okiennej. Przez chwilę słychać było głosy, potem umilkły; gdzieś daleko po gościńcu przegalopował koń, zaturkotały koła, wreszcie zapadła cisza. Mary usnęła, naraz jednak coś zakłóciło jej spokój. Ocknęła się i usiadła na łóżku, zalana poświatą księżyca.

Nasłuchiwała, zrazu słysząc tylko bicie własnego serca, po chwili wszakże rozległy się inne dźwięki, dobiegające tym razem spod podłogi – odgłos ciężkich przedmiotów ciągniętych po kamiennych płytach korytarza na dole i obijających się o ściany.

Wstała, podeszła do okna i uchyliła na cał zasłonę. Na dziedzińcu stało pięć wehikułów. Trzy kryte furgony, każdy zaprzężony w parę koni, i dwa zwykłe wozy wiejskie. Jeden z furgonów stał tuż przy ganku, z boków końskich buchała para.

Dokoła wozów zebrało się kilku mężczyzn spośród tych, którzy przedtem pili w barze. Szewc z Launceston stał pod oknem Mary i rozmawiał z handlarzem koni, marynarz z Padstow wytrzeźwiał i głaskał jednego po łbie, kramarz, który dręczył nieszczęśliwego idiotę, wspinał się właśnie do jednego z otwartych wozów i coś

z niego zdejmował. Byli tam również ludzie, których Mary nigdy dotychczas nie widziała. Twarze ich rysowały się wyraźnie w świetle księżycy i jasność tego światła musiała mężczyźn niepokoić, bo jeden z nich wskazał w górę i potrząsnął głową, towarzysz jego odpowiedział wzruszeniem ramion, inny zaś machnął niecierpliwie ręką, jak gdyby nakazując pośpiech, po czym wszyscy trzej weszli przez ganek do oberży. Tymczasem odgłosy szurania i ciągnięcia rozlegały się nadal i ze swego miejsca Mary mogła określić bez trudu, skąd dobiegają. Coś dźwigano przez korytarz do pokoju na końcu, do owego pokoju z zabitym deskami oknem i zaryglowanymi drzwiami.

Mary zaczynała rozumieć. Paki przywożono wozami i wyładowywano w oberży. Składano je w zamkniętym pokoju. Para unosząca się z boków końskich dowodziła, że ludzie ci musieli przybyć z daleka – może aż z wybrzeża – i po rozładowaniu wozów zapewne odjadą natychmiast, znikając w mroku równie szybko i cicho, jak się z niego wyłonili.

Mężczyźni na dziedzińcu pracowali na prześcigi z czasem. Zawartości jednego furgonu nie wniesiono do oberży, lecz przełożono do otwartego wozu stojącego na środku dziedzińca przy źródełku. Paczki różniły się między sobą wielkością i kształtem, niektóre były duże, niektóre małe, inne znów wyglądały jak długie zwoje, owinięte słomą lub papierem. Kiedy wóz załadowano, woźnica, nieznan Mary, wskoczył na niego i odjechał.

Pozostałe furgony rozładowywano jeden po drugim, paczki zaś wkładano na otwarte wozy, które odjeżdżały z dziedzińca, albo wnoszono do domu. Wszystko odbywało się w milczeniu. Ci sami mężczyźni, którzy wcześniej tego wieczoru krzyczeli i śpiewali, teraz, trzeźwi i poważni, szybko robili swoje. Nawet konie, jak się zdawało, rozumiały, że trzeba zachować ciszę, bo stały bez ruchu.

Joss Merlyn wyszedł razem z kramarzem na ganek. Obaj mimo chłodu byli bez kurtek i mieli zakasane rękawy.

– To wszystko? – spytał cicho gospodarz, a woźnica ostatniego furgonu potwierdził skinieniem głowy i podniósł rękę.

Ludzie zaczęli wsiadać na wozy. Niektórzy z tych, co przyszedli pieszo do oberży, zabrali się z nimi, chcąc zapewne skrócić sobie o kilka mil uciążliwą wędrówkę do domu. Nie odjeżdżali z pustymi rękami, każdy coś niósł – pudełka przewieszane przez ramię, zawiniątka trzymane pod pachą, a szewc z Launceston nie tylko obładował swego kuca wypchanymi sakwami, lecz czymś się jeszcze musiał owinąć, bo był teraz znacznie grubszy niż w chwili, kiedy przybył do Jamajki.

Wreszcie furgony i wozy ze skrzypieniem opuściły dziedziniec jeden po drugim, niczym dziwny kondukt żałobny. Na gościńcu skręcały na północ lub na południe, aż wszystkie znikły, na dziedzińcu zaś pozostał jeden mężczyzna, którego Mary przedtem nie widziała, a prócz niego kramarz i gospodarz Jamajki.

Po chwili oni też wrócili do domu, dziedziniec opustoszał. Mary słyszała, jak przeszli korytarzem w kierunku baru, potem kroki ich ucichły i rozległo się trzaśnięcie drzwi.

Słysząc teraz było tylko rżenie starego zegara w holu i głośny warkot poprzedzający wybicie godziny. Zegar obwieścił trzecią, po czym tykał nadal, krztusząc się i charcząc jak człowiek konający, który nie może złapać tchu.

Mary odeszła od okna i usiadła na łóżku. Zimny podmuch owiał jej ramiona, zadrżała i sięgnęła po szal.

O śnie nie było już co marzyć. Wszystkie nerwy miała napięte i choć nie opuściła jej gwałtowna niechęć do wuja ani strach przed nim, to jednak górę nad tymi uczuciami zaczęła brać ciekawość. Domyślała się po trosze, jaki proceder wuj uprawia. Niezawodnie była dziś świadkiem przemytu na wielką skalę. Jamajka jest do tego celu idealnie położona i wuj na pewno tylko dlatego ją kupił. Całe gadanie o powrocie do stron rodzinnych to oczywiście bajki. Oberża stoi samotnie przy wielkim trakcie biegnącym z północy na południe i jasne jest, że ktoś obdarzony zdolnościami organizacyjnymi może bez trudu wyprawiać zespół furgonów z wybrzeża morskiego na brzeg Tamaru, mając w oberży miejsce postoju i główną składnicę.

Żeby zapewnić przedsięwzięciu powodzenie, niezbędni są szpiedzy. Stąd ten marynarz z Padstow, szewc z Launceston, Cyganie i włóczędzy, i ten obrzydliwy kramarz.

Ale biorąc pod uwagę indywidualność Jossa Merlyna, jego energię, lęk, jaki musi budzić we współnikach jego niezwykła siła fizyczna, czy wuj jest dość mądry i przebiegły, aby stać na czele takiego przedsięwzięcia? Czy planuje każde posunięcie i każdy transport, czy przez cały tydzień, kiedy nie było go w domu, czynił przygotowania do dzisiejszej nocy?

Pewnie tak; Mary doszła do wniosku, że inaczej być nie może, toteż choć jej niechęć do wuja jeszcze wzrosła, poczuła mimowolny respekt dla jego przedsiębiorczości.

Całą sprawą trzeba zarządzać, trzeba też dobierać agentów, którzy mimo nieokrzesania i odrażającego wyglądu są właściwymi ludźmi, w przeciwnym razie nie dałoby się tak długo omijać prawa. Sędzia, który zwęszyłby tu przemyt, bez wątpienia od dawna już miałby oberżę w podejrzeniu, chyba że sam byłby agentem. Mary zmarszczyła brwi, ściskając ręką podbródek. Gdyby nie ciotka Patience, byłaby teraz wyszła natychmiast z oberży, dotarła do najbliższego miasta i zadenuncjowała Jossa Merlyna. Znalazłby się w więzieniu wraz z resztą łotrów i skończyłby się dobre interesy. Mary musiała jednak liczyć się z ciotką, której bezgraniczne, psie oddanie mężowi utrudniało bardzo sprawę.

Mary wciąż powracała myślą do nurtującego ją zagadnienia, ale nie miała pewności, czy wszystko dokładnie rozumie. Jamajka jest siedliskiem złodziei i kłusowników, którzy pod przewodnictwem wuja trudnią się zyskownym przemytem na szlaku między wybrzeżem a hrabstwem Devon. To jest jasne. Może jednak widziała tylko część i w przyszłości dowie się czegoś więcej? Przypomniała sobie przerażone oczy ciotki i jej słowa, wypowiedziane szeptem pierwszego popołudnia, kiedy cienie wczesnego zmierzchu kładły się na podłódze w kuchni: „W Jamajce dzieją się rzeczy, Mary, o których nie śmiem nawet szepnąć słowa. Niedobre rzeczy, złe rzeczy. Nie ważę się nawet o nich myśleć”. A potem poszła na

górze do swego pokoju, blada, zgnębiona, powłócząc nogami niby stara, znużona życiem kobieta.

Przemyt jest zajęciem niebezpiecznym i nieuczciwym, prawo surowo go zabrania, ale czy jest aż tak wielką zbrodnią? Mary nie była tego pewna. Najchętniej zasięgnęłaby czyjeś rady, ale nie miała się do kogo zwrócić. Była sama w posępnym, wstrętnym świecie bez widoków na zmianę. Gdyby była mężczyzną, zesłaby na dół i rzuciłaby wyzwanie prosto w twarz Jossowi Merlynowi i jego kompanom. Tak, tak, i biłaby się z nimi, i pokonałaby ich, gdyby szczęście jej sprzyjało. A potem skoczyłaby na konia wyprowadzonego ze stajni, posadziłaby za sobą ciotkę i dalejże na przyjazny brzeg Helfordu! Tam, pod Mawgan albo pod Gweek, prowadziłaby małe gospodarstwo rolne, a ciotka zajmowałaby się domem.

No cóż, marzenia do niczego nie prowadzą, trzeba stawić czoło realnej sytuacji, jeżeli coś ma z tego wyniknąć. Oto siedzi na łóżku, ona, dwudziestotrzyletnia dziewczyna w spódnicy i szalu, niemająca innej broni prócz własnego rozumu, żeby się przeciwstawić człowiekowi dwa razy starszemu i osiem razy silniejszemu; przy tym gdyby się ten człowiek dowiedział, że obserwowała dziś przez okno nocną scenę, otoczyłby ręką jej szyję i lekko naciskając palcem wskazującym i kciukiem, położyłby kres jej dociekaniom.

Mary zaklęła, co zdarzyło się jej dotychczas tylko raz w życiu, kiedy gonił ją byk w Manaccan, a i wówczas w tym samym celu co w tej chwili – żeby dodać sobie odwagi i przybrać zuchwałą minę.

– Nie boję się ani Jossa Merlyna, ani nikogo innego – powiedziała na głos – i na dowód tego zejść teraz do ciemnego korytarza i zerknę na nich, zebranych w barze, a jeżeli wuj mnie zabije, będzie to tylko moja wina.

Ubrała się prędko, wciągnęła pończochy, nie wkładając butów, i nasłuchiwała przez chwilę przy uchylonych drzwiach, nie usłyszała jednak nic prócz chrapliwego tykania zegara w holu.

Wysunęła się na korytarz i na palcach doszła do schodów. Wiedziała już, że trzeci stopień od góry skrzypi, podobnie jak ostatni. Stała ostrożnie, trzymając

się jedną ręką poręczy, a drugą ściany, żeby zmniejszyć ciężar ciała, i dotarła w końcu do holu frontowego. Pusto tu było, w mroku z trudem dało się rozróżnić tylko zarysy kulawego krzesła i mglisty kształt zegara, którego zgrzytanie wydawało się w tej ciszy rżeniem żywej istoty. W holu ciemno było jak w lochu i chociaż wiedziała, że nikogo tu nie ma, samo już to osamotnienie tchnęło groźbą, a zamknięte drzwi do nieużywanego salonu kryły za sobą niebezpieczeństwa mrozące krew w żyłach.

Powietrze było zatęchłe i ciężkie, stanowiło dziwny kontrast z kamiennymi płytami podłogi, od których ziąb przejmował jej stopy w samych tylko pończochach. Gdy tak stała, zbierając się na odwagę do dalszej wędrówki, promień światła padł na korytarz prowadzący z holu w głąb domu i usłyszała głosy. Widocznie otwarto drzwi do baru i ktoś z niego wyszedł, kroki bowiem przeszły do kuchni i po chwili wróciły, ale ktokolwiek to był, musiał nie zamknąć dokładnie drzwi, bo stłumione głosy z baru nadal było słyhać, a promień wciąż oświetlał korytarz. Mary miała ochotę wrócić na górę i ukryć się bezpiecznie w łóżku, ale równocześnie tkwiący w niej demon ciekawości nie dawał się uciszyć i to on popchnął ją na korytarz i kazał skulić się pod ścianą zaledwie o kilka kroków od wejścia do baru. Ręce i czoło miała teraz mokre od potu, zrazu słyszała tylko głośnie bicie własnego serca. Drzwi były dość szeroko otwarte, aby mogła dojrzeć zarysy lady, baterię butelek i szkła, a na przedzie wąski skrawek podłogi. Odłamki szklanicy stłuczonej przez wuja wciąż jeszcze leżały tam, gdzie upadły, obok zaś widniała brunatna plama po ciemnym piwie, rozlanym czyjąś niepewną ręką. Mężczyźni siedzieli przypuszczalnie na ławach przy dalszej ścianie, gdyż Mary ich nie widziała. Przez chwilę panowało milczenie, a potem rozległ się głos, załamujący się, wysoki głos, którego Mary nie znała.

– Nie, nie i nie! – zawołał. – Mówię wam po raz ostatni, nie wezmę w tym udziału. Zrywam z wami raz na zawsze, umowa jest nieważna. Pan żąda, abym stał się mordercą, panie Merlyn. Nie ma na to innej nazwy jak mord.

Wysoki głos zadrżał na ostatnim słowie, jak gdyby mówiący w uniesieniu stracił panowanie nad sobą. Ktoś – pewnie sam gospodarz – odpowiedział coś

cicho. Mary nie dosłyszała słów, ale przerwał je chichot kramarza. Poznała ten chichot – ordynarny i szyderczy.

Musiało paść jakieś pytanie, bo nieznajomy natychmiast odpowiedział, jak gdyby się broniąc:

– Że będę wisiał, tak? Naraziłem się już nieraz na szubienicę i nie boję się o swoją skórę. Nie, ja myślę o swoim sumieniu i o Panu Bogu Wszechmogącym. Mogę stanąć do uczciwej walki nawet z najsilniejszym, choćbym miał ponieść porażkę, ale zabijanie niewinnych ludzi, a wśród nich może kobiet i dzieci, to prosta droga do piekła, Jossie Merlyn, i wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Mary usłyszała, że mężczyzna odsunął krzesło i wstał, ale równocześnie ktoś walnął pięścią w stół i zaklął, a wuj po raz pierwszy przemówił głośniej.

– Nie tak prędko, przyjacielu. Nie tak prędko. Tkwisz w tym wszystkim po uszy i nic mnie nie obchodzi twoje wrażliwe sumienie! Powiadam ci, teraz nie możesz się wycofać. Za późno już, za późno dla ciebie i dla nas wszystkich. Od początku miałem co do ciebie wątpliwości przez te twoje wielkopańskie miny i czyste mankiety, no i okazuje się, że miałem rację. Harry, zamknij tamte drzwi i zasłoń sztabę.

Raptowna szamotanina, okrzyk i odgłos padającego ciała, jednocześnie zaś huk przewróconego stołu i trzaśnięcie drzwi na podwórze. Kramarz znów zachichotał ohydnie i zaczął pogwizdywać którąś ze swoich piosenek.

– Może go połaskoczemy jak głupiego Samka? – spytał, urywając w połowie gwizdanie. – Bez tych eleganckich łaszków trupek będzie z niego wcale nieduży. Przydałby mi się jego zegarek z dewizką; nas, biednych wędrownych kramarzy, nie stać na kupowanie zegarków. Połaskocz go batem, Joss, zobaczymy, jakiego koloru ma skórę.

– Stul pysk, Harry, i rób, co ci każę – odrzekł gospodarz. – Stój tam przy drzwiach i dziabnij go nożem, gdyby próbował się wymknąć. Teraz niech pan słucha, panie dependencie adwokacki, czy kim pan tam jest w Truro, ośmieszyl się pan dzisiaj, ale mnie pan nie wystrychnie na dudka. Chciałby pan wyjść przez te

drzwi, tak, dosięść konia i odjechać do Bodmin? Owszem, a przed dziewiątą rano sprowadziłby pan do Jamajki wszystkich sędziów pokoju z całego hrabstwa i pułk żołnierzy na dokładkę. Tak pan to sobie pięknie wyobraża, co?

Mary słyszała ciężki oddech nieznajomego. Musiano go poturbować w starciu, bo kiedy się odezwał, głos miał przerywany i stłumiony, jakby z bólu.

– Róbcie swoją diabelską robotę – wydyszał. – Nie mogę wam przeszkodzić i daję słowo honoru, że was nie zadenuncjuję. Ale nie przyłączę się do was i to jest moje ostatnie słowo do was obu.

Zapadła cisza, potem Joss Merlyn znów przemówił.

– Niech pan uważa – wycedził cicho. – Słyszałem, jak ktoś raz tak powiedział, a pięć minut później chodził w powietrzu. Był na końcu sznura, przyjacielu, i nogom jego brakowało tylko pół cala do podłogi. Zapytałem, czy przyjemnie mu być tak blisko stałego gruntu, ale mi nie odpowiedział. Pętla wypchnęła mu język z ust i gość przegryzł go na pół. Mówiono potem, że minęło prawie osiem minut, nim skonał.

Na korytarzu Mary poczuła, że szyję i czoło ma lepkie od potu, a ramiona i nogi jak z ołowiu. Czarne płatki zamigotały jej przed oczami i z przerażeniem zdała sobie sprawę, że na pewno zemdleje.

Opanowała ją jedna tylko myśl: musi po omacku dotrzeć z powrotem do opuszczonego holu i ukryć się w cieniu zegara; bez względu na wszystko nie wolno jej upaść tutaj, gdzie ją natychmiast znajdą. Cofnęła się od promienia światła i zaczęła obmacywać ścianę. Kolana jej się trzęsły, czuła, że lada chwila ugną się pod nią. Dławiły ją mdłości, a w głowie się kręciło.

Głos wuja dobiegł z daleka, jak gdyby wuj zasłonił sobie usta ręką.

– Zostaw mnie z nim samego, Harry. Dzisiaj nie będzie już dla ciebie roboty w Jamajce. Weź jego konia i jedź, a potem puść go wolno po tamtej stronie Camelfordu. Sam załatwię tę sprawę.

Mary dobrnęła do holu, nie wiedząc prawie, co robi, nacisnęła klamkę drzwi do salonu i potykając się, weszła do środka. Tam padła od razu na podłogę, skulona,

z głową między kolanami.

Musiała być nieprzytomna przez dobre kilka minut, bo płatki przed oczyma połączyły się w wielkie pole i wszystko zalała czerń, ale pozycja, w której zemdląca, ocuciła ją prędzej, niż zdołaliby to uczynić jakiś inny środek, toteż wkrótce siedziała już, wsparta na łokciu, i słuchała stukotu kopyt na dziedzińcu. Słyszała, jak kramarz Harry – bo jego to był głos – przekleństwami zmusza konia, żeby stał spokojnie, po czym zapewne dosiadł wierzchowca i wbił mu obcasy w boki, bo tętent oddalił się, dobiegł z gościńca i ucichł na zboczu wzgórza. Wuj był teraz w barze sam ze swą ofiarą i Mary zastanawiała się, czy nie udałoby się jej trafić do najbliższego siedliska ludzkiego koło Dozmary i wezwać kogoś na pomoc. Musiałaby przebyć dwie lub trzy mile po torfowiskach do pierwszej chaty pasterza, a gdzieś w tym samym kierunku pobiegł wcześniej tego wieczoru biedny idiota, który teraz skulony z zimna siedział może nad jakimś rowem.

Nie znała jednak zupełnie mieszkańców chaty. Mogli należeć do kompanii wuja, a w tym wypadku znalazłaby się od razu w pułapce. Ciotka Patience, leżąca na górze w łóżku, nie mogła jej w niczym pomóc, mogła co najwyżej być ciężarem i przeszkodą. Sytuacja przedstawiała się beznadziejnie. Mary nie widziała żadnego ratunku dla nieznanego, chyba że on sam dojdzie do jakiegoś porozumienia z Jossem Merlynem. Jeżeli ma choć trochę sprytu, może uda mu się nawet obezwładnić wuja; teraz, kiedy kramarz odjechał, są sam na sam, tyle że siła fizyczna gospodarza daje mu wielką przewagę. Mary poczuła rozpaczliwą determinację. Gdybyż była gdzieś strzelba czy choćby nóż, może udałoby się jej zranić wuja lub przynajmniej rozbroić go na chwilę, żeby nieszczęsny człowiek zdążył uciec z baru.

Nie dbała już o własne bezpieczeństwo – i tak to tylko kwestia czasu, kiedy odkryją jej obecność, nie ma więc sensu tkwić tutaj, w pustym salonie. Omdlenie było dowodem chwilowej słabości, za którą sobą gardziła. Wstała z podłogi, ostrożnie, obiema rękami, ujęła klamkę i uchyliła drzwi. W holu słychać było tylko rżenie zegara, promień światła znikł z korytarza w głębi. Widocznie zamknięto drzwi do baru. Może w tej chwili nieznanomy walczy o życie, dusząc się

w wielkich łapach Jossa Merlyna. Nie słyszała jednak nic. Cokolwiek się działo za drzwiami baru, działo się w milczeniu.

Mary miała już wyjść znowu do holu i przekraść się obok schodów na drugi korytarz, kiedy jakiś dźwięk z góry kazał jej stanąć i podnieść głowę. To zaskrzypiała deska w podłodze. Chwila ciszy i znów to samo: ktoś chodził cicho na górze. Ciotka Patience spała w przeciwległej części domu, a Mary słyszała przecież, jak kramarz odjechał przed dziesięcioma minutami. Wuj jest w barze z nieznajomym i nikt nie wszedł po schodach od chwili, kiedy ona po nich zeszła. O, deska znów skrzypnęła i ciche kroki rozległy się znowu. Ktoś był w pustym pokoju gościnnym na piętrze.

Mary znów poczuła gwałtowne bicie serca. Ktokolwiek chowa się na górze, musi tam już być od wielu godzin. Zaczaił się jeszcze wieczorem; stał pewnie za drzwiami, kiedy szła spać. Gdyby przyszedł później, słyszałyby jego kroki na schodach. Może obserwował przez okno przybycie furgonów, tak jak ona, i widział, jak niedorozwinięty chłopak biegł z krzykiem drogą do Dozmary. Nieznajomego dzieliła od Mary tylko cienka ściana, musiał słyszeć każdy jej ruch – jak padła na łóżko, a później jak się ubrała i otworzyła drzwi.

Widocznie chce pozostać w ukryciu, w przeciwnym razie wyszedłby na schody wtedy, kiedy ona wyszła; gdyby należał do towarzystwa z baru, na pewno by się do niej odezwał, zapytałby, dokąd idzie. Kto go wpuścił? Kiedy mógł wejść do pokoju? Niezawodnie ukrył się tam, żeby nie widzieli go przemytnicy. A więc nie jest jednym z nich; jest wrogiem wuja. Kroki teraz ustały i choć Mary wstrzymała oddech i nasłuchiwała uważnie, nic nie było słychać. Ale się nie pomyliła, była tego pewna. Ktoś – może sprzymierzeniec – ukrywa się w pokoju gościnnym, sąsiadującym z jej pokojem, i może pomóc jej uratować nieznajomego w barze. Postawiła już nogę na najniższym stopniu schodów, kiedy na korytarz znów padł promień światła i drzwi baru się otworzyły. Wuj szedł do holu. Mary wiedziała, że nie zdąży wbiec po schodach, zanim wuj ukaże się zza węgła, cofnęła się tedy szybko do salonu i stanęła, przytrzymując ręką drzwi. W ciemnościach holu wuj przecież nie zobaczy, że nie są zamknięte na klamkę.

Drżąc z podniecenia i strachu, czekała w salonie, gdy tymczasem gospodarz przeszedł przez hol i ruszył schodami na górę. Kroki zatrzymały się nad jej głową, przed pokojem gościnnym, i na sekundę zamarły, jak gdyby wuj również nasłuchiwał, czy nie rozlegnie się jakiś obcy, niepożądany odgłos. Potem bardzo cicho dwa razy zapukał.

Podłoga znów skrzypnęła, ktoś przeszedł przez pokój na górze i otworzył drzwi. Serce Mary ścisnęło się znów z rozpaczy. To nie może być wróg wuja. Joss Merlyn przypuszczalnie sam wpuścił go wieczorem, kiedy Mary wraz z ciotką przygotowywała bar na przyjęcie gości, i tamten czekał, aż wszyscy opuszczą oberżę. To jakiś osobisty przyjaciel, który nie chce się mieszać do nocnych interesów i nie pokazuje się nawet jego żonie.

Wuj przez cały czas wiedział, że przybysz tam jest, i dlatego odesłał kramarza. Nie chciał, żeby kramarz zobaczył jego przyjaciela. Mary podziękowała Bogu, że nie weszła na piętro i nie zapukała do drzwi.

A jeśli oni wejdą do jej pokoju, chcąc sprawdzić, czy ona tam jest i czy śpi? Jeżeli zobaczą, że wyszła, marne jej widoki. Obejrzała się w stronę okna. Zamknięte i zakratowane. Tędy nie ucieknie. Teraz schodzą już po schodach; zatrzymali się na moment przed drzwiami salonu. Przez chwilę Mary sądziła, że wejdą do środka. Byli tak blisko, że mogła przez uchylone drzwi dotknąć ramienia wuja. On jednak zaczął mówić i Mary zdawało się, że szepcze jej wprost do ucha.

– Pan musi postanowić – wyszeptał. – Decyzja należy do pana, nie do mnie. Ja to zrobię sam albo zrobimy razem. Ale pan musi zdecydować.

Mary, oddzielona drzwiami, nie widziała ani nie słyszała towarzysza wuja i nie mogła stwierdzić, czy zrobił w odpowiedzi jakiś gest lub dał jakiś znak. Zresztą nie pozostali długo pod drzwiami salonu, lecz skręcili przez hol w korytarz wiodący do baru.

Potem drzwi się zamknęły i nic już nie słyszała.

Pierwszym jej odruchem było odryglować drzwi frontowe i wybiec na drogę, żeby uciec od tych dwóch, po namyśle jednak zorientowała się, że nic na tym nie

zyska. Kto wie, może inni mężczyźni – choćby ten kramarz i reszta kompanii – rozstawieni są wzdłuż gościńca na wypadek wszelkich nieprzewidzianych kłopotów.

Ponadto ów nowy przybysz, który ukrywał się przez cały wieczór w pokoju na piętrze, nie słyszał raczej, jak wyszła z pokoju, boby przecież do tego czasu powiedział o tym wujowi i zaczęliby jej szukać. Chyba że, ich zdaniem, jej mizerna osoba nie ma znaczenia w ogólnym planie rzeczy. Główną ich troską jest teraz mężczyzna w barze, nią można się zająć później.

Stała ponad dziesięć minut, czekając na jakiś odgłos lub znak, ale wokół panowała cisza. Tylko zegar w holu rzeził wolno i równomiernie, symbol starości i zobojętnienia. Raz zdawało jej się, że słyszy krzyk, lecz krzyk ten przebrzmiał i ucichł w mgnieniu oka, był przy tym tak nikły i daleki, że mógł stanowić wytwór jej wyobraźni, rozhuśtanej wszystkim, co widziała od północy.

Mary wyszła do holu i zaczęła się skradać ciemnym korytarzem. Spod drzwi baru nie widać było światła. Świece widocznie pogaszono. Czyżby siedzieli tam wszyscy trzej w ciemnościach? Przed oczami stanął jej odrażający obraz: posępna, milcząca grupa, rządzona jakimś nakazem, którego nie rozumiała; ale już samo zgaszenie świateł czyniło ciszę jeszcze bardziej złowrogą.

Odważyła się dojść aż do drzwi i przyłożyć do nich ucho. Nie słychać było nawet pomruku ani westchnienia, zdradzającego obecność żywych ludzi. Odór alkoholu, który przez cały wieczór wypełniał korytarz, rozwiął się już, przez dziurkę od klucza przedostawał się strumień chłodnego powietrza. Pod wpływem nieodpartego impulsu Mary nacisnęła klamkę, otworzyła drzwi i weszła do środka.

W barze nie było nikogo. Drzwi na dziedziniec stały otworem, salę wypełniało świeże powietrze jesienne. Stąd właśnie czuło się ten powiew w korytarzu. Nikt nie siedział na ławach, stół przewrócony podczas utarczki leżał dalej na podłodze, wszystkimi trzema nogami wskazując na sufit.

Mężczyźni odeszli. Musieli skręcić w lewo za kuchnią i pójść prosto na torfowiska, w przeciwnym razie słyszałyby, jak przechodzą przez dziedziniec na

drogę. Zimny, rześki prąd powietrza owiewał twarz Mary i teraz, kiedy wuj i nieznajomy stąd wyszli, bar wydawał się znów zaciszny i spokojny jak rankiem. Groza się rozwiąła.

Ostatni promień księżyca nakreślił białe koło na podłodze i po tym kole przesunęła się ciemna plama, coś jakby palec. Był to cień. Mary spojrzała na sufit i zobaczyła, że przez hak w belce stropowej przerzucony jest sznur. To właśnie koniec sznura był ową plamą w białym kole i kołysał się wciąż tam i z powrotem, poruszany wiatrem wiejącym przez otwarte drzwi.

5

Dni płynęły. Mary Yellan przystosowała się na razie do życia w Jamajce, uznała bowiem, że nie może zostawić ciotki samej przez zimę. Wciąż jednak wytrwale i uparcie żywiła nadzieję, że z nadejściem wiosny uda się przemówić ciotce do rozumu, a wówczas obydwie opuszczą torfowisko, aby znaleźć spokój i ciszę w dolinie Helfordu.

Tak się przynajmniej spodziewała, tymczasem zaś postanowiła przetrwać te ciężkie pół roku, a jeśli to będzie możliwe, rozprawić się z wujem i oddać go oraz jego współników w ręce sprawiedliwości. Gdyby chodziło tylko o przemyt, zbagatelizowałyby sprawę, chociaż ten przestępczy proceder napełniał ją niesmakiem, ale wszystko, co dotychczas widziała, wskazywało, że Joss Merlyn i jego kompani nie poprzestają na przemycie; są to straceńcy, którzy nie boją się Boga ani ludzi i nie cofają się przed morderstwem. Wypadki pierwszej sobotniej nocy ustawicznie zaprzętały jej myśli, a zwisający z belki koniec sznura mówił sam za siebie. Mary nie miała wątpliwości, że wuj i tamten drugi mężczyzna zabili nieznanego i zakopali jego ciało gdzieś na torfowiskach.

Nie było jednak na to żadnych dowodów, ponadto zaś cała sprawa, kiedy się ją rozważało w biały dzień, wydawała się wręcz niewiarygodna. Owej nocy po odkryciu sznura Mary poszła zaraz do swego pokoju, gdyż otwarte drzwi baru kazały przypuszczać, że wuj lada chwila wróci, a wyczerpana wszystkim, co

widziała, musiała zapaść w głęboki sen, gdy się bowiem obudziła, słońce było już wysoko i w holu na dole usłyszała drobne kroki ciotki.

Po wczorajszym wieczorze nie pozostał ślad. Bar był zamieciony i posprzątany, stłuczone szkło wyniesione, meble ustawione na miejscu, a z belki nie zwisał żaden sznur. Sam gospodarz spędził cały ranek w stajni i w oborze na wyrzucaniu gnoju i innych podobnych pracach, które by należały do oborowego, gdyby takiego tu trzymano. W południe przyszedł do kuchni, żeby pochłonąć olbrzymią ilość jadła, przy sposobności zaś wypytywał Mary o żywy inwentarz na jej farmie, prosił o opinię w sprawie cielątka, które zachorowało, a o wypadkach ubiegłej nocy nie wspomniął ani słowem. Był w dobrym humorze i nie sklął nawet żony, gdy jak zwykle kręciła się przy nim, wpatrując mu się w oczy jak pies, który pragnie przypodobać się swemu panu. Joss Merlyn zachowywał się jak najzupełniej trzeźwy, normalny człowiek i niepodobna było uwierzyć, że zaledwie przed kilkoma godzinami zabił innego człowieka.

Istniała oczywiście możliwość, że tego nie zrobił, a winę ponosi jego nieznany towarzysz, ale Mary w każdym razie widziała na własne oczy, jak pędził przez dziedziniec niedorozwiniętego chłopaka, i słyszała krzyk chłopca, gdy dosięgło go smagnięcie bata. Widziała Jossa Merlyna w roli przywódcy ohydnej zgrai zebranej w barze; słyszała, jak groził nieznanemu, który sprzeciwił się jego woli; teraz jednak siedział przed nią, zajadając gorącą baraninę, i kiwał głową z żalu nad chorym cielątkiem.

Odpowiadała tedy wujowi „tak” i „nie”, popijając herbatę i obserwując go z nadbrzeżu kubka, a oczy jej wędrowały od wielkiego talerza z dymiącym mięsiwem ku długim, silnym palcom, odrażającym w swym pięknie i zręczności.

Minęły dwa tygodnie, lecz obydwie noce sobotnie upłynęły spokojnie. Może ostatni połów zadowolił oberżystę i jego kompanów na jakiś czas, bo Mary nie słyszała już furgonów, a chociaż sypiała teraz zdrowym snem, pewna była, że turkot kół byłby ją obudził. Wuj nie zgłaszał sprzeciwów wobec jej wędrówek po torfowiskach, toteż z każdym dniem poznawała okolicę coraz lepiej. Odkrywała ścieżki, których z początku nie zauważyła, a które prowadziły po wyższym terenie

w górę aż na szczyty wzgórz, jednocześnie zaś nauczyła się omijać niższe zielone połacie z kępami strzelistej trawy, na pozór nieszkodliwe i zachęcające do bliższego zbadania, w rzeczywistości jednak kryjące zdradzieckie i niebezpieczne trzęsawiska.

Mimo samotności nie czuła się zbyt nieszczęśliwa. Wędrówki w szarym świetle wczesnego popołudnia dobrze wpływały na jej stan zdrowia i koily nieco smutek długich, ciemnych wieczorów w Jamajce, kiedy ciotka Patience siedziała z rękami złożonymi na podołku i wpatrywała się w tłący się na kominku torf, a Joss Merlyn zamykał się w barze lub dosiadał konia i znikał w niewiadomym kierunku.

Towarzystwa nie miała żadnego, nikt też nie zatrzymywał się w oberży na odpoczynek lub posiłek. Prawdę mówił woźnica, że dyliżanse nie zatrzymują się teraz w Jamajce. Mary z dziedzica obserwowała dwa razy na tydzień, jak zjeżdżają ze wzgórza i wjeżdżają zaraz na następne zbocze w kierunku Pięciu Dróg, a woźnice nie ściągają ani na chwilę wodzy i nie przystają choćby dla zaczerpnięcia tchu. Raz poznała swego woźnicę i pozdrowiła go ręką, ale nie zwrócił na nią uwagi, zaciął tylko mocniej konie. Uświadomiła sobie z przykrością, że wszyscy w okolicy zapewne utożsamiają ją teraz z wujem i gdyby nawet spróbowała wyprawić się pieszo do Bodmin, nikt by jej nie wpuścił, zatraskiwano by jej drzwi przed nosem.

Przyszłość rysowała się czasem w jak najczarniejszych barwach, zwłaszcza gdy ciotka zamykała się w sobie i trudno było nawiązać z nią kontakt. Wprawdzie ujmowała niekiedy rękę Mary, głaskała ją, mówiła, że tak miło jest mieć przy sobie siostrzenicę, przeważnie jednak żyła jak we śnie, drepcząc po domu, wykonując machinalnie czynności gospodarskie i prawie się nie odzywając. Gdy zaś przemówiła, wyrzucała z siebie potoki słów na temat tego, jakim wielkim człowiekiem byłby jej mąż, gdyby nie prześladował go ustawicznie pech. Wszelka normalna rozmowa była właściwie niemożliwa, toteż Mary starała się tylko nie drażnić ciotki, przemawiała do niej łagodnie jak do małego dziecka, cała ta sytuacja jednak niecierpliwiła dziewczynę i wyczerpywała ją nerwowo.

Pewnego tedy ranka, będąc w wojowniczym nastroju po wietrznym i dżdżystym dniu, kiedy nie sposób było wyjść na przechadzkę, Mary zabrała się do mycia kamiennej posadzki w długim korytarzu, biegnącym przez całą szerokość tylnej części domu. Ciężka praca być może wzmacnia mięśnie, lecz nie poprawia humoru, zanim więc Mary skończyła, miała już tak dość Jamajki i jej mieszkańców, że niewiele brakowało, aby wyszła do małego ogrodu warzywnego przy kuchni, w którym wuj właśnie pracował mimo strug deszczu zlewających jego spletaną grzywę, i wylała mu kubek mydlin prosto w twarz. Widok ciotki pochylonej nad ogniem i poprawiającej kijkiem ospały, ledwo tłący się torf poskromił zapędy dziewczyny i miała już zabrać się do zmywania kamiennych płyt we frontowym holu, gdy na dziedzińcu rozległ się tętent kopyt i po chwili ktoś załomotał do zamkniętych drzwi baru.

Nikt dotychczas nie przyjeżdżał do Jamajki i takie kołatanie samo przez się było wydarzeniem niezwykłym. Mary wróciła do kuchni, żeby powiedzieć o nim ciotce, ale ta akurat wyszła i dziewczyna ujrzała przez okno, że ciotka drepcze przez ogród do męża, który ładował właśnie torf z przymy do taczek. Znajdowali się oboje dość daleko, nie mogli więc słyszeć kołatania przybysza, nie usłyszeliby też wołania. Mary otarła ręce o fartuch i poszła do baru. Drzwi wejściowe musiały jednak być otwarte, bo ku swemu zdziwieniu zastała tam mężczyznę. Siedział okrakiem na krześle, w ręce trzymał szklanicę po brzegi pełną piwa, którego sam sobie najspokojniej nalał. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

Mężczyzna miał w sobie coś znajomego i Mary zastanawiała się, gdzie go mogła już widzieć. Ciężkie powieki, wykrój ust, zarys szczęk, nawet śmiałe, zuchwałe wręcz spojrzenie, wszystko to było jej znane i budziło niemiłe skojarzenia.

Sposób, w jaki mierzył ją wzrokiem od stóp do głów, popijając równocześnie piwo, niewymownie Mary irytował.

– Co pan sobie myśli? – odezwała się gniewnie. – Nie ma pan prawa wchodzić nieproszony i rządzić się tutaj. Poza tym gospodarz nie lubi obcych.

W innym czasie sama by się z siebie roześmiała, że tak staje w obronie wuja, ale szorowanie kamiennych płyt pozbawiło ją chwilowo poczucia humoru i musiała na kimś wyładować złość.

Mężczyzna dopił piwo i wyciągnął szklanicę do ponownego napełnienia.

– Odkąd to w Jamajce trzymają bufetową? – spytał, po czym wydobył z kieszeni fajkę, zapalił i puścił prosto w twarz Mary wielki kłęb dymu.

Doprowadzona tą bezczelnością do furii, zrobiła krok naprzód, wyrwała mu z ręki fajkę i cisnęła ją za siebie na podłogę. Fajka rozprysła się na kawałki, a przybysz wzruszył ramionami i zaczął pogwizdywać dość fałszywie, co dołało oliwy do ognia wściekłości Mary.

– Tak cię uczą obsługiwać gości? – rzucił, urywając w połowie melodii. – Nie jestem zachwycony ich wyborem. Byłem wczoraj w Launceston, tam usługują dużo grzeczniejsze dziewczęta, a w dodatku śliczne niczym z obrazka. Jak ty wyglądasz? Włosy masz rozczochrane, twarz brudną.

Mary obróciła się na pięcie i ruszyła ku drzwiom, ale przywołał ją z powrotem.

– Nalej mi piwa. Po to chyba tu jesteś? Po śniadaniu przejechałem już dwanaście mil i pić mi się chce.

– Dla mnie mógł pan przejechać nawet pięćdziesiąt mil – odparła Mary. – Widzę, że czuje się pan tu jak w domu, więc może pan sam sobie nalać. Powiem panu Merlynowi, że jest pan w barze, i sam pana obsłuży, jeżeli zechce.

– Ot, daj Jossowi spokój. O tej porze dnia będzie zły jak chory niedźwiedź. Poza tym nigdy się specjalnie nie cieszy na mój widok. Ale gdzie jest jego żona? Wypędził ją, żeby zrobić miejsce dla ciebie? Brzydko z biedaczką postąpił. A do tego ty przecież nie wytrzymasz z nim przez dziesięć lat.

– Pani Merlyn jest w ogrodzie, jeżeli chce pan ją widzieć – poinformowała go Mary. – Może pan wyjść na zewnątrz, skrócić w lewo, a dojdzie pan do ogrodu warzywnego. Pięć minut temu oboje tam byli. Przez korytarz pana nie puszczę, bo przed chwilą umyłam podłogę i nie chcę myć po raz drugi.

– Ojej, nie złość się tak, czasu jest dość – odrzekł.

Mary spostrzegła, że wciąż mierzy ją wzrokiem, zastanawiając się, kim może być. Dobrze jej znana, nieco leniwa zuchwałość tych oczu drażniła ją piekielnie.

– Chce pan mówić z gospodarzem czy nie? – spytała w końcu. – Bo nie będę tu stała przez cały dzień i czekała, aż się pan namyśli. Jeżeli nie chce go pan widzieć i wypił pan piwo, proszę położyć pieniądze na ladzie i wyjść.

Mężczyzna roześmiał się. Śmiech jego i błysk zębów znów poruszyły jakąś strunę w jej pamięci, ale wciąż nie mogła sobie uświadomić, skąd go zna.

– Czy Jossa też tak musztrujesz? – spytał. – Jeżeli tak, to musiał się bardzo zmienić. Jakim kłębkim sprzeczności jest ten człowiek! Nigdy nie przypuszczałem, że oprócz innych swoich zajęć znajdzie jeszcze czas na młodą kochankę. Co robicie wieczorem z biedną Patience? Spędzacie ją z łóżka na podłogę czy wszyscy troje śpicie razem?

Mary oblała się szkarłatem.

– Joss Merlyn jest moim wujem – rzekła. – Ciotka Patience jest jedyną siostrą mojej nieżyjącej matki. Nazywam się Mary Yellan, jeśli to panu coś mówi. Do widzenia. Drzwi są za panem.

Wyszła z baru i pomaszerowała do kuchni, prosto w ramiona gospodarza.

– Z kim, u diabła, rozmawiałaś w barze? – zagrzemiał. – Mówiłem ci przecież, żebyś trzymała gębę na kłódkę!

Donośny głos odbił się echem w korytarzu.

– Dobra, dobra! – zawołał mężczyzna z baru. – Nie bij jej. Potłukła mi fajkę i nie chciała mnie obsłużyć. Twoja szkoła, co? Chodź tu, niech na ciebie popatrzę. Mam nadzieję, że obecność dziewczyny dobrze ci zrobiła.

Joss Merlyn zmarszczył brwi, odsunął Mary na bok i wszedł do baru.

– Ach, to ty, Jem? – powiedział. – Czego nagle chcesz w Jamajce? Nie mogę kupić od ciebie konia, jeżeliś po to przyjechał. Interesy idą kiepsko i jestem biedny jak mysz polna po dżdżystych zniwach.

Zamknął drzwi, zostawiając Mary na zewnątrz.

Wróciła do swego wiadra wody we frontowym holu, fartuchem ocierając z twarzy brudne smugi. A więc to jest Jem Merlyn, młodszy brat wuja. Oczywiście, widziała, że jest do kogoś bardzo podobny, ale taka jest głupia, że nie zorientowała się do kogo. W ciągu całej rozmowy przypominał jej wuja, a nie uświadomiła sobie tego. Miał oczy Jossa Merlyna, tyle że bez nabrzmiąłych worków i szkarłatnych plamek, miał też jego usta, tyle że jędrne i niezbyt grube, gdy tymczasem usta jej wuja znamionowały słabość charakteru, a dolna warga była obwisła. Wyglądał tak, jak mógł wyglądać Joss Merlyn przed dwudziestu laty – był jednak nieco niższy, smuklejszy i znacznie schludniejszy.

Mary chlusnęła wodą na kamienne płyty i zaczęła je z pasją szorować, przygryzając wargi.

Cóż za okropne plemię, ci Merlynowie, z ich rozmyślną zuchwałością i grubiaństwem, z ich brutalnym nieokrzesianiem. Ten Jem jest pewnie okrutny jak jego brat, znać to po zarysie ust. Ciotka Patience mówiła, że jest najgorszy z całej rodziny. Chociaż o pół głowy niższy i dwa razy szczuplejszy, wyczuwa się w nim jakąś siłę, której brak najstarszemu bratu. Widać, że jest stanowczy i pełen energii. Wuj ma obwisłą skórę wokół podbródka, ramiona ciężą mu jak ołów. Ma się wrażenie, że jego siła gdzieś wyciekła, poszła na marne. Skutki pijaństwa, Mary to wiedziała, lecz po raz pierwszy zorientowała się, jaką ruiną stał się Joss Merlyn w porównaniu z tym, kim był dawniej. Ukazał jej to widok młodszego brata. Jeżeli ten młody ma choć trochę rozumu, weźmie się w karby, zanim wkroczy na tę samą drogę. Ale może o nic nie dba; może rodzinę Merlynów prześladowe jakieś fatum, które przekreśla wszelkie dobre postanowienia, wszelkie szlachetniejsze porywy. Dzieje rodziny są przecież tak ponure. „Na złą krew nie ma rady – mawiała matka Mary. – Zawsze w końcu bierze górę, choćby się z nią nie wiem jak walczyło. Jeżeli dwa pokolenia pędzą uczciwe życie, udaje się czasem tę krew oczyścić, ale zwykle trzecie znów się wyradza i wszystko zaczyna się od początku”. Jaka szkoda, że oni się tak marnują, jaka szkoda! I ta biedna ciotka Patience, którą wciągnął i uniósł nurt rodziny Merlynów. Utraciła młodość, utraciła wesołość, stoi teraz – jeśli spojrzeć prawdzie w oczy – niewiele wyżej od niedorozwiniętego

chłopaka z Dozmary. A przecież mogła być żoną farmera w Gweek, mogła mieć dzieci, dom, ziemię, znać wszystkie powszednie a miłe sprawy, które składają się na normalne, szczęśliwe życie: ploteczki z sąsiadkami, kościół w niedzielę, raz na tydzień wyprawa na jarmark, zbiór owoców, żniwa. Nie opuszczałyby jej pogoda ducha, bo życie to wspierałoby się na niewzruszonych fundamentach. Osiwiałaby we właściwym czasie z upływem spokojnych lat – lat statecznej pracy i cichego ukontentowania. Ale odrzuciła tę możliwość, żeby żyć jak kocmołuch przy boku brutala i pijaka. Dlaczego kobiety są takie głupie, takie krótkowzroczne, dlaczego nie mają choćby cienia rozsądku? – rozmyślała Mary, z zaciekleścią szorując ostatnią płytę holu, jak gdyby przez tę czynność mogła oczyścić świat i zmyć z niego nierozwagę swoich siostrzyc.

Ogarnięta szaleńczą wręcz energią, zabrała się następnie do zamiatania ponurego, półciemnego salonu, który od lat nie zaznał szczotki. Tuman kurzu buchnął jej w twarz. Była tak pochłonięta tym nieprzyjemnym zajęciem, że nie słyszała uderzenia kamyka o szybę i dopiero kiedy pod gradem żwiru szkło pękło, oprzytomniała, spojrzała przez okno i zobaczyła Jema Merlyna, stojącego na dziedzińcu przy swoim koniu.

Zmarszczyła brwi i odwróciła się, ale on odpowiedział nowym gradem żwiru, tym razem na dobre tłukąc szybę, aż odłamek wraz z kamykiem upadł na podłogę.

Mary odryglowała ciężkie frontowe drzwi i wyszła na ganek.

– Czego pan znów chce? – spytała, czując nagle z zażenowaniem, że jest rozczochrana i ma pognieciony, brudny fartuch.

On wciąż spoglądał na nią z zaciekawieniem, ale teraz już bez zuchwalstwa; miał nawet leciutko zawstydzoną minę.

– Przepraszam, że cię przedtem niezbyt uprzejmie potraktowałem – rzekł. – Nie spodziewałem się zastać w Jamajce kobiety... a w każdym razie takiej młodej dziewczyny jak ty. Myślałem, że Joss znalazł cię w którymś mieście i przywiózł tutaj, żeby mieć elegancką przyjaciółkę.

Mary zarumieniła się i przygryzła wargi z irytacji.

– Chyba nie widać po mnie elegancji – rzuciła pogardliwie. – Ładnie bym wyglądała w mieście w moim starym fartuchu i ciężkich buciorach. Myślałam, że każdy, kto ma oczy w głowie, powinien od razu zobaczyć, że jestem dziewczyną ze wsi.

– Czy ja wiem – odrzekł niedbale. – Gdyby ci włożyć piękną suknię, pantofle na wysokich obcasach i trochę cię uczesać, wzięto by cię za damę nawet w takim dużym mieście jak Exeter.

– Pewnie ma to mi pochlebić – rzekła Mary – ale dziękuję bardzo, wolę nosić swoje stare ubranie i wyglądać na to, czym jestem.

– Mogłabyś oczywiście wyglądać znacznie gorzej – przyznał.

Mary podniosła głowę, spojrzała na niego i spostrzegła, że się z niej śmieje. Obróciła się na pięcie, żeby wrócić do domu.

– Daj spokój, nie odchodź – powiedział. – Wiem, że zasłużyłem na te groźne spojrzenia, bo tak cię brzydko potraktowałem, ale gdybyś знаła mojego brata tak, jak ja go znam, zrozumiałabyś moją pomyłkę. Młoda dziewczyna w Jamajce to dziwny widok. Dlaczegoś tu w ogóle przyjechała?

Mary obserwowała go, stojąc w cieniu ganku. Mówił teraz poważnie i podobieństwo do Jossa na chwilę znikło. Szkoda, że należy do rodziny Merlynów, pomyślała.

– Przyjechałam do ciotki – odparła. – Mama umarła kilka tygodni temu, a nie mam innych krewnych. Ale tyle tylko panu powiem, panie Merlyn: cieszę się, że mama nie może teraz zobaczyć swojej siostry.

– Tak, wątpię, żeby pożycie z Jossem było usłane różami – rzekł jego brat. – Zawsze miał diabelskie usposobienie, a do tego pije jak smok. Czemu za niego wyszła? Odkąd pamiętam, zawsze był taki sam. Tłukł mnie, kiedy byłem mały, i dziś pewnie robiłby to samo, gdyby tylko śmiał.

– Myślę, że dała się zwieść jego pięknym oczom – powiedziała Mary pogardliwie. – Ciotka Patience zawsze była motylkiem, jak mawiała mama. Nie

chciała wyjść za farmera, który prosił ją o rękę, tylko pojechała do miasta i tam poznała pańskiego brata. Musiał to być najniezwyklejszy dzień w jej życiu.

– Nie masz najlepszego zdania o gospodarzu, co? – powiedział drwiąco Jem.

– To prawda – odparła. – Jest despotą, brutalem i czymś jeszcze dużo gorszym. Moja ciotka z roześmianej, wesołej kobiety stała się przy nim nieszczęsnym popychadłem i nie daruję mu tego, dopóki żyć będę.

Jem zagwizdał bezdźwięcznie i poklepał konia po szyi.

– My, Merlynowie, nigdy nie byliśmy dobrzy dla naszych kobiet – powiedział. – Pamiętam, jak ojciec bił matkę, aż nie mogła ustać na nogach. Ale nie porzuciła go, trwała przy nim całe życie. Kiedy go powieszono w Exeter, nie odzywała się do nikogo przez trzy miesiące. Włosy jej posiwiały w ciągu jednej nocy. Nie pamiętam babki, ale mówią, że pewnego razu pod Callington walczyła przy boku dziadka, kiedy przyszli po niego żołnierze, i jednemu z nich przegryzła palec aż do kości. Za co tak dziadka kochała, tego ci nie potrafię powiedzieć, bo jak go zabrali, nawet o nią nie zapytał i wszystkie swoje oszczędności zostawił innej kobiecie po tamtej stronie Tamaru.

Mary milczała. Jego obojętny ton ją przerażał. Jem mówił bez cienia wstydu czy żalu i pomyślała, że podobnie jak reszta jego rodziny nie wie pewnie, co to współczucie, taki się już urodził.

– Jak długo masz zamiar zostać w Jamajce? – spytał nagle. – Usychasz tu chyba, co? Towarzystwa nie masz żadnego.

– Trudno – odparła Mary. – Nie wyjadę, dopóki nie będę mogła zabrać stąd ciotki. Nie zostawię jej samej po tym, co widziałam.

Jem nachylił się, żeby strzepnąć grudkę błota z podkowy konia.

– Czegoś się dowiedziała w tak krótkim czasie? – spytał. – Tak tu przecież cicho.

Mary niełatwo było wyciągnąć na słówka. Kto wie, może wuj kazał bratu z nią porozmawiać, w nadziei, że tą drogą uzyska informacje. O nie, taka głupia nie jest. Wzruszyła ramionami, bagatelizując sprawę.

– Raz w sobotę pomagałam wujowi w barze – powiedziała – i niezbyt mi się podobało towarzystwo, z którym przestaje.

– Nie dziwię się – rzekł Jem. – Ludzi, którzy tu przychodzą, nigdy nie uczono dobrych manier. Za dużo czasu spędzają w więzieniu. Ciekaw jestem, co o tobie pomyśleli. Popełnili pewnie ten sam błąd co ja i teraz rozpowiadają o tobie po całej okolicy. Następnym razem Joss zagra o ciebie w kości, a jeżeli przegra, ani się spostrzeżesz, jak znajdziesz się na koniu za plecami brudnego kłusownika, który zawiezie cię na drugą stronę Roughtoru.

– To mało prawdopodobne – odparła Mary. – Musieliby mnie pobić do nieprzytomności, zanimbym się pozwoliła gdziekolwiek zawieźć.

– Przytomna czy nieprzytomna, kobieta pozostaje kobietą – orzekł Jem. – Kłusownikom z torfowisk w każdym razie nie robiłoby to żadnej różnicy, nawet by się na tym nie poznali.

Roześmiał się znowu i stał się kubek w kubek podobny do brata.

– Czym się pan zajmuje? – spytała Mary, zdjęta nagłą ciekawością, bo w trakcie rozmowy zauważyła, że młodszy Merlyn mówi poprawniej od brata.

– Jestem koniokradaem – oznajmił uprzejmie. – Ale w gruncie rzeczy niewiele mi to przynosi pieniędzy. Moje kieszenie zawsze świecą pustkami. Powinnaś tu jeździć konno. Mam kucyka, który by ci idealnie pasował. Jest teraz w Trewartha. Może pojedziesz ze mną go obejrzeć?

– Nie boi się pan, że pana złapią?

– Kradzieży konia trudno dowieść. Powiedzmy, że kucyk wyjdzie ze stajni i pobiegnie na torfowiska. Właściciel zaczyna go szukać. Ale jak sama widziałaś, tu na torfowiskach roi się od dzikich koni i zdziczałego bydła. Nie tak znów łatwo właścicielowi znaleźć swego kucyka. Przypuśćmy, że kucyk ma długą grzywę, białą skarpetkę na jednej nodze i znak na uchu. To ułatwia poszukiwania, prawda? Otóż właściciel jedzie na jarmark do Launceston i rozgląda się pilnie. Ale nie znajduje swego kucyka. A zważ, że kucyk, owszem, jest na jarmarku i jakiś handlarz go kupuje i sprzedaje w dalsze strony. Tylko że ten kucyk ma obciętą

grzywę, wszystkie cztery nogi tego samego koloru, a znak na uchu zupełnie inny. Właściciel nawet na niego drugi raz nie spojrzy. Proste, co?

– Takie proste, że nie rozumiem, czemu nie przejeżdża pan koło Jamajki własnym powozem z lokajem w liberii na stopniu – odparła natychmiast Mary.

– Ach, otóż to – westchnął z żalem. – Nigdy nie miałem głowy do rachunków. Nie wyobrażasz sobie, jak szybko pieniądze przepływają mi przez palce. Czy wiesz, że dopiero w zeszłym tygodniu miałem dziesięć funtów, a dzisiaj mam tylko szylinga? Dlatego chcę, żebyś kupiła konika.

Mary roześmiała się mimo woli. Był tak szczery w swej nieuczciwości, że trudno się było na niego gniewać.

– Nie mogę wydawać swoich niewielkich oszczędności na konie – powiedziała. – Odkładam pieniądze na starość, a jeżeli kiedykolwiek wydostanę się z Jamajki, będzie mi potrzebny każdy grosik, może pan być pewien.

Jem Merlyn spojrział na nią z powagą, a potem, jakby pod wpływem nagłego odruchu, zerknął ponad jej głową w głąb ganku i nachylił się do niej.

– Słuchaj – powiedział. – Mówię teraz serio: możesz zapomnieć o wszystkich głupstwach, których ci nagadałem. Jamajka nie jest odpowiednim miejscem dla młodej dziewczyny, a zresztą w ogóle dla żadnej kobiety. Mój brat i ja nigdy nie żyliśmy w zgodzie, więc mogę mówić o nim, co mi się podoba. Każdy z nas idzie własną drogą i nic sobie z drugiego nie robi. Ale nie ma powodu, żebyś ty się dała wplątać w jego brudne sprawy. Czemu nie uciekasz? Wyprowadzę cię na drogę do Bodmin.

Mówił tonem tak przekonywającym, że Mary skłonna byłaby mu ufać. Nie mogła jednak zapomnieć, że jest bratem Jossa Merlyna i wobec tego może ją zdradzić. Nie śmiała uczynić go powiernikiem – w każdym razie jeszcze nie teraz. Czas pokaże, po czyjej jest stronie.

– Nie potrzeba mi pomocy – odrzekła. – Potrafię sama sobie radzić.

Jem przerzucił nogę przez grzbiet konia i wsunął stopy w strzemiona.

– Dobra – powiedział – nie chcę cię dłużej męczyć. Mój domek jest przy Withy Brook, gdybym ci był kiedyś potrzebny. To po tamtej stronie Trewartha, obok Bagniska Dwunastu Topielców. Będę tam w każdym razie do wiosny. Do zobaczenia.

Ruszył z kopyta i zanim zdołała wyrzec słowo, był już daleko na drodze.

Mary wolnym krokiem wróciła do domu. Zaufałaby mu, gdyby nosił inne nazwisko. Potrzeba jej było pilnie przyjaznej duszy, nie mogła jednak liczyć na przyjaźń brata oberżysty. W końcu jest tylko zwykłym koniokradem, najzwyklejszym przestępcą. Niewiele więcej wart od kramarza Harry’ego i całej reszty. Ponieważ ma rozbrajający uśmiech i miły głos, gotowa już była mu uwierzyć, a tymczasem on być może śmieje się z niej w duchu. Pochodzi z rodu zbrodniarzy, przez całe życie dzień w dzień łamie prawo i jakkolwiek się na to spojrzy, nie da się ominąć najważniejszego faktu – jest bratem Jossa Merlyna. Powiedział, że nic ich nie łączy, ale nawet to może być kłamstwem, żeby pozyskać jej zaufanie, a do całej tej rozmowy mógł go przecież nakłonić w barze gospodarz.

Nie, cokolwiek się zdarzy, musi liczyć tylko na siebie i nie ufać nikomu. Z samych już murów oberży bije odór zła i fałszu, wypowiedanie na głos myśli w pobliżu tego budynku grozi katastrofą.

W domu było ciemno i znów panowała cisza. Gospodarz wrócił do przyzmy torfu w ogrodzie, ciotka była w kuchni. Niespodziewana wizyta Jema Merlyna na krótko tylko przerwała monotonię długiego dnia. Jem wniósł ze sobą jakiś powiew ze świata zewnętrznego, owego świata rozpościerającego się poza kręgiem posępnych torfowisk i niezycliwych skał, a teraz, kiedy odjechał, pogodna jasność dnia odeszła razem z nim. Niebo zasnuło się chmurami, z zachodu nadciągnął nieuchronny deszcz, okrywając mgłą szczyty wzgórz. Czarny wrzos chylił się w podmuchach wiatru. Zły humor, który od rana owładnął Mary, minął teraz, ustępując miejsca drętwej obojętności, zrodzonej ze zmęczenia i rozpacz. Przytłaczała ją perspektywa ciągnących się w nieskończoność dni i tygodni, gdy nie będzie widziała nic prócz kuszącej białej drogi, kamiennych murów oberży i odwiecznych wzgórz.

Przyszedł jej na myśl Jem Merlyn – z piosenką na ustach, bez kapelusza, nie zważając na wiatr i deszcz, obcasami pobudza konia do szybszego biegu i jedzie, dokąd tylko zechce.

Pomyślała o drodze polnej, wiodącej do wsi Helford. Droga ta wiję się, kluczy i skręca nagle na brzeg wody, gdzie kaczki taplają się w błocie przed nadejściem przypływu, a mężczyzna na wyżej położonym polu zwołuje krowy. Wszystko to jest żywym życiem, które toczy się swoim trybem mimo jej nieobecności, a ona przykuta jest do tego miejsca obietnicą, której nie wolno jej złamać. Odgłos niepewnych kroków ciotki Patience, krzątającej się po kuchni, ustawicznie o tym przypomina.

Drobne krople deszczu spływały po szybie w oknie salonu i gdy osamotniona Mary wpatrywała się w nie, ściskając dłonią podbródek, po jej twarzy również zaczęły spływać łzy. W odrętwieniu nie starała się nawet ich ocierać. Podmuch wpadający przez drzwi, których zapomniała zamknąć, poruszył długim paskiem tapet oddartych ze ściany. Tapety te niegdyś były w róże, teraz jednak deseń spłowiał i zszarzał, a na ścianach widniały brunatne plamy wilgoci. Mary odwróciła się od okna i zimna, martwa atmosfera oberży wzięła ją bez reszty w swe władanie.

6

Tej nocy furgony przyjechały znowu. Mary obudziła się na odgłos zegara wybijającego godzinę drugą i w tej samej chwili usłyszała kroki przed gankiem i przyciszone głosy. Wyśliznęła się z łóżka i podeszła do okna. Tak, stały już na dziedzińcu, tym razem jedynie dwa wozy, każdy zaprzężony w jednego konia, a przy nich tylko pięciu mężczyzn.

W mglistym oświetleniu wozy wyglądały upiornie niczym żałobne karawany, mężczyźni zaś przypominali widma, unikające światła dziennego, i snuli się po dziedzińcu jak postacie ze złego snu. Mieli w sobie coś przerażającego, podobnie jak było coś groźnego w krytych brezentem wozach, przybywających ukradkiem pod osłoną nocy. Tym razem wrażenie, jakie ci ludzie wywarli na Mary, było jeszcze większe i groźniejsze, rozumiała już bowiem istotę ich procederu.

Ludzie, którzy działają na tym szlaku i wożą transporty do Jamajki, to straceńcy gotowi na wszystko, a kiedy poprzednim razem przyjechali furgonami na dziedziniec, jeden z nich został zamordowany. Może dzisiaj popełniona zostanie nowa zbrodnia i kręty sznur znów będzie zwisał z belki pod sufitem baru.

Scena na dziedzińcu miała w sobie nieodpartą siłę przyciągania, Mary nie była w stanie odejść od okna. Furgony przybyły puste, ładowano do nich resztę paczek i skrzyń, złożonych w oberży poprzednim razem. Mary domyśliła się, że jest to normalna metoda działania. Oberża przez kilka tygodni pełni funkcję magazynu, po czym, w sposobnej chwili, furgony znów wyruszają i zawożą ładunek na brzeg

Tamaru, gdzie następuje dystrybucja. Musi to być duża organizacja, skoro ogarnia tak rozległy teren, i ma zapewne licznych agentów, którzy pilnie obserwują wszystko, co się dzieje wokoło. Są ich może setki, rozsianych od Penzance i St Ives na południu do Launceston na granicy hrabstwa Devon. W Helfordzie rzadko wspominało o przemyśle, a gdy już o nim mówiono, to zawsze z przymrużeniem oka i wyrozumiałym uśmiechem, jak gdyby odrobina tytoniu do fajki czy butelka brandy ze statku w porcie Falmouth była nieszkodliwym a miłym drobiazgiem, nieobciążającym niczyjego sumienia.

Tutaj jednak rzecz ma się inaczej. Tutaj chodzi o sprawy ponure i krwawe, nie ma tu miejsca na uśmiechy i żartobliwe mruganie, o ile Mary zdołała zauważyć. Jeżeli ktoś odczuwa nagle wyrzuty sumienia, płaci mu się za to strykiem. W łańcuchu, ciągnącym się od wybrzeża do granicy, nie może być słabego ogniwa, stąd też sznur przerzucony przez belkę. Nieznajomy zbuntował się, tym samym musiał zginąć. Z uczuciem gorzkiego zawodu Mary zadała sobie nagle pytanie, czy poranna wizyta Jema Merlyna w Jamajce miała jakieś ukryte znaczenie. Bardzo to dziwny zbieg okoliczności, że wkrótce po nim zjawily się furgony. Przyjechał z Launceston, mówił, że Launceston leży nad brzegiem Tamaru. Mary zła była na niego i na siebie. Mimo wszystko tuż przed zaśnięciem myślała z pewną nadzieją o możliwości zawarcia z nim przyjaźni. Teraz byłaby ostatnią idiotką, gdyby nadal żywiła taką nadzieję. Dwa te zdarzenia kojarzą się ze sobą w sposób oczywisty i nietrudno się domyślić, co je łączy.

Jem może się kłócić z bratem, owszem, ale obaj uprawiają ten sam proceder. Przyjechał do Jamajki uprzedzić oberżystę, że ma się spodziewać wieczorem transportu. Rzecz najprostsza w świecie. Potem, mając jednak w sercu odrobinę litości, poradził Mary, żeby uciekła do Bodmin. Jamajka nie jest odpowiednim miejscem dla młodej dziewczyny, powiedział. Nikt nie wie tego lepiej od niego, ponieważ sam należy do szajki. Sytuacja jest okropna, przerażająca, znikąd ani promyka nadziei, a ona, Mary, tkwi w tym wszystkim, mając pod opieką ciotkę, bezradną jak małe dziecko.

Furgony załadowano, woźnice wraz z towarzyszami wdrapali się na kozły. Przedstawienie trwało dziś krótko.

Wielka głowa i bary wuja ukazały się na równi z dachem ganku. W ręce trzymał latarnię ze światłem przyćmionym zastawką. Potem wozy z turkotem wyjechały z dziedzińca i jak się Mary spodziewała, skręciły w lewo, w kierunku Launceston.

Odeszła od okna i położyła się do łóżka. Za chwilę usłyszała kroki wuja na schodach, potem w korytarzu wiodącym do sypialni. W pokoju gościnnym nikt się dziś nie ukrywał.

Kilka dni upłynęło bez żadnych zdarzeń, a jedynym wehikułem na gościńcu był dyliżans do Launceston, który w pędzie minął Jamajkę niby przerażony czarny żuk. Nadszedł piękny, rześki ranek, słońce po raz pierwszy zaświeciło z nieba bez chmurki. Poszarpane linie skał rysowały się ostro na tle błękitu, trawa na torfowiskach, zazwyczaj nawilgła i brunatna, zeszywniała i zbielała od szronu. Wodę w korycie na dziedzińcu pokryła cienka warstwa lodu. Błoto, po którym chodziły krowy, stwardniało, utrwalając ślady ich racic aż do następnego deszczu. Z północnego zachodu wiał lekki, śpiewający wiatr, zrobiło się zimno.

Mary, której humor zawsze się poprawiał na widok słońca, postanowiła zrobić tego ranka wielkie pranie. Zakasała wysoko rękawy i po łokcie zanurzyła ramiona w balii. Gorące mydliny pieściły jej skórę, tworząc rozkoszny kontrast z różnym, szczypiącym powietrzem.

Pełna radości życia, śpiewała przy pracy. Wuj dokądś wyjechał, a ilekroć nie było go w domu, ogarniało ją uczucie wolności. Tu, za domem, osłonięta była od wiatru grubymi murami, a gdy w końcu wyjęła wszystko i rozwiesiła na karłowatych krzewach żarnowca, ujrzała, że promienie słońca padają wprost na bieliznę i do południa z pewnością wyschnie.

Raptowne pukanie do okna kazało jej podnieść głowę. Ciotka Patience przywoływała ją znakami. Była blada i wystraszona.

Mary otarła ręce o fartuch i wbiegła do kuchni. Ciotka natychmiast uczepliła się jej drżącymi rękami i zaczęła bełkotać coś bez związku.

– Spokojnie, spokojnie – powiedziała Mary. – Nie rozumiem, co mówisz. Na miłość boską, usiądź i wypij szklanekę wody. No, a teraz: o co chodzi?

Biedna kobieta kiwała się na krześle, usta jej poruszały się nerwowo, głową wciąż wskazywała drzwi.

– To pan Bassat z North Hill – wyszeptała. – Widziałam go przez okno salonu. Przyjechał konno, a z nim drugi pan. Och, Mary, najdroższa moja, co my teraz zrobimy?

Jednocześnie rozległo się pukanie do drzwi frontowych, potem nastąpiła chwila ciszy i znów gwałtowne łomotanie.

Ciotka jęczała głośno, gryząc palce i skubiąc paznokcie.

– Po co przyjechał?! – zawołała. – Nigdy jeszcze tu nie był. Zawsze omija z daleka oberżę. Musiał się czegoś dowiedzieć. Jestem tego pewna. Och, Mary, co my zrobimy? Co mu powiemy?

Mary zastanowiła się szybko. Była w bardzo trudnej sytuacji. Jeżeli to pan Bassat i reprezentuje prawo, nadarza się jedyna okazja, żeby zadenuncjować wuja. Może opowiedzieć dziedzicowi o furgonach i o wszystkim, co widziała od chwili przybycia do Jamajki. Spojrzała na siedzącą obok drżącą kobietę.

– Mary, Mary, na miłość Boga, powiedz mi, co mam mówić? – wyjąkała błagalnie ciotka, chwytając rękę siostrzenicy i przyciskając do serca.

Łomotanie do drzwi teraz już nie ustawało.

– Posłuchaj mnie, ciociu – rzekła Mary. – Musimy go wpuścić, bo wyłamię drzwi. Opanuj się jakoś. Nie trzeba w ogóle nic mówić. Powiesz, że wuja Jossa nie ma w domu i o niczym nie wiesz. Pójdę z tobą.

Ciotka wpatrywała się w nią oczami pełnymi straszliwego lęku.

– Mary – powiedziała – jeżeli pan Bassat zapyta cię, czy coś wiesz, nie powiesz mu, prawda? Mogę ci zaufać? Nie powiesz mu o furgonach? Jeżeli Jossa spotka coś złego, zabiję się, Mary.

Na to nie było argumentu. Mary gotowa była raczej zasłużyć sobie kłamstwem na wieczne potępienie, aniżeli sprawić ciotce tak wielki ból. Jednakże tak czy owak trzeba było stawić czoło sytuacji.

– Chodźmy – powiedziała. – Nie każmy panu Bassatowi za długo czekać. Nie bój się, nic nie powiem.

Wyszły razem do holu i Mary odryglowała ciężkie drzwi frontowe. Przed gankiem znajdowało się dwóch mężczyzn. Jeden zsiadł z konia i to ten walił tak bezlitośnie w drzwi. Drugi, tęgi, barczysty mężczyzna w ciepłym płaszczu z peleryną, siedział na pięknym kasztanie. Kapelusz miał nasunięty na oczy, lecz Mary widziała pooraną bruzdami, ogorzałą twarz i oceniła go na jakieś pięćdziesiąt lat.

– Nie śpieszy się wam, co?! – zawołał. – Niezbyt gościnnie wita się tu podróżnych. Czy oberżysta jest w domu?

Ciotka trąciła ręką Mary, która odpowiedziała:

– Pana Merlyna nie ma, proszę pana. Czy życzy pan sobie czegoś się napić? Usłużę panu, jeśli zechce pan przejść do baru.

– Dziękuję uprzejmie! – odparł mężczyzna. – Nie głupim, żeby po to przyjeżdżać do Jamajki. Chcę mówić z twoim gospodarzem. Hej, pani, czy jest pani żoną oberżysty? Kiedy się go pani spodziewa z powrotem?

Ciotka Patience dygnęła.

– Dopraszam się łaski, panie Bassat – powiedziała nienaturalnie głośno i dobitnie, jak dziecko wydające dobrze wyuczoną lekcję. – Mąż wyjechał zaraz po śniadaniu i doprawdy nie potrafię powiedzieć, czy wróci przed wieczorem.

– Hm – mruknął dziedzic. – Wielka szkoda. Chciałem zamienić parę słów z panem Jossem Merlynem. Niech pani posłucha, moja dobra kobieto, nie będę już wracał do tego, że pani nieoceniony mąż kupił tę oberżę bez mojej wiedzy, ale nie zniosę, aby moje ziemie słynęły w całej okolicy jako siedlisko zbrodni i występku.

– Doprawdy nie wiem, co pan ma na myśli, panie Bassat – rzekła ciotka Patience, sznurując usta i załamując ręce. – Pędzimy tu bardzo spokojne życie,

moja siostrzenica panu to potwierdzi.

– Niech pani da spokój, nie jestem idiotą – odparł dziedzic. – Od dawna już mam na oku tę oberżę. Nie ma dymu bez ognia, moja pani, a od Jamajki swąd rozchodzi się stąd aż do wybrzeża. Proszę nie udawać. Richards, przytrzymaj konia.

Drugi mężczyzna – sądząc z ubioru, służący – ujął konia za uzdę i pan Bassat z wysiłkiem zsunął się na ziemię.

– Skoro już tu jestem, to się rozejrzę po domu – oświadczył. – I uprzedzam z góry, że nic mnie nie powstrzyma. Jestem sędzią pokoju i mam nakaz rewizji.

Odsunął na bok obydwie kobiety i wszedł do małego holu. Ciotka zrobiła ruch, jakby chciała go zatrzymać, ale Mary pokręciła głową i zmarszczyła brwi.

– Niech idzie – szepnęła. – Jeżeli będziemy się sprzeciwiać, wpadnie tylko w jeszcze większą złość.

Pan Bassat rozejrzał się z odrazą.

– Wielkie nieba! – zawołał. – Cuchnie tu jak w grobie. Coście zrobili z tym domem? Jamajka była zawsze skromną oberżą, jedzenie było niewyszukane, ale teraz to istna hańba. Przecież pusto tu jak w stodole, nie ma żadnych mebli.

Otworzył drzwi do salonu i pejczem wskazał plamy wilgoci na ścianach.

– Jeżeli nie wysuszycie domu, dach wam się zawali na głowy – powiedział. – W życiu nic podobnego nie widziałem. Proszę, pani Merlyn, niech mnie pani zaprowadzi na górę.

Ciotka, blada i rozdygotana, skierowała się ku schodom, zerknąwszy na siostrzenicę, jakby szukała u niej pomocy.

Pokoje na piętrze zostały dokładnie zbadane. Dziedzic zaglądał do pełnych kurzu zakamarków, podnosił stare worki, kopał nogą kartofle, wydając wciąż okrzyki gniewu i oburzenia.

– To ma być oberża? – mówił. – Przecież tu nawet kot nie miałby się na czym przespać! A cały dom gnije, niedługo się rozpadnie. Co to wszystko ma znaczyć? Pani Merlyn, czy pani odjęło mowę?

Biedna kobieta nie była już w stanie nic odpowiedzieć, potrząsała tylko głową i poruszała ustami, a Mary wiedziała, że zarówno ciotka, jak i ona sama myślą tylko o tym, co będzie, kiedy dojdą do zamkniętego pokoju na parterze.

– Pani oberżystka chwilowo ogłuchła i oniemiała – rzekł drwiąco dziedzic. – A pani, młoda osobo? Czy ma pani coś do powiedzenia?

– Ja dopiero od niedawna tu mieszkam – odparła Mary. – Matka mi umarła i przyjechałam tu po to, żeby zaopiekować się ciotką. Nie dopisuje jej zdrowie, sam to pan chyba widzi. Jest nerwowa i łatwo ją wytrącić z równowagi.

– Trudno się dziwić, skoro mieszka w takiej ruderze – orzekł pan Bassat. – No, tu na górze nic więcej nie ma, zechce więc pani łaskawie zaprowadzić mnie na dół i pokazać mi pokój, który ma zakratowane okna. Zauważyłem to z dziedzińca i chciałbym zajrzeć do środka.

Ciotka przesunęła językiem po wargach i spojrzała na Mary, niezdolna wyrzec ani słowa.

– Przykro mi, proszę pana – powiedziała Mary – ale jeżeli chodzi panu o stary lamus na końcu korytarza, to, niestety, drzwi są zamknięte. Wuj zawsze trzyma u siebie klucz, a gdzie go chowa, nie wiem.

Dziedzic spojrzał podejrzliwie najpierw na jedną, potem na drugą kobietę.

– A pani, pani Merlyn? Nie wie pani, gdzie mąż trzyma klucze?

Ciotka pokręciła głową. Dziedzic prychnął gniewnie i obrócił się na pięcie.

– No, to rzecz do załatwienia – rzekł. – Wyważymy drzwi w jednej chwili.

Wyszedł na dziedziniec zawołać służącego. Mary pogłaskała rękę ciotki i przytuliła ją do siebie.

– Postaraj się opanować i nie drżeć tak – szepnęła z naciskiem. – Od razu widać, że coś ukrywasz. Jedyna szansa to udawać, że nic cię to wszystko nie obchodzi. Niech dziedzic ogląda sobie w domu wszystko, co chce.

Po paru minutach pan Bassat wrócił z Richardsem, który uśmiechając się złośliwie, niósł znaleziony w stajni stary łom. Najwidoczniej zamierzał go użyć do wyważenia drzwi.

Gdyby nie ciotka, Mary obserwowałaby tę scenę z zaciekawieniem. Po raz pierwszy miała sposobność zobaczyć wewnątrz zamkniętego pokoju. Ale przeszło jej przez myśl, że ciotka, a nawet i ona, zostaną uwikłane w sprawę, gdyby w pokoju znaleziono coś obciążającego. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak trudno będzie udowodnić, że są zupełnie niewinne. Gołosłownym zapewnieniom nikt nie daje wiary, a ciotka będzie przecież robiła wszystko, żeby obronić męża.

Z niepokojem więc przyglądała się, jak pan Bassat i jego służący chwycili razem łom i zaczęli nim uderzać w zamek drzwi. Zamek przez dłuższą chwilę ani drgnął, toteż odgłosy uderzeń rozbrzmiewały w całym domu. Potem rozległ się trzask pękających desek i drzwi ustąpiły. Ciotka wydała okrzyk rozpacz, dziedzic zaś precyzyjnie się obok niej do pokoju. Richards, wsparty na łomie, ocierał pot z czoła, Mary zaś spoza jego ramienia zajrzała do pokoju. Było tam oczywiście ciemno: zakratowane okna, zasłonięte workami, nie przepuszczały światła.

– Dajcie no świeczkę! – krzyknął dziedzic. – Ciemno tu jak w lochu.

Służący wyciągnął z kieszeni ogarek i zapalił. Podał świeczkę dziedzicowi, który trzymając ją wysoko nad głową, wszedł do pokoju.

Przez chwilę panowało milczenie, gdy dziedzic kręcił się w kółko, oświetlając po kolei wszystkie kąty, po czym syknąwszy z rozczarowaniem i irytacją, zwrócił się twarzą do grupki w korytarzu.

– Nic – rzekł. – Absolutnie nic. Oberżysta znów wystrychnął mnie na dudka.

Jeśli nie liczyć stosu worków w kącie, pokój był zupełnie pusty. Wszystko okrywała gruba warstwa kurzu, ze ścian zwisały festony pajęczyny. Nie było tu żadnych mebli, kominek był zamurowany, a podłogę ułożono z kamiennych płyt, takich samych jak w korytarzu.

Na workach leżał zwinięty sznur.

Dziedzic wzruszył ramionami i wrócił na korytarz.

– No, tym razem pan Joss Merlyn wygrał – oznajmił. – W tym pokoju nie ma żadnych dowodów rzeczowych przestępstwa. Uznaję się za pokonanego.

Mary i jej ciotka poszły za nim do holu, a stamtąd na ganek, gdy tymczasem służący ruszył do stajni po konie.

Pan Bassat uderzał pejczem o cholewę i w zamyśleniu patrzył przed siebie.

– Ma pani szczęście, pani Merlyn – powiedział w końcu. – Gdybym znalazł w tym parszywym pokoju to, czego się spodziewałem, pani mąż jutro o tej porze byłby już w więzieniu. Ale w tym wypadku... – Urwał w pół zdania i znów syknął z irytacji. – Rusz się, Richards, dobrze?! – krzyknął. – Nie mogę marnować tyle czasu. Co tam, u diabła, robisz?

Mężczyzna ukazał się w drzwiach stajni, prowadząc ze sobą obydwie konie.

– Teraz niech mnie pani posłucha – rzekł pan Bassat, wskazując pejczem na Mary. – Pani ciotka może straciła mowę, a przy tym i rozum, ale pani chyba rozumie, co mówię. Czy chce pani mi powiedzieć, że nic pani nie wiadomo o interesach wuja? Czy nikt tu nigdy nie przyjeżdża, we dnie ani w nocy?

Mary spojrzała mu prosto w oczy.

– Nigdy nikogo nie widziałam.

– Czy przed dniem dzisiejszym zaglądała pani kiedy do tamtego zamkniętego pokoju?

– Nie, nigdy w życiu.

– Czy wiadomo pani coś o tym, dlaczego wuj zamyka go na klucz?

– Nie, nie mam pojęcia.

– Czy słyszała pani kiedy w nocy turkot kół na dziedzińcu?

– Mam bardzo mocny sen. Nic mnie nie potrafi obudzić.

– Dokąd pani wuj jeździ, kiedy go nie ma w domu?

– Nie wiem.

– Nie sądzi pani, że to bardzo osobliwe mieć oberżę przy gościńcu królewskim, a jednocześnie ryglować drzwi i nikogo do niej nie wpuszczać?

– Mój wuj jest bardzo osobliwym człowiekiem.

– To prawda. Taki jest piekielnie osobliwy, że połowa tutejszych mieszkańców nie będzie mogła spać spokojnie, dopóki go nie powieszą, jak powieszono

w swoim czasie jego ojca. Może mu to pani ode mnie powiedzieć.

– Powiem, panie Bassat.

– Nie boi się pani mieszkać na tym pustkowiu, mając za towarzystwo tylko tę na pół obłąkaną kobietę?

– Czas jakoś mija.

– Nie jest pani zbyt rozmowna, moja panno. No, nie zazdroszczę pani rodzinie. Wolałbym widzieć swoją córkę na marach, niż gdyby miała mieszkać w Jamajce z takim człowiekiem jak Joss Merlyn.

Odwrócił się, dosiadł z trudem konia i ujął wodze.

– Jeszcze coś! – zawołał z siodła. – Czy widziała pani młodszego brata wuja, Jema Merlyna z Trewartha?

– Nie – odparła spokojnie Mary. – On tu nigdy nie bywa.

– Ach, nie bywa nigdy? No, to już wszystko, czego się dzisiaj chciałem od pani dowiedzieć. Żegnam obydwie panie.

Wyjechał z dziedzińca i ruszył drogą ku szczytowi dalej położonego wzgórza.

Ciotka Patience weszła już przed Mary do kuchni i siedziała na krześle, całkowicie załamana.

– Ojej, ciociu, uspokój się wreszcie – powiedziała ze znużeniem Mary. – Pan Bassat odjechał, nic nie wskórawszy, i zły jest o to jak lichy. Gdyby tam, w zamkniętym pokoju, cuchnęło brandy, byłoby nad czym płakać. A tak to i ty, i wuj Joss wyszliście obronną ręką.

Nalała kubek wody i wypila go duszkiem. Czuła, że lada chwila może wybuchnąć. Kłamała, żeby ratować wuja, kiedy całym swym jestestwem pragnęła głośno krzyknąć o jego przewinach. Zajrzała do zamkniętego pokoju i nie zdziwiło jej, że jest pusty, pamiętała bowiem wizytę furgonów sprzed kilku nocy, ale widok sznura, który poznała natychmiast jako ten sam, co zwisał z belki, był dla niej wręcz nie do zniesienia. Lecz przez wzgląd na ciotkę musiała się pohamować i nie odezwać słowem. Postąpiła haniebnie, nie było na to innego określenia. No cóż, stała się współuczestniczką zbrodni i odwrotu nie ma, należy teraz do bandy

z Jamajki. Pijąc drugi kubek wody, pomyślała cynicznie, że w końcu będzie pewnie wisiała obok wuja. Kłamała nie tylko po to, żeby go ratować, myślała dalej z rosnącym gniewem, ale skłamała też, aby pomóc jego bratu Jemowi. Jem Merlyn powinien jej być wdzięczny. Dlaczego skłamała, kiedy pan Bassat o niego zapytał, sama nie wiedziała. Jem pewnie nigdy się o tym nie dowie, a gdyby się nawet dowiedział, uznalby, że inaczej w ogóle nie mogła postąpić.

Ciotka Patience wciąż pojękiwała i pochlipywała przy ogniu, Mary zaś nie była w odpowiednim nastroju, żeby ją pocieszać. Czuła, że jak na jeden dzień dość zrobiła dla rodziny i nerwy napięte ma do ostatnich granic. Jeżeli choć przez chwilę dłużej zostanie w kuchni, zacznie krzyczeć z irytacji. Wróciła do balii w ogrodzie warzywnym i z pasją zanurzyła ręce w szarej mydlanej wodzie, która była już teraz lodowata.

Joss Merlyn wrócił tuż przed południem. Mary słyszała, jak wszedł z frontowego holu do kuchni, gdzie żona przywitała go od razu bełkotliwym potokiem słów. Mary nie odchodziła od balii. Niech ciotka Patience opowie o wszystkim na swój sposób, a jeżeli wuj będzie chciał potwierdzenia relacji, Mary zdąży wrócić do domu.

Nie słyszała słów, ale głos ciotki brzmiał donośnie i piskliwie, wuj zaś od czasu do czasu wtrącał ostro jakieś pytanie. Po chwili skinął na Mary przez okno, weszła tedy do środka. Joss Merlyn z twarzą jak chmura gradowa stał przy kominku.

– Chodź tu! – krzyknął. – Gadaj, jak było. Co ty wiesz o tym wszystkim? Ciotka bełkocze coś od rzeczy, skrzeczenie sroki miałoby więcej sensu. Co się tu działo, u diabła ciężkiego? Chciałbym wreszcie wiedzieć.

Mary opowiedziała mu zwięźle, co zaszło tego ranka. Nie pominęła nic – z wyjątkiem pytania dziedzica o Jema – i na zakończenie powtórzyła słowa pana Bassata, że ludzie nie będą spali spokojnie, dopóki Jossa Merlyna nie powieszą, jak w swoim czasie powieszono jego ojca.

Gospodarz wysłuchał w milczeniu, a kiedy skończyła, rąbnął pięścią w stół, zaklął i kopnął krzesło, aż odleciało na drugi koniec kuchni.

– Podstępny łajdak! – ryknął. – Miał akurat takie prawo wdzierać się do mojego domu, jak pierwszy lepszy przybłąda! Całe gadanie o nakazie to blaga, wy idiotki, takie nakazy nie istnieją. Na Boga, gdybym był tutaj, odesłałbym go do North Hill w takim stanie, że własna żona by go nie poznała, a jakby nawet poznała, to i tak nie miałyby z niego już nigdy pociechy. Bodaj go pokręciło! Już ja nauczę pana Bassata, kto tu rządzi. Będzie się jeszcze czołgał u moich stóp. Nastraszył was, co? Spalę mu dom, jeżeli znów spróbuje swoich sztuczek.

Joss Merlyn ryczał ogłuszająco na cały głos, ale Mary nie bała się go w takim nastroju: wszystko to były czcze pogrożki, wyrzaskiwane na pokaz. Dopiero wówczas, kiedy mówił szeptem, stawał się naprawdę niebezpieczny. Teraz mimo krzyków był mocno wystraszony, Mary wyraźnie widziała, że jej relacja wstrząsnęła nim i stracił pewność siebie.

– Dajcie mi coś do jedzenia – rzekł. – Muszę znów wyjechać, nie mam chwili do stracenia. Przestań trajkotać, Patience, bo ci kości porachuję. A ty, Mary, dobrze się dziś spisałaś, będę o tym pamiętał.

Siostrzenica spojrzała mu w oczy.

– Nie przypuszczasz chyba, wuju, że zrobiłam to dla ciebie? – zapytała.

– Nic mnie nie obchodzi, dlaczegoś to zrobiła, rezultat jest ten sam – odparł. – Wprawdzie ten dureń Bassat i tak by nic nie znalazł, bo urodził się już bez głowy. Ukrój mi chleba, przestań gadać i siadaj na swoim miejscu.

Ciotka Patience i Mary w milczeniu usiadły przy stole i reszta posiłku odbyła się bez dalszych kontrowersji. Oberżysta zjadł, wstał natychmiast i nie odzywając się słowem, poszedł do stajni. Mary spodziewała się, że wyprowadzi znów konia i pojedzie gościńcem, ale po paru minutach wrócił, wyszedł kuchennymi drzwiami do ogrodu, a następnie ruszył przez pole. Widziała, jak idzie na przełaj przez torfowisko i zaczyna wspinać się po stromiźnie wiodącej na wzgórze Tolborough. Wahala się przez chwilę, zastanawiając się, czy plan, który nagle zaświtał jej w głowie, nie jest zbyt szaleńczy, ale odgłos kroków ciotki na piętrze przyśpieszył decyzję. Zaczekała, aż drzwi sypialni się zamknęły, po czym zrzuciła fartuch,

chwyciła z kołka na ścianie swój gruby szal i pobiegła za wujem przez pole. Zbiegłszy po stoku, przyczaiła się pod murem do chwili, gdy jego sylwetka mignęła jej na tle nieba i znikła. Wówczas poderwała się znowu i ruszyła w ślad za nim, uważając, żeby stąpać po sztywnej trawie i kamieniach. Zdawała sobie sprawę, że waży się na przedsięwzięcie obłądne i pozbawione sensu, ale była w desperackim nastroju i musiała znaleźć ujście dla wściekłości szalejącej w niej od chwili, kiedy tego ranka zataiła prawdę.

Zamierzała nie spuszczać z oka Jossa Merlyna, sama oczywiście nie będąc widzianą, i w ten sposób dowiedzieć się może czegoś o jego sekretnej misji. Domyślała się, że wizyta dziedzica w Jamajce wpłynęła na zmianę planów wuja i że ten nagły marsz przez Zachodnie Torfowisko ma z nią jakiś związek. Dochodziło dopiero wpół do drugiej po południu, pogoda sprzyjała. Mary, w mocnych butach i krótkiej spódnicy, sięgającej zaledwie do kostek, nie lękała się złej drogi. Grunt pod nogami był dość suchy – lekki mróz usztywnił powierzchnię – toteż Mary, przyzwyczajona do wilgotnego żwiru helfordzkiego wybrzeża i gęstego błota na podwórzu farmy, sądziła, iż skradanie się po torfowiskach nie nastreczy jej specjalnych trudności. Z uprzednich wędrówek wyniosła pewne doświadczenie, trzymała się więc w miarę możliwości wyższego terenu, jednocześnie starając się nie tracić wuja z oczu.

Zadanie było trudne i po kilku milach zaczęła to sobie uświadamiać. Aby nie zostać zauważona, musiała zachowywać sporą odległość od wuja, on zaś szedł tak szybko i stawiał tak wielkie kroki, że zrozumiała wkrótce, iż nie zdoła za nim nadążyć. Za wzgórzem Codda wuj skręcił w kierunku niziny u stóp wzgórza Brown Willy. Mimo olbrzymiego wzrostu wydawał się teraz czarną kropką na brunatnym tle torfowiska.

Perspektywa ponadczterystumetrowej wspinaczki zaskoczyła dziewczynę. Mary przystanąła na chwilę i otarła pot z twarzy. Dla ochłody rozpuściła włosy, które natychmiast zaczął rozwiewać wiatr. Nie miała pojęcia, dlaczego Joss Merlyn uważa za stosowne w grudniowe popołudnie wdrapywać się na najwyższy szczyt

w okolicy, ale skoro dotarła aż tutaj, nie zamierzała pozwolić, żeby tyle wysiłków poszło na marne, ruszyła więc znów w drogę, przyśpieszając kroku.

Grunt stał się teraz mokry, gdyż szron stopniał tutaj i cała nizinna równina leżała przed nią rozmiękła i żółta od jesiennych deszczów. Buty Mary coraz bardziej nasiąkały wilgocią, zachlapany błotem rąbek spódnicy w kilku miejscach był rozdarty. Podciągnęła spódnicę wyżej, przepasała się wstążką z włosów i znów ruszyła za wujem, ale ten z niesamowitą szybkością, jaką daje wieloletnia wprawa, przebył już najgorszy odcinek mokradeł i Mary z trudem odnalazła jego sylwetkę wśród czarnego wrzosu i wielkich głazów u stóp Brown Willy. Potem wuj znikł za występem skalnym i już go więcej nie widziała.

Niepodobna było odnaleźć ścieżkę, którą przeszedł przez bagno, bo przemknął nią w mgnieniu oka, Mary brnęła więc na chybił trafił, potykając się na każdym kroku. Powinna była zawrócić, wiedziała o tym, ale jakiś bezsensowny upór kazał jej brnąć dalej. Nie mając pojęcia, gdzie jest droga, po której wuj suchą nogą przebył grzęzawisko, Mary miała jednak dość rozsądku, aby ominąć z daleka zdradliwy teren, i uszedłszy co najmniej dwie mile w niewłaściwym kierunku, zdołała nareszcie przedostać się na drugą stronę. Ale teraz już pozostała daleko w tyle i nie miała najmniejszej nadziei, że uda się jej wuja odnaleźć.

Mimo to zaczęła wspinać się na szczyt wzgórza Brown Willy, ślizgając się i potykając wśród mokrego mchu i kamieni, wdrapując się na poszarpane, zębate ostrosłupy granitu, które zagraadzały jej drogę na każdym zakręcie. Co pewien czas ten czy ów baran górski, spłoszony czynionym przez Mary hałasem, wybiegał zza głazu, patrzył na nią groźnie i tupał ze złością. Z zachodu nadciągały chmury, rzucając coraz to inne cienie na równinę w dole, i słońce wkrótce się za tymi chmurami ukryło.

Cicho było tu na górze. Raz tylko kruk z głośnym krakaniem zerwał się tuż spod stóp dziewczyny. Odleciał, bijąc wielkimi czarnymi skrzydłami, i poszybował w dół, protestując chrapliwie.

Kiedy Mary dotarła na szczyt wzgórza, chmury przedwieczne utworzyły grubą warstwę wysoko nad jej głową i świat stał się szary. Gęstniejący zmierzch

przesłonił linię widnokregu, z torfowisk w dole wznosiły się białe opary. Ponieważ rozpoczęła wspinaczkę od najbardziej stromej i najtrudniejszej strony wzgórza, straciła blisko godzinę i za chwilę miała się znaleźć w ciemnościach. Cała eskapada była w gruncie rzeczy bezcelowa, bo jak okiem sięgnąć, nie widać było nigdzie żywej duszy.

Joss Merlyn znikł już dawno. Być może wcale się nie wspinał na zbocze, lecz ominął jego podnóże, a potem ruszył dalej na wschód czy na zachód i pochłonęły go fałdy terenu.

Mary wiedziała, że już go nie odnajdzie. Najlepiej będzie zejść ze wzgórza najkrótszą drogą, i to możliwie jak najprędzej, w przeciwnym razie będzie musiała spędzić tu noc, mając za poduszkę kępę czarnego wrzosu, a za schronienie tylko groźne nawisy skalne. Rozumiała teraz, jakim szaleństwem było w grudniowe popołudnie zapuścić się tak daleko, doświadczenie bowiem nauczyło ją, że zmierzch na torfowiskach nie trwa długo. Mrok zapada nagle, bez ostrzeżenia, błyskawicznie gasząc słońce. Opary też są niebezpieczne, podnoszą się zwartymi kłębami z wilgotnej ziemi i spowijają moczary białym całunem.

Zniechęcona, zgnębiona, schodziła po stromym zboczu, zerkając w dół na mokradła i w górę na mrok, który lada moment miał ją doścignąć. Tuż pod nią było rozlewisko czy też krynica, z której podobno brała swe źródło rzeka Fowey, płynąca aż do morza. Należało ją za wszelką cenę ominąć, bo grunt dookoła był grząski i zdradliwy, a głębokość wody nieznaną.

Mary skręciła w lewo, aby obejść rozlewisko, zanim jednak dotarła pomyślnie na równinę i pozostawiła za sobą wzgórze, podnoszące ku chmurom swą potężną, majestatyczną głowę, opary i ciemności wzięły już we władanie torfowiska, odbierając dziewczynie możliwość jakiegokolwiek orientacji w terenie.

Cokolwiek się zdarzy, musi zachować zimną krew i nie wpadać w panikę. Pomimo mgły wieczór jest pogodny, niezbyt zimny, z pewnością więc trafi na ścieżkę, która zaprowadzi ją w końcu do jakiegoś osiedla ludzkiego. Moczary nie są groźne, jeżeli tylko będzie się trzymała wyższego terenu.

Podciągnęła tedy znów spódnicę, otuliła się szczelnie szalem i ruszyła przed siebie, obmacując nogą grunt, ilekroć miała jakieś wątpliwości, i omijając te kępy trawy, które ugiwały się miękko pod stopą. Już po pierwszych paru milach zdała sobie sprawę, że idzie w zupełnie nieznanym kierunku, gdyż drogę zagroził jej naraz strumień, przez który nie przechodziła, idąc za wujem. Gdyby poszła brzegiem, zaprowadziłby ją tylko znów na grząską nizinę, bez namysłu więc przebyła go w bród, zamoczywszy ubranie aż do kolan. Nie przejęła się tym zbytnio – miała szczęście, myślała sobie, że strumień nie był głębszy, boby go musiała przepłynąć, a wówczas zziębłaby potężnie. Teren zaczynał się teraz stopniowo wznosić, co stanowiło pomyślną okoliczność, gdyż grunt był tu twardy. Przez nieskończenie długi czas szła śmiało przed siebie, aż wreszcie dotarła do drogi polnej, wiodącej nieco w prawo. Musiały tedy od czasu do czasu przejeżdżać wozy, a tam gdzie wozy mogły przejechać, Mary z pewnością potrafi również przejść. Najgorsze minęło i teraz, kiedy opuścił ją lęk, poczuła, że osłabła i jest straszliwie zmęczona.

Nogi stały się ciężkie jak z ołowiu, oczy jakby zapadły się w głąb czaszki. Ze spuszczoną głową brnęła dalej, myśląc o tym, że szare kominy Jamajki może po raz pierwszy od czasu swego istnienia będą widokiem miłym i kojącym. Droga się rozszerzyła, skrzyżowała z inną biegnącą w prawo i w lewo. Mary stała przez chwilę w niepewności, którą z nich wybrać. Naraz usłyszała oddech konia, zasapanego jak gdyby od szybkiego biegu.

Kopyta końskie, odbijające się od torfowiska, wydawały stłumiony, dudniący odgłos. Mary w napięciu czekała pośrodku drogi, zaskoczona niespodziewanymi dźwiękami. Po chwili z mgły wyłonił się jeździec, w otaczającym mroku nierzeczywisty jak widmo. Na widok dziewczyny skręcił raptownie i ściągnął konia, żeby ją wyminąć.

– Halo! – zawołał. – Kto to? Czy coś się stało?

Przechylił się na siodle, żeby lepiej ją zobaczyć, i wydał okrzyk zdumienia.

– Kobieta! Cóż pani tu robi?

Mary chwyciła wodze i uspokoiła spłoszonego konia.

– Czy może mnie pan wyprowadzić na gościniec? – spytała. – Jestem nie wiadomo ile mil od domu, zabłądziłam.

– Spokój! – nakazał koniowi jeździec. – Stójże wreszcie! Skąd się pani tu wzięła? Oczywiście, pomogę pani, jeśli zdołam.

Głos miał miękki, łagodny i Mary zorientowała się od razu, że musi to być człowiek wykształcony.

– Mieszkam w oberży Jamajka – powiedziała.

Ledwie jednak wyrzekła te słowa, już ich pożałowała. Teraz on na pewno nie zechce jej pomóc; sama nazwa oberży wystarczy, żeby zaciął konia i zostawił ją tutaj na pastwę losu. Jakaż była głupia!

Mężczyzna milczał przez chwilę, jak się zresztą spodziewała, ale kiedy znów przemówił, głos mu się wcale nie zmienił, był równie łagodny i uprzejmy jak przedtem.

– Oberża Jamajka – powiedział. – Daleko pani odeszła od gościńca. Musiała pani iść w przeciwnym kierunku. Jest pani w tej chwili po drugiej stronie wzgórz Hendra.

– To mi nic nie mówi – odparła. – Nigdy dotychczas tu nie byłam. Niemądrze zrobiłam, że w zimowe popołudnie zapuściłam się tak daleko. Będę wdzięczna, jeżeli pokaże mi pan właściwą ścieżkę, a jak już będę na trakcie, dojdę niedługo do domu.

Mężczyzna zastanawiał się chwilę, po czym zeskoczył z siodła na ziemię.

– Jest pani wyczerpana – rzekł. – Nie może już pani kroku zrobić, a co więcej, ja pani na to nie pozwolę. Do wsi już niedaleko i pojedzie pani tam konno. Zechce pani podać mi stopę, pomogę pani wsiąść.

W jednej sekundzie Mary siedziała w siodle, a on stał przy koniu, trzymając go za uzdę.

– Tak jest lepiej, prawda? – powiedział. – Musiała pani odbyć długą i ciężką wędrówkę przez torfowiska. Buty i dół spódnicy ociekają wodą. Pojedzie pani ze

mną do domu, wysuszy ubranie, odpocznie trochę i zje kolację, a potem sam zawiozę panią do Jamajki.

Mówił tonem tak troskliwym, a zarazem spokojnym, że Mary odetchnęła z ulgą i uwolniona chwilowo od wszelkiej odpowiedzialności, chętnie oddała mu się pod opiekę. On skrócił wodze, żeby jej było wygodniej, a kiedy podniósł przy tym głowę, ujrzała po raz pierwszy jego oczy spod runda kapelusza. Były to dziwne oczy, przejrzyste jak szkło i tak blade, że niemal białe; nigdy dotychczas takich nie widziała. Wpatrywały się w nią, nie mrugając, uporczywie, jak gdyby czytały w jej myślach, i Mary poczuła, że mu się poddaje, że mu ulega, lecz nie było to przykre uczucie. Włosy pod czarnym kapeluszem również miał białe i Mary odwzajemniła jego spojrzenie z pewnym zdziwieniem, gdyż twarz miał gładką, bez zmarszczek, a głos człowieka młodego.

Wtem, w przypływie zakłopotania, zrozumiała powód jego niezwykłego wyglądu i odwróciła oczy. Był albinosem.

Mężczyzna zdjął kapelusz.

– Może najlepiej będzie, jeżeli się przedstawię – rzekł z uśmiechem. – Wprawdzie spotkaliśmy się w szczególnych okolicznościach, ale zwyczaj wymaga prezentacji. Nazywam się Francis Davey i jestem pastorem w Altarnun.

7

Dom tchnął dziwnym spokojem, rzadko gdziekolwiek odczuwanym i trudnym do określenia. Był jak dom ze starej bajki, odkryty przez bohatera w letnią noc. Powinna go była otaczać gęstwina kolczastych krzewów, przez którą bohater musiałby torować sobie drogę nożem, a następnie powódź kwiatów o olbrzymich koronach, niepielegnowanych ludzką ręką. Gigantyczne paprocie winny rosnać pod oknami, paprocie i białe lilie na długich łodygach. W bajce broniłby też dostępu bluszcz okrywający szczelnie mury, a sam dom pogrążony byłby we śnie od tysiąca lat.

Mary uśmiechnęła się do swych rojeń i znów wyciągnęła ręce w kierunku płonących na kominku wielkich szczap. Cisza sprawiała jej przyjemność, koła znużenie i usuwała strach. Jakże odmienny był to świat od Jamajki! Tam cisza była złowroga, agresywna, niezamieszkane pokoje wydzierały odór stęchlizny. Tutaj było inaczej. Pokój, w którym siedziała, tchnął bezosobowym spokojem bawialni, do której weszło się w nocy. Meble, stół pośrodku, obrazy na ścianach nie miały owego wyglądu przedmiotów dobrze znanych, należących do pory dziennej; sprawiały wrażenie śpiących istot, ujranych niespodzianie o północy. Mieszkali tu niegdyś ludzie, szczęśliwi, zadowoleni ze swego losu: starzy proboszcze z butwiejącymi księgami pod pachą, a tam, przy oknie, siwowłosa kobieta w ciemnej sukni pochylała się, nawlekając igłę. Wszystko to było bardzo dawno. Śpią teraz na cmentarzu za bramą, imion ich nie można już odczytać na

porośniętych mchem płytach. Odkąd odeszli, dom zamknął się w sobie i umilkł, a człowiek, który tu mieszka, pozwolił, aby charakter nadany tym wnętrzom przez poprzednich mieszkańców pozostał bez zmiany.

Mary obserwowała pastora, kiedy nakrywał do stołu przed kolacją, i myślała o tym, jak mądrze się wtopił w atmosferę domu. Inny człowiek byłby pewnie gawędził albo pobrzękiwał filiżankami, chcąc przerwać dokuczliwą ciszę. Ogarnęła spojrzeniem ściany bez wiszących zazwyczaj w takich domach obrazów o tematach biblijnych, wypolerowany blat biurka, wolny od papierów, i książki kojarzące się jej z centralnym pokojem parafii. W kącie na sztalugach stał niedokończony widok stawu w Dozmary. Malowano go w dżdżysty, bezwietrzny dzień przy niebie zasnutym chmurami, toteż woda nie lśniła, była zupełnie matowa. Pejzaż przyciągał wzrok Mary. Nie znała się na malarstwie, ale obraz miał w sobie sugestywność i niemal czuła krople deszczu na twarzy. Pastor zauważył widać, na co Mary patrzy, podszedł bowiem do sztalug i odwrócił obraz.

– Proszę na to nie patrzeć – rzekł. – Robiłem to naprędce i nie zdążyłem dokończyć. Jeżeli lubi pani obrazy, pokażę pani coś lepszego. Ale przede wszystkim zje pani kolację. Proszę nie wstawać. Przysunę stół do pani.

Nie była przyzwyczajona, aby jej usługiwano, ale on robił wszystko tak zręcznie, bez cienia ostentacji, że wydawało się to rzeczą naturalną, powszednią i Mary nie czuła zakłopotania.

– Hannah mieszka we wsi – wyjaśnił. – Odchodzi stąd codziennie o czwartej. Wolę być sam. Lubię sobie przygotowywać kolację, w dodatku mogę ją jeść, kiedy mam ochotę. Na szczęście upiekła dziś szarlotkę. Żywię nadzieję, że da się zjeść; wypieki Hannah nie są nadzwyczajne.

Nalał Mary filiżankę gorącej herbaty i dodał do niej łyżkę śmietanki. Mary nie potrafiła się oswoić z widokiem jego białych włosów i przezroczystych oczu. Stanowiły rażący kontrast z głosem, a czarny strój duchownego jeszcze bardziej ten kontrast podkreślał. Dziewczyna była wciąż zmęczona i dziwnie się czuła w obcym otoczeniu, on zaś milczał, nie chcąc jej niepokoić. Jedząc, raz po raz zerkała na niego znad filiżanki herbaty, lecz on zapewne wyczuł to natychmiast, bo zwracał ku

niej swe zimne, białe spojrzenie – niczym bezosobowe, przenikliwe spojrzenie ślepcy – a wtenczas ona znów spoglądała ponad jego ramię na bladozielone ściany lub na sztalugi w kącie.

– To istne zrzędzenie losu, że spotkałem panią dziś na torfowiskach – rzekł wreszcie, kiedy Mary odsunęła talerz i skuliła się znów w fotelu, ściskając podbródek ręką. Od ciepła w pokoju i od gorącej herbaty zrobiła się senna, słyszała jego łagodny głos jakby z daleka. – W związku z moją pracą muszę czasem odwiedzać najdalej położone domy i farmy – mówił dalej pastor. – Dziś po południu pomogłem przyjść na świat dziecku. Będzie żyło, matka również. Twardzi są ci ludzie z torfowisk i nie dbają o wygody. Może pani sama już to zauważyła. Mam dla nich wiele szacunku.

Mary nic nie odpowiedziała. Towarzystwo, które zbierało się w Jamajce, nie budziło w niej bynajmniej szacunku. Zastanawiała się, skąd pochodzi zapach róż wypełniający pokój, gdy wtem zauważyła wazę suszonych płatków na stoliku obok swego fotela. On odezwał się znowu głosem równie łagodnym jak przedtem, lecz teraz zabrzmiało w nim naleganie.

– Czemu błąkała się pani wieczorem po torfowisku?

Mary otrząsnęła się z odrętwienia i spojrzała mu w oczy. Spoglądały na nią z bezgranicznym współczuciem i zapragnęła zdać się na ich łaskę.

Sama nie rozumiejąc, jak to się stało, usłyszała swoją odpowiedź:

– Jestem w okropnym kłopotcie. Chwilami zdaje mi się, że będzie ze mną to samo, co z moją ciotką: że stracę rozum. Ksiądz pastor słyszał może tu, w Altarnun, różne pogłoski, ale pewnie zbywał je wzruszeniem ramion. Jestem w Jamajce niewiele ponad miesiąc, ale mam wrażenie, że to już dwadzieścia lat. Najbardziej się martwię o ciotkę. Gdybym mogła ją stąd zabrać! Ale ona nie opuści wuja Jossa, mimo że ją tak traktuje. Co wieczór, idąc spać, zastanawiam się, czy obudzi mnie turkot furgonów. Za pierwszym razem przyjechało ich sześć czy siedem, przywiozły skrzynie i worki, które mężczyźni złożyli w zamkniętym pokoju na końcu korytarza. Tej nocy zabito człowieka. Widziałam sznur zwisający

z belki w barze... – Urwała, gorący rumieniec zalał jej twarz. – Nie mówiłam o tym dotychczas nikomu – dodała. – Musiałam w końcu powiedzieć. Nie mogę dłużej żyć z tą tajemnicą. Nie powinnam była nic mówić. Popełniłam rzecz okropną.

On przez chwilę nie odpowiadał, poczekał, aż dziewczyna się uspokoi, a wtedy sam zaczął mówić wolno, łagodnie, jak ojciec, który pociesza przerażone dziecko.

– Niech się pani nie lęka – rzekł. – Pani tajemnica zostanie zachowana. Oprócz mnie nikt się o tej sprawie nie dowie. Jest pani bardzo zmęczona i to moja wina, że wprowadziłem panią do ciepłego pokoju i zmusiłem do jedzenia. Powinienem był położyć panią do łóżka. Musiała się pani błąkać po torfowiskach przez wiele godzin, a między Altarnun i Jamajką jest bardzo dużo niebezpiecznych miejsc, w ogóle trzęsawiska są o tej porze roku najniebezpieczniejsze. Kiedy pani odpocznie, zawiozę panią bryczką do domu i sam wytłumaczę wszystko oberżycie, jeżeli tylko pani pozwoli.

– O nie, nie! – zawołała Mary. – Jeżeli domyśli się choćby połowy tego, co dzisiaj zrobiłam, zabije mnie i pana również. Pan nie rozumie. To straceniec, nie cofnie się przed niczym. Nie, w najgorszym razie postaram się wdrapać na ganek, a stamtąd przez okno do swego pokoju. On nie może się dowiedzieć, że byłam tutaj ani że pana spotkałam.

– Czy aby nie ponosi pani wyobraźnia? – rzekł pastor. – Myśli pani pewnie, że jestem oziębły i nieczuły, wiem, ale żyjemy przecież w dziewiętnastym wieku i ludzie nie mordują się nawzajem bez powodu. Mam chyba prawo zawieźć panią gościńcem, takie samo jak pani wuj. Ale skoro już zaszliśmy tak daleko, czy nie sądzi pani, że lepiej będzie, jeśli wysłucham do końca całej historii? Jak się pani nazywa i od jak dawna mieszka w Jamajce?

Mary ogarnęła spojrzeniem blade oczy w bezbarwnej twarzy, aureolę dość krótko przyciętych białych włosów i pomyślała znów, jak dziwnym fenomenem natury jest ten człowiek, który może mieć równie dobrze lat dwadzieścia jeden jak sześćdziesiąt i którego miękki, sugestywny głos potrafiłby zmusić ją do wyznania

wszystkich najskrytszych tajemnic. Mogła mu ufać, tego przynajmniej była pewna. Zwlekała jednak, szukając właściwych słów.

– No, śmiało – ponaglił ją z uśmiechem. – Słyszałem w życiu niejedną spowiedź. Nie tu, w Altarnun, ale w Irlandii i Hiszpanii. Pani opowieść nie zadziwi mnie tak bardzo, jak pani sądzi. Istnieją inne światy poza oberżą Jamajka.

Słowa jego sprawiły, że spokorniała i zawstydziała się trochę. Miała wrażenie, że on mimo delikatności i dobroci pokpiwa z niej i w głębi duszy ma ją za młodocianą histeryczkę. Zaczęła więc czym prędzej opowiadać urywanymi, nieporadnymi zdaniami, opisując najpierw ów pierwszy sobotni wieczór w barze i powracając następnie do dnia swego przyjazdu. Opowieść brzmiała nieprzekonywająco nawet dla niej samej, a wielkie znużenie utrudniało jeszcze sprawę, toteż ustawicznie brakowało jej słów, musiała robić pauzy, namyślać się, powtarzała rzeczy raz już powiedziane. Pastor cierpliwie wysłuchał wszystkiego do końca, nie robiąc uwag ani nie zadając pytań, wciąż jednak czuła na sobie badawcze spojrzenie jego białych oczu. Strach, który przeżywała, ustawiczna udręka i rozterka wydawały się, gdy teraz sama siebie słuchała, rojeniami bujnej wyobraźni, rozmowa zaś w barze między wujem a nieznanym stała się wręcz stekiem bzdur. Wyczuwała raczej, niż dostrzegała, niedowierzenie pastora, starała się więc rozpaczliwie stuszować tę tak śmieszna teraz i przesadnie barwną historię, w rezultacie czego wuj, ten czarny charakter całej opowieści, stał się tylko zwykłym, niewylewającym za kołnierz wiejskim despotą, który raz na tydzień sprawia żonie lanie, furgony zaś utraciły swą grozę, zamieniając się w normalne wozy ciężarowe, jadące nocą, żeby przyspieszyć dostawę towarów. Wizyta dziedzica z North Hill rankiem tego dnia zachowała pewną siłę wyrazu, ale pusty pokój znów podważył wiarygodność sprawy i w końcu jedyną prawdopodobną częścią relacji było opowiadanie o tym, jak Mary zabłądziła wieczorem na torfowiskach.

Kiedy skończyła, pastor wstał i zaczął chodzić po pokoju. Pogwizdywał cichutko i bawił się obluzowanym, zwisającym na nitce guzikiem przy surducie. Wreszcie stanął plecami do kominka i spojrzał na Mary, ale z oczu jego nie potrafiła nic wyczytać.

– Wierzę pani oczywiście – rzekł po chwili. – Nie wygląda pani na kłamczynię i wątpię, czy wie pani w ogóle, co znaczy słowo „historia”. Ale w sądzie całej tej historii nie dano by wiary, w każdym razie nie w tej formie, w jakiej ją pani tu opowiedziała. Za bardzo zakrawa na bajkę. I jeszcze jedno: to oburzające, wszyscy zdajemy sobie sprawę, ale przemyt uprawia się w całym kraju, a większość urzędników i sędziów ciągnie z niego pokaźne zyski. Gorsząca rewelacja, co? Mogę jednak zapewnić, że tak jest. Gdyby istniały surowsze prawa, kontrola byłaby ściślejsza i przytulne gniazdko pani wuja w Jamajce dawno by zostało zlikwidowane. Miałem okazję rozmawiać parę razy z panem Bassatem, sądzę, że to uczciwy człowiek, ale mówiąc między nami, dość głupi. Odgraża się, gada, i na tym koniec. Jestem przekonany, że słowem nie piśnie nikomu o dzisiejszej porannej wyprawie. Nie miał najmniejszego prawa wdzierać się do oberży i rewidować pokoi, jeżeli się więc rozejdzie, że się na to ważył i nic nie wskórał, stanie się pośmiewiskiem całej okolicy. Jednakże coś mogę pani powiedzieć: jego odwiedziny z pewnością napędziły stracha pani wujowi i teraz na jakiś czas przycichnie. Furgony nieprędko przyjadą do Jamajki, myślę, że może pani być tego pewna.

Mary słuchała jego wywodów z pewnym niepokojem. Spodziewała się, że skoro uwierzył w prawdziwość jej słów, będzie zgorszony i przerażony, on jednak rozprawiał na ten temat z niezmaconym spokojem, traktując całą historię jako rzecz najzupełniej normalną.

Musiał dostrzec na jej twarzy wyraz zawodu, bo przemówił znowu:

– Mógłbym oczywiście pojechać do pana Bassata i powtórzyć mu to, co mi pani opowiedziała. Ale jeśli nie uda mu się przyłapać pani wuja przy robocie, to znaczy w chwili, gdy furgony będą stały na dziedzińcu, niewielka jest szansa, aby go skazano. Musi to pani sobie należycie uświadomić. Spodziewała się pani ode mnie pomocy, rozumiem, ale sytuacja jest bardzo trudna pod każdym względem. Przy tym nie chce pani wplątywać w to ciotki, a nie widzę sposobu, w jaki dałoby się tego uniknąć, gdyby doszło do aresztowania.

– Więc co, zdaniem księdza pastora, mam robić? – spytała bezradnie Mary.

– Na pani miejscu czekałbym – odparł. – Proszę uważnie obserwować wuja i kiedy furgony w końcu znów przyjadą, natychmiast mnie o tym powiadomić. Postanowimy wspólnie, jak najlepiej postąpić. To znaczy jeśli zaszczyci mnie pani swoim zaufaniem.

– A co z tym nieznanym, który zniknął? Zamordowano go, jestem tego pewna. Chce ksiądz pastor powiedzieć, że i w tej sprawie nic się nie da zrobić?

– Niestety nic, chyba że znaleziono by zwłoki, co jest bardzo mało prawdopodobne – rzekł pastor. – Zresztą może go wcale nie zamordowano. Proszę mi darować, ale myślę, że tutaj puściła pani wodze wyobraźni. Cóż pani widziała? Skrawek sznura, nic więcej. Gdyby widziała pani, jak tego człowieka zabito czy choćby zraniono, rzecz przedstawiałaby się zupełnie inaczej.

– Słyszałam, jak wuj mu groził – upierała się Mary. – Czy to nie wystarczy?

– Moje dziecko, ludzie odgrażają się sobie dzień w dzień przez okrągły rok, ale się ich za to nie wiesza. Teraz proszę mnie posłuchać. Jestem pani przyjacielem, może mi pani ufać. Jeżeli kiedykolwiek coś panią zaniepokoi czy przerazi, chciałbym, żeby przyszła pani do mnie i o wszystkim mi opowiedziała. Sądząc z dzisiejszych wyczynów, nie boi się pani chodzić pieszo, a do Altarnun jest tylko parę mil traktem. Jeżeli tak się złoży, że mnie akurat nie będzie w domu, Hannah zaopiekuje się panią. Tak się umawiamy, dobrze?

– Dziękuję, bardzo dziękuję.

– Teraz proszę włożyć znów pończochy i buty, a ja tymczasem pójdę do stajni i przygotuję dwukólkę. Odwiozę panią do Jamajki.

Myśl o powrocie do Jamajki była dla Mary okropna, ale rozumiała, że musi się z nią pogodzić. Nie wolno tylko porównywać tego zacisznego pokoju, trzaskającego ognia w kominku, wygodnego, głębokiego fotela z zimnymi korytarzami Jamajki i nędzną komórką nad gankiem. Należy pamiętać o jednym – może tu wrócić, kiedy zechce.

Noc była pogodna. Ciemne chmury rozwiały się, niebo lśniło od gwiazd. Mary siedziała obok pastora na wysokim koźle dwukółki, otulona ciepłym paltem

z aksamitnym kołnierzem. Nie był to ten sam koń, na którym Francis Davey jechał, kiedy spotkała go na torfowisku, lecz wielki siwek, najedzony i wypoczęty, toteż pędził jak wichur. Dziwna to była jazda, upajająca. Wiatr dał Mary w twarz, szczypiąc policzki. Z Altarnun jechali pod górę zrazu wolno, gdyż wzgórze było strome, skoro się jednak znaleźli na trakcie, zwróceniu w kierunku Bodmin, pastor zaciął konia biczem, aż ten położył uszy po sobie i pogalopował jak szalony.

Kopyta zagrzmiały na twardej białej drodze, wzbijając kłęby pyłu, a Mary wskutek wstrząsu znalazła się tuż przy towarzyszu. Ten nie próbował wcale ściągnąć wodzy i Mary, podnosząc ku niemu głowę, spostrzegła, że pastor się uśmiecha.

– Dalej – powtarzał – dalej, potrafisz biec jeszcze prędzej!

W głosie jego brzmiało tłumione podniecenie, jak gdyby mówił do siebie. Efekt był dziwny, zaskakujący, Mary poczuła się opuszczona, jak gdyby pastor przeniósł się do innego świata i zapomniał o jej istnieniu.

Ze swego miejsca po raz pierwszy mogła oglądać go z profilu. Miał rzeźbione rysy, pięknie zarysowany cienki nos – może to tylko kaprys natury, która stworzyła go tak białym, sprawiając, że wydawał się zupełnie odmienny od wszystkich mężczyzn, jakich dotychczas znała.

Pochylony do przodu na siedzeniu, w pelerynie powiewającej na wietrze, z ramionami niby skrzydła, wyglądał jak ptak. Mary wciąż nie mogła określić, ile też on ma lat. Naraz uśmiechnął się do niej i znów stał się ludzką istotą.

– Kocham torfowiska – powiedział. – Pani oczywiście poznała je w złym czasie, więc nie może mnie zrozumieć. Gdyby jednak znała je pani tak jak ja, pokochałaby je pani również. Żadna inna dzielnica naszego kraju nie jest tak fascynująca. Torfowiska są bardzo stare. Czasem zdaje mi się, że są zabytkiem z innej ery. Zostały stworzone najpierw, po nich dopiero przyszły lasy, doliny i morza. Proszę wejść na Roughtor któregoś dnia przed świtem i posłuchać śpiewu wiatru wśród skał. Zrozumie pani wtedy, co mam na myśli.

Mary wciąż myślała o pastorze z jej stron rodzinnych. Był to pogodny człowiek z czeredą dzieci kubek w kubek podobnych do niego, a jego żona robiła znakomite powidła śliwkowe. W dzień Bożego Narodzenia wygłaszał zawsze to samo kazanie, które parafianie umieli na pamięć i mogliby mu podpowiedzieć w każdym miejscu, gdyby zapomniał co dalej. Ciekawa była, jakie kazania wygłasza Francis Davey w swoim kościele w Altarnun. Czy prawi o wzgórzu Roughtor i o świetle padającym na staw w Dozmary? Dotarli teraz do miejsca, w którym droga biegła w dół, tam gdzie grupa drzew okalała dolinę rzeki Fowey. Przed nimi był znów wjazd na wysoki, nieosłonięty teren. Mary widziała już strzeliste kominy Jamajki rysujące się na tle nieba.

Jazda dobiegła końca, powróciły przygnębienie, lęk, nienawiść do wuja. Pastor zatrzymał konia tuż przed dziedzińcem.

– Nie widać nikogo – rzekł cicho. – Dom jak wymarły. Mam sprawdzić, czy drzwi otwarte?

Mary zaprzeczyła ruchem głowy.

– Drzwi są zawsze zaryglowane – powiedziała – a okna zamknięte. Mój pokój jest nad gankiem. Mogę się tam wdrapać, jeżeli pozwoli mi ksiądz pastor oprzeć się na swoim ramieniu. Dostawałam się w domu do trudniej dostępnych miejsc. Okno u góry mam otwarte, jak będę na ganku, to już sobie poradzę.

– Zsunie się pani z tej śliskiej dachówki – odparł pastor. – Nie pozwolę pani tam się wspinać. To bez sensu. Czy nie ma innego sposobu? Może z tamtej strony?

– Drzwi baru są na pewno zaryglowane, kuchenne także – rzekła Mary. – Możemy podejść tam cichutko, żeby się upewnić.

Poprowadziła go na tyły domu, naraz jednak odwróciła się i przyłożyła palec do ust.

– W kuchni pali się światło – szepnęła. – To znaczy, że wuj tam jest. Ciotka zawsze kładzie się wcześniej. W oknach nie ma zasłon, jeżeli tędy przejdziemy, zobaczy nas.

Przywarła plecami do muru. Pastor dał jej znak, żeby się nie ruszała.

– Dobrze – powiedział. – Postaram się, żeby mnie nie zobaczył. Zajrzę do okna.

Posunął się cicho naprzód i przez chwilę stał, zaglądając do wnętrza kuchni. Potem przywołał ją ruchem ręki. Uśmiechał się tym samym dziwnym uśmiechem, który zauważyła już u niego przedtem. Twarz pod czarnym kapeluszem miał bardzo bladą.

– Nie będzie dziś żadnych rozmów z gospodarzem Jamajki – rzekł.

Mary przycisnęła twarz do szyby. Kuchnia oświetlona była jedną jedyną świecą, krzywo osadzoną w butelce. Świeca ta do połowy się wypaliła i z boków jej zwisały grube sople zastygłego wosku. Płomyk chwiał się i chybotał w powiewie z otwartych na oścież drzwi do ogrodu. Joss Merlyn na pół leżał, wsparty na stole w pijackim odrętwieniu, kapelusz zsunięty miał na tył głowy. Oczy, zamglone i nieruchome niczym oczy trupa, wpatrywały się w światło. Inna butelka, z odbitą szyjką, leżała na stole obok pustej szklanki. Torf na kominku zupełnie już spopieliał.

Francis Davey wskazał otwarte drzwi.

– Może pani spokojnie wejść i iść na górę – powiedział. – Wuj na pewno pani nie zobaczy. Niech pani zamknie za sobą drzwi i zgasi świecę. Tego tylko brakowało, żeby tu wybuchł pożar. Dobranoc, panno Mary. Jeżeli będzie pani kiedykolwiek w kłopotcie i uzna, że mogę się przydać, czekam na panią w Altarnun.

Skręcił za róg domu i znikł jej z oczu.

Mary na palcach weszła do kuchni i zamknęła starannie drzwi. Mogła je równie dobrze zatrzasnąć, hałas nie obudziłby wuja.

Znajdował się w swoim królestwie niebieskim, nieobecny na ziemi. Mary zgasiła stojącą przy nim świecę i zostawiła go w ciemnościach.

8

Joss Merlyn pił przez pięć dni. Był przeważnie nieprzytomny i leżał wyciągnięty na posłaniu, które Mary i ciotka urządziły mu w kuchni. Spał z otwartymi ustami i jego chrapanie słychać było w pokojach na górze. Około piątej po południu budził się na jakieś pół godziny, wołał o wódkę i szlochał jak dziecko. Żona podchodziła do niego natychmiast, uspokajała go, poprawiała mu poduszki. Dawała mu trochę słabej mieszanki brandy z wodą, przemawiała do niego czule jak do chorego dziecka, przykładając mu szklankę do ust, a on rozglądał się nabiegłymi krwią oczami, mruzczał coś do siebie i wstrząsał się jak pies.

Ciotka Patience była zupełnie odmieniona, dawała dowody opanowania i przytomności umysłu, o jakie Mary nigdy by jej nie podejrzewała. Pielęgnowała męża z całkowitym poświęceniem. Musiała wszystko przy nim robić i Mary z uczuciem obrzydzenia patrzyła, jak ciotka zmienia mu pościel i bieliznę, sama bowiem nie zdobyłaby się na to, żeby do wuja podejść. Ciotka wszakże traktowała wszystko jak rzecz zupełnie naturalną, a przekleństwa i wrzaski, którymi mąż ją witał, nie robiły na niej żadnego wrażenia. Tylko w takich chwilach bowiem miała go w swej władzy, on zaś bez oporu pozwalał zmywać sobie czoło ręcznikiem umoczone w gorącej wodzie. Następnie otulała męża czystym kocem, przyczesywała mu zmierzwiłone włosy i po kilku minutach znów zasypiał z zaczerwienioną twarzą i otwartymi ustami, chrapiąc jak byk. Niepodobna było siedzieć w kuchni, toteż Mary i ciotka spędzały większość czasu w małym,

nieużywanym salonie. Ciotka po raz pierwszy stała się dla Mary niemal towarzyszką. Gawędziła wesoło o dawnych czasach w Helfordzie, kiedy wraz z matką Mary była jeszcze panną; poruszała się po domu lekko i zwinnie, a czasem nawet, chodząc po kuchni i z powrotem, nuciła urywki starych hymnów. Jak się okazało, Joss Merlyn miewał takie napady pijaństwa mniej więcej co dwa miesiące. Dawniej zdarzały się rzadziej, teraz stały się częstsze i ciotka nigdy nie była pewna, kiedy się taki atak zacznie. Powodem obecnego napadu była wizyta dziedzica Bassata – gospodarz był bardzo zły i zdenerwowany, mówiła ciotka, i kiedy o szóstej po południu wrócił do domu, poszedł prosto do baru. Wiedziała już wtedy, co z tego wyniknie.

Ciotka Patience bez zastrzeżeń przyjęła opowiadanie Mary o tym, jak zabłądziła na torfowiskach. Powiedziała tylko siostrzenicy, żeby się wystrzegą moczarów, i więcej do tematu nie powracała. Mary doznała wielkiej ulgi. Nie chciała opowiadać szczegółów przygody i postanowiła nic nie mówić o spotkaniu z pastorem z Altarnun. Tymczasem Joss Merlyn leżał nieprzytomny w kuchni, obydwie spędziły więc pięć względnie spokojnych dni.

Panujące przez ten czas zimno i szaruga nie zachęcały do wychodzenia z domu, ale na piąty dzień wiatr zelżał, zaświeciło słońce i mimo niedawnej przykrej przygody Mary postanowiła znów wyruszyć na torfowiska. Gospodarz obudził się o dziewiątej rano i wrzeszczał na cały głos, a hałas, w połączeniu z fetorem z kuchni, wypełniającym teraz cały dom, i widokiem ciotki zbiegającej z górnego piętra z czystymi kocami przerzuconymi przez ramię, sprawił, że Mary ogarnął nagle gwałtowny przyływ niechęci i odrazy do całej tej historii.

Wstydząc się nielojalności wobec ciotki, zawinęła mimo to w serwetkę kawałek chleba, wymknęła się z domu i przeszła przez trakt. Tym razem zmierzała ku Torfowiskom Wschodnim w kierunku Kilmaru, a mając do dyspozycji cały dzień, nie lękała się, że zabłądzi. Przedmiotem jej rozmyślań był ustawicznie Francis Davey, dziwny pastor z Altarnun. Uświadomiła sobie, jak niewiele na swój temat powiedział, a jednocześnie w ciągu jednego wieczoru wydobył z niej dzieje całego jej życia. Myślała o tym, jak niesamowicie musiał wyglądać, kiedy malował pejzaż

nad brzegiem Dozmary; był pewnie bez kapelusza, białe włosy tworzyły mu aureolę wokół głowy, a mewy nadlatujące znad morza przemykały tuż nad powierzchnią jeziora. Wyglądał chyba jak prorok Eliasza na pustkowiu.

Ciekawa była, co skłoniło go do przyjęcia święceń kapłańskich i czy mieszkańcy Altarnun go kochają. Zbliżało się Boże Narodzenie, w Helfordzie ludzie z pewnością zdobią już kościół mirtem, jedliną i jemiolą. Wkrótce zacznie się pieczenie ciast, tuczenie indyków i gęsi. Mały pastor z uroczystą miną będzie uśmiechał się promiennie do całego świata, a po wieczerzy wigilijnej wstanie i tarniówką wypije zdrowie wszystkich swoich parafian. Czy Francis Davey przystraja mirtem swój kościół i czy prosi Boga o błogosławieństwo dla parafian?

Jedno jest pewne – w Jamajce święta nie będą wesołe.

Mary szła ponad godzinę, gdy naraz stanęła jak wryta; drogę zagroził jej strumień, który dzielił się tu na dwie strugi biegnące w przeciwległych kierunkach. Strumień płynął doliną między wzgórzami, otaczały go mokradła. Okolica była jej mniej więcej znana, bo spojrzawszy dalej za gładki zielony stok wznoszącego się tuż przed nią wzgórza, ujrzała wielką rozszczępioną rękę Kilmaru, wskazującą palcami niebo. Patrzyła znów na bagnisko Trewartha, dokąd zawędrowała owej pierwszej soboty, ale tym razem zwrócona była twarzą na południowy wschód, a wzgórza w świetle słońca wyglądały inaczej. Strumień szemrał wesoło po kamieniach, na płytszym zaś miejscu koło brodu widniała brama. Bagnisko rozpościerało się po lewej ręce Mary. Lekki wiatr kołysał wysoką trawą, która szeleściła i wzdychała, a na tle bladej, kuszącej zieleni odcinały się kępy trawy sztywnej, o grubych żółtych źdźbłach z brązowymi czubkami.

Były to właśnie zdradliwe trzęsawiska, nęcące swą pozorną twardością, jednakże gdyby się na nie wstąpiło, noga zapadłaby się od razu, a marszczące się tu i ówdzie kałuże przejrzystej wody spieniłyby się i szerniały.

Mary odwróciła się plecami do bagniska i przeszła przez bramę do brodu. Starła się trzymać wyższego terenu, idąc brzegiem strumienia przez wąską, krętą dolinę. Na niebie nie było dziś prawie obłoków, które by rzucały cień, toteż torfowiska rozpościerały się przed nią żółte w promieniach słońca jak piasek.

Samotny kulik stał w zadumie nad strumieniem i patrzył na swe odbicie w wodzie, potem z niewiarygodną szybkością zanurzył dziób w miękkim błocie, odwrócił łebek, podciągnął pod siebie nogi, z żalnym krzykiem wzbił się w powietrze i uleciał na południe.

Coś go musiało spłoszyć i Mary po chwili zrozumiała, co to było. Gromadka kuców zbiegła ze wzgórza i wpadła do strumienia, żeby się napić wody. Pluskały się hałaśliwie wśród kamieni, potraçały i przepychały, ogony ich powiewały na wietrze. Musiały wybiec z bramy opodal, otwartej na oścież i podparte kamieniem, a prowadzącej na błotnistą drogę polną.

Mary stała, przyglądając się kucom, i kącikiem oka dostrzegła schodzącego w dół mężczyznę z wiadrem w każdej ręce. Miała już ruszyć dalej, kiedy mężczyzna zaczął wymachiwać wiadrem i coś do niej wołać.

Był to Jem Merlyn. Nie zdążyłaby już uciec, stała więc w miejscu, dopóki się do niej nie zbliżył. Miał na sobie brudną koszulę, która nigdy chyba nie zetknęła się z balią, i mocno zniszczone spodnie, okryte włosiem końskim i grudkami zaschniętej ziemi. Nie nosił marynarki ani czapki, a zarost na policzkach wskazywał, że nie golił się od wielu dni. Roześmiał się, błyskając zębami, i w tej chwili wyglądał pewnie zupełnie tak samo jak jego brat przed dwudziestu laty.

– A więc jednak trafiłaś do mnie – powiedział. – Nie spodziewałem się ciebie tak prędko, bobym upiekł chleb na twoją cześć. Nie myłem się od trzech dni i żywię się tylko kartoflami. Masz, trzymaj to wiadro.

Nim zdążyła zaprotestować, wcisnął jej do ręki wiadro i skoczył za kucami do wody.

– Jazda stąd! – krzyknął. – Mąćcie mi wodę do picia! No, zjeżdżaj, ty czarny diable!

Brzegiem wiadra uderzył największego kuca po zadzie, na co wszystkie wyskoczyły z wody i wierzgając kopytami, pogalopowały w górę zbocza.

– Moja wina, że nie zamknąłem bramy – rzucił w stronę Mary. – Przynies no drugie wiadro. Woda po tamtej stronie strumienia jest dość czysta.

Mary zniosła mu wiadro. Napełnił obydwą, uśmiechając się do niej przez ramię.

– Co byś zrobiła, gdybyś mnie nie zastała w domu? – spytał, ocierając twarz rękawem.

Mary uśmiechnęła się mimo woli.

– Nie miałam pojęcia, że tu mieszkasz – odparła. – I z pewnością nie miałam zamiaru cię szukać. Gdybym wiedziała, skręciłabym w lewo.

– Ani trochę ci nie wierzę – oświadczył. – Wyszłaś z domu w nadziei, że mnie zobaczysz, i nie udawaj, że jest inaczej. No, przyszedłaś w samą porę, żeby mi ugotować obiad. Mam w kuchni kawałek baraniny.

Poprowadził ją w górę błotnistą drogą. Skręciwszy w prawo, doszli do małego domku na zboczu. Dalej były prymitywne budynki gospodarcze i skrawek ziemi pod kartofle. Z niskiego komina wydobywał się dym.

– Ogień rozpalony, więc ugotowanie baraniny nie zabierze ci chyba dużo czasu. Mam nadzieję, że umiesz gotować? – rzekł.

Mary zmierzyła go spojrzeniem.

– Zawsze tak wyzyskujesz gości? – spytała.

– Rzadko mam okazję – odparł. – Ale ty możesz wejść, skoro już tu jesteś. Sam sobie gotuję, odkąd matka umarła, a od tego czasu nie wchodziła tu nigdy żadna kobieta. No, wejdź.

Ruszyła za nim, podobnie jak on pochylając głowę pod niską framugą drzwi.

Kuchnia była mała, kwadratowa, o połowę mniejsza od kuchni w Jamajce. W kącie mieścił się wielki otwarty kominek. Podłoga była brudna i zaśmiecona: poniewierały się tu obierki kartofli, głąby kapuściane, okruchy chleba. Po całym pomieszczeniu porozrzucone były różne przedmioty, a wszystko pokrywała warstwa popiołu torfowego.

Mary rozejrzała się przerażona.

– Nigdy tu nie sprzątasz? – spytała. – Ta kuchnia wygląda jak chlew. Powinieneś się wstydzić. Daj to wiadro wody i znajdź mi szczotkę. Nie będę jadła

obiadu w takim śmietniku.

Zabrała się od razu do roboty, nie mogąc przy swym zamiłowaniu do czystości i porządku znieść panującego tu brudu i nieładu. Po półgodzinie kuchnia była odmieniona, wilgotna kamienna posadzka lśniła jak złoto, po śmieciach nie został ślad. Mary znalazła w szafie naczynia i skrawek obrusa, którym nakryła stół, gdy tymczasem baranina gotowała się w saganie na ogniu wraz z ziemniakami i rzepą.

Rozchodził się od niej smakowity zapach, toteż Jem stanął w drzwiach, węsząc jak zgłodniały pies.

– Będę musiał postarać się o kobietę – powiedział. – Już to widzę. Może opuścisz ciotkę i przeniesiesz się do mnie?

– Za dużo musiałbyś mi płacić – odrzekła Mary. – Zażądałabym tyle, że nigdy nie starczyłoby ci pieniędzy.

– Kobiety zawsze są chciwe – stwierdził, siadając przy stole. – Co robią z pieniędzmi, nie mam pojęcia, bo nigdy ich nie wydają. Moja matka była taka sama. Chowala je w starej pończosze i nigdy ich na oczy nie widziałem. Pośpiesz no się z obiadem, głodny jestem jak wilk.

– Tak ci pilno? – rzuciła Mary. – Ale ani słowa podziękowania za to, że ci ten obiad ugotowałam. Zabierz łapy, talerz jest gorący.

Postawiła przed nim dymiącą baraninę, on zaś ze smakiem oblizwał wargi.

– Trzeba przyznać, że dobrze cię wyuczyli tam, skąd pochodzisz – rzekł. – Zawsze mówię, że kobiety powinny mieć wrodzone zdolności do dwóch rzeczy, a jedną z nich jest gotowanie. Daj mi wody, dobrze? Dzban jest za drzwiami.

Mary przedtem już naląła kubek wody i teraz podała mu go bez słowa.

– Wszyscyśmy się tu urodzili – powiedział Jem, ruchem głowy wskazując na sufit. – W pokoju na górze. Ale Joss i Matt byli już dorośli, kiedy ja byłem jeszcze pędrakiem i czepiałem się matczynej spódnicy. Ojca widywałem rzadko, ale gdy był w domu, od razu się to czuło. Pamiętam, jak raz rzucił w matkę nożem. Nóż zranił ją tuż nad okiem i krew spływała jej po twarzy. Przestraszyłem się, uciekłem i schowałem w tamtym kącie za kominkiem. Matka nic nie powiedziała. Obmyła

tylko oko wodą i zaraz podała ojcu kolację. Dzielną była kobietą, muszę jej to przyznać, chociaż mało mówiła i nigdy nie dawała nam pod dostatkiem jeść. Kiedy byłem mały, pieściła mnie trochę, pewnie dlatego, że byłem najmłodszy, więc bracia tłukli mnie, kiedy nie widziała. Ale ze sobą też wcale nie żyli dobrze – nie byliśmy nigdy kochającą się rodziną – i widziałem, jak Joss sprzął Matta tak, że ten nie mógł ustać na nogach. Matt to był dziwny gość, małomówny, podobny raczej do matki. Utonął w tamtym trzęsawisku. Można tam krzyczeć, aż płuca pękają, a nikt nie usłyszy, prócz ptaków i zbłąkanego konia. Sam raz o mało się tam nie utopiłem.

– Od jak dawna twoja matka nie żyje? – spytała Mary.

– Na Boże Narodzenie będzie siedem lat – odrzekł, dokładając sobie baraniny. – Jak ojca powieszono, Matt utonął, Joss wyjechał do Ameryki, a ja dorastałem dziki niczym jastrząb, no to matka w końcu zrobiła się pobożna i modliła się tu godzinami do Wszechmogącego. Nie mogłem tego znieść, więc się wyniosłem. Zamustrowałem się w Padstow na szkuner, trochę pływałem, ale okazało się, że mój żołądek nie lubi podróży morskich, i wróciłem do domu. Zastałem matkę chudą jak szkielet. „Powinnaś więcej jeść” – mówiłem jej, ale mnie nie słuchała, więc znowu wyjechałem. Jakiś czas mieszkałem w Plymouth, zdobywając różnymi sposobami po parę szylingów na utrzymanie. Przyjechałem tu, żeby zjeść wieczerzę wigilijną, i zastałem dom pusty, a drzwi zamknięte na kłódkę. Wściekły byłem. Od dwudziestu czterech godzin nic nie miałem w ustach. Poszedłem do North Hill, a tam powiedzieli mi, że matka umarła. Pochowano ją przed trzema tygodniami. Tyle było z mojej wieczerzy, mogłem równie dobrze zostać na Boże Narodzenie w Plymouth. Za tobą w szafce jest kawałek sera. Zjesz połowę? Już się w nim zalęgły robaki, ale ci nie zaszkodzą.

Mary pokręciła głową i nie ruszyła się z miejsca. Jem sam wstał i wyjął ser.

– Co ci jest? – zapytał. – Wyglądasz jak chora krowa. Nie służy ci baranina?

Mary patrzyła, jak wraca do stołu i kładzie plaster suchego sera na kromce czerstwego chleba.

– Szczęśliwa to będzie chwila, kiedy w Kornwalii nie zostanie już nikt z Merlynów – odezwała się w końcu. – Lepsza zaraza od takiej rodziny jak wasza. Ty i twój brat urodziliście się nienormalni, dziwni i źli. Czy nie myślisz nigdy o tym, ile musiała wycierpieć twoja matka?

Jem spojrzał na nią zdziwiony, chleb z serem znieruchomiał w pół drogi do ust.

– Matka miała się dobrze – powiedział. – Nigdy nie narzekała. Była do nas przyzwyczajona. Przecież wyszła za ojca w szesnastym roku życia, nie miała czasu na żadne cierpienia. Po roku urodził się Joss, potem zaraz Matt. Zajęta była ich wychowaniem, a kiedy już urosli, musiała zacząć wszystko od początku ze mną. Ja przyszedłem na świat przypadkiem. Ojciec upił się na jarmarku w Launceston po sprzedaniu trzech krów, które wcale do niego nie należały. Gdyby nie to, nie siedziałbym tutaj i nie rozmawiał z tobą w tej chwili. Podaj no kubek.

Mary zjadła już. Wstała i zaczęła w milczeniu sprzątać talerze ze stołu.

– Jak się miewa pan gospodarz Jamajki? – spytał Jem, odchylając się wraz z krzesłem i patrząc, jak Mary zanurza talerze w wodzie.

– Pijany, jak niegdyś jego ojciec – odparła Mary krótko.

– Zgubi go wódka – orzekł z powagą Jem. – Urzyna się do nieprzytomności i przez kilka dni leży jak kłoda. Przyjdzie taki dzień, że się nie obudzi. Dureń! Jak długo to trwa tym razem?

– Pięć dni.

– Co to jest dla Jossa! Potrafi tak leżeć przez tydzień, jeżeli tylko mu pozwolić. Kiedy wreszcie wstaje, chwieje się na nogach jak nowo narodzone cielę, a głowę ma czarną niczym błoto w Trewartha. Ale jak się pozbędzie nadmiaru płynów, a reszta trunku w niego wsiąknie, wtedy trzeba się go strzec; jest niebezpieczny. Uważaj.

– Mnie nie tknie, ja na siebie uważam – rzekła Mary. – Zresztą ma teraz inne troski. Kłopotów mu nie brak.

– Nie bądź taka tajemnicza. Kiwasz głową, ściągasz usta. Czy coś się zdarzyło w Jamajce?

– Zależy od tego, z której strony się na to patrzy – powiedziała Mary, obserwując go znad wycieranego talerza. – W zeszłym tygodniu miałyśmy wizytę pana Bassata z North Hill.

Jem zerwał się na nogi, przewracając z trzaskiem krzesło.

– Tam do diabła! – zawołał. – A cóż dziedzic miał ci do powiedzenia?

– Wuja Jossa nie było w domu – odrzekła Mary – i pan Bassat uparł się, że wejdzie do oberży i przeszuka wszystkie pokoje. Razem ze służącym wyłamał drzwi na końcu korytarza, ale pokój był pusty. Dla pana Bassata był to widocznie wielki zawód i niespodzianka, bo odjechał wściekły. Nawiasem mówiąc, pytał o ciebie. Powiedziałam mu, że nigdy cię nie widziałam na oczy.

Jem z twarzą pozbawioną wyrazu pogwizdywał bezdźwięcznie, słuchając opowiadania Mary, gdy jednak wspomniała o nim, oczy mu się zwęziły, a po ostatnim zdaniu wybuchnął śmiechem.

– Dlaczegoś skłamała? – zapytał.

– Bo mi się w pierwszej chwili zdawało, że tak będzie dla mnie lepiej, mniej kłopotu – odrzekła Mary. – Gdybym się dłużej zastanowiła, powiedziałabym pewnie prawdę. Przecież ty nic nie masz do ukrywania?

– Nic poza tym, że czarny kuc, którego widziałś przy strumieniu, należy do niego – powiedział niedbale Jem. – W zeszłym tygodniu kuc był jabłkowy i dziedzic ogromnie konika cenił, bo go sam wyhodował. Dostanę za niego w Launceston kilka funtów, jeżeli mi szczęście dopisze. Chodź, pokażę ci go.

Wyszli na słońce. Mary otarła ręce o fartuch i zatrzymała się przed drzwiami domku, gdy tymczasem Jem poszedł do koni. Domek stał na zboczu wzgórza powyżej strumienia, który wił się w dolinie i ginął wśród bardziej odległych pagórków. Za domem rozpościerała się szeroka równina, wznosząca się po obu stronach ku wielkim skałom. Ta właśnie porośnięta trawą przestrzeń – podobna do pastwiska dla bydła – jak okiem sięgnąć, nieograniczona niczym prócz groźnej, poszarpanej sylwetki Kilmaru, zwana była zapewne Bagniskiem Dwunastu Topielców.

Mary wyobraziła sobie naraz Jossa Merlyna. Oto jako małe dziecko z grzywą włosów opadającą na oczy wybiega z drzwi, a wychudła, samotna postać – jego matka – ze skrzyżowanymi ramionami stoi w oknie i odprowadza go zamyślnym spojrzeniem. Ileż trosk i przemilczeń, ileż gniewu i goryczy musiało się niegdyś gromadzić pod dachem małego domku!

Rozległ się okrzyk, tętent kopyt i Jem na czarnym kucu wyjechał z za rogu domu.

– Tego ci chciałem sprzedać – oświadczył – ale taka jesteś skąpa. A dobrze by ci się na nim jeździło; dziedzic wyhodował go dla swojej żony. Jesteś pewna, że się nie namyślisz?

Mary pokręciła głową i roześmiała się.

– Pewnie chciałbyś, żebym go uwiązała w stajni Jamajki – powiedziała. – A kiedy pan Bassat znów przyjedzie, to go oczywiście nie pozna, tak? Dziękuję ci za dobre chęci, ale wolę nie ryzykować. Naopowiadałam dla dobra twojej rodziny tyle kłamstw, szanowny panie Merlyn, że wystarczy mi na całe życie.

Jem skrzywił się, niezadowolony, i zeskoczył na ziemię.

– Odrzuciłaś najlepszy interes, jaki ci kiedykolwiek proponowano – rzekł – a drugiej szansy już ci nie dam. W Wigilię kuc pójdzie na jarmark do Launceston i handlarze porwą go w jednej chwili. – Klepnął kuca po zadzie. – No to uciekaj – rozkazał i spłoszony koń pomknął ku miejscu, gdzie w wale ziemnym była przerwa.

Jem zerwał źdźbło trawy i gryzł je, zerkając spod oka na towarzyszkę.

– Co Bassat spodziewał się zobaczyć w Jamajce?

Mary spojrzała mu prosto w oczy.

– Powinieneś to wiedzieć lepiej ode mnie – odparła.

Jem wciąż gryzł w zamyśleniu trawę, wypluwając kawałki na ziemię.

– Co ty w ogóle wiesz? – spytał nagle, odrzucając źdźbło.

Mary wzruszyła ramionami.

– Nie przyszedłam tutaj po to, żeby odpowiadać na pytania – oświadczyła. – Wystarczy mi indagacji pana Bassata.

– Joss miał szczęście, że akurat wszystko zabrano – powiedział cicho Jem. – Mówiłem mu w zeszłym tygodniu, że za bardzo ryzykuje. Ale ten bałwan nic innego nie potrafi zrobić we własnej obronie, jak się upić.

Mary milczała. Jeżeli Jem, udając szczerość, chce wyciągnąć ją na słówka, to się zawiedzie.

– Z twojego pokoiku nad gankiem doskonale wszystko widać – powiedział. – Oni cię pewnie budzą ze snu?

– Skąd wiesz, że to mój pokój? – spytała szybko Mary.

Pytanie zaskoczyło go. Mary dostrzegła zdziwienie w jego oczach. Potem roześmiał się i zerwał z wału ziemnego inne źdźbło trawy.

– Okno było otwarte na oścież, kiedy tamtego ranka wjechałem na dziedziniec – wyjaśnił – i skrawek zasłony powiewał na wietrze. Nigdy przedtem nie widziałem w Jamajce otwartego okna.

Wytłumaczenie było wiarygodne, nie uspokoiło jednak Mary. Przemknęło jej przez myśl okropne podejrzenie. Może to Jem ukrywał się owej sobotniej nocy w pokoju gościnnym? Zrobiło jej się zimno.

– Coś taka milcząca? – mówił dalej Jem. – Myślisz, że pójde do brata i powiem: „Słuchaj, ta twoja siostrzenica za dużo gada”? Tam do diabła, Mary, nie jesteś ślepa ani głucha! Nawet małe dziecko po miesiącu pobytu w Jamajce zorientowałoby się, że coś tam cuchnie.

– Co chcesz ze mnie wydobyć? – odezwała się wreszcie Mary. – I co cię to obchodzi, ile ja wiem? Myślę tylko o tym, żeby możliwie jak najprędzej zabrać stąd ciotkę. Mówiłam ci przecież, kiedy byłeś w oberży. Potrzeba trochę czasu, żeby ją namówić, i muszę się uzbroić w cierpliwość. A twój brat, jeśli o mnie chodzi, może się zapisać na śmierć. Ma własne życie, własne sprawy i nic mi do nich.

Jem gwizdnął i kopnął nogą jakiś kamyk.

– A więc szmugiel wcale cię nie przeraża? – powiedział. – Niechby nawet mój brat zastawił wszystkie pokoje Jamajki antałkami brandy i rumu, nic byś na to nie powiedziała, tak? Ale gdyby parał się czym innym – gdyby to była sprawa życia i śmierci, może i mordowania – co wtedy?

Zwrócił się wprost do niej i zrozumiała, że tym razem z niej nie żartuje; nie śmiał się teraz, oczy miał poważne, ale nie potrafiła wyczytać, co się w nich kryje.

– Nie wiem, co masz na myśli – powiedziała.

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią bez słowa. Zdawało się, że rozważa jakiś problem i szuka rozwiązania w wyrazie jej twarzy. Wszelkie podobieństwo do brata znikło. Stał się nagle surowszy, starszy, ulepiony z innej gliny.

– Może i nie wiesz – rzekł w końcu – ale jeżeli dość długo tam pozostaniesz, to się dowiesz. Dlaczego twoja ciotka wygląda jak upiór, możesz mi powiedzieć? Zapytaj ją następnym razem, kiedy wiatr powieje z północnego zachodu.

Wsadził ręce do kieszeni i znów pogwizdywał cichutko. Mary patrzyła na niego w milczeniu. Mówił zagadkami, ale czy chciał ją tylko nastraszyć, nie mogła się zorientować. Jema koniokrada, lekkomyślnego, wesołego golca znała już i rozumiała, ale teraz stał przed nią ktoś nowy. Nie była pewna, czy podoba jej się tak jak tamten.

Jem roześmiał się urywanym śmiechem i wzruszył ramionami.

– Między mną a Jossem dojdzie kiedyś do starcia i to on tego pożałuje, nie ja – powiedział.

Po tych enigmatycznych słowach obrócił się na pięcie i ruszył za kucem na torfowisko. Mary obserwowała go w zadumie, otulając się szczelnie szalem. A więc pierwsze jej przeczucie było słuszne, za przemytem kryje się coś innego. Nieznajomy owej nocy w barze mówił o morderstwie, a teraz Jem powtórzył właściwie jego słowa. Mary nie jest więc idiotką ani histeryczką, bez względu na to, co o niej sądzi pastor z Altarnun.

Jaką rolę odgrywa w całej tej sprawie Jem Merlyn, trudno było powiedzieć, ale że jest w nią jakoś zamieszany, nie wątpiła ani przez chwilę.

Jeżeli to on jest tym mężczyzną, który tak bezszelestnie zszedł za wujem po schodach, musi przecież wiedzieć doskonale, że Mary wyszła tej nocy ze swego pokoju, że się gdzieś ukryła i słyszała ich rozmowę. W takim razie on lepiej niż kto inny musi pamiętać sznur przerzucony przez belkę i domyślać się, że Mary widziała ten sznur potem, gdy obaj bracia wyszli z baru na torfowiska.

Jeżeli Jem jest tym człowiekiem, wówczas pytania jego są uzasadnione i zrozumiałe. „Co ty w ogóle wiesz?” – zapytał ją, ale mu nie odpowiedziała.

Cała ta rozmowa sprawiła, że pogodny dzień zasnuł się cieniem. Mary pragnęła teraz odejść stąd czym prędzej, pozbyć się Jema, zostać sam na sam ze swymi myślami. Ruszyła wolno po zboczu w kierunku strumienia. Doszła już do bramy na końcu drogi, kiedy usłyszała, że Jem za nią biegnie. Znalazł się pierwszy przy bramie i rozpostarł ramiona. Zarośnięty, w brudnych spodniach, wyglądał niemal jak Cygan.

– Dokąd idziesz?! – zawołał. – Wcześniej jeszcze, ściemni się dopiero po czwartej. Odprowadzę cię wtedy aż do Rushyford. Co ci się stało? – Ujął w dłoń jej podbródek i zajrzał jej w oczy. – Mam wrażenie, że się mnie po prostu boisz – powiedział. – Myślisz, że mam w pokoiku na górze beczki brandy, bele tytoniu i że ci je pokażę, a potem poderżnę gardło. Bo wszyscy Merlynowie to bandyci, a Jem jest najgorszy z całej zgrai. Tak myślisz, prawda?

Uśmiechnęła się mimo woli.

– Coś w tym rodzaju – wyznała. – Ale nie boję się ciebie, wybij to sobie z głowy. Nawet bym cię polubiła, gdybyś tak bardzo nie przypominał swojego brata.

– Nic nie poradzę, że mam taką twarz – odparł – ale jestem znacznie przystojniejszy od Jossa, musisz to przyznać.

– No, zarozumiały jesteś tak bardzo, że wyrównuje to brak wszystkich innych cech – rzekła Mary. – Chociaż twarz masz ładną, nie przeczę. Możesz z powodzeniem łamać panięńskie serduszka. Teraz puść mnie. Do Jamajki jest daleko, a nie chcę znów błędzić po torfowiskach.

– A kiedyś już zabłądziłaś?

Mary lekko zmarszczyła brwi. Niepotrzebnie się wygadała.

– Któregoś popołudnia byłam na Zachodnim Torfowisku – powiedziała – i wcześniej podniosła się mgła. Błądziłam przez jakiś czas, zanim odnalazłam drogę.

– Głupia jesteś, że się tak włóczysz. Pomiędzy Jamajką a Roughtorem są miejsca, w których może się utopić całe stado bydła, a co dopiero taka kruszynka jak ty. A w ogóle piesze wycieczki nie są odpowiednią rozrywką dla kobiety. Po coś tam poszła?

– Chciałam rozprostować nogi. Przez kilka dni nie wychodziłam z domu.

– No to następnym razem, kiedy będziesz chciała rozprostować nogi, możesz je prostować w tym kierunku. Jeżeli przejdiesz przez bramę, nie możesz zabłądzić, pamiętaj tylko, żeby skrócić na prawo od mokradeł, jak skręciłaś dzisiaj. Pojedziesz ze mną w Wigilię do Launceston?

– A cóż będziesz robił w Launceston, szanowny panie Merlyn?

– Będę tylko sprzedawał czarnego kuca pana Bassata w jego zastępstwie. A o ile znam mojego brata, to najlepiej, żeby cię tego dnia nie było w Jamajce. Ocknie się właśnie z pijackiego snu i będzie szukał zaczepki. Jeżeli wujostwo przyzwyczajeni są do twoich spacerów po torfowiskach, nic nie powiedzą na to, że cię nie ma w domu. Przed północą cię odwiozę. Zgódź się, Mary.

– A jak cię w Launceston złapią z kucem pana Bassata? Głupio wtedy będziesz wyglądał, co? I ja także, jeżeli wpakują mnie do więzienia razem z tobą.

– Nikt mnie nie złapie, w każdym razie jeszcze nieprędko. Zaryzykuj, Mary. Chyba nie lubisz zabawy, skoro tak się trzęsiesz o własną skórę? Widocznie tam u was, w Helfordzie, hodują same ślamazary.

Połknęła to wyzwanie jak ryba haczyk.

– Dobrze, mój panie, nie wyobrażaj sobie, że się boję. Zresztą kto wie, czy nie lepiej siedzieć w więzieniu niż tkwić w Jamajce. Jak się dostaniemy do Launceston?

– Zawiozę cię kariolką, a konik pana Bassata będzie biegł z tyłu. Znasz drogę przez torfowiska do North Hill?

– Nie.

– Musisz tylko iść prosto przed siebie. Ujdiesz milę traktem i zobaczysz z prawej strony na szczycie wzgórza lukę w żywopłocie. Przed sobą będziesz miała wzgórze Carey, po prawej ręce Hawk's, i jeżeli będziesz dalej szła prosto, na pewno nie zabłądzisz. Spotkamy się w pół drogi. Będziemy jechali przez torfowiska, ile się tylko da. W Wigilię na gościńcu będzie wielki ruch.

– O której mam wyjść z domu?

– Zastosujemy się do innych ludzi i postaramy się przyjechać około południa, a przed drugą na ulicach będzie już dla nas dość tłoczno. Możesz wyjść z Jamajki o jedenastej.

– Nic nie obiecuję. Jeżeli mnie tam nie będzie, możesz jechać dalej sam. Zapominasz, że mogę być potrzebna ciotce.

– Dobra, dobra, nie szukaj wykrętów.

– Już widać bramę przy strumieniu – rzekła Mary. – Dalej mnie nie odprowadzaj. Trafie sama. Muszę iść przez tamto wzgórze, tak?

– Możesz pozdrowić ode mnie wuja, jeśli chcesz, i życzyć mu ode mnie lepszego nastroju i elegantszego doboru wyrażań. Zapytaj, czy chciałby, żebym powiesił pęczek jemioly na ganku Jamajki! Uważaj na wodę. Może cię przenieść przez bród? Zamoczysz nogi.

– Choćbym wpadła po pas, nic mi nie będzie. Do widzenia, panie Merlyn.

I Mary skoczyła śmiało przez strumień, trzymając się jedną ręką bramy. Rąbek spódnicy zanurzył się w wodzie, zebrała więc fałdy i podniosła. Usłyszała śmiech Jema i ruszyła w górę zbocza, nie oglądając się już za siebie.

Niechby się on tylko spróbował zmierzyć z mężczyznami z południa, myślała, z rolnikami z Helfordu, z Gweek, z Manaccan. W Constantine jest kowal, który w mig by się z nim uporał. Jem Merlyn niewiele ma powodów do dumy.

Koniokrad, pospolity przemytnik, łotrzyk, a na dobitkę może i morderca. Ładne plemię wyrosło tu na torfowiskach.

Ale Mary nie bała się Jema i postanowiła, że na dowód tego w wigilię Bożego Narodzenia pojedzie z nim kariolką do Launceston.

Zmrok zapadał, kiedy przeszła przez trakt i znalazła się na dziedzińcu. Oberża jak zwykle sprawiała wrażenie niezamieszkanego – drzwi zaryglowane, okna ciemne, zamknięte na cztery spusty. Mary obeszła dom i zapukała do kuchni. Otworzyła jej natychmiast ciotka, blada i wystraszona.

– Wuj przez cały dzień dopytuje się o ciebie – powiedziała. – Gdzieś ty była? Dochodzi piąta, a wyszłaś wczesnym rankiem.

– Chodziłam po torfowiskach – odrzekła Mary. – Nie przypuszczałam, że mogę być potrzebna. Dlaczego wuj Joss pyta o mnie? – Z pewnym niepokojem spojrzała na posłanie w kącie kuchni. Było puste. – Gdzie on jest? – spytała. – Czy mu lepiej?

– Chciał posiedzieć w salonie – wyjaśniła półgłosem ciotka. – Powiedział, że dość ma kuchni. Od wczesnego popołudnia siedzi tam przy oknie i ciebie wygląda. Trzeba mu teraz dogadzać, Mary. Proszę cię, mów z nim grzecznie i w niczym mu się nie sprzeciwiaj. Najgorszy jest ten okres, kiedy powraca do zdrowia... Będzie z każdym dniem coraz silniejszy, a jednocześnie coraz bardziej uparty i porywczy. Bądź ostrożna, Mary, dobrze? Nie mów nic niepotrzebnego.

Była to znów dawna ciotka Patience. Ręce jej drżały, usta poruszały się nerwowo; mówiąc, oglądała się ustawicznie przez ramię. Żal brał na nią patrzeć i Mary udzieliło się coś z jej lęku.

– Dlaczego chce mnie widzieć? – spytała. – Nigdy nie ma mi nic do powiedzenia. O co mu może chodzić?

Ciotka zamrugnęła i ściągnęła usta.

– Taki ma kaprys – rzekła. – Mamrocze i gada do siebie. Nie zwracaj uwagi na to, co mówi w takich chwilach. Nie jest jeszcze całkiem przytomny. Pójdę

i powiem mu, żeś wróciła.

Wyszła na korytarz wiodący do salonu.

Mary podeszła do kredensu i nalała sobie z dzbana kubek wody. W gardle zupełnie jej zaschło, kubek drżał w ręce. W myśli skłęła siebie od idiotek – dopiero przed chwilą, na torfowiskach, taka była śmiała, a ledwo przekroczyła próg oberży, straciła całą odwagę i dygocze jak przerażone dziecko.

Ciotka wróciła do kuchni.

– Na razie drzemie w fotelu – szepnęła. – Może będzie spał przez cały wieczór. Zjemy wcześniej kolację i pójdziemy spać. Mam tu dla ciebie kawałek zimnego pasztetu.

Mary nie czuła już głodu i z trudem przełykała każdy kęs. Wypiła dwie szklanki gorącej herbaty, a następnie odsunęła talerz. Żadna z kobiet się nie odzywała. Po kolacji sprzątnęły cicho ze stołu. Mary dorzuciła torfu do ognia i przysiadła przy nim. Gorzki niebieski dym wzniósł się w górę, szczypiąc ją w oczy, ale tłący się torf niewiele dawał ciepła.

W holu zegar wybił szóstą, rżąc przeraźliwie. Mary, wstrzymując oddech, liczyła uderzenia. Wdarły się w ciszę jak gdyby rozmyślnie i złośliwie; trwało to wieczność, nim ostatni dźwięk przebrzmiał, odbił się echem w całym domu i wreszcie zamarł. Teraz słyhać już było tylko powolne tykanie zegara. Z salonu nie doleciał żaden odgłos i Mary odetchnęła z ulgą. Ciotka nawlekała igłę przy świetle świecy. Usta miała ściągnięte, gdy pochylała się nad robotą.

Długie popołudnie dobiegło końca, a z salonu wciąż jeszcze nie odezwało się wołanie. Mary kiwała się, oczy jej się zamykały i w owym stanie oszołomienia między snem a jawą usłyszała, że ciotka wstaje cichutko z krzesła i chowa robotę do szafki obok kredensu. Do ucha dziewczyny dotarł szept:

– Idę do łóżka. Wuj się teraz nie obudzi, pewnie już prześpi tak całą noc. Nie będę tam wchodzić.

Mary mruknęła coś w odpowiedzi i na pół przytomna posłyszała drobne kroczyki w korytarzu, a potem skrzypienie schodów.

Na górze zamknęły się cicho drzwi. Letargiczny sen owładnął Mary, głowa opadła jej na ręce. Tykanie zegara nadawało rytm jej myślom niby odgłos stóp maszerujących wolno gościńcem... raz... dwa... raz... dwa... raz... dwa... Mary jest na torfowisku przy szemrzącym strumieniu, a ciężar, który dźwiga, jest wielki, zbyt wielki... Gdyby mogła choćby na chwilę zrzucić go z barków, położyć się przy skarpie i zasnąć...

Ale zimno tu, bardzo zimno. Nogi jej ociekają wodą. Musi wspiąć się wyżej na brzeg, wyżej... Ogień zgasł... Mary otworzyła oczy i ujrzała, że leży na podłodze przed białym popiołem w kominku. W kuchni panował przenikliwy ziąb i półmrok, świeca się dopalała. Mary ziewnęła, wzdrygnęła się i wyprostowała zeszywniałe ramiona. Kiedy podniosła oczy, spostrzegła, że drzwi kuchni otwierają się bardzo wolno, z przerwami, cał po calu.

Zastygła w bezruchu, wsparta rękoma na lodowatej posadzce. Czekwała, ale nic nie nastąpiło. Drzwi poruszyły się znowu, aż raptem otwarły się na oścież, uderzając o ścianę. Na progu kuchni ukazał się Joss Merlyn. Chwiał się na nogach, ręce wyciągał przed siebie.

W pierwszej chwili myślała, że jej nie zauważył, wpatrywał się bowiem w przeciwną ścianę i stał w miejscu, nie wchodząc do środka. Skuliła się i jak najniżej pochyliła głowę, nie słysząc nic prócz łomotu własnego serca. On powoli zwrócił się w jej stronę i przez chwilę patrzył na nią bez słowa. Gdy się wreszcie odezwał, głos miał wysilony, ochrypły, mało co donośniejszy od szeptu.

– Kto tam? – spytał. – Co robisz? Dlaczego nic nie mówisz?

Twarz jego utraciła zwykłą smagłość, była szarą maską. Nabiegłe krwią oczy wpatrywały się w dziewczynę, najwyraźniej jej nie poznając. Mary nie poruszyła się.

– Odłóż ten nóż – szepnął. – Odłóż, powiadam.

Mary wyciągnęła rękę i czubkami palców dotknęła nogi krzesła. Nie zdołała go chwycić, było poza jej zasięgiem. Czekwała, wstrzymując oddech. Merlyn

z pochyloną głową wszedł do kuchni, obmacując rękami powietrze, i sunął wolno ku niej.

Mary patrzyła na jego ręce, aż znalazły się tuż przy niej i poczuła na policzku jego oddech.

– Wuju Jossie – powiedziała cicho. – Wuju Jossie...

Drgnął gwałtownie, potem nachylił się i dotknął jej włosów i ust.

– Mary – powiedział. – To ty, Mary? Dlaczego się nie odzywasz? Gdzie oni się podzieli? Czyś ich widziała?

– Pomyliłeś się, wuju – zapewniła go. – Nie ma tu nikogo oprócz mnie. Ciotka Patience jest na górze. Źle się czujesz? Może coś podać?

Rozejrzał się po mrocznej kuchni, przeszukując wzrokiem kąty.

– Nie nastraszą mnie – szepnął. – Umarli nie mogą zrobić żywym nic złego. Gasną jak świeca... Prawda, Mary?

Skinęła głową, wciąż obserwując jego oczy. Dobrnął do krzesła i usiadł, rozpościerając ręce na stole. Westchnął ciężko i przesunął językiem po wargach.

– To sny – powiedział. – Tylko sny. Twarze wyłaniają się z ciemności jak żywe i budzę się zlany potem. Pić mi się chce, Mary. Masz tu klucz, idź do baru i przynieś mi brandy.

Poszukał w kieszeni i wyciągnął pęk kluczy. Mary wzięła je drżącą ręką i wymknęła się na korytarz. Zatrzymała się na chwilę przy drzwiach, zastanawiając się, czy nie powinna od razu uciec na górę do swego pokoju i zostawić go w kuchni sam na sam z przywidzeniami. Cichutko, na palcach, ruszyła korytarzem do holu.

Ale on krzyknął nagle:

– Dokąd idziesz?! Kazałem ci przynieść brandy z baru.

Usłyszała zgrzyt odsuwanej krzesła. Spóźniła się. Otworzyła więc drzwi baru i po omacku znalazła w szafie butelkę. Kiedy wróciła do kuchni, on na pół leżał na stole, ściskając głowę rękami. W pierwszej chwili myślała, że znów zasnął, ale na odgłos kroków podniósł głowę, wyciągnął ramiona i odchylił się na oparcie

krzesła. Postawiła przed nim butelkę i szklanę. Napełnił ją do połowy i trzymał w obu dłoniach, wciąż wpatrując się w Mary sponad jej brzegu.

– Dobra z ciebie dziewczyna – powiedział. – Lubię cię, Mary. Masz głowę na karku i jesteś odważna, byłabyś dobrą towarzyszką dla mężczyzny. Powinnaś była urodzić się chłopcem.

Nabrał do ust brandy, posmakował językiem, uśmiechając się głupawo, a potem mrugnął do Mary i wskazał palcem butelkę.

– Na południu ten trunek jest na wagę złota – rzekł. – Najlepszy, jaki istnieje. Sam król Jerzy nie ma w swoich piwnicach lepszej brandy. A mnie ile ona kosztuje? Nic, ani pensa. W Jamajce pije się za darmo.

Roześmiał się i wysunął język.

– To niebezpieczna gra, Mary, ale godna mężczyzny. Z dziesięć, ze dwadzieścia już razy byłem o włos od zguby. Gonili mnie uzbrojeni ludzie i kule świstały mi we włosach. Ale nie złapią mnie, Mary, jestem zbyt przebiegły i za długo już gram w tę grę. Zanim się tu przenieśliśmy, byłem w Padstow, pracowałem na brzegu. Podczas wiosennych przypływów raz na dwa tygodnie trafiał się jakiś lugier. Było nas pięciu, nie licząc mnie. Ale na drobnej robocie nie zbija się majątku, trzeba grać na całego i słuchać rozkazów. Teraz jest nas przeszło stu, pokrywamy teren od wybrzeża aż do granicy. Jak Boga kocham, Mary, dość krwi widziałem w życiu, dziesiątki razy na moich oczach zabijano ludzi, ale tej gry nie da się z niczym porównać, tu człowiek pędzi ramię w ramię ze śmiercią.

Dał znak, żeby podeszła, mrugnął znowu i obejrzał się przez ramię.

– Chodź – szepnął. – Chodź tu bliżej, usiądź przy mnie, żebyś mógł do ciebie mówić. Ty masz charakter, ja wiem, nie jesteś strachliwa jak twoja ciotka. Powinnaś być moją współpracowniczką. – Chwycił Mary za ramię i posadził na podłodze obok swego krzesła. – To ta przeklęta trucizna robi ze mnie durnia – mówił dalej. – Kiedy mnie chwyta, staję się słaby jak szczur, sama to widzisz. I dręczą mnie sny, zmory, widzę różne rzeczy, których bym się na trzeźwo nigdy nie przeraził. Do wszystkich diabłów, Mary, zabijałem ludzi tymi oto rękami, wdeptywałem ich pod

wodę, tłukłem ich kamieniami i nic to dla mnie nie było, spałem potem jak dziecko. Ale kiedy jestem pijany, widzę ich we śnie. Widzę ich bladozielone twarze, gapiące się na mnie oczami wyjedzonymi przez ryby. Niektóre są poszarpane i ciało zwisa z kości płatami, inne mają wodorosty we włosach... Była raz kobieta, słuchaj, Mary, czepiała się tratwy. Miała dziecko na ręku, rozpuszczone mokre włosy lepiły jej się do pleców. Statek był blisko na skałach, rozumiesz, a morze gładkie jak lustro, wszyscy byli żywi, cała gromada, ilu ich tam było. Woda miejscami nie sięgała wyżej niż do pasa. Wołała do mnie o ratunek, Mary, a ja kamieniem rozwalilem jej twarz. Przewróciła się do tyłu, ręce jej biły o tratwę. Puściła dziecko, wtedy uderzyłem ją znowu. Patrzyłem, jak toną w wodzie głębokiej na cztery stopy. Mieliśmy wtedy pietra, baliśmy się, że ktoś z nich wydostanie się na brzeg... Pierwszy raz zapomnieliśmy o odpływie. Za pół godziny mogliby przejść po piasku suchą nogą. Musieliśmy zatłuc ich wszystkich kamieniami, Mary, musieliśmy połamać im ręce i nogi. Tonęli na naszych oczach jak ta kobieta z dzieckiem, chociaż woda nie sięgała im nawet do ramion, tonęli, bośmy ich walili kamieniami, tonęli, bo nie mogli ustać na nogach...

Przysunął twarz do twarzy Mary, jego oczy, usiane wokoło czerwonymi plamkami, spoglądały prosto w jej oczy, czuła na policzku jego oddech.

– Nie słyszałaś nigdy o zbójcach nadmorskich, o rozbijaczach? – wyszeptał.

Zegar w holu wybił pierwszą i pojedyncze to uderzenie zabrzmiało w powietrzu jak dzwon na trwogę. Żadne z obojga nie poruszyło się. W kuchni było bardzo zimno, ogień w kominku wypalił się doszczętnie, z otwartych drzwi wiało. Żółty płomień świecy chwiał się i migotał. Wreszcie Joss Merlyn wyciągnął ręce i ujął dłoń Mary. Dłoń ta była nieruchoma, bezwładna, jakby martwa. Może dostrzegł wyraz straszliwego przerażenia, który zastygł na twarzy dziewczyny, bo cofnął rękę i odwrócił oczy. Wpatrując się w stojącą przed nim pustą szklankę, bębnił palcami po stole. Mary, skulona przy nim na podłodze, patrzyła, jak mucha pełźnie po jego ręce. Przebrnęła przez krótkie czarne włosy, potem przebiegła po nabrzmiałych żyłach i dotarła do czubków długich, smukłych palców. Mary przypomniała sobie, ile niespodziewanego piękna i gracji miały te palce, kiedy krajały dla niej chleb

pierwszego wieczoru, jak potrafiły być delikatne i zręczne. Teraz, gdy tak bębniły po stole, ujrzała w wyobraźni, jak ujmują ostry kamień i zaciskają się na nim, ujrzała, jak kamień śmiga w powietrzu...

On znów skinął na nią. Ruchem głowy wskazał tam, skąd dobiegło tykanie zegara.

– Słyszę to czasem w głowie – powiedział ochrypłym szeptem – a kiedy przed chwilą wybiła pierwsza, zabrzmiało to jak pława dzwonowa w zatoce. Zachodni wiatr przynosi niekiedy te dźwięki: raz-dwa, raz-dwa, dzwon bije nieustannie, jak gdyby dzwonił umarłym. Słyszę go we śnie, słyszałem go dzisiaj. Żałobne, nieznośne jest dzwonienie pławy w zatoce, Mary. Działa na nerwy, aż się chce krzyczeć. Kiedy się pracuje na wybrzeżu, trzeba podpłynąć do takiej pławy łodzią i zakneblować dzwon, owinąć mu serce flanelą. Wtedy robi się cicho. Może akurat wypada pochmurna noc, na wodę kładzie się biała mgła, a do zatoki zbliża się właśnie statek, węszący za tropem jak pies gończy. Słucha, czy nie odezwie się dzwon, ale znikąd nie ma żadnego dźwięku. Wtedy rusza naprzód we mgle – i płynie prosto na nas, Mary. Widzimy wówczas, jak wzdryga się nagle, uderza o skały, a potem już chwytą go przybój.

Sięgnął po butelkę i małym strumyczkiem nalał trochę płynu do szklanki. Powąchał trunek, upił go trochę i potrzymał w ustach, nie przełknął.

– Widziałaś kiedy muchy w pułapce z melasą? – spytał. – Ja widuję ludzi w pułapkach. Tkwią w olinowaniu jak rój much i krzyczą z przerażenia na widok przyboju. Oblepiają reje zupełnie jak muchy, czarne kropki ludzkie. Widywałem, jak statek rozpada się pod nimi, a oni lecą do morza i usiłują dopłynąć do brzegu. Ale jeśli nawet dopłyną, czeka ich tam śmierć.

Otarł usta wierzchem dłoni i spojrzał na dziewczynę.

– Umarli nie zdradzają tajemnic, Mary.

Kiwał głową, lecz twarz jego zwięzła się nagle i znikła jej sprzed oczu. Mary nie klęczała już na podłodze kuchennej, ściskając rękami blat; była znów dzieckiem i biegła obok ojca w kierunku skał St Keverne. Ojciec po chwili podniósł ją

i posadził sobie na ramionach, wraz z nimi zaś biegli inni ludzie, krzycząc i nawołując. Ktoś wskazał na dalekie morze i Mary, trzymając się kurczowo ojcowskiej głowy, ujrzała kołyszący się bezradnie na powierzchni wielki biały statek z połamanymi masztami i żaglami ciągnącymi się po wodzie. „Co oni robią?” – zapytało dziecko, którym wtedy była, ale nikt nie odpowiedział, wszyscy stali jak wryci i wpatrywali się, przerażeni, w statek, który kołysał się i zanurzał. „Niech się Pan Bóg nad nimi ulituje” – rzekł ojciec, a mała Mary zaczęła płakać i wołać matkę, która wyszła natychmiast z tłumu, wzięła ją na ręce i odeszła z nią dalej, tam skąd nie widać było morza. Tu wspomnienie się urywało, historia nie miała zakończenia, ale kiedy Mary podrosła i nie była już dzieckiem, matka opowiadała jej, że byli w St Keverne akurat wtedy, gdy wielka barkentyna rozbiła się o groźne skały i poszła na dno z całą załogą i pasażerami na pokładzie. Mary wzdrygnęła się, westchnęła i znów zamajaczyło przed nią oblicze wuja w obramowaniu zmierzwionych włosów, a ona znów klęczała przy nim w kuchni Jamajki. Czuła się okropnie, ręce i nogi miała lodowate. Pragnęła tylko dobrnąć do łóżka i naciągnąć koc na głowę, żeby znaleźć się w kompletnych ciemnościach. Być może jeśli przycisnie ręce do oczu, zdoła usunąć widok twarzy wuja i zetrzeć obrazy, które przed nią namalował. Być może jeśli wsadzi palce w uszy, zdoła stłumić dźwięk jego głosu i łoskot przyboju o brzeg. Tutaj widziała wciąż blade twarze topielców z rękami wyciągniętymi nad głową; słyszała płacz i krzyki przerażenia; słyszała żałobny jęk pławy dzwonowej, kołyszącej się na wodzie w przód i w tył. Wzdrygnęła się znowu.

Podniosła oczy. Wuj zsunął się na krześle do przodu, głowa opadła mu na piersi. Spał z szeroko otwartymi ustami, chrapiąc i posapując. Długie ciemne rzęsy leżały na policzkach niby frędzle. Ramiona oparł na stole, ręce miał splecione jak do modlitwy.

9

Wwigilię Bożego Narodzenia niebo zaciągnęło się chmurami, lada chwila mógł spaść deszcz. Na dobitkę w nocy się ociepliło i błoto na dziedzińcu rozmiękło. Ściany pokoju Mary okryły się wilgocią wyczuwalną przy dotknięciu, w jednym kącie ukazała się wielka żółta plama.

Mary wychyliła się z okna, miękki, wilgotny wiatr owiewał jej twarz. Za godzinę Jem Merlyn miał czekać na torfowisku, żeby zawieźć ją do Launceston. Od niej tylko zależało, czy się z nim spotka, ale wciąż jeszcze nie mogła się zdecydować. Postarzała się w ciągu czterech dni: twarz, która spoglądała na nią z poplamionego, pękniętego lusterka, była ściągnięta i znużona. Oczy miała podkrążone, policzki zapadły się wyraźnie. Zasypiała dopiero gdzieś nad ranem, straciła zupełnie apetyt. Po raz pierwszy w życiu dostrzegła podobieństwo między sobą a ciotką Patience. Ten sam sposób marszczenia czoła, te same usta. Jeżeli zacisnęła wargi i poruszała nimi, przygryzając kąciki ust, zdawało jej się, że widzi ciotkę, tyle tylko, że w obramowaniu ciemnych włosów. Nietrudno byłoby przejąć ten nawyk, podobnie jak nerwowe załamywanie rąk. Mary odwróciła się od złośliwego lusterka i zaczęła chodzić tam i z powrotem po ciasnym pokoiku. Starła się teraz jak najwięcej przebywać tu, na górze, tłumacząc się przeziębieniem. Nie wdawała się z ciotką w dłuższe rozmowy, bała się, że oczy ją zdradzą. Spoglądałyby na siebie z tym samym niemym przerażeniem, z tą samą udręką – i ciotka byłaby się wszystkiego domyśliła. Miały teraz wspólną tajemnicę,

o której nie wolno im było mówić. Mary zastanawiała się, od jak dawna ciotka znosi w milczeniu potworną świadomość. Nikt się nigdy nie dowie, ile wycierpiała. Gdziekolwiek się znajdzie w przyszłości, owa bolesna wiedza nie opuści jej ani na chwilę. Nie da jej nigdy spokoju. Mary rozumiała wreszcie, czemu ciotka jest taka blada, czemu twarz jej drga ustawicznie, ręce skubią suknię, a szeroko otwarte oczy wpatrują się w przestrzeń. Nie ulegało już wątpliwości, że ciotka wie o wszystkim.

Z początku Mary czuła się chora, śmiertelnie chora. Leżała owej nocy w łóżku, modląc się o łaskę snu, który wciąż nie nadchodził. W mroku rysowały się nieznane twarze, okropne twarze topielców. Dziecko z połamanymi rączkami, kobieta o długich mokrych włosach, krzyczące, przerażone oblicza tych, którzy nie umieli pływać. Chwilami zdawało się jej, że są wśród nich jej rodzice; patrzyli na nią błagalnie i wyciągali do niej ręce. Może takich właśnie cierpień doznaje ciotka Patience nocami, sama w swoim pokoju, może jej również ukazują się twarze, które błagają o ratunek, a ona je odpycha. Na swój sposób ciotka Patience jest również morderczynią. Zabija ludzi przez swoje milczenie. Ponosi winę na równi z Jossem Merlynem, gdyż jest kobietą, on zaś potworem. Łączą ją z nim więzi, których nie zrywa.

Dzisiaj, kiedy minęły już trzy dni i początkowe przerażenie straciło na ostrości, Mary czuła tylko, że zobojętniała, postarzała się i jest bardzo zmęczona. Ogarnęło ją odrętwienie. Zdawało się jej, że zawsze o wszystkim wiedziała, że w głębi ducha była na wszystko przygotowana. Widok Jossa Merlyna, stojącego pod gankiem z latarnią w ręce, był ostrzeżeniem, a turkot dyliżansu pędzącego po trakcie brzmiał jak pożegnanie.

Przed laty w Helfordzie krążyły czasem pogłoski o tych sprawach: jakieś zdania zasłyszane na wiejskiej drodze, urywek opowiadania, jakiś szept, przeczący ruch głową, ale ogólnie biorąc, ludzie mówili o tym niechętnie. Przed dwudziestu laty, przed pięćdziesięciu laty, kiedy ojciec był jeszcze młody – cóż, być może, ale nie teraz, nie w oświeconym dziewiętnastym wieku. Znów ujrzała tuż przed sobą twarz wuja i dobiegł ją chrapliwy szept: „Nie słyszałaś nigdy o zbójcach nadmorskich, o rozbijaczach?”. Takich słów Mary nie słyszała nigdy w życiu, ale

ciotka żyła wśród nich od dziesięciu lat. Mary nie zastanawiała się już nad wujem. Nie czuła przed nim najmniejszego lęku. W sercu pozostała już tylko nienawiść – nienawiść i odraza. Wuj zatracił wszelki pozór ludzki. Jest dziką bestią, która krąży w mrokach nocy. Teraz, kiedy widziała go pijanego i wie, co jest wart, już nie może jej przestraszyć. Ani on, ani nikt z jego towarzyszy. Są ucieleśnieniem wszelkiego zła, zatruwają okolicę, a ona nie spocznie, póki się ich nie zdepcze, nie zniszczy, nie zetrze z powierzchni ziemi. Żadne sentymenty już ich nie uratują.

Pozostaje ciotka Patience – i Jem Merlyn. Wdziera się do jej myśli wbrew jej woli, bo ona go nie chce. Dość ma spraw do przemyślenia, żeby jeszcze miała zawracać sobie głowę Jemem Merlynem. Za bardzo jest podobny do brata. Oczy, usta, uśmiech. Tu tkwi niebezpieczeństwo.

Widzi wuja w chodzie Jema, w jego ruchach, i rozumie, dlaczego ciotka przed dziesięciu laty straciła głowę. W Jemie można by się zakochać, to pewne. Mężczyźni dotychczas nie odgrywali żadnej roli w życiu Mary, za dużo miała roboty na farmie, żeby o nich myśleć. Byli wprawdzie chłopcy, którzy uśmiechali się do niej w kościele i chodzili z nią na pikniki po żniwach; raz sąsiad po szklance jabłecznika pocałował ją za stogiem. Głupie to było i Mary odtąd zawsze unikała tego nieszkodliwego mężczyzny, który po pięciu minutach zapomniał o całym incydencie. W każdym razie dawno już sobie postanowiła, że nie wyjdzie za mąż. Uskłada w jakiś sposób trochę pieniędzy i będzie pracowała na farmie jak mężczyzna. Skoro wydobędzie się wreszcie z Jamajki i stworzy jakiś dom dla ciotki Patience, nie będzie miała czasu na myślenie o mężczyźnie. Ale wbrew wszystkim postanowieniom znów stawała jej przed oczami twarz Jema z kilkudniowym zarostem jak u włóczęgi, jego brudne spodnie, jego bezczelne spojrzenie. Nie ma w sobie ani krzty serdeczności, jest szorstki i na pewno okrutny, jest złodziejem i kłamcą. Uosabia wszystko, czego Mary się boi, czego nie cierpi, czym gardzi, a mimo to wie, że mogłaby go pokochać. Natura nie zważa na przesady. Mężczyźni i kobiety nie różnią się chyba od zwierząt na farmie – istnieje prawo wzajemnego przyciągania, wspólne dla wszystkich żywych stworzeń. Wyboru dokonuje się bez udziału rozumu. Zwierzęta ani ptaki nie rozumują. Mary nie była hipokrytką,

wyrośla na roli, żyła za długo wśród ptactwa i zwierząt domowych, patrzyła, jak się parzą, hodują młode i umierają. Natura niewiele ma wspólnego z romantyzmem, toteż Mary nie zamierzała szukać go we własnym życiu. Widywała, jak dziewczęta spacerowały z chłopcami wiejskimi – pary trzymały się za ręce, rumieniły się, peszyły, wzdychały przeciągle, patrzyły na odbicie księżyca w wodzie. Mary spotykała takie pary na porośniętej trawą drodze za farmą – nazywano ją Drogą Zakochanych, chociaż starsi ludzie mieli dla niej dosadniejszą nazwę – chłopiec zwykle obejmował wpół dziewczynę, dziewczyna opierała mu głowę na ramieniu. Patrzyli na gwiazdy i na księżyc albo na płomienny zachód słońca, jeżeli było lato, a Mary, wychodząc z obory, ocierała rękami pot z czoła i myślała o nowo narodzonym cielęciu, które zostawiła przy jego matce. Odprowadzała spojrzeniem zakochaną parę, uśmiechała się, wzruszała ramionami i po wejściu do kuchni mówiła mamie, że nim miesiąc upłynie, w Helfordzie będzie wesele. Potem dzwoniły dzwony, krajano tort, a chłopiec w odświętnym ubraniu, przestępując z nogi na nogę, stał na stopniach kościoła obok wybranki w białych muślinach, z włosami ufryzowanymi w loki na tę uroczystą okazję. Zanim jednak upłynął rok, księżyc i gwiazdy mogły sobie świecić całą noc, oni już tego nie dostrzegali; chłopak wracał wieczorem z pola zmęczony całodzienną pracą i krzyczał gburowato, że kolacja jest przypalona, dziewczyna zaś z rozlaną figurą i już bez loków odszczekiwała mu się z pokoju na piętrze, chodząc tam i z powrotem z zawiniątkiem na ręku, które miauczało jak kot i nie chciało zasnąć. Nie było już wtedy mowy o odbiciu księżyca w wodzie. Nie, Mary nie ma romantycznych złudzeń. Miłość jest tylko ładną nazwą, to wszystko. Jem Merlyn jest mężczyzną, ona jest kobietą i czy to sprawiają jego ręce, jego skóra czy jego uśmiech, nie wie, ale coś w niej odpowiada na to wezwanie i sama myśl o nim drażni, a zarazem podnieca. Nęka ją ustawicznie, dokucza, nie daje jej spokoju. Wie, że będzie musiała go znów zobaczyć.

Spojrzała na szare niebo i nisko wiszące chmury. Jeżeli ma jechać do Launceston, najwyższy czas ubrać się i wyruszyć. Żadnych wymówek nie będzie – stwardniała przez ostatnie cztery dni. Ciotka Patience może myśleć, co jej się

żywnie podoba. Jeżeli ma choć odrobinę intuicji, domyśli się, że Mary nie chce jej widzieć. Spojrzy na męża, na jego nabiegłe krwią oczy, na rozdygotane ręce, i wszystko zrozumie. Raz jeszcze, może po raz ostatni, alkohol rozwiązał mu język. Wuj zdradził swoją tajemnicę i Mary trzymała w ręku jego przyszłość. Nie zdecydowała jeszcze, jaki użytek zrobi z tego, czego się dowiedziała, ale już go więcej nie będzie ratować. Pojedzie dziś z Jemem do Launceston i tym razem on będzie musiał odpowiadać na jej pytania; spokojnie chyba, kiedy zda sobie sprawę, że ona już się ich obu nie boi, lecz może ich w każdej chwili zgubić. A jutro – cóż, jutro będzie nowy dzień. Wciąż przecież pozostaje Francis Davey i jego obietnica; znajdzie się dla niej zaciszne schronienie na probostwie w Altarnun.

Dziwne ma tego roku święta, myślała, maszerując przez Wschodnie Torfowisko i kierując się w stronę Hawk's Tor. W zeszłym roku klęczała w kościele obok matki i modliła się o siłę i odwagę dla nich obu. Modliła się o spokój ducha i bezpieczeństwo; prosiła Pana Boga, aby matka towarzyszyła jej jeszcze długo i aby farma dawała dochody. W odpowiedzi przyszły choroba, nędza i śmierć. Mary jest teraz sama, uwikłana w sieć bestialstwa i zbrodni, mieszka w domu, którego nienawidzi, wśród ludzi, którymi gardzi, i idzie przez jałowe, nieżyczliwe torfowiska na spotkanie z koniokradem i mordercą. Nie będzie w te święta zanosila modłów do Boga.

Zatrzymała się na wysokim terenie nad Rushyford i ujrzała w oddali nadciągającą małą kawalkadę: kuca zaprzęzonego w kariolkę i dwa inne uwiązane z tyłu. Woźnica na powitanie podniósł bat. Mary poczuła, że rumieniec zalał jej policzki i natychmiast spłynął. Ta słabość zawsze stanowiła dla niej udrękę i Mary marzyła o tym, aby rumieniec był czymś dotykalnym i żywym, aby dało się go zerwać z policzków i podeptać. Owinęła ręce szalem i czekała, marszcząc brwi. Jem gwizdnął, zbliżając się, i rzucił jej do stóp małą paczuszkę.

– Wesołych świąt! – zawołał. – Miałem wczoraj w kieszeni sztukę srebra, która paliła mnie jak ogniem. Masz tam nową chustkę na głowę.

Podczas spotkania z nim zamierzała być surowa i małowówna, ale ten wstęp utrudnił sprawę.

– To bardzo ładnie z twojej strony – powiedziała. – Ale chyba niepotrzebnie naraziłeś się na wydatek.

– O mnie się nie martw. Jestem do tego przyzwyczajony – odparł i zmierzył ją swoim zwykłym zuchwałym, obraźliwym spojrzeniem. – Wcześniej przysłaś – dodał. – Bałaś się, że pojedę bez ciebie?

Wspięła się na koło, usiadła przy Jemie i ujęła lejce.

– Przyjemnie poczuć je znów w ręku – powiedziała, ignorując jego słowa. – Mama i ja co tydzień w dzień targowy jeździłyśmy do Helston. Wydaje mi się, że to było bardzo dawno. Serce mi się ściska, jak o tym myślę. Cośmy się podczas takiej jazdy naśmiały, nawet kiedy czasy były ciężkie. Ty tego oczywiście nie możesz zrozumieć. Nigdy nie dbałeś o nikogo oprócz siebie.

Jem skrzyżował ramiona i przyglądał się, jak ona sobie radzi z powożeniem.

– Ten kuc nawet z zawiązanymi oczami trafi na drugą stronę torfowiska – rzekł. – Nie ściągaj go tak mocno, dobrze? Nigdy w życiu się jeszcze nie potknął. O, tak lepiej. To on prowadzi, pamiętaj, możesz mu zaufać. Coś mówiła?

Mary puściła lejce swobodniej i patrzyła na drogę.

– Nic specjalnego – odparła. – Właściwie to mówiłam do siebie. A więc chcesz sprzedać na jarmarku aż dwa kuce?

– Podwójny zysk, Mary, i jeżeli mi pomożesz, dostaniesz nową suknię. Nie uśmiechaj się i nie wzruszaj ramionami. Błada jesteś, oczy ci przygasły. Chora jesteś czy może brzuch cię boli?

– Od czasu, jak cię ostatni raz widziałam, nie wychodziłam z domu. Siedziałam w pokoju sama ze swoimi myślami. Nie były dla mnie zbyt wesołym towarzystwem. Jestem znacznie starsza, niż byłam cztery dni temu.

– Szkoda, żeś tak zbrzydła – mówił dalej Jem. – Miałem nadzieję, że wjadę do Launceston, mając u boku ładną dziewczynę, że mężczyźni będą się za tobą

oglądali i mrugali do mnie. Ale dzisiaj marnie wyglądasz. Nie opowiadaj mi bajek, Mary. Nie jestem taki ślepy, jak ci się zdaje. Co się stało w Jamajce?

– Nic się nie stało. Ciotka drepcze po kuchni, wuj siedzi przy stole, podpierając głowę rękami, a przed nim stoi butelka brandy. Tylko ja się zmieniłam.

– Znów mieliście gości?

– O ile mi wiadomo, to nie. Nikt nie wchodził na dziedziniec.

– Usta masz zacięte, oczy podkrążone. Jesteś zmęczona. Widziałem kiedyś w Plymouth kobietę, która tak wyglądała, ale był ku temu powód. Mąż wrócił do niej po czterech latach na morzu. Ty nie masz takiej wymówki. A może myślałaś o mnie?

– Tak, raz o tobie pomyślałam – rzekła Mary. – Zastanawiałam się, który z was pierwszy będzie wisiał, ty czy twój brat. Ale sądząc z tego, co widzę, różnica w czasie będzie niewielka.

– Jeżeli Joss pójdzie na szubienicę, będzie to jego własna wina – odparł Jem. – Nie widziałem jeszcze człowieka, który by tak gorliwie zakładał sobie stryczek na szyję. Nie idzie, ale pędzi na spotkanie nieszczęścia. Jeżeli go spotka marny koniec, dobrze sobie na niego zasłuży i nie będzie wtedy miał butelki brandy, żeby w niej szukać ratunku. Zawiesznie trzeźwy.

Jechali dalej w milczeniu. Jem bawił się końcem bata, Mary była świadoma bliskości jego rąk. Zerknęła na nie spod oka i spostrzegła, że są długie i smukłe, mają tę samą siłę i grację co ręce Jossa. Ale te ręce ją pociągały, tamte odpychały. Po raz pierwszy odkryła, że odraza i pociąg mogą iść ramię w ramię, linia graniczna między tymi dwoma uczuciami jest bardzo cienka. Myśl była nieprzyjemna, dziewczyna zachnęła się w duchu. Przypuśćmy, że obok niej siedziałby Joss sprzed dziesięciu lub dwudziestu lat. Zamknęła to porównanie w głębi świadomości, lękając się obrazu, który naraz wyczarowała. Wiedziała teraz, dlaczego nienawidzi wuja.

Rozmyślenia jej przerwał głos Jema.

– Na co tak patrzysz? – spytał.

Mary oderwała wzrok od ciągnącego się przed nią krajobrazu.

– Zwróciłam przypadkiem uwagę na twoje ręce – odrzekła krótko. – Są takie same jak ręce twojego brata. Jak daleko dojedziemy torfowiskiem? Czy ta droga, co się tam wije, to nie gościniec?

– Wyjedziemy na gościniec nieco dalej, za jakieś dwie lub trzy mile. Więc zwracasz uwagę na męskie ręce, tak? Nigdy bym cię o to nie posądzał. Czyli jesteś mimo wszystko kobietą, nie jakimś tam niedowarżonym parobkiem wiejskim. Czy powiesz mi wreszcie, dlaczego przez cztery dni siedziałaś w swoim pokoju, z nikim nie rozmawiając, czy chcesz, żebym się sam domyślił? Kobiety ubóstwiają być tajemnicze.

– Nie ma tu żadnej tajemnicy. Pytałeś mnie ostatnim razem, czy wiem, dlaczego moja ciotka wygląda jak widmo. Tak się wyraziłeś, prawda? No więc teraz już wiem, oto wszystko.

Jem przez chwilę patrzył na nią z zaciekawieniem, potem znów gwizdnął.

– Gorzałka to dziwna rzecz – powiedział w końcu. – Upiłem się raz w Amsterdamie, wtedy kiedy uciekłem na morze. Pamiętam, że zegar na wieży wybił wpół do dziesiątej wieczór, a ja siedziałem na podłodze i obejmowałem ładną rudą dziewczynę. Potem była nagle siódma rano, a ja leżałem na wznak w rynsztoku, bez butów i bez spodni. Często się zastanawiam, co robiłem przez te dziesięć godzin. Myślę i myślę, ale ani rusz nic sobie nie mogę przypomnieć.

– Masz szczęście – rzekła Mary. – Twój brat nie jest takim szczęściarzem. Kiedy się upije, odzyskuje pamięć, zamiast ją tracić.

Kuc zwolnił biegu, trzepnęła go więc lejcami.

– Kiedy jest sam, może mówić do siebie – ciągnęła. – Na murach Jamajki nie robi to specjalnego wrażenia. Ale tym razem nie był sam. Byłam akurat przy tym, kiedy się ocknął z odrętwienia. I męczyły go sny.

– No i jak ci opowiedział, co mu się śniło, zamknęłaś się w swoim pokoju na cztery dni? – spytał Jem.

– Coś w tym rodzaju, ale więcej się ode mnie nie dowiesz.

Pochylił się nagle do niej i odebrał jej lejce.

– Nie patrzysz, dokąd jedziesz – powiedział. – Mówiłem ci, że ten kuc nigdy się nie potyka, ale to nie znaczy, że masz go wpakować na kawał granitu wielkości kuli armatniej. Zostaw go mnie.

Mary usiadła wygodnie i pozwoliła mu powozić. To prawda, brak jej koncentracji, zasłużyła na wymówkę. Kuc od razu ruszył kłusem.

– Co masz zamiar przedsięwziąć? – spytał Jem.

Mary wzruszyła ramionami.

– Jeszcze nie zdecydowałam. Muszę myśleć o ciotce Patience. Nie spodziewasz się chyba, że ci powiem?

– Czemu nie, ja tam Jossa nie bronię.

– Jesteś jego bratem, to mi wystarcza. Cała ta historia ma dużo luk, a ty znakomicie do niektórych pasujesz.

– Myślisz, że marnowałbym czas na pracę dla mojego brata?

– Z tego, co widziałam, strata czasu byłaby niewielka. W jego interesie zyski są duże, a za towar nic się nie płaci. Umarli nie zdradzają tajemnic, Jem.

– To prawda, ale zdradzają je rozbite statki, jeżeli wpadają na skały przy pomyślnym wietrze. Kiedy statek chce zawinąć do portu, wygląda świateł, Mary. Widziałas, jak ćmy lecą na świecę i opalają sobie skrzydła? Tak samo jest ze statkiem, płynie do fałszywego światła. Może się to zdarzyć raz, dwa razy, niechby nawet trzy, ale za czwartym swąd z takiego rozbicia bije pod niebiosa, a wtenczas cała okolica chwyta za broń i domaga się odpowiedzi, dlaczego tak się stało. Mój brat stracił ster i teraz sam wali na skały.

– Dotrzymasz mu towarzystwa?

– Ja? A co ja mam z nim wspólnego? Może wsadzić głowę w pętlę, jeżeli chce. Owszem, zdobywałem od czasu do czasu trochę tytoniu i woziłem ładunki, ale jedno ci powiem, Mary, możesz wierzyć albo nie, zależnie od humoru: nie zabiłem nigdy człowieka. Przynajmniej dotychczas.

Strzelił wściekle z bata nad głową kuca, który pomknął galopem.

– Tam gdzie żywopłot skręca w kierunku wschodnim, jest bród. Przejedziemy przez rzekę i pół mili dalej wyjedziemy na trakt. Stamtąd do Launceston będziemy mieli około siedmiu mil. Zmęczona jesteś?

Mary pokręciła głową.

– W koszyku pod siedzeniem są chleb, ser, jabłka i parę gruszek – powiedział. – Będziesz niedługo głodna. Więc myślisz, że rozbijam statki, tak, a potem stoję na brzegu i patrzę, jak ludzie toną? A jak już spuchną od wody, wsadzam im ręce do kieszeni? Ładny obrazek, szkoda gadać.

Czy gniewa się naprawdę, czy tylko udaje gniew, Mary nie była pewna, ale usta miał mocno zaciśnięte, a wysoko na policzkach zapłonęły mu szkarłatne plamy.

– Na razie nie zaprzeczyleś, prawda? – powiedziała.

Zmierzył ją beczelnym spojrzeniem, na pół pogardliwym, na pół drwiącym, i roześmiał się, jak gdyby była niemądrym dzieckiem. Ogarnęła ją wściekłość na niego, zarazem jednak wyczuła, jakie pytanie padnie za chwilę, i zrobiło jej się gorąco.

– Jeżeli tak o mnie myślisz, dlaczego jedziesz ze mną dzisiaj do Launceston? – spytał.

W głosie jego brzmiało szyderstwo; wymijająca lub niepewna odpowiedź przyniosłaby mu triumf, toteż Mary zmusiła się do wesołego tonu.

– Dla twoich pięknych oczu, panie Merlyn – odparła. – Jadę z tobą tylko dlatego. – I bez zmrużenia powiek wytrzymała jego spojrzenie.

Roześmiał się, pokiwał głową i znów zaczął pogwizdywać, lecz teraz zapanował między nimi nastrój swobody i jakby chłopięcej poufałości. Śmiałe jej słowa rozbroiły Jema, nie domyślał się wcale kryjącej się za nimi słabości i na chwilę stali się kompanami, wyzbyli się napięcia, jakie panuje zwykle między kobietą a mężczyzną.

Wyjechali teraz na trakt i kariolka turkotała za kłusującym koniem, dwa zaś kradzione biegły z tyłu. Chmury deszczowe płynęły po niebie, jak dotychczas jednak nie było nawet mżawki, a rysujące się w oddali wzgórza wolne były od

mgły. Mary pomyślała o pastorze Daveyu, który przebywa zapewne w Altarnun. Zastanawiała się, co też powie, kiedy usłyszy teraz jej relację. Nie będzie już chyba doradzał wyczekiwania. Ale może być niekontent, że się go nachodzi w święta. Mary wyobraziła sobie plebanię, spokojną i zaciszną wśród gromadki domków wiejskich, i wysoką wieżę kościelną, która wznosi się niby strażniczka nad dachami i kominami.

Jakąż bezpieczną przystanią jest dla niej Altarnun – sama nazwa brzmi jak łagodny szept – a głos Francisa Daveya oznacza ukojenie i wyzbycie się trosk. Pastor jest niewątpliwie dziwny, dziwnością szczególną, lecz zarazem miłą. Choćby ten jego obraz na sztalugach, choćby to, jak zręcznie i bez słowa usługiwał jej przy stole, a potem z zapamiętaniem popędzał konia do szybkiego biegu. Najdziwniejsza wszakże była owa szara, melancholijna cisza w jego pokoju, w którym Mary nie zauważyła żadnych śladów obecności właściciela. Francis Davey wtedy wieczorem sprawił na niej wrażenie cienia, a teraz, kiedy Mary nie ma go przed oczyma, wydaje się wręcz nierzeczywisty. Ani krzty męskiej agresywności Jema Merlyna, niemalże bezcielesny duch. Tylko dwoje białych oczu i głos w ciemnościach.

Kuc spłoszył się nagle na widok otworu w żywopłocie i głośnie przekleństwo Jema wyrwało Mary z rozmyślań.

– Czy są tu w pobliżu kościoły? – spytała. – Odkąd tu przyjechałam, żyję jak poganka i źle się z tym czuję.

– Bodaj cię pioruny! – wrzasnął Jem na kuca, ściągając lejce. – Chcesz nas wszystkich wpakować do rowu? Kościoły, mówisz? A skąd, u diabła ciężkiego, mam coś wiedzieć o kościołach? Raz w życiu tylko byłem w kościele, kiedy mnie matka zaniósła, i wyszedłem z niego jako Jeremia. Więc nic ci na ten temat nie mogę powiedzieć. O ile mi wiadomo, trzymają tam złote naczynia pod mocnymi zamkami.

– Ale w Altarnun jest kościół, prawda? To niezbyt daleko od Jamajki. Może wybiorę się jutro.

– Lepiej przyjdź do mnie na obiad świąteczny. Indyka nie dostaniesz, ale zawsze mogę zwędzić gąskę staremu Tuckettowi. Tak źle już widzi, że nawet nie zauważy straty.

– Czy wiesz, kto jest pastorem w Altarnun?

– Nie mam pojęcia. Nigdy się nie zadawałem z duchownymi i nie mam zamiaru zaczynać. Osobliwe plemię. Kiedy byłem mały, w North Hill był pastor, który miał bardzo krótki wzrok. Otóż pewnej niedzieli butelki podobno mu się pomieszały i zamiast wina zaczął dawać parafianom przy komunii brandy. Cała wieś zwiedziała się zaraz, co się święci, i wiesz, do kościoła napchało się tyle ludzi, że nie było gdzie klęknąć; wierni stali pod ścianami, czekając na swoją kolejkę. Pastor nic nie mógł zrozumieć; nigdy jeszcze w kościele nie było tak tłoczno. Wszedł rozpromieniony na ambonę i wygłosił kazanie o zbłąkanych owieczkach wracających do owczarni. Brat Matthew opowiadał mi tę historyjkę; dwa razy podchodził do ołtarza, ale pastor wcale się nie zorientował. To był wielki dzień w North Hill. Wyciągnij chleb i ser, Mary, słabnę już z głodu.

Mary pokiwała głową i westchnęła.

– Czy kiedykolwiek w życiu traktowałeś coś poważnie? Czy naprawdę nikogo i nic nie szanujesz?

– Szanuję swój żołądek – odparł – który w tej chwili domaga się pożywienia. Koszyk jest pod moimi nogami. Możesz zjeść jabłko, skoro wpadłaś w pobożny nastrój. W Biblii jest mowa o jabłku, tyle chociaż wiem.

Kiedy o wpół do trzeciej po południu zajechali z tętentem kopyt do Launceston, oboje byli roześmiani, a nawet nieco zgrzani. Mary wbrew porannym postanowieniom zapomniała o wszelkich troskach i ulegając nastrojowi Jema, oddała się wesołości.

Z dala od posępnego cienia Jamajki odzyskała właściwą sobie młodzieńczą fantazję, a Jem zauważył to natychmiast i robił wszystko, żeby dziewczynę jeszcze bardziej rozbawić.

Śmiała się, bo musiała się śmiać, bo on ją rozśmieszał, ponadto zaś tu, w ruchliwym ludnym mieście, samo powietrze przepojone było radosnym świątecznym podnieceniem. Na ulicach panował tłok, małe sklepy były pięknie udekorowane. Powozy, bryczki, dylizanse również stały w ścisiku na brukowanym placu centralnym. Miasto tryskało barwami, życiem, ruchem; wesoły, hałaśliwy tłum gromadził się przed straganami, indyki i gęsi dziobały bariery drewnianych zagródek, a jakaś uśmiechnięta kobieta w zielonej pelerynie trzymała nad głową jabłko, świecące i rumiane jak jej policzki. Scena była dobrze Mary znana i miła jej sercu: w Helston na Boże Narodzenie bywało tak co roku, ale tu, w Launceston, wesołość była bardziej żywiołowa, tłum większy, głosy donośniejsze. Czuło się tutaj tchnienie wielkich miast; hrabstwo Devon i Anglia leżały tuż za rzeką. Farmerzy z sąsiedniego hrabstwa ocierali się ramionami o wieśniaczki ze wschodniej Kornwalii, wśród tłumu zaś krążyli masarze, piekarze i ich mali terminatorzy z tacami gorących pasztecików i kiełbasek. Pani w kapeluszu z piórem i w niebieskim aksamitnym okryciu wysiadła z powozu i weszła do gościnnie oświetlonej gospody Pod Białym Jeleniem, za nią wysiadł pan w popielatym płaszczu. Wsadził do oka monokl i kroczył dumnie za swą damą, niczym wielki indor.

Dla Mary był to świat beztroski i pełen wesela. Miasto, położone na zboczu wzgórza i mające pośrodku wielki zamek, sprawiało wrażenie ilustracji do starej bajki. Były tu grupy drzew, spadziste pola, w dolinie poniżej lśniła woda. Torfowiska przestały istnieć, rozpościerały się poza miastem, nie pamiętało się o nich. Rzeczywiste było tylko Launceston i ludzie pełni radości życia. Boże Narodzenie opanowało miasto, rządziło roześmianym tłumem, przewalającym się po brukowanych ulicach, a blade słońce usiłowało wydostać się ze swej kryjówki za szarym wałem chmur, aby wziąć udział w zabawie. Mary włożyła chustkę podarowaną przez Jema, pozwoliła mu nawet zawiązać końce pod brodą. Odstawili kariolkę i kuca do stajni w mieście i teraz Jem przeciskał się przez tłum, prowadząc dwa skradzione kuce i torując drogę Mary. Szedł z pewną siebie miną, kierując się na główny rynek, dokąd zdążało całe Launceston. Budki i namioty jarmarku

świętecznego ustawiono ciasno jedno przy drugim, z boku zaś odgrodzono sznurami miejsce, na którym sprzedawano i kupowano żywy inwentarz. Otaczali je farmerzy, ziemianie i handlarze z Devonu, a nawet z dalszych stron. Serce Mary zabiło szybciej, kiedy się do tego miejsca zbliżyli; przypuśćmy, że trafi się ktoś z North Hill lub jakiś farmer z pobliskiej wioski, czy nie rozpoznają kuców? Jem zsunął kapelusz na tył głowy i pogwizdywał przez zęby. Obejrzał się raz i mrugnął do Mary. Tłum rozstąpił się, żeby go przepuścić. Mary stanęła opodal, za grubą przekupką z koszykiem. Widziała, jak Jem zajął miejsce wśród grupy mężczyzn z końmi, skinieniem głowy przywitał się z tym i owym, po czym ogarnął spojrzeniem ich koniki, schylając się jednocześnie do płomienia, żeby zapalić fajkę. Minę miał spokojną i beztroską. Po chwili jaskrawo ubrany mężczyzna w czarnym kapeluszu i jasnych bryczesach przecisnął się przez tłum i podszedł do zwierząt. Mówił głosem donośnym, uderzał wciąż pejczem o cholewę, a potem wskazywał któregoś konia. Z jego tonu i ważnej miny Mary zorientowała się, że musi to być handlarz. Wkrótce przyłączył się do niego drobny człowieczek o przenikliwych oczkach, który raz po raz trącał go łokciem i szeptał mu coś do ucha.

Mary zauważyła, że ten mały przygląda się pilnie czarnemu kucowi, który należał niegdyś do dziedzica Bassata. Podszedł do zwierzęcia, nachylił się i obmacał mu nogi. Potem szepnął coś do ucha temu z donośnym głosem. Mary obserwowała ich, zaniepokojona.

– Skąd masz tego kuca? – spytał handlarz, trącając Jema w ramię. – Z takim łbem i z taką pierśią nie może pochodzić z torfowisk.

– Urodził się cztery lata temu w Callington – odrzekł niedbale Jem, nie wyjmując fajki z ust. – Kupiłem go jako roczniaka od starego Tima Braya. Pamiętasz chyba Tima? Wyprzedził w zeszłym roku stadninę i przeniósł się do Dorset. Tim zawsze mówił, że nie stracę na tym koniku. Klacz była z Irlandii, dostawał za nią nagrody. Przyjrzyj mu się. Ale tanio go nie sprzedam, uprzedzam z góry.

Pykał fajkę, gdy tymczasem obaj mężczyźni oglądali kuca. Mary zdawało się, że trwało to całą wieczność, zanim wyprostowali się i cofnęli.

– Miałeś jakieś kłopoty z jego sierścią? – zapytał ten z przenikliwymi oczami. – Bardzo jest szorstka w dotyku i ostra jak szczecina. A w ogóle on mi się jakoś nie podoba. Nie dałeś mu jakichś środków podniecających?

– Nic mu nie brakuje – odparł Jem. – Tamten drugi zmarniał mi w lecie, ale go odchuchałem. Powinienem zatrzymać go do wiosny, cóż, kiedy za dużo mnie kosztuje. Ale ten czarny nie ma żadnych wad. Jedną tylko rzecz powiem szczerze, bo uczciwość mi to nakazuje. Stary Tim Bray nie wiedział, że klacz jest żrebna, był wtedy w Plymouth i chłopak stajenny jej doglądał. Jak się dowiedział, sprawił chłopakowi lanie, ale oczywiście było już za późno. Spójrzcie tu, na krótkie włosy przy skórze. Myszate, prawda? Tim Bray zrobił wielkie głupstwo, że sprzedał tego kuca. Spójrzcie na te barki, to jest rasa. Coś wam powiem, wezmę za niego osiemnaście gwinei.

Człowieczek z bystrymi oczkami pokręcił głową, ale handlarz zawahał się.

– Opuść na piętnaście, a dobijemy targu – zaproponował.

– Nie, to ostateczna cena, osiemnaście i ani pensa mniej – oświadczył Jem.

Mężczyźni zaczęli się naradzać, widać było, że nie mogą dojść do zgody. Mary posłyszała słowo „szwindel” i Jem rzucił jej spojrzenie ponad głowami tłumu. W grupce przy nim rozległ się szmer. Ten z przenikliwymi oczkami znów nachylił się i pomacał nogi czarnego kuca.

– Radzę zasięgnąć jeszcze czyjejs opinii – powiedział. – Mnie się ten kuc nie podoba. Gdzie cecha?

Jem pokazał mu wąskie przecięcie na uchu. Mężczyzna obejrzał je uważnie.

– Ostrożny z pana kupiec, co? – zauważył Jem. – Mógłby kto pomyśleć, że ukradłem tego konika. Coś nie w porządku z cechą?

– Nie, chyba w porządku. Ale dobrze się dla ciebie składa, że Tim Bray przeniósł się do Dorset. Nie przyznałby się do tego kuca, choćbyś nie wiem co

mówił. Na twoim miejscu, Stevens, dałbym sobie z nim spokój. Napytasz sobie biedy. Chodź stąd, człowieku.

Handlarz spojrział z żalem na czarnego kuca.

– Piękny jest – powiedział. – Wszystko mi jedno, kto go wyhodował i nawet czy miał srokiego ojca. Coś taki grymaśny, Will?

Mężczyzna z przenikliwymi oczkami znów chwycił towarzysza za rękaw i zaczął mu szeptać do ucha. Handlarz wysłuchał, skrzywił się i skinął głową.

– Dobra – powiedział na głos. – Pewnie tak jest. Ty masz nosa w tych sprawach. Chyba lepiej nie ryzykować. Możesz zatrzymać swego kuca – zwrócić się do Jema. – Mój wspólnik go nie chce. Posłuchaj mojej rady i spuść z ceny. Jeżeli za długo będziesz się z nim bawił, pożałujesz tego.

Wraz z towarzyszem łokciami utorował sobie drogę przez tłum, kierując się do Białego Jelenia. Mary odetchnęła z ulgą, kiedy obaj znikli jej z oczu. Nie mogła nic wyczytać z twarzy Jema, który coś tam jak zwykle pogwizdywał. Ludzie przychodzili i odchodzili, kosmate koniki z torfowisk sprzedawano po dwa lub trzy funty i ich dotychczasowi właściciele oddalali się zadowoleni. Nikt jednak nie zbliżył się już do czarnego kuca. Spoglądano na niego niechętnym okiem. Za kwadrans czwarta Jem po długich i dobrotliwych pertraktacjach sprzedał drugiego konia wesołemu farmerowi z uczciwą gębą. Farmer dawał pięć funtów, Jem upierał się przy siedmiu. Po dwudziestu minutach hałaśliwych targów stanęło na sześciu i farmer odjechał na swoim nabytku, uśmiechnięty od ucha do ucha. Mary ze zmęczenia trudno było ustać na nogach. Na placu zaczęło się zmierzchać, zapalono latarnie. Miasto nabrało tajemniczego wyglądu. Myślała już o powrocie do kariołki, kiedy usłyszała za sobą kobiecy głos i głośny, afektowany śmiech. Odwróciła się i ujrzała niebieską pelerynę i kapelusz z piórem damy, która wcześniej tego dnia wysiadła z karety.

– Spójrz, James – mówiła. – Czyś widział w życiu takiego ślicznego kuca? Trzyma głowę zupełnie jak biedny Parys. Podobieństwo byłoby uderzające, tylko

ten koń jest czarny, no i nie taki rasowy jak nasz Parys. Jaka szkoda, że nie ma tu Rogera. Nie mogę wywoływać go z zebrania. Co sądzisz o kucu, James?

Jej towarzysz wsadził w oko monokl.

– Do kata, Mario – wycedził. – Nie znam się zupełnie na koniach. Ten, co wam zginął, był siwy, prawda? A ten jest hebanowy, no, zupełnie jak heban, moja droga. Chcesz go kupić?

Kobieta roześmiała się perliście.

– Byłby to cudowny prezent gwiazdkowy dla dzieci – powiedziała. – Odkąd Parys zaginął, nie dają Rogerowi spokoju. Proszę cię, James, zapytaj o cenę.

Mężczyzna postąpił naprzód.

– Hej, dobry człowieku! – zawołał do Jema. – Chcecie sprzedać tego czarnego kuca?

Jem pokręcił głową.

– Obiecałem go przyjacielowi – rzekł. – Nie chciałbym łamać słowa. Poza tym ten kuc się dla pana nie nadaje. Jeździły na nim dzieci.

– O, doprawdy... O, rozumiem. O, dziękuję... Mario, ten człowiek mówi, że kuc nie jest na sprzedaż.

– Na pewno? Jaka szkoda. Tak mi się podoba. Zapłacę, ile zechce, powiedz mu. Zapytaj go jeszcze raz, James.

Mężczyzna jeszcze raz wsadził do oka monokl i wycedził:

– Posłuchajcie, człowieku, tej pani spodobał się wasz kuc. Właśnie taki jej zginął i chciałyby mieć na jego miejsce innego. Wiecie co, pal diabli tego waszego przyjaciela. Może poczekać. Ile żądacie?

– Dwadzieścia pięć gwinei – powiedział szybko Jem. – W każdym razie tyle miał mi zapłacić przyjaciel. Nie zależy mi na tym, żeby go sprzedać.

Pani w kapeluszu z piórem weszła do koła.

– Dam panu za niego trzydzieści gwinei – oświadczyła. – Jestem pani Bassat z North Hill i chcę tego kuca na prezent gwiazdkowy dla moich dzieci. Proszę się nie upierać. Połowę tej sumy mam w portmonetce, a ten pan zapłaci resztę. Pan

Bassat jest teraz w Launceston i chcę, żeby kuc był niespodzianką i dla niego, i dla dzieci. Mój stajenny przyjdzie zaraz po zwierzę i pojedzie na nim do domu, zanim pan Bassat opuści miasto. Proszę, tu są pieniądze.

Jem zdjął kapelusz i ukłonił się nisko.

– Pięknie dziękuję – rzekł. – Mam nadzieję, że pan Bassat będzie zadowolony z pani nabytku. Przekona się pani, że konik jest nadzwyczaj łagodny i dzieci bezpiecznie mogą na nim jeździć.

– Ach, jestem przekonana, że pan Bassat będzie zachwycony. Oczywiście ten koń nie umywa się do tego, którego nam skradziono. Parys to był koń czystej krwi, wart moc pieniędzy. Ale ten konik jest dość ładny i dzieciom na pewno się spodoba. Chodźmy, James, robi się ciemno, zziębłam już do szpiku kości.

Pani Bassat ruszyła do karety, która czekała na placu. Wysoki lokaj podskoczył naprzód, żeby otworzyć przed nią drzwi.

– Kupiłam właśnie kuca dla panicza Roberta i panicza Henry’ego – powiedziała. – Proszę poszukać Richardsa i powiedzieć mu, że ma pojechać na nim do domu. Chcę, żeby to była niespodzianka dla pana dziedzica.

Szeleszcząc spódnicami, wsiadła do powozu, a za nią pan z monoklem. Jem obejrzał się szybko i trącił w ramię stojącego za nim chłopaka.

– Ty! – powiedział. – Chcesz zarobić pięć szylingów? – Chłopak skinął głową, otwierając usta ze zdumienia. – No to trzymaj tego konia i kiedy stajenny przyjdzie, oddaj mu go, dobrze? Dostałem właśnie wiadomość, że moja żona urodziła bliźnięta i jej życiu grozi niebezpieczeństwo. Nie mam chwili do stracenia. Bierz uzdę, prędko! Wesołych świąt!

Zanim chłopak zdołał wymówić słowo, Jem z rękami w kieszeniach spodni szedł już szybko przez plac. Mary ruszyła dyskretnie o dziesięć kroków za nim. Czerwona jak burak, nie śmiąc podnieść oczu, dusiła się ze śmiechu i zasłaniała usta szalem. Kiedy znaleźli się wreszcie po drugiej stronie placu, z dala od karety i grupy ludzi, była wprost bliska omdlenia. Stanęła, przyciskając rękę do boku, aby zaczerpnąć tchu. Jem czekał na nią, twarz miał poważną niczym sędzieja.

– Jeremiaś Merlyn, zasługujesz na szubienicę – powiedziała, kiedy już trochę odsapnęła. – Co za szatańska czelność: przy ludziach, na jarmarku, sprzedać skradzionego kuca pani Bassat we własnej osobie! Osiwiałam, patrząc na to wszystko.

Jem odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem tak zaraźliwym, że musiała się też roześmiać. Głośny śmiech odbił się echem na ulicy, aż ludzie zaczęli się oglądać i, zarażeni wesołością, uśmiechali się i śmiali, w końcu więc zdawało się, że całe Launceston pokłada się ze śmiechu. Fale uciechy mieszały się z szumem i tupotem nóg tłumów na jarmarku, nad tymi zaś odgłosami górowały różne okrzyki, nawoływania i dolatujące nie wiedzieć skąd śpiewy. Pochodnie i światła uliczne rzucały przedziwne blaski na twarze ludzi, a ta gra barw i cieni w połączeniu z gwarem niezliczonych głosów sprawiała, iż samo powietrze drgało radosnym podnieceniem.

Jem chwycił Mary za rękę i ścisnął jej palce.

– Teraz zadowolona jesteś, żeś przyjechała, co? – spytał.

– Tak – odparła bez namysłu i nic już nie miała mu za złe.

Zanurzyli się w tłumie jarmarcznym, czując wokół siebie miłe ciepło ciżby ludzkiej. Jem kupił Mary karmazynowy szal i złote kolczyki. Zajadali pomarańcze pod pasiastym namiotem i pozwolili pomarszczonej Cygance, żeby im powróżyła.

– Strzeż się nieznajomego o ciemnych włosach – powiedziała do Mary Cyganka, na co oboje spojrzeli na siebie i znów wybuchnęli śmiechem. – Masz krew na ręce, młodzieńcze – powiedziała następnie Jemowi. – Zabijesz kiedyś człowieka.

– A co ci mówiłem dziś rano w kariolce? – rzekł Jem. – Na razie jestem niewinny. Wierzysz mi teraz?

Mary jednak potrząsnęła tylko głową i nie chciała nic powiedzieć. Drobną deszcz kropił im twarze, ale nie zwracali na to uwagi. Porywisty wiatr szarpał powłoki namiotów, rozrzucając papiery, wstążki, jedwabie, wielka pasiasta budka w pewnej chwili zadygotała i osiadła, jabłka i pomarańcze potoczyły się do

rynsztoka. Płomienie chygotały się na wietrze, deszcz się wzmaczał, ludzie biegali tam i sam, szukając schronienia, śmiejąc się, nawołując wzajemnie, ociekając strugami wody.

Jem pociągnął Mary do jakiegoś frontowego wejścia, otoczył ją ramionami, obrócił ku sobie jej twarz, przytrzymał rękami i pocałował.

– Strzeż się nieznajomego o ciemnych włosach – powiedział, roześmiał się i znów ją pocałował.

Wraz z deszczem nadciągnęły wieczorne chmury, w jednej chwili zrobiło się ciemno. Wiatr zgasił pochodnie, latarnie świeciły słabym, żółtym światłem, po wesołych barwach jarmarku nie pozostał ślad. Plac szybko się wyludnił, pasiaste namioty i budki ziały pustką i osamotnieniem. Deszcz zacinał przez otwarte drzwi; Jem stanął do nich plecami, osłaniając Mary. Rozwiązał jej chustkę i bawił się włosami. Czują jego palce na szyi, potem na ramionach, podniosła więc ręce i je odepchnęła.

– Jak na jeden wieczór, dość już narobiłam głupstw, panie Merlyn – oświadczyła. – Czas pomyśleć o powrocie. Daj mi spokój.

– Nie chcesz chyba w taką wichurę jechać otwartą kariolką? – odrzekł. – Wiatr wieje od morza i na wyższych terenach nas zniesie. Musimy razem spędzić noc w Launceston.

– Akurat. Idź po konia, Jem, ulewa na chwilę ustała. Ja tu na ciebie zaczekam.

– Mary, nie bądź purytanką. Przemokniesz do nitki na trakcie. Słuchaj, wyobraź sobie, że mnie kochasz. Wtedy ze mną zostaniesz.

– Czy dlatego tak do mnie mówisz, że jestem bufetową w Jamajce?

– Pal diabli Jamajkę! Podobasz mi się, przyjemnie mi cię dotykać, to każdemu mężczyźnie wystarczy. Kobiecie też powinno wystarczyć.

– Niektórym pewnie wystarcza. Tak się składa, że ja do nich nie należę.

– Ejże? Czyżby nad rzeką Helford rodziły się kobiety całkiem różne od innych? Zostań ze mną dzisiaj, Mary, a przekonamy się. Zanim ranek nadejdzie, będziesz taka sama jak wszystkie, mogę to przysiąc.

– Nie mam najmniejszej wątpliwości. Dlatego właśnie wolę zmoknąć w kariolce.

– Ojej, twarda jesteś jak kamień, Mary. Pożałujesz tego, kiedy znów zostaniesz sama.

– Lepiej żałować wcześniej niż później.

– Nie rozmyślisz się, jeżeli cię jeszcze raz pocałuję?

– Nie.

– Wcale się nie dziwię, że mój brat na cały tydzień położył się z butelką do łóżka, skoro miał ciebie w domu. Pewnie śpiewałaś mu psalmy?

– Coś w tym rodzaju.

– W życiu nie widziałem takiej przewrotnej kobiety. Kupię ci obrączkę, jeżeli się przez to poczujesz solidną mężatką. Nieczęsto mam w kieszeni dość pieniędzy, żeby coś podobnego zaproponować.

– Ile już masz żon?

– Sześć czy siedem rozsianych po Kornwalii. Nie liczę tych po drugiej stronie Tamaru.

– Niezła gromadka jak na jednego mężczyznę. Na twoim miejscu poczekałabym trochę z wzięciem ósmej.

– Ostra jesteś, co? Wyglądasz jak małpka w tym swoim szalu i z tymi świecącymi oczkami. Dobra, pójdę po kariolkę i odwiozę cię do domu, do twojej cioci, ale przedtem pocałuję cię, czy ci się to podoba, czy nie.

Ujął w rękę jej twarz.

– „Raz na smutek, raz na wesele” – rzekł. – Resztę ci powiem, kiedy będziesz w bardziej zgodnym nastroju. Dziś nie warto kończyć wierszyka. Zostań tu, niedługo wrócę.

Pochylił głowę, chroniąc twarz przed deszczem, i wielkimi krokami ruszył przez ulicę. Widziała, jak doszedł do końca szeregu straganów i zniknął za rogiem.

Ukryła się znów pod osłoną drzwi. Na trakcie będzie okropnie, wiedziała o tym – nieustająca ulewa, wściekły wiatr, a po torfowiskach trudno się spodziewać

litości. Potrzeba sporo odwagi, żeby otwartą kariolką przebyć te jedenaście mil. Na myśl o pozostaniu z Jemem w Launceston serce bije może szybciej, a teraz, kiedy odszedł i Mary nie widzi jego twarzy, rozważanie całej sprawy zapiera dech w piersiach, jednakże nie wolno jej stracić głowy. Jeśli choćby o krok zboczy z drogi, którą sobie wytyczyła, nie będzie powrotu. Koniec z niezależnością myślenia, koniec z wolnością. I tak już za bardzo się w to wszystko wplątała i nigdy nie będzie całkiem od Jema wolna. Ta słabość będzie ustawicznym ciężarem i sprawi, że ściany Jamajki staną się jeszcze bardziej nienawistne niż dotychczas. Łatwiej jest znosić osamotnienie, gdy się o nikim nie myśli. Teraz grobowa cisza torfowisk będzie torturą przez świadomość, że Jem oddalony jest zaledwie o cztery mile. Mary otuliła się szczelniej szalem. Szkoda, że kobiety to takie kruche, słabe stworzenia, pomyślała, gdyż takie żywiła przeświadczenie. Gdyby nie to, mogłaby spędzić tę noc z Jemem Merlynem, zapomnieć o całym świecie, tak jak on potrafi o nim zapomnieć, a rano rozstaliby się ze śmiechem i wzruszeniem ramion. Ale jest kobietą, więc rzecz jest niemożliwa. Już i tak kilka pocałunków wystarczyło, żeby całkiem zgłupiała. Pomyślała o ciotce Patience, snującej się jak duch w cieniu swego pana, i wzdrygnęła się. Taką samą nieszczęsną istotą mogłaby się stać Mary Yellan, gdyby nie łaska Boga i jej własna siła woli. Podmuch wiatru szarpnął jej spódnicę i nowe strugi deszczu poczęły zacinać przez otwarte drzwi. Ochłodziło się wyraźnie. Potoki wody płynęły po bruku jezdni, światła i ludzie znikli. Launceston straciło swój czar. Dzień Bożego Narodzenia będzie jutro ciemny i ponury.

Mary czekała, dla rozgrzewki przytupując i chuchając w dłonie. Jem nie kwapi się jakoś z tą kariolką. Zły jest pewnie na Mary, że nie chciała zostać, więc każe jej za karę moknąć tu i ziębnąć w otwartych drzwiach. Mijały długie minuty, a jego wciąż nie było widać. Cóż, jeżeli w ten sposób się mści, zemsta nie jest ani dowcipna, ani oryginalna. Gdzieś w okolicy zegar wybił ósmą. Od chwili, kiedy Jem odszedł, upłynęło przeszło pół godziny, a do stajni, w której zostawił kuca i kariolkę, jest tylko pięć minut piechotą. Mary czuła, jak ogarniają ją zniechęcenie i smutek. Była na nogach od przedpołudnia, teraz więc, kiedy podniecenie

przygasało, marzyła tylko o odpoczynku. Trudno będzie odzyskać beztroski humor ostatnich kilku godzin. Odchodząc, Jem zabrał ze sobą całą swą wesołość.

W końcu Mary nie mogła dłużej tak stać i ruszyła pod górę na poszukiwanie Jema. Ulica była pusta, jeśli nie liczyć kilku maruderów szukających wątpliwego schronienia w otwartych drzwiach, podobnie jak Mary przed chwilą. Deszcz siekł bezlitośnie, podmuchy wiatru następowały jeden po drugim. Nic już nie przypominało o świątecznym nastroju, który tu panował tak niedawno.

Po kilku minutach Mary doszła do stajni, w której o trzeciej po południu zostawili kuca i kariolkę. Drzwi były zamknięte. Zajrzawszy przez szparę, zobaczyła, że stajnia jest pusta. Jem musiał odjechać. Gorączkowo i niecierpliwie zapukała do małego domku obok i po chwili drzwi otworzył ten sam człowiek, który wcześniej tego dnia wpuścił ich do stajni.

Mężczyzna, wyraźnie zły o to, że zakłócono mu spokój, nie poznał w pierwszej chwili Mary, w mokrym szalu wyglądała bowiem jak żebraczka.

– Czego chcesz? – burknął. – Nie dajemy tu obcym jeść.

– Nie przyszłam prosić o jedzenie – odparła Mary. – Szukam mojego towarzysza. Przyjechaliśmy dziś razem kariolką, jeżeli pan pamięta. Widzę, że stajnia jest pusta. Czy pan go widział?

– Bardzo panią przepraszam – wymamrotał speszony mężczyzna. – Pani przyjaciel odjechał jakieś dwadzieścia minut temu, może nawet więcej. Śpieszył się bardzo i był z nim jeszcze jakiś mężczyzna. Nie jestem pewien, ale zdaje mi się, że to któryś z posługaczy z Białego Jelenia. W każdym razie pojechali w tamtym kierunku.

– Nic mi nie kazał powiedzieć?

– Żałuję bardzo, ale nie. Może znajdzie go pani Pod Białym Jeleniem. Wie pani, gdzie to jest?

– Tak, dziękuję. Pójdę tam. Dobranoc.

Mężczyzna zatrzasnął czym prędzej drzwi, zadowolony, że się jej pozbył, Mary zaś zawróciła znów w kierunku miasta. Cóż za interesy mógł mieć Jem

z posługaczem z Białego Jelenia? Właściciel stajni pewnie się pomylił. Trudno, musi sama dojść prawdy. Znalazła się ponownie na brukowanym placu. Oświetlone okna gospody Pod Białym Jeleniem zapraszały gościnnie do środka, nigdzie jednak nie było widać kariolki i kuca. Serce Mary ścisnęło się. Przecież Jem nie odjechał chyba bez niej? Wahala się przez chwilę, potem jednak zbliżyła się do drzwi i weszła do środka. Na sali było pełno mężczyzn, rozlegał się gwar rozmów i śmiech. Wiejski ubiór Mary i ociekające wodą włosy musiały i tu sprawić fatalne wrażenie, bo zaraz podszedł posługacz i kazał jej wyjść.

– Szukam pana Jema Merlyna – oświadczyła Mary stanowczo. – Przyjechał tu kariolką i widziano go z jednym z tutejszych posługaczy. Przepraszam, że pana niepokoję, ale zależy mi na tym, żeby go znaleźć. Może zechce pan o niego zapytać.

Posługacz odszedł, mocno niezadowolony, Mary zaś czekała przy wejściu, odwrócona plecami do grupki mężczyzn, którzy stali przed kominkiem i gapili się na nią. Dostrzegła wśród nich handlarza koni i drobnego człowieczka o świdrujących oczach.

Ogarnęło ją nagle złe przecucie. Posługacz wrócił po chwili z kieliszkami na tacy, które podał towarzystwu zebranemu przy kominku, potem znów przyniósł ciasto i szynkę. Nie zwracał wcale uwagi na Mary i dopiero wtedy, kiedy zawołała go po raz trzeci, raczył do niej podejść.

– Przepraszam – powiedział – ale mamy tu dzisiaj tyle roboty, że nie możemy marnować czasu na ludzi z jarmarku. Nie ma tu nikogo o nazwisku Merlyn. Pytałem przed gospodą, nikt o nim nie słyszał.

Mary skierowała się od razu do drzwi, ale mężczyzna o świdrujących oczkach zagroził jej drogę.

– Jeżeli to ten smagły Cygan, który usiłował dziś po południu sprzedać kuca mojemu wspólnikowi, mogę pani udzielić o nim informacji – oznajmił, ukazując w szerokim uśmiechu wyszczerbione zęby.

Grupa przy kominku wybuchnęła śmiechem.

Mary zerknęła na tamtych, potem na drobnego mężczyznę.

– Co ma pan do powiedzenia? – spytała.

– Nie dalej jak dziesięć minut temu był tu w towarzystwie pewnego dżentelmena – odparł człowieczek, wciąż się uśmiechając i mierząc ją wzrokiem – i przy współdziałaniu kilku z nas dał się namówić do zajęcia miejsca w powozie czekającym przed drzwiami. Z początku skłonny był stawiać nam opór, ale mina owego dżentelmena sprawiła widocznie, że zdecydował się pojechać. Pani wie zapewne, co się stało z czarnym kucem? Cena, której smagły młodzieniec żądał, była niewątpliwie bardzo wysoka.

Uwaga ta wywołała nowy wybuch śmiechu grupy przy kominku. Mary wpatrywała się uporczywie w człowieczka o świdrującym spojrzeniu.

– Czy pan wie, dokąd pojechał? – zapytała.

Wzruszył ramionami i skrzywił się, udając współczucie.

– Cel podróży nie jest mi znany – odrzekł – i muszę z żalem stwierdzić, że pani towarzysz nie prosił o przekazanie pani żadnej wiadomości. Jednakże dzisiaj jest Wigilia, pora wczesna, a sama pani widzi, że pogoda nie sprzyja pozostawianiu pod gołym niebem. Jeżeli zechce pani poczekać tutaj, aż pani przyjaciel raczy wrócić, zarówno ja, jak i pozostali panowie będziemy zachwyceni, mogąc panią podejmować.

Położył wąską dłoń na jej mokrym szalu.

– Jakimż łotrem musi być ten człowiek, że tak panią opuścił – powiedział obłudnie. – Niech pani wejdzie, odpocznie i zapomni o nim.

Mary bez słowa odwróciła się do niego plecami i wyszła z gospody. Kiedy drzwi zamykały się za nią, posłyszała jeszcze echo jego śmiechu.

Tkwiła na wyludnionym placu, mając za towarzystwo tylko porywisty wiatr i strugi ulewnego deszczu. A więc stało się najgorsze, kradzież kuca wykryto. Innego wytłumaczenia być nie mogło. Mary patrzyła tępo na ciemne domy, zastanawiając się, jaka jest kara za takie przestępstwo. Czy wieszka się za nie ludzi tak samo jak za morderstwo? Czowała ból w całym ciele, jak gdyby ktoś ją pobił,

w głowie miała zamęt. Nic przed sobą nie widziała wyraźnie, nie potrafiła powziąć żadnej decyzji. Sądziła, że Jem jest dla niej stracony na zawsze, że go już nigdy nie zobaczy. Krótkotrwała przygoda skończyła się. Oglupiała, oszołomiona, nie wiedząc dobrze, co robi, Mary ruszyła przez plac w kierunku wzgórza, na którym wznosił się zamek. Gdyby zgodziła się zostać w Launceston, wszystko to w ogóle by się nie zdarzyło. Wyszliby spod osłony tamtych drzwi, znaleźliby gdzieś w mieście pokój, byłaby teraz przy nim, kochaliby się...

A nawet gdyby go rankiem złapano, nikt by im nie odebrał tych godzin spędzonych we dwoje. Teraz, kiedy Jema zabrakło, targana rozpaczą i gniewem, uświadomiła sobie, jak bardzo go pragnęła. To jej wina, że go schwytano, a ona nic dla niego nie może zrobić. Z pewnością powieszą go, zginie tak jak niegdyś jego ojciec. Mury zamku majaczyły przed nią groźnie, potoki wody deszczowej płynęły po drodze. Launceston straciło całą urodę, stało się posępnym, ciemnym, wstrętnym miastem, gdzie każdy zakręt napomykał o nieszczęściu. Mary brnęła przed siebie w siekających strugach deszczu, nie myśląc o tym, dokąd idzie, nie zastanawiając się nad tym, że od pokoju w Jamajce dzieli ją jedenaście długich mil. Jeżeli miłość do mężczyzny sprawia taki ból, taką udrękę, takie cierpienie, nie chce znać miłości. Miłość niweczy rozsądek i opanowanie, odbiera doszczętnie odwagę. Mary, tak przedtem samodzielna i silna, jest teraz bezradnym dzieckiem. Dotarła do stóp stromego zbocza. Dziś po południu zjechali po nim z tętentem kopyt, pamiętała krzywy pień drzewa przy otworze w żywopłocie. Jem pogwizdywał, ona podśpiewywała urywki piosenek. Oprzytomniała nagle i zatrzymała się. Szaleństwem jest iść dalej tą drogą, co ściele się przed nią niczym biała wstęga – po dwóch milach przy tym deszczu i wichurze będzie kompletnie wyczerpana.

Skierowała się znów w dół zbocza, ku migotliwym światełkom miasta. Ktoś może pozwoli jej przenocować na łóżku albo przynajmniej na kocu rozesłanym na podłodze. Nie ma pieniędzy, będzie musiała prosić o kredyt. Wiatr szarpał jej włosy, karłowate drzewka kłaniały się i dygały przed nią. Smutny, dżdżysty będzie świt Bożego Narodzenia.

Schodziła na dół, pędzona wicherem jak liść, gdy naraź z ciemności wynurzył się powóz wspinający się pod górę. Wyglądał jak czarny żuk i posuwał się wolno, mając przeciw sobie całą siłę wiatru. Mary patrzyła na powóz bezmyślnie, jego widok nie budził w niej żadnych skojarzeń poza tym, że gdzieś nieznaną drogą Jem Merlyn jedzie pewnie takim samym powozem na śmierć. Pojazd zbliżył się i już ją mijał, gdy nagle pod wpływem odruchu podbiegła i zawołała do otulonego burką woźnicy na koźle:

– Czy jedzie pan drogą do Bodmin? Ma pan pasażera?

Woźnica pokręcił tylko głową i zaciął konia, ale zanim Mary zdążyła się odsunąć na bok, z okna powozu wysunęła się ręka i chwyciła ją za ramię.

– Cóż to Mary Yellan w wigilię Bożego Narodzenia robi sama jedna w Launceston? – rozległ się głos.

Dłoń była mocna, ale ton łagodny. Z ciemnego wnętrza powozu spoglądała na nią blada twarz. Białe włosy i bezbarwne oczy ocieniał kapelusz z szerokim rondem. Był to pastor z Altarnun.

10

Mary patrzyła na jego profil w półmroku, ostry, wyraźny, z ciekim wydatnym nosem, zgiętym ku dołowi jak zakrzywiony ptasi dziób. Wąskie blade wargi mężczyzna miał mocno zaciśnięte i, pochylony do przodu, opierał podbródek na długiej hebanowej lasce, którą trzymał między kolanami.

Nie widziała zrazu jego oczu, przysłoniętych krótkimi białymi rzęsami, ale po chwili on obrócił się na siedzeniu, podniósł powieki, a oczy, które na nią spojrzały, były również białe, przezroczyste i pozbawione wyrazu jak szklana tafla.

– A więc po raz drugi jedziemy razem – rzekł głosem cichym i delikatnym niczym głos kobiety. – Znow mam szczęście poratować panią na drodze. Zmokła pani do nitki, powinna pani zdjąć ubranie.

Patrzył na nią zimno i obojętnie, gdy zakłopotana poczęła zmagać się z broszką spinającą szal.

– Proszę, tu jest suchy koc, którym może się pani okryć na czas jazdy – mówił dalej. – A nogi najlepiej niech zostaną bosc. Powóz jest dość szczelny, nie czuje się przeciągów.

Mary bez słowa wysunęła się spod przemoczonego szala i bluzki, otulając się jednocześnie szorstkim kocem, który pastor jej podał. Włosy, które wymknęły się spod opaski, okryły jej nagie ramiona jak kotara. Czowała się niby dziecko przyłapano na zakazanej eskapadzie, toteż siedziała, złożywszy skromnie ręce, posłuszna rozkazom mentora.

– No? – rzekł wreszcie pastor.

Pod wpływem jego wzroku pełnego powagi Mary, jękając się i zacinając, rozpoczęła wyjaśnienia. Podobnie jak przedtem w Altarnun, tak i teraz miał w sobie coś, co utrudniało jej szczerą wypowiedź; czuła, że mówi jak głupia, nieobyta wieśniaczka, że opowiada mizerną historyjkę, stawiając się w złym świetle – ot, jeszcze jedna dziewczyna, która zapominając o własnej godności, przyjechała na jarmark do Launceston i porzucona przez wybranka musi sama wracać do domu. Wstydziała się wymienić nazwisko Jema, opisała go więc nieporadnie jako mężczyznę, który zarabia na życie ujeżdżaniem koni i którego poznała kiedyś, wędrując po torfowiskach. A teraz w Launceston powstały jakieś kłopoty w związku ze sprzedażą kuca i obawia się, że tego człowieka przyłapano na jakiejś nieuczciwości.

Zastanawiała się, co też sobie myśli o niej Francis Davey, dowiadując się, że pojechała do Launceston z przygodnym znajomym, a potem zgubiła go w kompromitujących okolicznościach i po zmroku, zmoknięta i ubłocona, biegła po mieście jak ulicznica. Pastor w milczeniu wysłuchał jej opowiadania, słyszała tylko, że przełknął parę razy ślinę; nawyk ten zauważyła u niego już przedtem.

– A więc nie była pani nazbyt osamotniona? – spytał w końcu. – Jamajka nie jest tak zupełnie odcięta od świata, jak pani sądziła?

Mary zarumieniła się w ciemnościach. Pastor nie mógł wprawdzie widzieć jej twarzy, ale wiedziała, że oczy jego skierowane są na nią. Poczowała się winna, jak gdyby zrobiła coś złego i jak gdyby słowa jego były oskarżeniem.

– Jak się nazywa pani towarzysz? – zapytał cicho, a ona milczała chwilę, speszona i skrępowana coraz dotkliwszym poczuciem winy.

– To brat mojego wuja – odrzekła wreszcie, zdając sobie sprawę, że mówi z trudem, jakby spowiadała się z popełnionego grzechu.

Bez względu na to, jaką miał dotychczas o niej opinię, z pewnością nie poprawiła jej tym wyznaniem. Tydzień zaledwie upłynął od chwili, gdy mówiła

o wuju, że jest mordercą, a teraz beztróska wybrała się z jego bratem na wycieczkę niczym zwykła szynkareczka, która chce się zabawić na jarmarku.

– Musi ksiądz pastor bardzo źle o mnie myśleć, oczywiście – ciągnęła skwapliwie. – Skoro czuję taki wstręt do wuja i tak bardzo mu nie ufam, dziwne się powinno wydawać, że zawierzyłam jego bratu. To człowiek nieuczciwy, złodziej, wiem; sam mi to od razu powiedział, ale jednak...

Urwała niepewnie. Koniec końców, Jem niczego się nie wypierał; nie próbował się nawet bronić, kiedy go oskarżała. A teraz ona bierze jego stronę, broni go wbrew rozsądkowi, już z nim związana owym jednym uściskiem i jednym pocałunkiem w ciemnościach.

– Sądzi pani, że brat nic nie wie o nocnych interesach oberżysty? – rozległ się łagodny głos u jej boku. – Nie należy do kompanii, która przywozi furgony do Jamajki?

– Nie wiem – odparła Mary z żalem. – Nie mam żadnych dowodów. On nic na ten temat nie mówi, wzrusza tylko ramionami. Ale jedną rzecz mi powiedział: że nigdy jeszcze nie zabił człowieka. A ja mu uwierzyłam. I nadal mu wierzę. Powiedział też, że wuj sam kręci sobie stryczek na szyję i że muszą go wkrótce schwytać. Chyba nie powiedziała by tak, gdyby sam należał do szajki.

Mówiąc to wszystko, starała się przekonać nie tyle siedzącego obok mężczyznę, ile samą siebie, bo niewinność Jema stała się naraz dla niej sprawą najwyższej wagi.

– Ksiądz pastor wspominał przedtem, że zna trochę dziedzica – powiedziała szybko. – On się na pewno liczy ze zdaniem księdza pastora. Bez wątpienia mógłby go ksiądz pastor poprosić, żeby w razie sądu potraktował Jema wyrozumiale. Jem przecież jest młody, może zacząć nowe życie. Księdzu pastrowi z jego autorytetem przyjdzie to bez trudu.

Milczenie pastora było dodatkowym upokorzeniem. Czując na sobie spojrzenie jego zimnych białych oczu, zrozumiała, że musi ją uważać za idiotkę, a ponadto za uosobienie bezmyślnej kobiecości. Pastor domyśla się, że ona błaga o łaskę dla

mężczyzny, od którego otrzymała jeden pocałunek, i gardzi nią za to, nie ma dwóch zdań.

– Z panem Bassatem łączy mnie znajomość najzupełniej przelotna – odrzekł pastor łagodnie. – Raz czy dwa spotkaliśmy się przypadkiem i porozmawialiśmy o sprawach dotyczących naszych parafii. Trudno się spodziewać, aby przez wzgląd na mnie miał oszczędzić złodzieja, zwłaszcza jeżeli ten złodziej popełnił niewątpliwe przestępstwo, a na dobitkę jest bratem właściciela Jamajki.

Mary milczała. Ten dziwny sługa Boży raz jeszcze zadziwił ją logiką i mądrością wypowiedzi, na którą nie potrafiła znaleźć repliki. Ale trawiona była gorączką nagle uświadomionej miłości, niwelującą rozsądek, niweczącą wszelką logikę, więc też słowa pastora podrażniły ją tylko i wywołały od nowa zamęt w myślach.

– Pani widać niepokoi się o jego los? – spytał pastor i Mary nie była pewna, co zabrzmiało w jego głosie: szyderstwo, wyrzut czy współczucie, lecz on, nie dając jej czasu do namysłu, mówił dalej: – A gdyby pani nowy przyjaciel miał inne zbrodnie na sumieniu, gdyby w zмовie z bratem pozbawił bliźnich mienia, a może i życia, co wtedy, panno Yellan? Czy nadal starałaby się pani go ratować?

Poczuła jego dłoń na swojej ręce, chłodną, bezosobową, a ponieważ znajdowała się u kresu sił po burzliwym dniu, ponieważ była przerażona i zarazem gorzko zawiedziona, ponieważ wbrew nakazom rozsądku kochała mężczyznę, którego teraz z własnej winy utraciła, załamała się i nie panując już nad sobą, wybuchnęła potokiem bezładnych słów jak skrzywdzone dziecko.

– Wcale tego nie chciałam – mówiła z pasją. – Mogłam znieść brutalność wuja i żalną, niemą głupotę ciotki, mogłam nawet znieść grobową ciszę i okropności Jamajki. Nie poddawałam się, nie uciekałam. Samotność mi nie ciąży. Ze zmagania z wujem czerpię pewną ponurą satysfakcję, która niekiedy dodaje mi otuchy. Czuję wówczas, że cokolwiek on powie czy zrobi, wezmę nad nim w końcu górę. Planowałam, że zabiorę od niego ciotkę, dopilnuję, żeby spotkała go kara, a potem, kiedy będzie już po wszystkim, znajdę pracę gdzieś na farmie i będę żyła jak mężczyzna, tak jak żyłam dawniej. Ale teraz nie potrafię już myśleć o przyszłości,

nie potrafię już snuć planów ani samodzielnie rozumować, kręcę się w kółko, schwytna w pułapkę, a wszystko to z powodu mężczyzny, którym gardzę, który nie ma nic wspólnego z moim rozumem i inteligencją. Nie chcę kochać jak kobieta ani czuć się kobietą, księżu pastorze, bo to tylko ból, cierpienie i udręka, które mogą trwać przez całe życie. Nie pragnęłam tego, nie chcę tego.

Oparła policzek o poduszki powozu, wyczerpana i zawstydzona tym wybuchem. Nie obchodziło jej już, co on teraz o niej myśli. Jest duchownym, nieprzebyty mur oddziela go od jej małego świata burz i namiętności. Nic o tych sprawach nie może wiedzieć. Ogarnęło ją przygnębienie.

– Ile pani ma lat? – spytał nagle.

– Dwadzieścia trzy – odrzekła.

W mroku usłyszała, jak przełknął ślinę, potem zdjął dłoń z jej ręki, oparł ją znów na hebanowej lasce i siedział w milczeniu.

Powóz wyjechał już z doliny launcestońskiej, spod osłony żywopłotów. Toczył się teraz po wyższym terenie wiodącym na otwarte torfowiska, wystawiony na całą furie wiatru i deszczu. Wicher dał nieprzerwanie, lecz deszcz chwilami ustawał, toteż od czasu do czasu jakaś niepokorna gwiazda wyłaniała się ukradkiem zza pędzącej nisko chmury i przez moment rzucała migotliwe światło wielkości łebka od szpilki. Potem gasła, przesłonięta czarną zasłoną ulewy, i z wąskiego okna powozu nie widać było nic prócz ciemnego prostokąta nieba.

W dolinie deszcz padał bardziej miarowo, a podmuchy wichury, choć ustawiczne, hamowała zwarta ściana drzew i zbocze wzgórza. Tutaj, na wyższym terenie, zabrakło jakiegokolwiek osłony, nie było tu nic prócz torfowisk ciągnących się po obu stronach drogi, nad nimi zaś nieogarnione, czarne sklepienie nieba. Zawodzenie wiatru zamieniło się teraz w przeraźliwe wycie.

Mary zadrżała i przysunęła się bliżej do towarzysza, niby pies do innego psa. Pastor nadal się nie odzywał, wiedziała jednak, że zwrócił ku niej głowę i patrzy na nią, po raz pierwszy też zdała sobie sprawę z jego bliskości jako osoby, czuła nawet na czole jego oddech. Przypomniała sobie, że jej przemoczony szal i bluzka leżą na

podłódze i że pod szorstkim kocem jest zupełnie naga. Kiedy znów przemówił, uświadomiła sobie, jak jest blisko; dźwięk jego głosu zaskoczył ją i wprowadził w zmieszanie.

– Jest pani bardzo młoda, panno Yellan – rzekł cicho. – Jest pani kurczątkiem, które nie wydobycie się jeszcze z rozbitej skorupki. Upora się pani z tym błahym kryzysem. Takie kobiety jak pani nie powinny opłakiwać mężczyzny widzianego zaledwie kilka razy, a pierwszy pocałunek niewart jest dłuższej pamięci. Bardzo prędko zapomni pani o swoim przyjacielu i o skradzionym przez niego kucu. No, proszę otrzeć łzy; nie pani pierwsza gryzie palce z powodu utraconego kawalera.

Pastor bagatelizuje jej problem, uważa go za rzecz błahą – to była jej pierwsza reakcja. Potem zdziwiła się, że nie użył zwykłych formułek pocieszenia, że nie powiedział nic o dobrodziejstwie modlitwy, o spokoju, jaki zsyła Pan Bóg, i o żywocie wiecznym. Przypomniała sobie poprzednią z nim jazdę: jak skulony na siedzeniu, gorączkowo popędzał konia do szybszego biegu i szeptał jakieś niezrozumiałe słowa. Znów ogarnął ją ten sam niepokój co wtedy, niepokój, który kojarzyła z jego niezwykłymi włosami i oczami, jak gdyby ta fizyczna anomalia stanowiła barierę pomiędzy nim a resztą świata. W królestwie zwierząt osobnik różny od swego gatunku, dziwoląg, budzi wstręt, odrazę, zabija się go natychmiast albo wypędza gdzieś na pustkowie. Ale zaledwie o tym pomyślała, zaczęła sobie wyrzucać ciasnotę i brak uczuć chrześcijańskich. Pastor jest jej bliźnim, a w dodatku kapłanem, sługą Bożym; gdy jednak wymamrotała kilka słów, przepaszając go za to, że się tak niemądrze zachowała i plotła niczym ordynarna dziewczka, zaraz sięgnęła po ubranie i zaczęła naciągać je ukradkiem, pod osłoną koca.

– A więc moje przypuszczenia były słuszne i w Jamajce po ostatnim naszym widzeniu panuje spokój? – spytał po chwili pastor, dążąc za biegiem jakiejś myśli. – Nie budziły pani już furgony, a oberżysta samotnie szuka pociechy w kieliszku?

Mary, wciąż jeszcze rozżalona i niespokojna, myśląc ustawicznie o mężczyźnie, którego utraciła, z wysiłkiem powróciła do rzeczywistości. Zapomniała o istnieniu

wuja na blisko dziesięć godzin. Teraz przypomniała sobie nagle całą potworność ubiegłego tygodnia i wszystko, czego się dowiedziała. Przypomniała sobie niekończące się bezsenne noce, długie, samotnie spędzane dni, wytrzeszczone, nabiegłe krwią oczy wuja, jego pijacki uśmiech, jego drżące ręce.

– Księżę pastorze – wyszeptała – czy ksiądz pastor słyszał kiedyś o zbójcach nadmorskich, o rozbijaczach...?

Nigdy dotychczas nie wypowiedziała tych słów na głos, bodajże nie wypowiadała ich nawet w myślach, teraz więc, gdy usłyszała je z własnych ust, zabrzmiały przerażająco i ohydnie niczym bluźnierstwo. W powozie było za ciemno, żeby mogła zobaczyć wyraz twarzy pastora, posłyszała jednak, że przełknął ślinę. Oczy jego ukrywało rondo czarnego kapelusza, widziała tylko profil, spiczasty podbródek, wydatny nos.

– Dawno temu, przed laty, będąc dzieckiem prawie, słyszałam, jak mówił o nich sąsiad – powiedziała – a potem, kiedy byłam już dość duża, żeby zrozumieć, o czym mowa, krążyły na ten temat pogłoski... strzępy plotek, szybko tłumione. Ten czy ów mężczyzna po bytności na północnym wybrzeżu przywoził stamtąd niewiarygodne historie, ale kazano mu zaraz milczeć; starsi ludzie nie pozwalali na takie gadanie, uważali, że urąga zdrowemu rozsądkowi. Nie wierzyłam w te opowieści. Spytałam matki, powiedziała, że to ohydne kłamstwa, wymysły ludzi o spaczonych wyobraźni, takie rzeczy nie istnieją i nie mogą istnieć. Myliła się. Wiem teraz, że się myliła, księżę pastorze. Mój wuj jest takim zbójcą, sam mi to powiedział.

Towarzysz jej wciąż nic nie odpowiadał, siedział bez ruchu jak posąg; ciągnęła tedy, nie wając się mówić inaczej jak szeptem.

– Wszyscy należą do bandy, wszyscy co do jednego, od wybrzeża do Tamaru, wszyscy ci mężczyźni, których widziałam pierwszej soboty w barze Jamajki. Cyganie, kłusownicy, marynarze, szczerbaty kramarz. Własnymi rękami mordują kobiety i dzieci, trzymają je pod wodą, aż utoną, rozwalają im głowy kamieniami. Furgony, co suną po nocach drogami, to furgony śmierci, a wiozą nie tylko przemycone skrzynie z brandy i tytoniem dla tego i owego amatora, ale też wielkie

ładunki z rozbitych statków, kupione za cenę krwi, dobytek i własność pomordowanych. Dlatego spokojni ludzie z małych domków i farm boją się i nienawidzą mojego wuja, dlatego wszystkie drzwi są przed nim zamknięte, dlatego dyliżanse w tumanach kurzu mijają oberżę. Ludzie domyślają się wszystkiego, choć nie mogą niczego dowieść. Moja ciotka żyje w śmiertelnym strachu przed ujawnieniem, ale niech tylko wuj upije się przy kimś obcym, a tajemnica jego uleci z wiatrem na cztery strony świata. Proszę, księżę pastorze. Teraz zna pan całą prawdę o oberży Jamajka.

Bez tchu oparła się o boczną ściankę powozu, gryząc wargi i załamując ręce z gwałtownego, niepoohamowanego wzburzenia, wyczerpana do cna potokiem słów, który wyrwał się jej wbrew woli. Gdzieś w zakamarkach mózgu jakiś obraz usiłował przedrzeć się do świadomości i wreszcie stanął bezlitośnie przed oczyma: była to twarz Jema Merlyna, mężczyzny, którego kochała, twarz zmieniona, zła, w sposób okropny i nieodwołalny utożsamiona z twarzą jego brata.

Oblicze pod czarnym kapeluszem zwróciło się do niej, dostrzegła mrugnięcie białych rzęs, usta poruszyły się.

– A więc oberżysta po pijanemu staje się rozmowny? – rzekł pastor i Mary zdawało się, że głos jego stracił coś ze zwykłej łagodności, zabrzmiał ostrzej, jak gdyby w wyższej tonacji, lecz kiedy podniosła oczy, pastor odpowiedział jej spojrzeniem zimnym i obojętnym jak zawsze.

– Tak – odparła. – Po pięciu dniach wzmacniania się samą tylko brandy wuj potrafi wypowiadać się przed całym światem. Sam mi to powiedział pierwszego zaraz wieczoru, kiedy przyjechałam. Nie był wtedy pijany. Ale przed czterema dniami, kiedy ocknął się z odrętwienia i o północy, chwiejąc się na nogach, przyszedł do kuchni, mówił, dużo mówił. Stąd wiem wszystko. Może dlatego straciłam wiarę w ludzkość, w Boga i w siebie. I dlatego dzisiaj w Launceston zachowałam się jak ostatnia idiotka.

W trakcie tej rozmowy wichura przybrała jeszcze na sile, a zakręt sprawił, że powóz, atakowany teraz od przodu przez wiatr, niemal stanął w miejscu i kołysał się groźnie na wysokich kołach. Deszcz zastukotał w szyby, jakby ktoś cisnął

garścią kamyków. Nie było już najmniejszej choćby osłony, torfowiska po obu stronach rozpościerały się nagie i puste, chmury zaś pędziły nad ziemią, nadziejąc się na skały, które darły je na strzępy. Wiatr przynosił słony, wilgotny posmak morza odległego o piętnaście mil.

Francis Davey pochylił się do przodu.

– Zbliżamy się do Pięciu Dróg i zakrętu do Altarnun – powiedział. – Woźnica jedzie do Bodmin, podwiezie więc panią do Jamajki. Ja pożegnam się przy Pięciu Drogach i pójdę pieszo do wioski. Czy jestem jedynym człowiekiem, którego zaszczycała pani swoimi zwierzeniami, czy też dzielę ten zaszczyt z bratem oberżysty?

Mary znów nie mogła się zorientować, czy w głosie jego brzmi ironia czy szyderstwo.

– Jem Merlyn wie – odparła niechętnie. – Mówiliśmy o tym dziś rano. Ale nic prawie nie opowiedział, a wiem, że źle żyje z wujem. Zresztą to już teraz nie ma znaczenia. Jem jedzie do więzienia za inne przestępstwo.

– A gdyby mógł uratować własną skórę, zdradzając brata, co wtedy, Mary? Warto się nad tym zastanowić.

Mary drgnęła. Była to nowa możliwość i na chwilę chwyciła się jej jak tonący brzytwy. Ale proboszcz z Altarnun czytał widocznie w jej myślach, bo kiedy spojrzała na niego, szukając potwierdzenia swoich nadziei, zobaczyła, że wąskie jego wargi po raz pierwszy wygięły się w uśmiechu. Odwróciła szybko wzrok, zakłopotana, czując się jak ktoś, kto przypadkiem ujrział zabroniony widok.

– Byłaby to wielka ulga dla pani i bez wątpienia dla niego – ciągnął dalej pastor – gdyby nie miał z tą sprawą nic wspólnego. Ale pewności brak, prawda? I ani pani, ani ja nie znamy odpowiedzi na to pytanie. Rzadko się zdarza, żeby winowajca sam wkładał sobie stryczek na szyję.

Mary rozłożyła bezradnie ręce. Pastor dostrzegł zapewne rozpacz w oczach dziewczyny, bo położył jej rękę na kolanie i głos jego, przed chwilą szorstki, stał się znów łagodny.

– Słonecznych dni kres nadszedł, mroczne czekają nas – rzekł cicho. – Gdyby wolno nam było brać tematy z Szekspira, dziwne kazanie usłyszeliby jutro niektórzy wierni. Zresztą pani wuj i jego kompani nie są moimi parafianami, a gdyby nawet byli, nie zrozumieliby mnie. Kręci pani głową, mówię zagadkami. „Ten człowiek nie jest pocieszycielem strapionych – powiada pani w duchu. – To dziwoląg ze swymi białymi włosami i oczami”. Proszę nie odwracać wzroku, wiem, co pani myśli. Coś jednak pani powiem na pociechę i może to pani zrozumieć, jak zechce. Za tydzień wypada dzień Nowego Roku. Fałszywe światła zamigotały po raz ostatni, nie będzie już więcej katastrof. Świece zgasną.

– Nie rozumiem – rzekła Mary. – Skąd ksiądz pastor o tym wie i co tu ma do rzeczy Nowy Rok?

Cofnął rękę i począł zapinać płaszcz, gotując się do odejścia. Otworzył okno i zawołał na woźnicę, żeby wstrzymał konia. Do powozu wdarł się lodowaty podmuch.

– Wracam z zebrania w Launceston – powiedział – które było jednym z wielu podobnych zebrań w ciągu ostatnich paru lat. Obecni na nim zostali nareszcie powiadomieni, że rząd zamierza w nadchodzącym roku poczynić kroki w celu ochrony wybrzeży ziem Jego Królewskiej Mości. Zamiast światła na skałach będą strażnicy, a ścieżkami znanymi teraz jedynie takim ludziom jak pani wuj i jego towarzysze chodzić będą przedstawiciele prawa. Przez całą Anglię przebiegać będzie łańcuch bardzo trudny do przerwania. Teraz pani rozumie?

Otworzył drzwi powozu i po stopniach zszedł na drogę. Mimo deszczu zdjął kapelusz, gęste białe włosy utworzyły aureolę wokół twarzy. Znów się do Mary uśmiechnął, złożył ukłon, potem raz jeszcze ujął jej rękę i na chwilę przytrzymał.

– Pani kłopoty się skończyły – rzekł. – Koła furgonów okryją się rdzą, w zaryglowanym pokoju na końcu korytarza będzie można urządzić salon. Pani ciotka znów odzyska spokojny sen, a wuj albo zapije się na śmierć i szczęśliwie się go pozbędziecie, albo zostanie metodystą i będzie nawracał podróżnych na gościńcach. Co do pani, wróci pani na południe i znajdzie sobie innego chłopca.

Proszę więc dzisiaj spać spokojnie. Jutro jest Boże Narodzenie, dzwony w Altarnun będą głosiły pokój ludziom dobrej woli. Będę o pani myślał.

Dał znak woźnicy i powóz ruszył dalej bez niego. Mary wychyliła się z okna, chcąc zawołać coś na pożegnanie, ale skręcił w prawo jedną z pięciu dróg i znikł z oczu.

Powóz z turkotem toczył się szosą do Bodmin. Pozostawały do przebycia jeszcze trzy mile, zanim wysokie kominy Jamajki miały się ukazać na horyzoncie, ale droga na tym odcinku biegła przez najgorsze pustkowia ze wszystkich dwudziestu jeden mil między Launceston a Bodmin.

Mary żałowała, że nie poszła z pastorem. W Altarnun nie słyszałaby wiatru, deszcz zaś padałby cicho na osłoniętą drzewami uliczkę. Jutro mogłaby uklęknąć w kościele i pomodlić się po raz pierwszy od wyjazdu z Helfordu. Jeżeli pastor Davey powiedział prawdę, jest w końcu powód do radości i słowa dziękczynienia miałyby istotny sens. Skończą się czasy okrutnego grabieżcy, złamie go nowa ustawa, jego i jemu podobnych, wypleni się ich i zetrze z powierzchni ziemi, jak to uczyniono z piratami morskimi przed dwudziestu czy trzydziestu laty. Nie pozostanie po nich nawet wspomnienie, które by zatruwało umysły tych, co przyjdą potem. Narodzi się nowa generacja, nieznająca wcale ich nazwy. Statki będą przyływały do Anglii bez obawy, że staną się łupem rozbójników. W zatokach, rozbrzmiewających niegdyś szelestem kroków po żwirze i ochryplym szeptem męskich głosów, znów zapanuje cisza, a jeśli zakłóci ją krzyk, będzie to krzyk mewy. Pod obojętną powierzchnią morza, na dnie oceanu, leżą bezimienne czaszki, zzieleniałe, niegdyś lśniące złotem monety i szkielety zatopionych statków – wszystko to okryje niepamięć. Nastaje świt nowej epoki, gdy mężczyźni i kobiety będą podróżowali wyzbyci lęku, a ląd do nich będzie należał. Tutaj, na torfowiskach, farmerzy będą uprawiali ziemię i ustawiali w pryzmy torf do suszenia tak samo jak dzisiaj, ale groźny cień, odbierający im spokój, zniknie raz na zawsze. Może trawa wyrośnie i wrzosa znów zakwitną tam, gdzie stoi teraz oberża Jamajka.

Mary siedziała w kącie powozu, zapatrzona w wizję nowego świata, gdy naraz przez otwarte okno dobiegł ją odgłos strzału, dalekie nawoływanie i bolesny jęk. W ciemnościach rozległy się męskie głosy i tupot nóg biegnących drogą. W strugach deszczu bijącego w twarz wyjrzała przez okno i usłyszała, że woźnica wydał okrzyk przerażenia, gdy jego koń spłoszył się i potknął. Droga wznosiła się stromo, na szczyt wzgórza, w oddali smukłe kominy Jamajki rysowały się nad linią widnokładu niby szubienice. Z góry zbiegała grupka mężczyzn, na czele biegł jeden, który sadził susy jak zając i potrząsał zapaloną latarnią. Huknął nowy strzał, woźnica skulił się na koźle i upadł. Koń znów się potknął i jakby oślepiiony pomknął wprost do rowu. Powóz przez chwilę kołysał się na wysokich kołach, potem znieruchomiał. Ktoś wrzasnął jakieś bluźnierstwo, ktoś inny roześmiał się dziko, słychać było gwizdy i krzyki.

Do okna powozu wsunęła się twarz, zmierzwione włosy tworzyły grzywę nad oczami nabiegłymi krwią. Usta rozchyliły się, ukazując białe zęby. Następnie podniesiono do okna latarnię, aby światło padło do wnętrza powozu. Jedną ręką trzymała latarnię, drugą ścisnęła dymiącą lufę pistoletu. Długie smukłe ręce o wąskich zgrabnych palcach, piękne i zręczne mimo obwódki pod paznokciami.

Joss Merlyn uśmiechnął się półprzytomnym, euforycznym uśmiechem człowieka opętanego, doprowadzonego alkoholem do szału, i skierował pistolet na Mary, pochylając się do wnętrza powozu, żeby lufa dotknęła jej szyi.

Potem roześmiał się, cisnął pistolet za siebie, szarpnięciem otworzył drzwi, chwycił Mary za ręce i wyciągnął na drogę, trzymając latarnię nad głową dziewczyny, żeby wszyscy ją widzieli. Na drodze stało dziesięciu czy dwunastu jego kompanów, brudnych i obdartych, pijanych jak ich przywódca, z zarośniętych twarzy dziko błyszcząły oczy. Kilku trzymało pistolety, reszta uzbrojona była w rozbite butelki, noże i kamienie. Kramarz Harry stał przy łbie końskim, w rowie zaś, zwrócony twarzą ku ziemi, leżał woźnica z ramieniem podwiniętym pod siebie, zwiotczały, nieruchome.

Joss Merlyn przyciągnął do siebie Mary i podniósł jej twarz ku światłu, a gdy mężczyźni zobaczyli, kto to, ryknęli śmiechem, kramarz zaś wsadził do ust dwa

palce i gwizdnął.

Oberżysta nachylił się, z pijacką powagą złożył Mary głęboki ukłon, po czym chwycił ręką jej wilgotne, rozpuszczone włosy, skręcił je w sznur i zaczął obwąchiwać jak pies.

– Więc to ty? – powiedział. – Postanowiłaś wrócić jak skomlała suczka z podwiniętym ogonem?

Mary nie odezwała się. Spoglądała kolejno na otaczających ją mężczyzn, ci zaś gapili się, tłocząc się ze śmiechem wokół dziewczyny, wskazując palcami przemoczone ubranie, obmacując bluzkę i spódnicę.

– Straciłaś mowę czy co?! – zawołał wuj i wierzchem dłoni uderzył ją w twarz.

Wydała okrzyk i podniosła ramię, żeby się zasłonić, ale chwycił ją za przegub i wykręcił jej rękę za plecami. Krzyknęła z bólu, na co on znów się roześmiał.

– Spokorniejesz, choćbym cię miał przedtem zabić – powiedział. – Zdaje ci się, że możesz mi się sprzeciwiać, ty bezczelna dziewczyno z twarzą śmiesznej małpki? Co sobie w ogóle wyobrażasz? Jedziesz wynajętym powozem po trakcie królewskim półnaga, z rozpuszczonymi włosami! Koniec końców okazuje się, żeś nic innego jak zwykły wyciruch!

Szarpnął ją za przegub i upadła na ziemię.

– Zostaw mnie! – krzyknęła. – Nie masz prawa mnie dotykać ani mówić do mnie! Jesteś ohydny mordercą, zbrojnym, i władze o tym wiedzą. Cała Kornwalia wie o tym. Skończyło się twoje panowanie, wuju. Byłam dziś w Launceston, żeby cię zadenuncjować.

Wśród grupy mężczyzn wybuchła wrzawa. Zacieśnili koło, krzycząc, zadając jej pytania, ale Joss Merlyn ich odepchnął.

– Odstąpcie, durnie! – zagrzemiał. – Nie widzicie, że kłamstwami chce uratować własną skórę? Jak może mnie zadenuncjować, kiedy nic nie wie? Mowy nie ma, żeby przeszła piechotą jedenaście mil do Launceston. Spójrzcie na jej nogi. Była gdzieś z mężczyzną, który odesłał ją powozem, kiedy miał dość. Wstawaj! A może chcesz, żebyśmy wytarzał ci nos w błocie?

Nowym szarpnięciem postawił ją na nogi i trzymał przy sobie. Potem wskazał na niebo, gdzie czarne chmury rozpierzchnęły się, umykając przed porywistym wiatrem, i zaślnęła wilgotna gwiazda.

– Spójrzcie! – ryknął. – Wypogadza się, deszcz odchodzi na wschód. Wichura nie ustanie, a za sześć godzin na wybrzeżu zamigocze wietrzny szary świt. Nie marnujmy czasu. Weź swego konia, Harry, i zaprzęż go do powozu. W powozie zmieści się nas sześcioro. Przyprawdź też ze stajni kuca z wozem, bydlak od tygodnia nic nie robił. No, wy lenie zapijaczone, nie chcecie poczuć w rękach srebra i złota? Cały tydzień przeleżałem ogłupiały jak wieprz, a dzisiaj, przysięgam na Boga, czuję się jak nowo narodzone dziecko i chcę znów się znaleźć na wybrzeżu. Kto rusza ze mną drogą na Camelford?

Odpowiedziały mu okrzyki kilkunastu głosów, ręce podniosły się do góry. Jeden z mężczyzn zaczął śpiewać coś ochryple, wywijając butelką nad głową i chwiejąc się na nogach, potem zatoczył się i upadł twarzą do rowu. Kramarz kopnął leżącego, ten się nie poruszył. Następnie kramarz chwycił konia za uzdę, pociągnął go naprzód, przekleństwami i biciem zmuszając do wspinania się na strome zbocze, koła powozu przejechały zaś leżącego mężczyznę, który wymachując przez chwilę nogami niczym ranny zając, z krzykiem przerażenia i bólu usiłował podnieść się z błota, a potem znieruchomiał.

Mężczyźni pobiegli za powozem, a Joss Merlyn stał przez chwilę, patrząc na Mary z głupawym, pijackim uśmiechem, potem nagłym ruchem chwycił ją za ramiona i pociągnął do powozu, otwierając znów drzwiczki. Rzucił dziewczynę w kąć siedzenia, wychylił się z okna i ryknął do kramarza, żeby popędzał konia.

Okrzyk jego podjęli biegnący obok mężczyźni. Niektórzy wskoczyli na stopień i uczepili się okna, inni wspięli się na pusty kozioł i zaczęli okładać konia pałkami.

Rozdygotany, spocony z przerażenia koń galopem wpadł na szczyt wzgórza przy akompaniamencie wrzasków pięciu czy sześciu szaleńców trzymających za lejce.

Jamajka jarzyła się światłami, wszystkie drzwi były otwarte, okna odsłonięte. Dom wpatrywał się w noc niczym żywa istota.

Oberżysta położył dłoń na ustach Mary i popchnął ją, przyciskając do bocznej ścianki powozu.

– Chcesz mnie zadenuncjować, tak? – spytał. – Chcesz nagadać na mnie władzom, żebym zadyndał na sznurku jak kot? Doskonale, dam ci szansę. Będziesz stała na brzegu, Mary, mając wiatr od morza prosto w twarz, i będziesz czekała na świt i na przypływ. Wiesz, co to znaczy, prawda? Wiesz, dokąd cię zabieram?

Patrzyła na niego ze zgrozą, krew uciekła jej z twarzy. Usiłowała przemówić, ale on wciąż zatykał jej usta ręką.

– Myślisz, że się mnie nie boisz? – powiedział. – Szydzisz ze mnie, ty sekutnico z ładną twarzyczką i małpimi oczkami. Tak, jestem pijany, jestem pijany jak król i dla mnie niech się zawali niebo i ziemia. Jedziemy dziś w glorii, wszyscy jak tu jesteśmy, może po raz ostatni, a ty jedziesz z nami, Mary, na wybrzeże...

Odwrócił się, krzyknął coś do towarzyszy, koń spłoszony krzykiem ruszył znów z kopyta, ciągnąc za sobą powóz, i światła Jamajki znikły w mroku.

11

Przeszło dwugodzinna jazda na wybrzeże była istną męczarnią. Mary, posiniaczona i do głębi wstrząśnięta brutalnością wuja, leżała w kącie powozu, nie dbając już o to, co się z nią stanie. Kramarz Harry i dwóch innych mężczyzn wepchnęło się za wujem, zatruwając od razu powietrze odorem tytoniu, alkoholu i brudnych, spoconych ciał.

Joss Merlyn wprowadził nie tylko siebie, lecz także swych towarzyszy w stan euforii, obecność zaś kobiety wzmagala jeszcze ich uciechę: czerpali przy tym dodatkową, sadystyczną rozkosz z jej ostatecznego wyczerpania i rozpacz.

Z początku mówili do niej i dla niej, śmiejąc się i śpiewając, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Harry wyrzaskiwał sprośne piosenki, które w tak ciasnej przestrzeni brzmiały wprost ogłuszająco i kwitowane były przez słuchaczy wyciem zachwytu, stając się bodźcem do jeszcze większego podniecenia.

Obserwowali, jakie wrażenie wywiera na niej to wszystko, w nadziei że zdradzi jakieś oznaki zawstydzienia lub przykrości, ale Mary była już zbyt zmęczona, aby docierały do niej plugawe słowa czy śpiewki. Słyszała głosy mężczyzn poprzez mgłę wyczerpania; czuła wciśnięty w jej bok łokieć wuja, stanowiący jeszcze jedno źródło tępego bólu w obolałym już i tak ciele. Pulsy bijące w skroniach sprawiały nieznośne cierpienie, oczy piekły, jakby za dymną zasłoną widziała morze roześmianych szyderczo twarzy. Było jej zupełnie obojętne, co mówią i robią towarzysze podróży, a pragnienie snu i zapomnienia urosło do rozmiarów katuszy.

Gdy spostrzegli, jak jest apatyczna i oziębiała, jej obecność straciła swój urok; przestały ich nawet bawić piosenki, toteż Joss Merlyn poszperał w kieszeni i wyciągnął talię kart. Zajęli się od razu nową zabawą; w tej błogosławionej chwili względnego spokoju Mary wcisnęła się jeszcze głębiej w kątek, jak najdalej od zwierzęcego zapachu rozgrzanego ciała wuja, i z rezygnacją poddała się kołysaniu i wstrząsom powozu. Znużenie jej było tak wielkie, że nie miała już pełnej świadomości; znajdowała się w półtransie poza jej granicą. Zdawała sobie sprawę z bólu, z kołysania powozu i z gwaru głosów w oddali, ale wszystkie te zjawiska jakby umykały przed nią, nie potrafiła ich skojarzyć ze swoim istnieniem. Mrok spadł na nią niczym dobrodziejstwo, poczuła, że się w nim zanurza i w nim ginie. Czas nic już dla niej nie znaczył. Dopiero ustanie ruchu wciągnęło ją znowu w krąg ludzi żywych – nagle cisza i zimne, wilgotne powietrze wiejące w twarz przez otwarte okno powozu.

Była sama w swoim kącie. Mężczyźni odeszli, zabierając ze sobą latarnie. Siedziała zrazu bez ruchu, lękając się, że ściągnie ich z powrotem, i niepewna, co się z nią dzieje; gdy jednak nachyliła się do okna, poczuła nieznośny ból i sztywność w całym ciele. Pręga bólu przebiegła po ramionach zdrętwiałych z zimna, suknia wciąż jeszcze nie wyschła po deszczu, który przemoczył ją wieczorem. Mary odczekała chwilę, potem znów nachyliła się do przodu. Wiatr wciąż był silny, ale siekący deszcz ustał, jedynie drobne, zimne kropelki uderzały cicho w szybę. Powóz porzucono w ciasnym wąwozie o wysokich bocznych ścianach, konia wyprzężono. Wąwóz biegł stromo w dół, dalej ścieżka stawała się nierówna i kamienista. Mary widziała tylko kilka jardów przed sobą. Na niebie nie było już gwiazd, ostry wiatr z torfowisk nabrał mocy i pędził przed sobą wilgotną mgłę. Mary wysunęła rękę za okno i dotknęła ściany wąwozu. Palce natrafiły na osypujący się piasek i żdźbła trawy, przesiąknięte wodą deszczową. Usiłowała otworzyć drzwiczki, ale ktoś zamknął je na klucz. Zaczęła nasłuchiwać. Wyteżała oczy, chcąc przebić ciemności spowijające wąwóz, aż naraz wiatr przyniósł dźwięki zarazem posępne i znane, dźwięki, których po raz pierwszy w życiu nie

mogła powitać radością, lecz z zamierającym sercem musiała przyjąć jak fatalny omen.

Był to szum morza. Wąwóz prowadził na wybrzeże.

Zrozumiała teraz, czemu powietrze stało się miękkie, czemu mżawka pada jej na rękę tak leciutko i czemu ma posmak soli. Głęboki wąwóz daje fałszywe poczucie bezpieczeństwa w zestawieniu z czarną pustynią torfowisk, lecz gdy się z niego wyjdzie, złudzenie zniknie i wycie wichury rozlegnie się jeszcze głośniejsze niż przedtem. Nie może być ciszy tam, gdzie morze bije o skaliste wybrzeże. Znów usłyszała te dźwięki: szept i westchnienie, kiedy woda traci impet i cofa się niechętnie, potem przerwa, gdy morze zbiera się w sobie do nowego wysiłku – króciutka chwila – i znów grzmot i huk, ryk fali uderzającej o brzeg i ogłuszający łoskot kamieni ściąganych do morza. Mary zadrżała: gdzieś w mroku wuj i jego kompani czekają na przypyływ. Gdyby ich słyszała, łatwiej byłoby znieść oczekiwanie w pustym powozie. Wrzaski, śmiech i śpiewy, którymi dodawali sobie otuchy w drodze, choć ohydne, przyniosłyby Mary ulgę, lecz ta cisza zawierała w sobie śmiertelną groźbę. Bliskość czynu otrzeźwiła mężczyzn, ponadto mieli już co robić. Teraz, gdy Mary odzyskała przytomność i otrząsnęła się ze znużenia, bezczynność stała się dla niej nie do zniesienia. Przyjrzała się rozmiarom okna. Drzwi są zamknięte, o tym się przekonała, ale może uda się jakoś przecisnąć przez ciasny otwór okienny.

Rzecz warta była ryzyka. Cokolwiek się dziś zdarzy, życie Mary i tak jest niepewne – wuj i jego towarzysze mogą ją znaleźć i zabić, jeżeli zechcą. Oni znają okolicę, ona nie. Gdy przyjdzie im ochota, wytropią ją w jednej chwili niczym sfora psów gończych. Przeciskała się przez okno, wysuwając się przez otwór głową naprzód, twarzą zwrócona do góry, a zadanie utrudniały w dodatku pokaleczone plecy i sztywne ramię. Dach powozu był śliski i mokry, nie było się czego chwycić, Mary jednak nie ustawała, aż wreszcie po ostatnim bolesnym nacisku, obdzierając skórę o framugę, przesunęła na zewnątrz biodra. Bliska omdlenia z bólu, straciła równowagę i runęła na ziemię, uderzając o nią plecami.

Wysokość nie była duża, lecz padając tak bezwładnie, Mary doznała silnego wstrząsu, czuła też, że z jej boku, tam gdzie się skaleczyła o framugę, spływa strumyczek krwi. Dała sobie chwilę na odzyskanie równowagi, potem z wysiłkiem wstała i pod osłoną ciemnych ścian wąwozu zaczęła chwiejnym krokiem wspinać się na górę. Nie miała jeszcze sprecyzowanego planu, wiedziała tylko, że gdy będzie zwrócona plecami do morza, oddali się od niedawnych towarzyszy podróży. Nie ulegało wątpliwości, że zeszli na brzeg. Ta droga, wijąca się w górę i w lewo, zaprowadzi ją przynajmniej na skały, gdzie mimo ciemności można będzie zorientować się jako tako w sytuacji. W pobliżu musi być przecież szersza droga – powóz musiał taką przyjechać – a jeżeli będzie droga, wkrótce też będą jakieś zamieszkane domy; Mary znajdzie w nich porządnym, uczciwym ludzi, którym opowie o wszystkim i którzy niezwłocznie zaalarmują całą okolicę.

Szła po omacku, potykając się raz po raz o kamienie. Wiatr zwiewał jej wciąż włosy na oczy, gdy więc dotarła do ostrego zakrętu i podniosła ręce, żeby odgarnąć kosmyki, nie zauważyła skulonej postaci mężczyzny, który klęczał w wąwozie, obserwując uważnie krętą drogę. Natknęła się na niego raptownie, a on, zaskoczony, upadł z nią razem, wydając okrzyk przerażenia, i z wściekłości począł ją okładać zaciśniętą pięścią.

Mocowali się na ziemi, ona usiłowała mu się wyrwać, paznokciami drapała mu twarz, ale po chwili on wziął górę, przewrócił Mary na bok, wsunął jej ręce we włosy i wyrywał je garściami, aż ból zmusił ją do poniesienia oporu. Mężczyzna przycisnął dziewczynę do ziemi, oddychając ciężko, bo od upadku dech mu zapało w piersiach, potem przyjrzał się jej z bliska, ukazując żółte, szczerbate zęby.

Był to kramarz Harry. Mary leżała bez ruchu. Czekwała na jego pierwsze posunięcie, jednocześnie zaś klęła sobie w duchu, że tak głupio, na oślep brnęła wąwozem, nie myśląc wcale o czacie, którą by tu przecież wystawiło nawet dziecko.

Spodziewał się, że będzie krzyczała lub szamotała się, gdy to jednak nie nastąpiło, wsparł się na łokciu i uśmiechnął chytrze, wskazując głową w kierunku wybrzeża.

– Nie spodziewałaś się mnie tu spotkać, co? – rzucił. – Myślałaś, że jestem na brzegu z oberżystą i innymi i zmieniam światła. Więc się obudziłaś, śpiąca królowo, i chciałaś się przejść wąwozem? No, skoro tu jesteś, przyjmę cię jak należy. – Znow się uśmiechnął i czarnym paznokciem dotknął jej policzka. – Zimno tu w wąwozie i mokro – powiedział – ale to już teraz nieważne. Oni tam na brzegu będą się grzebali jeszcze parę godzin. Z tego, jak się odzywałaś dzisiaj do Jossa, rozumiem, żeś się zbuntowała. Całkiem słusznie, on nie ma prawa trzymać cię w Jamajce niby ptaszka w klatce. W dodatku nie masz nic ładnego do włożenia. Wątpię, czy ci dał choćby jaką broszkę do ozdoby, co? Nic się nie martw. Ja ci dam koronki na szyję, bransolety na ręce i mięciutki jedwab na twoją gładką skórę. A teraz...

Skinął głową, jakby chcąc ją uspokoić, wciąż uśmiechnięty, zadowolony z siebie, przebiegły, jednocześnie zaś poczuła na sobie jego dłoń. Poruszyła się błyskawicznie, machnęła ręką i trafiła go pięścią pod brodę, zatrzasnąjąc mu usta jak pułapkę i własnymi jego zębami przycinając język. Wrzasnął cienko jak królik, a ona uderzyła go znowu, tym razem jednak on chwycił ją mocno i napał na nią bokiem. Siłę miał straszliwą, cała krew uciekła mu z twarzy, zapomniał o łagodnych namowach. Walczył teraz o posiadanie, wiedziała, toteż zdając sobie sprawę, że jest dużo silniejszy, że musi w końcu zwyciężyć, rozluźniła naraz mięśnie i aby go zwieść, dała mu na chwilę przewagę. Wydał pomruk triumfu, wsparł się na łokciu, zmniejszając przygniatający ją ciężar, o co właśnie jej chodziło, a gdy się nieco podniósł i pochylił głowę, kopnęła go z całej siły kolanem, dziabiąc jednocześnie palcami w oczy. Zgiął się od razu wpół i z bólu potoczył na bok, ona zaś błyskawicznie wysunęła się spod niego, stanęła na nogi i jeszcze raz go kopnęła, gdy turlał się bezbronny, przyciskając rękami dół brzucha. Macała wokół gruntu w poszukiwaniu kamienia, którym mogłaby go ogłuszyć, lecz nie znalazła nic prócz ziemi i piasku, nabrała tedy pełne ich garście i obsypała mu twarz, oczy, aż chwilowo oślepiony, nie mógł nic zrobić w odwecie. Zawróciła wówczas i jak ścigane zwierzę pobiegła krętą dróżką pod górę, z otwartymi ustami, z rękami wyciągniętymi przed siebie, potykając się na wybojach. Kiedy znow

usłyszała za sobą wołanie i tupot nóg, ogarnął ją taki bezrozumny strach, iż poczęła wspinać się na wysoką ścianę wąwozu, ześlizgując się co chwila z miękkiej ziemi, aż wreszcie obłądnym wysiłkiem zrodzonym z przerażenia dotarła do szczytu i łkając, wczołgała się przez lukę w ciemnym żywopłocie okalającym wąwóz. Twarz i ręce miała okrwawione, lecz nie zważała na to, biegła wciąż przed siebie, po kępach trawy i nierównym gruncie, zatraciwszy wszelkie poczucie kierunku, owładnięta jedną jedyną myślą – uciec jak najdalej od potwora, który zwał się kramarzem Harrym.

Naraz spadła na nią ściana gęstej mgły, przesłaniając odległą linię żywopłotu, do którego zmierzała. Stała od razu jak wryta, wiedziała bowiem, jak niebezpieczna jest mgła nadmorska i jak zdradziecko może ją zaprowadzić z powrotem do wąwozu. Padła na klęczki i na czworakach czołgała się naprzód, z oczami przy ziemi, żeby nie zgubić wąskiej, piaszczystej dróżki, wijącej się w kierunku, który obrała. Posuwała się bardzo wolno, ale instynkt podpowiadał jej, że odległość między nią a kramarzem rośnie, nic innego zaś jej w tej chwili nie obchodziło. Nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu; była trzecia, może czwarta nad ranem, do świtu brakowało jeszcze wielu godzin. Kurtynę mgły znów przebił deszcz; Mary zdawało się, że słyszy szum morza ze wszystkich stron i nie ma dla niej ucieczki; przybój nie był już stłumiony, stał się głośniejszy i wyraźniejszy niż przedtem. Zrozumiała, że nie może orientować się podług wiatru, gdyż nawet teraz, gdy dał jej w plecy, mógł nieznacznie zmienić kierunek, a ona, ponieważ nie знаła okolicy, nie skręciła na wschód, jak zamierzała, lecz stała na ścieżce, która, sądząc z odgłosów morza, wiodła ją wprost na brzeg. Fale, których nie mogła dojrzeć z powodu mgły, były blisko i ku swemu przerażeniu poczuła, że nie ryczą gdzieś poniżej, lecz na tej samej wysokości. Oznaczało to, że skały tutaj schodzą nad morze, a wąwóz nie prowadzi do jakiejś groty, jak to sobie w opuszczonym powozie wyobrażała, lecz znajduje się w odległości zaledwie kilku jardów od morza. Ściany jego tłumili odgłos przyboju. W tej samej chwili, gdy doszła do tego wniosku, mgła rozwarła się przed nią, ukazując skrawek nieba. Mary niepewnie czołgała się dalej.

Ścieżka stawała się coraz szersza, mgła stopniowo znikwała, wiatr znów dał jej w twarz i oto ujrzała nagle, że klęczy wśród odłamków drewna i wodorostów na wąskim skrawku piasku, stoki skał wznoszą się po obu stronach w górę, a o niecałe pięćdziesiąt jardów, wprost przed nią, wałą o brzeg spienione grzywacze.

Po chwili, kiedy oswoiła się z półmrokiem, dostrzegła ich, stłoczonych przy poszarpanej zębatej skale, która przecinała plażę: milczącą garstkę mężczyzn wpatrujących się w mrok. Samo ich milczenie, tak przedtem rozwrzeszczanych i hałaśliwych, sprawiało, że wydawali się bardziej jeszcze groźni, a pełne napięcia pozy i głowy zwrócone baczenie w kierunku morza stanowiły widok przerażający i brzemienny grozą.

Gdyby krzyczeli i śpiewali, nawoływali się wzajem i wypełniali zgiełkiem okolicę, gdyby z głośnym chrzęstem deptali ciężkimi buciorami żwir, pozostawałoby to w zgodzie z ich normalnym sposobem bycia i z tym, czego się Mary po nich spodziewała; było jednak coś złowieszczonego w tym milczeniu, które kazało przypuszczać, że zbliża się krytyczna chwila. Niewielki występ skalny osłaniał Mary od otwartej plaży. Nie śmiała posunąć się dalej w obawie, że zdradzi swą obecność. Przyczołgała się do występu, położyła się za nim na żwirze, gdy tymczasem przed nią – wystarczyło obrócić głowę nieco w bok – wprost na linii widzenia stał wuj i jego towarzysze, zwrócenie do niej plecami.

Mary czekała. Mężczyźni nie poruszali się, milczenie trwało. Tylko morze z odwieczną monotonią waliło o brzeg, zalewając plażę i znów się cofając, na tle zaś czarnej nocy widać było tylko biały pas grzywaczy.

Mgła zaczęła się bardzo wolno podnosić, odsłaniając zarysy wąskiej zatoki. Skały nadbrzeżne wystąpiły z mroku, poszarpane urwiska stały się znów majestatyczne i groźne. Obszar wodny rozszerzył się, ukazując w oddali nagą linię brzegu, ciągnącą się w nieskończoność. Na prawo, tam gdzie zbocza najwyższych skał zbiegały wprost do morza, Mary dostrzegła światełko nie większe od łebka szpilki.

W pierwszej chwili myślała, że to gwiazda przebijająca ostatnią zasłonę rozwiewającej się mgły, lecz rozsądek podpowiedział jej zaraz, że gwiazda nigdy

nie bywa biała, nigdy też nie kołysze się w podmuchach wiatru na powierzchni wody. Wpatrzyła się pilnie: światełko znów się poruszyło, przypominało białe oczko w ciemnościach. Tańczyło i podrygiwało, popychane to w tę, to w ową stronę, jak gdyby zapalił je i niósł sam wiatr, jak gdyby było żywą pochodnią, której nie da się zgasić. Grupa mężczyzn nie patrzyła na nie, oczy miała zwrócone na ciemne morze za linią grzywaczy.

Naraz Mary zrozumiała powód ich obojętności, a białe oczko, które zrazu wydawało się uosobieniem życzliwości i pociechy, mrugającym dzielnie w tej okropnej nocy, stało się potwornym symbolem.

Owa gwiazda to właśnie jest fałszywe światło, umieszczone tam przez wuja i jego kompanów. Ledwie dostrzegalny błysk stał się dla Mary widowym znakiem zła, jego taniec na wietrze szyderstwem. W wyobraźni dziewczyny światło płonęło teraz jaśniej, oświetlając okoliczne skały. Przy tym nie było już białe, lecz pożółkło niczym strup na zasklepionej ranie. Ktoś pilnuje tam światła, żeby nie zgasło. Spozregła czarną postać, która przesunęła się przed światłem, po czym zapłonęło ono znów wyraźnie. Postać stała się plamą na tle szarej skały, sunącą szybko w kierunku brzegu. Ktokolwiek to był, zbiegł teraz po zboczu, żeby się przyłączyć do towarzyszy na plaży. Śpieszył się, jakby czas naglił, i schodził niedbale, bo ziemia i kamienie osypywały mu się spod nóg, spadając na plażę. Łoskot przestraszył stojących na dole mężczyzn i po raz pierwszy, odkąd Mary ich obserwowała, oderwali oczy od linii przypływu i spojrzeli w górę. Mary ujrzała, że tamten przyłożył ręce do ust i coś krzyknął, ale nie dosłyszała słów, bo uniósł je wiatr. Dotarły jednak do mężczyzn czekających na żwirze, grupa bowiem od razu rozpięzła się i znać było po niej ożywienie. Kilku ruszyło w górę zbocza na spotkanie nadchodzącego, ale kiedy krzyknął coś znowu i wskazał na morze, pobiegli w kierunku grzywaczy, przerywając na chwilę milczenie, trując głośno żwir, przekrzykując się wzajemnie ponad hukiem morza. Potem jeden z nich – wuj, Mary poznała go po chodzie i po masywnych barach – ruchem ręki nakazał ciszę, wówczas wszyscy zastygli w bezruchu tuż nad falami łamiącymi się u ich stóp, szeregiem, jeden obok drugiego, jak kruki, a czarne ich sylwetki odcinały się na tle

białej plaży. Mary obserwowała horyzont wraz z nimi i po chwili z mgły i mroku w odpowiedzi na pierwsze wyłoniło się drugie światełko wielkości łebka od szpilki. Nowe to światełko nie tańczyło i nie chybotąło się jak tamto przy skale; opadało w dół niby wędrowiec uginający się pod dźwigany ciężarem, potem wyłaniało się znowu, wskazując w niebo, jak wzniesiona ręka, która ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem chce przeciąć zwartą ścianę mgły. Nowe światełko zbliżało się coraz bardziej do pierwszego. Wkrótce połączą się i staną dwojgiem białych oczu w mroku. Mężczyźni nadal czaili się bez ruchu na wąskiej plaży, czekając, aż światełka zetkną się ze sobą.

Drugie światełko opadło znowu w dół. Mary dostrzegła teraz niewyraźny zarys kadłuba, czarne reje rozpościerały się nad nim jak palce, białe, spienione fale wyrastały spod dzioba i z sykiem znów się cofały. Światło na maszcie sunęło ku pochodni przy skale, przyciągane nieodpartą siłą jak ćmy do świecy.

Mary nie mogła tego dłużej znieść. Zerwała się na nogi i pobiegła brzegiem, krzycząc i szlochając, wymachując rękami nad głową, usiłując przeciwstawić swój nikły głos morzu i wichurze, które szyderczo odrzucały go z powrotem. Ktoś chwycił ją i przewrócił na piasek. Jakieś ręce dusiły ją. Tratowano ją i kopano. Krzyki dziewczyny zamarły, stłumione wepchniętym do ust grubym workiem, wykręcono jej ręce do tyłu i związane twardym sznurem, wrzynającym się w ciało.

Wówczas przewrócili ją twarzą do żwiru i zostawili niecałe dwadzieścia jardów od walących się o plażę grzywaczy. A gdy tak leżała, bezradna, bez tchu, bez głosu, usłyszała, że jej stłumiony ostrzegawczy krzyk zamienił się w przeraźliwy krzyk innych ludzi, który wypełnił powietrze wokoło. Krzyk ten, natychmiast pochwycony i niesiony wichurą, wzniósł się ponad huk morza, wraz z nim zaś rozległ się trzask pękającego drewna, straszliwe uderzenie żywego ogromu o niewzruszoną skałę, dreszczem przeszywający jęk łamiących się belek.

Morze z sykiem cofnęło się z plaży, a wtenczas wielki grzywacz, górujący nad współtowarzyszami, z grzmiącym łoskotem runął na przechylony żaglowiec. Czarny kształt, który tak niedawno był statkiem, przewrócił się wolno na bok niby wielki płaski żółw, maszty i reje zwisły jak poszarpane nitki. Na śliskiej pochyłej

powierzchni żółwia widać było czarne kropki, uczeplone rozszczepiających się desek, a gdy rozchybotana masa pod nim, przecinając powietrze, pękła na dwoje, poczęły spadać jedna po drugiej w spienioną toń – małe czarne kropki, bezwładne, niezdolne do oporu.

Straszliwa słabość ogarnęła Mary. Dziewczyna zamknęła oczy i przywarła twarzą do żwiru. Mężczyźni, którzy przez tyle godzin czekali w bezruchu na zimnie, przerwali teraz milczenie. Jak szaleńcy biegali tam i sam po brzegu, wyjąc, wrzeszcząc, zatracając wszelki pozór ludzki. Zanurzali się po pas w nadbiegających falach, niepomini niebezpieczeństwa, byleby chwycić mokre łupy niesione przyplływem.

Nicznym zwierzęta, warcząc, bili się o połamane deski i belki; kilku zrzuciło ubrania i mimo grudniowego zimna biegło nago, żeby tym łatwiej przedzierać się przez fale i sięgać po przedmioty kołyszące się na powierzchni. Skrzeczeli i kłócili się jak mały, wrywali sobie wzajem rzeczy. Jeden w kącie przy skale rozpałił ognisko, które mimo nieustającej mżawki buchnęło jasnym płomieniem. Łupy przynieszone przez morze wyciągano na brzeg i składano przy ognisku na stos. Płomienie zalały plażę upiornym światłem, rozbijając ciemność żółtymi blaskami i tworząc długie cienie na plaży, gdzie tam i z powrotem uwijali się mężczyźni w nieprzytomnym, ohydny zapale.

Kiedy pierwsze ciało wyrzucone zostało na brzeg, zwiotczałe i szczęśliwie już bez życia, stłoczyli się przy nim, obmacując szczątki chciwymi łapskami, obierając je ze wszystkiego, szarpiąc nawet zmiażdżone palce w poszukiwaniu pierścieni, a gdy wreszcie odarli zwłoki do naga, porzucili je tam, gdzie upadły, wśród odłamków i wodorostów pozostawionych przez fale.

Mary nie wiedziała, jak postępowali dawniej, dziś jednak w działaniu ich nie było żadnej metody. Rabowali na chybił trafił, każdy dla siebie, szaleni, pijani, oszołomieni tą niezaplanowaną gratką – zgraja psów żerująca przy swoim panu, którego przedsięwzięcie zakończyło się triumfem, który dał dowód swej potęgi, któremu cześć była za to i chwała. Toteż pobiegli za nim, kiedy skoczył nago

między grzywacze, ociekający wodą, olbrzymi, górujący nad wszystkimi wzrostem.

Zaczął się odpływ, linia fal cofała się, oziębiło się wyraźnie. Światło w górze, wciąż tańczące na wietrze jak błaznujący staruch, którego żarty dawno przestały być śmieszne, zbladło teraz i zmętniało. Woda i niebo zszarzały. Mężczyźni z początku nie zauważyli zmiany, rozgorączkowani, szukający coraz to nowszych zdobyczy. Naraz jednak Joss Merlyn podniósł wielką głowę, powąchał powietrze, obrócił się, spojrzął na rysujące się coraz wyraźniej kontury skał i głośnym okrzykiem nakazał ludziom spokój, wskazując na niebo, które było już teraz sine i blade.

Zatrzymali się, spojrzeli raz jeszcze na cenne łupy kołyszące się na wodzie i czekające tylko, aby je ktoś zagarnął, potem jak jeden mąż zawrócili i pomknęli ku wejściu do wąwozu, znów w milczeniu, bez słowa ani gestu, twarze zaś w brzasku wschodzącego dnia mieli popielate i przerażone. Za długo pozostawali na wybrzeżu. Upojeni sukcesem, zapomnieli o ostrożności. Świt zaskoczył ich zniemacka, a dzień groził odpowiedzialnością za popełnione czyny. Świat budził się wokoło: noc, sojuszniczka złoczyńców, już ich nie osłaniała.

Joss Merlyn był tym, który wyciągnął Mary knebel z ust i szarpnięciem postawił ją na nogi. Widząc, że dziewczyna nie może pokonać osłabienia i jest zupełnie bezradna, zaklął z wściekłością, obejrzał się na skały, które z każdą chwilą rysowały się wyraźniej, potem nachylił się, bo znów padła na ziemię, podniósł ją i jak worek przerzucił sobie przez ramię. Głowa kiwała się jej bez oparcia, ręce zwisały bezwładnie, czuła też, jak ręce Merlyna, wbijając się w zraniony bok, znów go kaleczą, znów siniaczą ciało zdrętwiałe od długiego leżenia na żwirze. Pobiegł z nią przez plażę do wąwozu, a jego kompani, ogarnięci już paniką, ciskali resztę łupów, chwyconych w pośpiechu, na grzbiety trzech uwiązanych tam koni. Ruchy mieli gorączkowe, niezgrabne, robili wszystko bez ładu i składu, jak ludzie nieprzytomni, oberżysta zaś, który z konieczności wytrzeźwiał, lecz zarazem w sposób przedziwny stracił zwykły autorytet, klął i wrzeszczał na nich bez najmniejszego skutku. Powóz, uwięziony w ciasnym wąwozie, nie dawał się ruszyć

z miejsca i niepowodzenie to wzmogło jeszcze panikę i popłoch. Niektórzy zaczęli uciekać w górę wąwozu, zapominając o wszystkim, pochłonięci jedynie myślą o ratowaniu własnej skóry. Świt był wrogiem, któremu łatwiej było stawić czoło w pojedynkę, kryjąc się w rowach i za żywopłotami, aniżeli w grupie pięciu czy sześciu mężczyzn na drodze. Taka grupa musiała budzić podejrzenia tutaj, na wybrzeżu, gdzie znano każdą twarz i człowiek obcy od razu rzucał się w oczy, samotny kłusownik natomiast, włóczęga lub Cygan mógł się przemknąć niezauważony, znajdując dla siebie osłonę i wybierając boczne ścieżki. Dezerterów przeklinali ci, którzy zostali, żeby zмагаć się z opornym powozem, po chwili też przez głupotę i strach wyrwano powóz z ciasnych ścian wąwozu w sposób tak gwałtowny, że przewrócił się na bok, przy czym jedno koło rozleciało się na kawałki.

Po tej ostatecznej klęsce w wąwozie zapanowało istne pandemonium. Wszyscy rzucili się do pozostawionej nieco wyżej furmanki i do koni, i tak już nadmiernie obciążonych. Ktoś, nadal posłuszny przywódcy i niepozbawiony poczucia rzeczywistości, podpalił uszkodzony powóz, którego obecność tutaj stanowiła jawne niebezpieczeństwo dla całej gromady, potem jednak nastąpiła scena niewiarygodna – walka o zbawczą furmankę, jedyny środek transportu mogący jeszcze wywieźć kilku mężczyzn w głąb lądu. Była to walka na śmierć i życie, szarpano się wzajemnie zębami i pazurami, wybijano sobie też zęby kamieniami, rozcinano oczy odłamkami szkła.

Uzbrojeni w pistolety, mieli teraz przewagę nad innymi, toteż oberżysta wraz z pozostałym swoim sprzymierzeńcem, kramarzem Harrym, oparli się plecami o furmankę i zaczęli strzelać do atakującej zgrai, ta bowiem w straszliwym lęku przed pościgiem, który niezawodnie miał nastąpić wraz z nadchodzącym dniem, widziała w nim teraz wroga, fałszywego przywódcę, który ściągnął na nich zgubę. Pierwszy strzał poszedł w powietrze, kula utkwiała w przeciwległej miękkiej ścianie wąwozu, lecz jeden z przeciwników skorzystał z tej sekundy, aby ostrym kamieniem rozciąć oberżystę brew. Joss Merlyn wycelował drugi strzał w napastnika i trafił go w brzuch, a gdy mężczyzna zgiął się wpół i śmiertelnie

ranny upadł z przeraźliwym krzykiem w błoto pod nogi towarzyszy, Harry trafił innego w szyję. Kula rozerwała krtań, krew trysnęła fontanną.

Ta właśnie krew sprawiła, że zwycięstwo odniósł oberżysta, gdyż pozostali buntownicy, półprzytomni, oszołomieni widokiem konających towarzyszy, zawrócili jak na komendę i niczym kraby umknęli krętą ścieżką w górę, pragnąc tylko znaleźć się w bezpiecznej odległości od byłego przywódcy. Joss Merlyn z dymiącym pistoletem w ręce wsparł się o furmankę, z rany nad jego okiem spływał strumień krwi. Teraz, gdy zostali sami, zarówno on, jak i kramarz nie marnowali czasu. Wszystko, co zniesiono do wąwozu, rzucili na furmankę obok Mary – bezładną mieszaninę drobiazgów i rupieci, bezużytecznych, bezwartościowych, najcenniejsze bowiem łupy zostały na brzegu i unosił je odpływ. Nie wazyli się po nie wyprawić, gdyż była to robota dla tuzina mężczyzn, a dzień świtał coraz jaśniejszy, zalewając światłem okolicę. Nie było chwili do stracenia.

Dwaj postrzeleni mężczyźni leżeli na drodze nieopodal furmanki. Czy oddychali jeszcze, czy też nie, było sprawą nieistotną – ich ciała dawały świadectwo zbrodni, należało się ich pozbyć. Harry zaciągnął je do ogniska. Płonęło jak się patrzy, powóz już się prawie spalił, jedno tylko rozżarzone do czerwoności koło wystawało nad szerniałym, popękany drewnem.

Joss Merlyn zaprzągnął pozostałego konia, po czym obaj mężczyźni wsiedli do furmanki i czym prędzej ruszyli w drogę.

Mary, leżąc w furmance na wznak, patrzyła na nisko wiszące chmury płynące po niebie. Ciemności ustąpiły, poranek był wilgotny i szary. Wciąż jeszcze słyszała szum morza, odleglejszy teraz i mniej natarczywy – morza, które wyładowało już wściekłość i cofało się posłusznie za odpływem.

Wiatr również ucichł; wysokie źdźbła trawy po obu stronach wąwozu stały bez ruchu, na wybrzeżu zapanował spokój. Powietrze przepajał zapach wilgotnej ziemi, zagonów rzepy i resztek nocnej mgły. Chmury zlały się w całość z ołowianym niebem. Zaczął znów padać drobny deszcz, skrapiając twarz Mary i jej rozwarłe dłonie.

Koła wozu turkotały na nierównym gruncie, za chwilę jednak skrzyły w prawo na gładszą, zwirowaną nawierzchnię. Była to droga wiodąca na północ wśród niskich żywopłotów. Z oddali poprzez zagony i zaorane pola dobiegały radosne dźwięki dzwonów, dziwnie brzmiące o tym posępnym świcie.

Mary przypomniała sobie naraz, że jest dzień Bożego Narodzenia.

12

Prostokąt szyby był jej znany. Większy od okna dylizansu, miał poniżej jakiś parapet, a przez szybę biegła rysa, którą niewątpliwie pamiętała. Wpatrywała się w nią, wytężając myśl, i zastanawiała się, czemu nie czuje już na twarzy deszczu i podmuchów wiatru. Nie czuła też ruchu, doszła więc do wniosku, że powóz zapewne utkwiał znów w ciasnym wąwozie, okoliczności zaś i los w sposób bezlitosny i przerażający każą jej powtórzyć wszystko, co raz już przeszła. Kiedy się wydostanie przez okno, upadnie i potłucze się, potem, wspinając się krętą ścieżką, natrafi na kramarza Harry’ego zaczajonego w rowie – ale tym razem nie starczy jej sił, aby stawić mu opór. W dole, na skrawku plaży, mężczyźni czekają na przyływ, a wielki czarny statek żółw kołysze się na falach, pozbawiony masztów, płaski, okropny. Mary jęknęła i zdjęta rozpaczą zaczęła kręcić głową; dojrzała kątem oka brunatną, poplamioną ścianę i zardzewiały gwóźdź, na którym niegdyś wisiała pewnie karta z wersetem z Pisma Świętego.

Leżała w swoim pokoju w Jamajce.

Widok tego ponurego, zimnego pomieszczenia, którego nie cierpiała, nieco ją uspokoił: stanowił przynajmniej osłonę przed deszczem i wiatrem, a także przed rękami Harry’ego. Nie słyszała też morza, ryk przyboju nie mógł jej tu dosięgnąć. Ale dopiero śmierć, gdyby teraz nadeszła, byłaby prawdziwą wybawicielką, bo Mary nie mogła znieść myśli o dalszym istnieniu. I tak zresztą pozostały w niej tylko isierki życia, a ciało leżące na łóżku wcale do niej nie należało. Straciła

wszelką chęć do życia. Doznany wstrząs uczynił z niej bezwolną kukłę, pozbawił ją sił; łzy litości nad sobą napłynęły dziewczynie do oczu.

Jakaś twarz pochyliła się nad nią. Mary wparła się plecami w poduszkę, wyciągając ręce, żeby się bronić, w wyobraźni bowiem wciąż miała przed sobą nabrzmiałe usta i wyszczerbione zęby kramarza.

Ale ręce jej ujęto bardzo delikatnie, a oczy, wpatrzone w nią spod powiek zaczerwienionych od płaczu, były pełne wzruszenia i niebieskie.

Na skraju łóżka siedziała ciotka Patience. Przywarły do siebie, szukając w tym uścisku pociechy, a gdy Mary wypłakała na ramieniu ciotki cały ból i żal, natura znów doszła do głosu i dziewczyna poczuła się pokrzepiona, odzyskując coś z dawnej odwagi i hartu ducha.

– Wiesz, co się stało? – spytała.

Ciotka zaś trzymała mocno jej ręce, żeby siostrzenica nie mogła ich cofnąć, a niebieskie jej oczy bez słów błagały o przebaczenie, niczym zwierzę ukarane za niepopelnione winy.

– Jak długo tu leżę? – spytała znów Mary i dowiedziała się, że już drugi dzień. Milczała chwilę, przetrawiając tę niespodziewaną informację, dwa dni bowiem stanowiły długi okres dla kogoś, kto zaledwie przed kilkoma minutami oglądał świt na brzegu morza.

Dużo rzeczy mogło się zdarzyć przez ten czas, kiedy tu leżała.

– Powinnaś była mnie obudzić – powiedziała surowo, odpychając ręce ciotki. – Nie jestem dzieckiem, żeby się nade mną roztkliwiać z powodu kilku siniaków. Mam ważne rzeczy do zrobienia, nie rozumiesz?

Ciotka głaskała ją, ale pieszczota była nieśmiała i bezskuteczna.

– Nie mogłaś poruszyć ręką ani nogą – tłumaczyła się płaczliwie. – Krew ci płynęła z ran na całym ciele. Umyłam cię, kiedy jeszcze byłaś nieprzytomna. Myślałam z początku, że zrobili ci coś strasznego, ale chwała Bogu Najwyższemu, nic naprawdę złego ci się nie stało. Skaleczenia się zagoją, a ten długi sen cię pokrzepił.

– Wiesz, kto to zrobił, prawda? Wiesz, dokąd mnie zawieźli?

Rozgoryczenie uczyniło ją okrutną. Wiedziała, że słowa te siekają jak biczem, nie mogła się jednak pohamować. Zaczęła opowiadać o mężczyznach na brzegu. Ciotka zakwiliła żałośnie, gdy więc Mary ujrzała, że cienkie usta drgają nerwowo, a niebieskie oczy wpatrują się w nią z najwyższym przerażeniem, poczuła wstręt do siebie i niezdolna była kontynuować opowieść. Usiadła, spuściła nogi na podłogę, choć z wysiłku zakręciło jej się w głowie i krew załomotała w skroniach.

– Co chcesz zrobić?

Ciotka usiłowała ją powstrzymać, ale Mary odrzuciła jej rękę i zaczęła wciągać na siebie ubranie.

– Mam swoje sprawy – odrzekła krótko.

– Wuj jest na dole. Nie pozwoli ci wyjść z oberży.

– Nie boję się go.

– Mary, przez wzgląd na siebie, przez wzgląd na mnie, nie doprowadzaj go znów do pasji. Wiesz, co cię już spotkało. Odkąd wrócił z tobą, siedzi na dole, blady, straszny. Pozamykał wszystkie drzwi oberży i trzyma strzelbę na kolanach. Wiem, żeś widziała i przeżyła rzeczy okropne, nie do opisania, ale, Mary, czy nie rozumiesz – jeżeli zejdziesz teraz na dół, on może znów zrobić ci coś złego... może cię nawet zabić... Nigdy go jeszcze nie widziałam w takim stanie. Nie rękę za niego. Nie schodź na dół, Mary, błagam cię na klęczkach, nie schodź!

Czołgała się po podłodze, czepiając się spódnicy Mary, chwytając ją za rękę, całując je. Widok to był żałosny, trudny do zniesienia.

– Ciociu, dosyć już przeszłam dlatego, że myślałam tylko o tobie. Niczego więcej nie możesz ode mnie wymagać. Bez względu na to, kim był dla ciebie dawniej wuj Joss, teraz przestał być człowiekiem. Choćbyś wypłakała oczy, twoje łzy go nie uratują, musisz zdać sobie z tego sprawę. To na pół obłąkany potwór, pijany od brandy i krwi. Tam na wybrzeżu zabijał ludzi, czy tego nie rozumiesz? Topił ich w morzu. Wciąż mam to przed oczami. Do śmierci nie będę mogła myśleć o niczym innym.

Głos jej wzniósł się aż do krzyku, była na pograniczu hysterii. Zbyt osłabiona, żeby myśleć konsekwentnie i logicznie, wyobrażała już sobie, jak biegnie gościńcem, wołając o ratunek, który niechybnie nadejdzie.

Ciotka za późno zaczęła błagać o ciszę, Mary nie zwróciła uwagi na ostrzegawczy palec. Drzwi się otworzyły i na progu stanął właściciel Jamajki. Nachylił głowę pod belką stropową i patrzył na nie. W wybladłej szarej twarzy rana nad okiem odbijała jaskrawym szkarłatem. Był brudny, zarośnięty, pod oczami leżały głębokie cienie.

– Zdawało mi się, że słyszałem głosy na dziedzińcu – powiedział. – Wyjrzałem przez szparę w okiennicy, ale nikogo nie widziałem. Czyście nic stąd nie słyszały?

Odpowiedzi nie było. Ciotka pokręciła głową, po twarzy przemknął jej nerwowy uśmiech, którym bezwiednie witała zawsze męża. Ten usiadł na łóżku i skubał koc, a niespokojne jego oczy wciąż biegały od okna ku drzwiom.

– On przyjdzie – powiedział. – Przyjdzie na pewno. Poderżnąłem sobie gardło, postąpiłem wbrew jego woli. Ostrzegał mnie, ale śmiałem się, nie słuchałem go wcale. Chciałem prowadzić grę na własną rękę. Jest tak, jakbyśmy już nie żyli, wszyscy troje, jak tu siedzimy: ty, Patience, i Mary, i ja. Koniec z nami, powiadam wam, gra skończona. Dlaczego pozwoliłaś mi pić? Dlaczegoś nie potłukła wszystkich przeklętych butelek, jakie były w domu, i nie zamknęła mnie na klucz? Nic bym ci nie zrobił, włos z głowy by ci nie spadł, ani tobie, ani Mary. A teraz już za późno. Koniec.

Spoglądał to na jedną, to na drugą zapadniętymi, zaczerwienionymi oczami, głowę wtulał w masywne ramiona. One patrzyły na niego, nic nie rozumiejąc, oszołomione, przerażone wyrazem twarzy, jakiego nigdy u niego dotąd nie widziały.

– Co to znaczy? – odezwała się w końcu Mary. – Kogo się boisz? Kto cię ostrzegał?

Potrząsnął głową, niespokojne, rozedrgane ręce podniosły się do ust.

– Nie – rzekł wolno – nie jestem teraz pijany, Mary, moje sprawy są moją tajemnicą. Ale jedno ci powiem, bo nie ma już dla ciebie ratunku, jesteś wplątana w to wszystko tak samo jak Patience... Mamy teraz wrogów po obu stronach. Z jednej strony prawo, a z drugiej...

Urwał, a w jego oczach, gdy spojrzał na Mary, błysnęła dawna przebiegłość.

– Chciałabyś wiedzieć, co? – powiedział. – Chciałabyś usłyszeć nazwisko, wymknąć się z domu i mnie zdradzić? Chciałabyś, żebym wisiał. Trudno, nie mam ci za złe. Tyleś się ode mnie nacierpiała, że będziesz chyba pamiętać do końca życia. Ale ciebie też uratowałem, prawda? Czy sobie wyobrażasz, co by ta zgraja z tobą zrobiła, gdyby mnie tam nie było? – Roześmiał się i splunął na podłogę, odzyskując nieco zwykłej pewności siebie. – To jedno przynajmniej powinnaś docenić – rzekł. – Tamtej nocy nikt cię palcem nie tknął prócz mnie, a nawet ja nie zeszpeciłem ci tej ładniutkiej twarzyczki. Zadrapania i siniaki szybko się goją. Ty, biedne, słabe stworzonko, wiesz równie dobrze jak ja, że gdybym tylko zechciał, mógłbym cię mieć w pierwszym tygodniu twojego pobytu w Jamajce. Koniec końców, jesteś kobietą. Tak, Bóg mi świadkiem, czołgałabyś się teraz u moich stóp jak twoja ciotka, posłuszna, kontenta, oddana bez granic, jeszcze jedna skończona idiotka. Wyjdźmy stąd. W tym pokoju cuchnie wilgocią i zgnilizną.

Dźwignął się na nogi, ciągnąc Mary ze sobą na korytarz, a gdy doszli do schodów, przycisnął ją do ściany pod świeczką osadzoną w kinkiecie, tak aby światło padało na jej posiniaczoną, pokaleczoną twarz. Ujął w dłonie jej podbródek i trzymał przez chwilę, wygładzając zadrapania zwinnymi, delikatnymi palcami. Mary patrzyła na niego z odrazą, bo te łagodne, piękne ręce przypominały jej wszystko, co utraciła i czego się wyrzekła, a kiedy pochylił znienawidzoną twarz niżej, nie zważając na stojącą obok Patience, i jego usta, tak podobne do ust brata, dotknęły na moment jej ust, złudzenie było przerażające i całkowite. Zadrżała i przymknęła oczy. On zdmuchnął świecę; zeszli na dół bez słowa, kroki ich odbijały się echem w pustym domu.

Zaprowadził ją do kuchni; nawet tu drzwi były zaryglowane, okno zasłonięte okiennicami. Oświetlały ją tylko dwie świece stojące na stole.

Dopiero teraz Merlyn odwrócił się do kobiet. Usiadł okrakiem na krześle i patrzył na żonę i Mary, jednocześnie nabijając fajkę, którą wyjął z kieszeni.

– Musimy obmyślić plan – powiedział. – Siedzimy tu już blisko dwa dni jak szczury w pułapce i czekamy, aż po nas przyjdą. Mam tego dosyć. Nie nadaję się do takiej gry, bzika od niej dostaję. Jak już ma dojść do starcia, niech to będzie na otwartej przestrzeni.

Przez chwilę w zamyśleniu pykał fajkę, wpatrując się posepnie w płyty podłogi i wybijając nogą jakiś rytm.

– Harry jest dość lojalny – zaczął znowu – ale gdyby uważał, że coś może na tym zyskać, zdradziłby nas bez namysłu. Co do reszty, to wszyscy podwinęli ogony i ze skowytem rozbiegli się po okolicy jak tchórzliwe psy. Ta historia porządnie ich nastraszyła. Mnie też, tak, mogę wam się przyznać. Jestem teraz trzeźwy, widzę, w jaką kabałę się wpakowałem, i będziemy mieli wszyscy troje dużo szczęścia, jeżeli ominie nas szubienica. Możesz się śmiać, Mary, moja blada i wzgardliwa panno, ale będzie z tobą krucho, tak samo jak z ciotką Patience i ze mną. Tkwisz w tym bagnie po uszy, nie wymigasz się. Dlaczegoście nie zamknęły mnie na klucz? Dlaczegoście pozwoliły mi pić?

Żona na palcach podeszła, skubnęła go za rękaw i przesunęła językiem po wargach. Był to znak, że chce coś powiedzieć.

– No, o co chodzi? – spytał ze złością.

– Czemu nie wymknąć się teraz, póki jeszcze czas? – szepnęła. – Bryczka jest w stajni; w ciągu paru godzin będziemy w Launceston, a potem w hrabstwie Devon. Możemy jechać nocą, możemy dotrzeć do wschodnich hrabstw.

– Ty kretynko! – wrzasnął mąż. – Nie rozumiesz, że wzdłuż całej drogi stąd do Launceston pełno jest ludzi, którzy mają mnie za diabła wcielonego, którzy czekają tylko sposobności, żeby przypisać mi wszystkie zbrodnie popełnione kiedykolwiek w Kornwalii i mnie schwytać? Cała okolica wie już teraz, co się stało w Wigilię na wybrzeżu, więc jeżeli ktoś zobaczy, że uciekamy, lepszego dowodu nie potrzeba. Boże wielki, myślisz, że sam nie palę się do ucieczki, że nie chcę ratować głowy?

Jeszcze jak chcę, ale wówczas każdy tutejszy mieszkaniec wskaże nas palcem. Ładnie byśmy wyglądali, jadąc bryczką pełną tobołów i tłumoków niby farmerzy w dzień targowy. Brakowałoby tylko, żebyśmy pośrodku rynku w Launceston pomachali rączkami na pożegnanie! Nie, kochana, mamy jedną jedyną szansę, jedną na milion. Musimy siedzieć cicho, musimy się przyzaić. Jeżeli się nie ruszymy z Jamajki, ludzie może zaczną skrobać się w głowy i pocierać nosy. Muszą mieć dowody, rozumiesz. Muszą mieć niezbite dowody, zanim dotkną nas choćby palcem. A jeśli żaden z tej psiej bandy mnie nie wyda, dowodów mieć nie będą. Owszem, powiedzą, na skałach tkwi rozbity statek, na plaży są stosy rzeczy, gotowe do zabrania, przez kogoś ułożone. Znajdą dwa trupy spalone na węgiel i kupę popiołów. „Co to? – powiedzą. – Tu był pożar, była bójka”. Sprawa będzie wyglądała brzydko, będzie wyglądała bardzo źle dla niektórych z nas, ale gdzie dowody? Odpowiedzcie mi na to. Spędziłem Wigilię jak każdy spokojny obywatel, na łonie rodziny, zajadając bakalie i tłukąc orzechy dla siostrzenicy. – Tu Joss Merlyn mrugnął porozumiewawczo.

– O jednej rzeczy wuj zapomniał, prawda? – odezwała się Mary.

– Nie, moja droga, nie zapomniałem. Woźnica tamtego powozu dostał kulę i spadł do rowu o niecałe ćwierć mili stąd. Miałaś nadzieję, że zostawiliśmy tam trupa, tak? Może się wzdrygniesz, Mary, ale trup pojechał z nami na wybrzeże i leży teraz, jeśli dobrze pamiętam, pod warstwą żwiru grubości dziesięciu stóp. Oczywiście, ktoś się zaniepokoi, że woźnica nie wraca, jestem na to przygotowany, ale ponieważ nigdy nie znajdą jego powozu, rzecz nie ma znaczenia. Może miał dosyć żony i zwiął do Penzance. Niech go tam szukają, proszę bardzo. A teraz, Mary, kiedyśmy już oboje oprzytomnieli, powiedz mi wreszcie, coś robiła w tym powozie i gdzieś była. Jeżeli nie odpowiesz, znasz mnie już chyba dość dobrze – potrafię zmusić cię do mówienia.

Mary zerknęła na ciotkę. Ta drżała jak przerażony pies, nie odrywając szeroko otwartych niebieskich oczu od twarzy męża. Mary zastanowiła się szybko. Najbezpieczniej będzie skłamać; czas jest teraz najważniejszym czynnikiem, trzeba odliczać i cenić każdą chwilę, jeżeli ona i ciotka mają ujść z życiem. Trzeba grać na

zwłokę i robić wszystko, żeby wuj sam się pogrążył. Nadmierna pewność siebie w końcu obróci się przeciw niemu. Mary może się spodziewać ratunku od jednego tylko człowieka, który jest blisko, niecałe pięć mil stąd, i czeka w Altarnun na jej znak.

– Opowiem ci, co robiłam przez cały dzień, i możesz mi wierzyć albo nie – powiedziała – mało mnie obchodzi, co sobie pomyślisz. Poszłam w Wigilię do Launceston na jarmark. O ósmej wieczorem byłam już bardzo zmęczona, a kiedy zaczęła się wichura i deszcz, zmokłam do nitki i całkiem opadłam z sił. Wynajęłam powóz i kazałam się wieźć do Bodmin. Bałam się, że jeśli powiem: do Jamajki, woźnica nie zechce jechać. To wszystko, nic więcej nie mam do wyznania.

– Byłaś sama w Launceston?

– Oczywiście, że byłam sama.

– I z nikim nie rozmawiałaś?

– Kupiłam chustkę u jakiejś kobiety przy straganie.

Joss Merlyn splunął na podłogę.

– Dobra – rzekł. – Żeby ci nie wiem co teraz zrobić, będziesz powtarzała w kółko tę samą historyjkę. Raz przynajmniej masz nade mną przewagę, bo nie mogę przecież sprawdzić. Niewiele dziewcząt w twoim wieku spędziłoby samotnie cały dzień w Launceston, tyle ci tylko powiem. Nie wracałyby też samotnie do domu. Jeżeli mówisz prawdę, nasze widoki są coraz lepsze. Nikt nie zdoła stwierdzić, że woźnica w ogóle był w tych stronach. Tam do licha, za chwilę znów będę miał ochotę się napić.

Przechylił się z krzesłem do tyłu i pociągnął z fajki.

– Patience – zwrócił się do żony – będziesz jeszcze jeździła własnym powozem, nosiła kapelusze z piórami i aksamitną pelerynę. Jeszcze nie przegrałem z kretesem. Zobaczysz: zaczniemy wszystko od nowa, będziemy żyli jak książęta. Może przestanę pić i zacznę chodzić w niedzielę do kościoła. A ty, Mary, będziesz podporą mojej starości i kiedy zramoleję, będziesz mnie karmiła łyżeczką.

Zadarł głowę i wybuchnął śmiechem, ale śmiech urwał się nagle, usta raptownie się zamknęły. Joss Merlyn z trzaskiem opuścił przednie nogi krzesła na podłogę i stanął pośrodku kuchni zwrócony bokiem do okna, blady jak płótno.

– Słuchajcie – wyszeptał chrapliwie – słuchajcie...

Obydwie kobiety spojrzały w tym samym kierunku co on. Wpatrywał się w promyk światła, padający przez szparę w okiennicach.

Coś pukało cichutko do okna kuchennego... lekko, delikatnie dotykając szyby.

Zdawałoby się, że to gałązka bluszczu oderwała się od masywu i zwieszona w dół, przy najlżejszym podmuchu wiatru uderza o okno lub ganek. Ale na murach Jamajki nie było bluszczu...

Pukanie trwało, natarczywe i nieustające, puk, puk... jak cichy stuk ptasiego dzioba... puk, puk, puk... jak ledwie dosłyszalne bębnienie czterech palców ludzkiej ręki...

W kuchni nie było słyhać poza tym nic prócz przyśpieszonego oddechu ciotki, która poprzez stół wyciągnęła rękę do siostrzenicy. Mary obserwowała gospodarza. Stał bez ruchu, postać jego rzucała olbrzymi cień na sufit. Dziewczyna dostrzegła, że wargi posiniały mu pod szczeciniastym zarostem. Naraz wspiął się na palce, przechylił do przodu jak skradający się kot i ręką namacał strzelbę, która stała oparta o dalsze krzesło, ani na chwilę jednak nie odrywał oczu od świetlistej szpary między okiennicami.

Mary przełknęła ślinę, w gardle jej zaschło. Niepewność, czy ten ktoś za oknem jest jej sprzymierzeńcem, czy wrogiem, wzmagająca napięcie, serce zaś, bijące gwałtownie mimo błysku odrodzonej nadziei, świadczyło o tym, że strach jest zaraźliwy, podobnie jak krople potu na twarzy wuja. Przycisnęła do ust ręce, drżące, zimne i lepkie.

Wuj przez chwilę czaił się przy oknie, potem skoczył naprzód, szarpnął zasuwę i rozwarł okiennice. Ukośny słup szarawego popołudniowego światła rozjaśnił kuchnię. Za oknem stał mężczyzna, przywierając śmiertelnie bladą twarzą do szyby i ukazując w uśmiechu wyszczerbione zęby.

Był to kramarz Harry. Joss Merlyn zaklął i otworzył okno.

– Niech cię wszyscy diabli, wchodź prędzej! – ryknął. – Chcesz dostać kulę w bandzioch, ty ośle? Stałem tu przez pięć minut, jak głuchoniemy, ze strzelbą wycelowaną prosto w twój brzuch. Otwórz drzwi, Mary, nie stój tam pod ścianą jak upiór. Dość już mamy nerwów w tym domu, żebyś ty jeszcze miała histerie wyprawiać!

Jak każdy mężczyzna, który najadł się strachu, zrzucał teraz winę za to na cudze barki i nadrabiał miną, żeby odzyskać równowagę. Mary poszła wolno ku drzwiom. Na widok kramarza stanęła jej przed oczami walka z nim w wąwozie. Ogarnęło ją takie obrzydzenie i wstręt, że nie mogła na niego spojrzeć. Otworzyła bez słowa drzwi, kryjąc się za nimi, a kiedy wszedł do kuchni, usunęła się od razu jak najdalej i odwrócona plecami do przybysza, rzuciła machinalnie torf na gasnące węgle.

– Masz jakieś nowiny? – spytał gospodarz.

Kramarz w odpowiedzi cmoknął tylko i wskazał kciukiem za siebie.

– W całym hrabstwie wre – powiedział. – Gadają wszystkie języki w Kornwalii, od Tamaru do St Ives. Byłem dziś rano w Bodmin, miasto aż się trzęsie od pogłosek i plotek, na dobitkę wszyscy domagają się krwi i ukarania winnych. Nocowałem w Camelford, tam każdy jeden wygraża pięścią i o niczym innym nie gada. Ta burza może się skończyć tylko w jeden sposób, Joss. Chyba wiesz jak?

Przesunął ręką po szyi.

– Musimy uciekać – stwierdził. – To nasza jedyna szansa. O tym, żeby przejechać drogami, mowy nie ma, a najgorzej jest w Bodmin i Launceston. Będę przemykał torfowiskami i wydostanę się do Devonu powyżej jeziora Gunnis. Zabierze to więcej czasu, wiem, ale mniejsza o to, byle ujść cało. Pani gospodynie, może ma pani kawałek chleba? Od wczoraj rano nic nie miałem w ustach.

Zwrócił się z tym pytaniem do żony oberżysty, ale zerknął przy tym na Mary. Patience Merlyn zaczęła szperać w kredensie, wyjęła chleb i ser; usta jej drgały,

ruchy miała niepewne, widać było, że myśli o czym innym. Nakrywając do stołu, spoglądała błagalnie na męża.

– Słyszysz, co on mówi – odezwała się wreszcie. – Szaleństwem jest pozostawać tutaj. Musimy jechać zaraz, natychmiast, póki jeszcze czas. Wiesz, co ta sprawa znaczy dla ludzi. Nie będą mieli dla ciebie litości, zabiją cię bez sądu. Na miłość boską, usłuchaj go, Joss. Wiesz, że nie chodzi mi o siebie, myślę tylko o tobie...

– Stul głowę, dobrze? – zagrział jej mąż. – Nigdy dotąd nie prosiłem cię o radę i teraz też nie proszę. Potrafię sam stawić czoło temu, co mnie czeka, a ty siedź cicho i nie becz mi tu jak owca. Więc ty też się poddajesz, Harry, tak? Chcesz uciekać jak pies, podwinąwszy ogon, bo kupa urzędasów i bigotów domaga się twojej krwi? Czy mogą nam czegoś dowieść? Zastanów się. A może gryzie cię tchórzliwe sumienie?

– Pal diabli sumienie, Joss, słucham tylko swego rozsądku. Cała okolica stała się piekielnie niebezpieczna, więc póki to możliwe, chcę się stąd wynieść. A jeśli chodzi o dowody, to przez ostatnie miesiące postępowaliśmy dość ryzykownie, innych dowodów nie potrzeba. Przez cały czas stałem przy tobie, prawda? Przyszedłem tu dzisiaj, narażając głowę, żeby cię ostrzec. Nie chcę ci nic wymawiać, Joss, ale to twoja głupota wpakowała nas w tę kabałę, prawda? Spoileś nas, sam się urżnąłeś i pod twoim przewodem wyruszyliśmy nad zatokę, na wariacką wyprawę, której nikt z nas nie planował. Mieliśmy jedną szansę na milion i udało nam się, aż za dobrze nam się udało. Ale że byliśmy pijani, potraciliśmy głowy. Zostawiliśmy całą zdobycz i setki śladów rozsianych po wybrzeżu. A czyja to była wina? Twoja, tylko twoja.

Kramarz rąbnął pięścią w stół i przysunął do oberżysty żółtą, beczelną twarz, uśmiechniętą szyderczo.

Joss Merlyn spoglądał na kramarza przez chwilę, a gdy się odezwał, głos jego brzmiał cicho i groźnie.

– Więc mnie oskarżasz, Harry? Jesteś taki sam jak reszta tych żmij, podnosisz jadowity łeb, kiedy się szczęście odwraca. Dobrze ci się przy mnie powodziło, prawda? Miałeś tyle złota, ile ci się nigdy nie śniło, żyłeś przez cały ten czas jak księżę, zamiast tkwić na dnie kopalni, tam gdzie twoje miejsce. A przypuśćmy, że nie stracilibyśmy głowy tamtej nocy i wycofali się przed świtem, jak to bywało setki razy. Podlizywałbyś mi się teraz, żebym ci nabił kieszenie, tak? Płaszczyłbyś się przede mną z całą resztą smrodliwych wieprzy, żebrząc o swoją dolę, nazywając mnie Bogiem Wszchemmogącym; lizałbyś mi buty i czołgałbyś się po ziemi. No więc uciekaj, skoro chcesz, uciekaj z podkulonym ogonem na brzeg Tamaru i niech cię piekło pochłonie! Sam jeden stanę do walki z całym światem.

Kramarz zmusił się do uśmiechu i wzruszył ramionami.

– Możemy chyba porozmawiać, nie podrzynając sobie wzajem gardeł? Nie obróciłem się przeciw tobie, jestem nadal po twojej stronie. W Wigilię byliśmy wszyscy pijani na umór, wiem, dajmy już temu spokój, co się stało, to się nie odstanie. Nasi kompani prysnęli, możemy się już z nimi nie liczyć. Za bardzo się spłoszyli, żeby nas niepokoić. Zostaliśmy tylko my dwaj, ty i ja, Joss. Tkwimy w tej sprawie głębiej niż inni, wiem, im bardziej więc będziemy sobie nawzajem pomagać, tym lepiej dla nas obu. No i dlatego przyszedłem tutaj – żeby wszystko omówić i ustalić, co i jak.

Roześmiał się znowu, ukazując blade dziąsła, i grubymi, czarnymi palcami zabębnił po stole.

Gospodarz, wciąż patrząc na niego zimno, sięgnął znów po fajkę.

– Do czego właściwie zmierzasz, Harry? – spytał, opierając się o stół i ponownie ją nabijając.

Kramarz wciągnął ślinę przez zęby i uśmiechnął się przymilnie.

– Do niczego nie zmierzam – rzekł. – Chcę tylko ułatwić nam wszystkim sytuację. Musimy wiać, to jasne, jeżeli nie chcemy zawisnąć na szubienicy. Ale chodzi o taką rzecz, Joss: to nic przyjemnego wybierać się w drogę z pustymi rękami. Dwa dni temu wrzuciliśmy tam, do zamkniętego pokoju, kupę rzeczy

z wybrzeża. Zgadza się? Po sprawiedliwości należą do wszystkich, którzy pracowali w Wigilię. Ale oprócz ciebie i mnie nie ma już nikogo, kto by się zgłosił po dolę. Nie mówię, że tam jest coś wartościowego, same prawie rupiecie, szkoda gadać, ale zawsze mogą nam ułatwić jazdę do Devonu, prawda?

Oberżysta wypuścił mu kłęb dymu prosto w twarz.

– A więc wróciłeś do Jamajki nie tylko dla moich pięknych oczu? – wycedził. – Myślałem, że mnie kochasz, Harry, i chciałeś pocieszyć przyjaciela w niedoli.

Kramarz znów się uśmiechnął i poruszył się niespokojnie na krześle.

– Dobra – powiedział. – Jesteśmy chyba przyjaciółmi, no nie? Nic w tym złego, jeżeli się mówi szczerze i otwarcie. Rzeczy są tam w pokoju i potrzeba dwóch mężczyzn, żeby je unieść. Kobiety nie dadzą rady. Może byśmy doszli do porozumienia?

Gospodarz w zamyśleniu pykał fajkę.

– Pełno masz ślicznych pomysłów, przyjacielu. A przypuśćmy, że tam w pokoju nic już nie ma. Przypuśćmy, że już wszystko stamtąd usunąłem i wysłałem. Jak wiesz, siedzę tu beczynnie od dwóch dni, a dylizanse przejeżdżają przed moją bramą. Co wtedy, Harry, mój chłopcze?

Uśmiech znikł z twarzy kramarza, który z wojowniczo wysuniętą szczęką zmienił od razu ton.

– Co to za kawały? – warknął. – Grasz tu w Jamajce na dwie strony? Jeżeli tak, przekonasz się, że to nie popłaca. Bywałeś czasem bardzo tajemniczy, panie Merlyn, kiedy szły ładunki i kiedy furgony ruszały w drogę. Widziałem czasem rzeczy, których nie rozumiałem, a słyszałem też coś niecoś. Robiłeś wspaniałe interesy, miesiąc w miesiąc, zbyt może wspaniałe, uważali niektórzy, jak na te niewielkie zyski, które przypadały w udziale nam, cośmy się najbardziej narażali. Ale o nic cię nie pytaliśmy, prawda? Powiedz mi, panie Merlyn, czy dostajesz rozkazy od kogoś z góry?

Oberżysta z miejsca skoczył do niego. Zaciśniętą pięścią trafił kramarza w podbródek, aż tamten poleciał do tyłu, uderzając głową o kamienne płyty,

a krzesło przewróciło się z łoskotem. Wprawdzie poderwał się od razu na klęczki, ale gospodarz górował nad nim z lufą strzelby wycelowaną w szyję przybysza.

– Jeden ruch, a legniesz martwy – powiedział cicho.

Harry podniósł półprzymknięte, złe oczka na oberżystę, obrzmiała twarz poślókła mu jeszcze bardziej. Wstrząśnięty upadkiem, oddychał szybko i z trudem. Na pierwszy znak utarczki ciotka Patience przywarła do ściany, zmartwiała z przerażenia, daremnie szukając wzrokiem ratunku u siostrzenicy. Mary obserwowała pilnie wuja, tym razem bowiem nie była pewna, w jakim naprawdę jest nastroju. Wuj opuścił strzelbę i trącił kramarza nogą.

– Teraz możemy porozmawiać rozsądnie – rzekł.

Oparł się znów o stół, strzelbę położył na ramieniu, kramarz zaś wciąż klęczał, skulony, na podłodze.

– Ja jestem przywódcą w tej grze i zawsze nim byłem – rzekł gospodarz powoli. – Od samego początku przed trzema laty, kiedyśmy zdobywali ładunki z małych dwunastotonowych lugrów płynących do Padstow i uważaliśmy, że mamy szczęście, jeżeli się zarobiło parę pensów. Kierowałem wszystkim, aż zrobiłem z tego najlepszy interes w hrabstwie, od Hartland po Hayle. Ja dostaję rozkazy? Wielki Boże, chciałbym widzieć człowieka, który śmiałby mi je choć raz wydać. No, ale teraz już po zabawie. Słońce długo nam świeciło, teraz zapada noc. Gra skończona. Nie po to dzisiaj tu przyszedłeś, żeby mnie ostrzec, przyszedłeś zobaczyć, co ci się uda wydobyć spod gruzów. Oberża była zamknięta, więc twoje podłe serce napełniło się radością. Skrobałeś do okna, boś wiedział, że rygiel okiennicy jest obluźowany i łatwo go wyważyć. Nie przypuszczałeś, że mnie tu zastaniesz, co? Myślałeś, że zastaniesz tu Patience albo Mary i bez trudu je nastraszysz, a potem sięgniesz po strzelbę, która tak dogodnie wisi na ścianie, jak to często widziałeś, prawda? A wtedy już pal diabli gospodarza Jamajki. Ty nędzny zdrajco, myślisz, że nie dojrzałem tego w twoich oczach, kiedy otworzyłem okiennicę i zobaczyłem za szybą twoją twarz? Myślisz, że nie zauważyłem, jak drgnąłeś ze zdziwienia i czym prędzej zacząłeś się fałszywie uśmiechać?

Kramarz przesunął językiem po wargach i przełknął ślinę. Baczny spojrzeniem szcztura, którego zapędzono w kąt, zerknął w stronę Mary stojącej bez ruchu przy ogniu. Lękał się, że ona też wystąpi przeciw niemu. Ale Mary nie odzywała się. Czekala, co jeszcze powie wuj.

– Dobrze – oświadczył Joss Merlyn. – Zawrzemy porozumienie, ty i ja, tak jak żeś proponował. Porozumienie na doskonałych warunkach. Zmieniłem w końcu zdanie, mój wierny przyjacielu, i z twoją pomocą wyruszamy do Devonu. Są tu rzeczy warte zabrania, jak mi przypomniałeś, a sam jeden nie dam rady ich załadować. Jutro jest niedziela, święty dzień odpoczynku. Choćby się nawet rozbiło pięćdziesiąt statków, nie poderwie to tutejszych ludzi z klęczek. Zasłonięte okna, kazania, uroczyste miny, modły za dusze biednych marynarzy, którzy zginęli z ręki Szatana, owszem, ale przy świętej niedzieli nikt na poszukiwanie Szatana nie wyruszy. Mamy więc dwadzieścia cztery godziny, Harry, mój chłopcze, i jutro wieczorem, kiedy się już namachasz do syta łopata, pokrywając torfem i rzepą mój dobytek na wozie, no i pocałujesz na pożegnanie mnie, Patience, a może nawet Mary – cóż, będziesz wtedy mógł uklęknąć i podziękować Jossowi Merlynowi za to, że pozwala ci ujść z życiem zamiast wrzucić cię z kulą w czarnym sercu do rowu, tam gdzie twoje miejsce.

Podniósł znów strzelbę i przysunął wylot zimnej lufy do szyi kramarza. Kramarz jęknął, przewrócił oczami, widać było tylko białka. Oberżysta roześmiał się.

– Jesteś przecież niezłym strzelcem, Harry – rzekł. – Czy nie tu właśnie trafiłeś ostatniego wieczoru Neda Santo? Trafiłeś go prosto w gardło, krew trysnęła strumieniem. Dobry był chłopak ten Ned, tyle że zbyt pochopny w mowie. Tu go właśnie trafiłeś, prawda?

Lufa przywarła szczelniej do szyi kramarza.

– Gdybym teraz pomylił się przypadkiem, Harry, twoje gardło wyglądałoby zupełnie tak samo jak gardło Neda. Nie chcesz chyba, żebym się przypadkiem pomylił?

Kramarz nie mógł mówić. Oczy zapadły mu się w głąb czaszki, palce jednej ręki przywarły na płask do podłogi.

Oberżysta przesunął strzelbę w bok, pochylił się i jednym szarpnięciem postawił kramarza na nogi.

– Chodź – powiedział. – Myślisz, że będę się tu z tobą bawił całą noc? Kawał jest dobry przez pięć minut, potem robi się nudny. Otwórz drzwi kuchni, skręć w prawo i ruszaj korytarzem, dopóki nie powiem, że masz stanąć. Przez bar nie uciekniesz, wszystkie okna i drzwi oberży są zaryglowane. Ręce cię swędziały, żeby się dobrać do łupów, któreśmy przywieźli z wybrzeża, tak, Harry? Otóż spędzisz wśród nich noc. Czy wiesz, kochana moja Patience, że po raz pierwszy chyba udzielamy komuś noclegu w Jamajce? Nie liczę Mary, ona należy do rodziny.

Roześmiał się głośno, znów w doskonałym humorze, i wbijając łufę w plecy kramarza, wypchnął go na ciemny korytarz wiodący do zamkniętego pokoju. Drzwi, wyważone niedawno przez dziedzica Bassata i jego sługę, zostały już naprawione i były teraz bodaj nawet mocniejsze niż przedtem. Widocznie Joss Merlyn w ubiegłym tygodniu znalazł jednak czas na tę robotę.

Zamknawszy na klucz przyjaciela i życząc mu na pożegnanie, żeby nie padł ofiarą szcurów, których liczba ostatnimi czasy wyraźnie wzrosła, oberżysta wrócił do kuchni, wciąż śmiejąc się pod wąsem.

– Spodziewałem się, że Harry mnie zdradzi – powiedział. – Widziałem to w jego oczach już od kilku tygodni, zanim jeszcze spadły na nas kłopoty. Wierny, dopóki się wygrywa, ale kiedy się szczęście odwraca, gotów wbić nóż w plecy. Zawistny jest, zawiść go zżera. Zazdrości mi. Oni wszyscy mi zazdroszczą. Wiedzą, że mam głowę na karku, i nienawidzą mnie za to. Co się tak gapisz, Mary? Najlepiej zjedz kolację i idź spać. Jutro wieczorem czeka cię długa droga, a uprzedzam z góry, że nie będzie łatwa.

Mary spojrzała na niego poprzez stół. Fakt, że z nim nie pojedzie, był na razie sprawą dalszą; wuj mógł sobie tymczasem myśleć, co chce. Mimo zmęczenia –

przeżycia ostatnich dni mocno ją wyczerpały – w głowie roiło jej się od planów.

Przed jutrzejszym wieczorem musi jakoś, w jakikolwiek sposób, dotrzeć do Altarnun. Skoro się tam znajdzie, misja jej będzie zakończona. Działanie podejmą inni. Ciężkie to będzie przeżycie dla ciotki Patience, może z początku i dla niej samej – nie ma przecież pojęcia o zawiłych przepisach prawnych – ale sprawiedliwość w końcu zatriumfuje. Ona, Mary, z pewnością bez trudu udowodni niewinność swoją i ciotki. Myśl o wuju, który siedzi teraz przed nią, żując suchy chleb z serem, a będzie wkrótce stał ze skrępowanymi z tyłu rękami, obezwładniony po raz pierwszy w życiu, lecz na zawsze, napełniała ją prawdziwą rozkoszą. Lubowała się tym obrazem, przywoływała go wciąż przed oczy, dodając coraz to nowsze szczegóły. Ciotka z czasem powróci do równowagi, zapomni o latach udręki, odzyska wreszcie spokój i pogodę ducha. Mary ciekawa była, jak odbędzie się samo pojmanie. Może wyruszą w drogę zgodnie z planem wuja, a kiedy skręcą na gościniec i on w swym zadufaniu roześmieje się głośno, otoczy ich naraz liczna grupa uzbrojonych mężczyzn, którzy przemocą obalą go na ziemię. Będzie się chciał wyrwać, będzie stawiał opór, a wówczas ona pochyli się nad nim z uśmiechem. „Myślałam, że masz głowę na karku, wuju” – powie, a on wszystko zrozumie.

Oderwała od niego wzrok i podeszła do kredensu po świecę.

– Nie będę dziś jadła kolacji – rzekła.

Ciotka szepnęła coś z żalem, podnosząc oczy znad suchej kromki chleba leżącej przed nią na talerzu, ale Joss Merlyn kopniakiem nakazał żonie milczenie.

– Niech się dąsa, skoro tak się jej podoba – powiedział. – Co cię obchodzi, czy je, czy nie je? Głód dobrze robi kobietom i zwierzętom, uczy je pokory. Do rana przejdą jej te fupy i fochy. Czekaaj, Mary, będziesz spała spokojniej, jeżeli zamknę cię na klucz. Nie chcę, żeby mi kto łąził po korytarzu.

Spojrzenie jego pobiegło ku strzelbie na ścianie, potem bezwiednie do okiennicy, nadal jeszcze niezamkniętej.

– Zarygluj okno, Patience – powiedział z namysłem. – I załóż dobrze sztabę. Jak zjesz kolację, możesz także iść spać. Ja zostanę dziś w kuchni.

Żona spojrzała na niego z niepokojem, uderzona niezwykłym tonem, i byłaby się odezwała, ale nie dopuścił jej do głosu.

– Nie wiesz jeszcze, że mi się nie zadaje pytań?! – krzyknął.

Wstała natychmiast i podeszła do okna. Mary z zapaloną świecą czekała przy drzwiach.

– No – powiedział wuj – czego tam stoisz? Kazałem ci iść na górę.

Mary wyszła na ciemny korytarz. Z pokoju na jego końcu nie dolatywał żaden dźwięk. Pomyślała o kramarzu, który leży tam w ciemnościach i czeka świtu. Myśl o nim była jej wstrętą: szczur, uwięziony wśród podobnych sobie szczurów. Wyobraziła go sobie nagle ze szczurzymi pazurami, jak skrobie i gryzie framugę drzwi, w ciszy nocnej torując sobie drogę na wolność.

Wzdrygnęła się, a zarazem poczuła niezrozumiałą radość, że wuj ją też postanowił uwięzić. Dom wydawał się dziś pełen zdradliwych pułapek, kroki po kamiennych płytach stukotały głucho, dziwne echa odbijały się od ścian. Nawet kuchnia, jedyne miejsce w całym domu tchnące jakim takim ciepłem i normalnością, w tej chwili, gdy Mary z niej wychodziła, sprawiała wrażenie pieczary, żółtej i groźnej w świetle świec. Czy wuj ma zamiar pogasić świece i siedzieć tu ze strzelbą na kolanach, czekając na coś? Na kogoś? Kiedy Mary była już na schodach, wyszedł do holu i poszedł za nią aż do drzwi pokoju nad gankiem.

– Daj mi klucz – nakazał.

Oddała mu go bez słowa. Stał przez chwilę, spoglądając na nią, potem pochylił się i przyłożył jej palec do ust.

– Mam do ciebie słabość, Mary – rzekł. – Nie straciłaś odwagi, a nawet fantazji, mimo że tak się z tobą brutalnie obszedłem. Poznałem to dziś po twoich oczach. Gdybym był młodszy, uderzyłbym do ciebie, Mary, tak, i zdobyłbym cię, i zawiózłbym cię gdzieś daleko stąd, i żylibyśmy w chwale. Wiesz o tym, prawda?

Nie odpowiedziała. Patrzyła na niego, gdy tak stał przed drzwiami, a jej ręka trzymająca świecę drżała lekko, choć dziewczyna nie zdawała sobie z tego sprawy.

On zniżył głos.

– Grozi mi niebezpieczeństwo – szepnął. – Mniejsza o prawo, jak przyjdzie co do czego, potrafię się wykręcić. Cała Kornwalia może mi deptać po piętach, nic sobie z tego nie robię. Muszę się strzec czego innego – kroków, Mary, co skradają się w mroku nocy i w mroku się oddalają, i ręki, która może mnie porazić.

Twarz jego w półmroku była ściągnięta, szara, oczy błysnęły nagle, jak gdyby miał już Mary coś powiedzieć, ale błysk od razu zgasł.

– Odgradzimy się od Jamajki całą szerokością Tamaru – rzekł i uśmiechnął się, a uśmiech ten, tak dobrze skądinąd znany i pamiętany, ukłuł Mary w samo serce, jak echo bezpowrotnie minionych dni. Joss Merlyn zamknął za sobą drzwi pokoju i przekręcił z zewnątrz klucz.

Słyszała jego kroki na schodach, w korytarzu, potem skręcił do kuchni i wszystko ucichło.

Podeszła do łóżka, usiadła i z niewytłumaczonego powodu, całkowicie później zapomnianego na równi z drobnymi przewinami dzieciństwa i skrytymi marzeniami, których w biały dzień nigdy nie dopuszczała do świadomości, przyłożyła palec do ust, jak on przed chwilą przyłożył, potem przesunęła palec na policzek i znów na usta.

Wreszcie zaczęła płakać, cicho, beznadziejnie, a gdy łzy padały jej na rękę, czuła ich gorzki smak.

13

Usnęła, nie rozbierając się, a kiedy się ocknęła, pierwszą jej myślą było, że wichura zerwała się znowu, przynosząc deszcz, którego strugi spływają po szybie okiennej. Otworzyła oczy i przekonała się, że noc jest cicha, nie słychać najłżejszego podmuchu wiatru ani plusku deszczu. Odzyskała natychmiast czujność i czekała na powtórzenie dźwięku, który ją obudził. Rozległ się po chwili – szelest garści ziemi rzuconej o szybę z dołu, z podwórza. Zsunęła nogi na podłogę i nasłuchiwała, próbując wyczuć niebezpieczeństwo.

Jeśli to miał być sygnał ostrzegawczy, sposób jego nadania był dość nieostrożny i należało go raczej zignorować. Ktoś niezbyt dobrze zorientowany w geografii oberży mógł wziąć jej okno za okno gospodarza. Wuj ze strzelbą w pogotowiu czeka w kuchni na przybycie gości, może ten gość właśnie przybył i stoi na dziedzińcu... Jednakże ciekawość w końcu wzięła górę nad ostrożnością. Mary przysunęła się jak najciszej do okna, kryjąc się za występem muru. Była jeszcze noc, wszystko spowijały ciemności, ale nisko na niebie wąska linia chmur zapowiadała brzask.

O pomyłce wszakże nie mogło być mowy – ziemia rozsypana po szybie była najzupełniej rzeczywista, tak samo jak postać stojąca tuż pod gankiem, postać mężczyzny. Mary skuliła się przy oknie, czekając na jego następny ruch. Nachylił się, zanurzając palce w grządce kwiatowej pod oknem salonu, potem wyprostował

się i znów cisnął grudkę ziemi w jej okno. Drobny żwir i wilgotna ziemia rozprysły się po szybie.

Tym razem dojrzała jego twarz i ze zdumienia wydała okrzyk, zapominając o ostrożności, do której się z takim trudem przymusiła.

Na dziedzińcu stał Jem Merlyn. Mary otworzyła natychmiast okno i byłaby się odezwała, ale podniósł rękę, nakazując milczenie. Obszedł ganek, spod którego nie byłoby go widać, zbliżył się do muru, otoczył usta dłońmi i szepnął:

– Zejdź i otwórz mi drzwi.

Pokręciła głową.

– Nie mogę. Jestem zamknięta w pokoju.

Patrzył na nią chwilę, zaskoczony i wyraźnie stropiony, potem obejrzał się na dom, jak gdyby tam szukał jakiegoś rozwiązania. Przesunął ręką po spadzistym dachu ganku, chcąc namacać zardzewiałe gwoździe, używane niegdyś do podtrzymywania bluszczu, gdyż te mogłyby dać jakieś oparcie dla stóp. Niski dach był w jego zasięgu, ale kryty był łupkiem, gładkim i śliskim, gwoździ zaś nie udało mu się znaleźć.

– Daj koc z łóżka! – zawołał cichutko.

Zrozumiała od razu, o co chodzi, i przywiązała jeden róg koca do nogi łóżka, drugi zaś wyrzuciła za okno, gdzie zawisł nad głową Jema. Tym razem Jem miał się już czego chwycić, odbił się od ziemi, wskoczył na dach ganku, zdołał utrzymać się na nim i wspiął się aż pod jej okno.

Tu przerzucił nogi przez szczytową belkę ganku, usiadł na niej okrakiem, mając teraz twarz blisko twarzy Mary, która tymczasem zmagiała się z oknem. Ale wysiłki te były daremne: okno, podnoszone do góry, dawało się otworzyć zaledwie na stopę nad parapetem. Bez wybicia szyby Jem nie mógł wejść do środka.

– Będziemy musieli tutaj rozmawiać – rzekł. – Podejdź bliżej, żebym cię widział.

Uklękła na podłodze, przyłożyła twarz do otworu i przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Jem był wymizerowany, oczy miał zapadnięte jakby z braku snu

i wielkiego zmęczenia. Wokół ust rysowały się bruzdy, których przedtem u niego nie zauważyła, ani razu się też nie uśmiechnął.

– Powinienem cię przeprosić – rzekł wreszcie. – W Wigilię opuściłem cię w Launceston bez uprzedzenia. Możesz mi przebaczyć albo nie, jak uznasz za stosowne, ale powodu nie mogę ci wyjawić. Przepraszam.

Nigdy jeszcze nie przemawiał do niej tak surowo. Zaszła w nim jakaś zmiana, która była dla Mary ogromnie przykra.

– Niepokoiłam się o ciebie – powiedziała. – Szukałam cię, byłam nawet Pod Białym Jeleniem, ale tam mi powiedziano, żeś wsiadł do powozu z jakimś panem, nic poza tym, żadnej wiadomości, ani słowa wyjaśnienia. Tamci dwaj stali w zajeździe przy kominku, handlarz koni, który rozmawiał z tobą na targu, i ten drugi. Ohydni ludzie, wścibscy, natrętni, nie ufałam im. Myślałam, że wyszła może na jaw kradzież kuca. Byłam okropnie zmartwiona i niespokojna. Ale nie mam do ciebie żalu. Twoje interesy to twoja rzecz.

Czuła się głęboko dotknięta. Nigdy by się czegoś podobnego nie spodziewała. Kiedy ujrzała Jema na dziedzińcu pod swoim oknem, widziała w nim jedynie człowieka, którego kocha i który przyszedł teraz pod osłoną nocy, bo się za nią stęsknił. Ale zmroził ją swoim tonem, od razu więc zamknęła się w sobie i miała tylko nadzieję, że nie dostrzegł na jej twarzy wyrazu bolesnego zawodu.

Nie zapytał nawet, w jaki sposób tamtego wieczoru dostała się do domu; jego obojętność była wprost niepojęta.

– Dlaczego jesteś zamknięta na klucz? – spytał ostro.

Wzruszyła ramionami.

– Wuj nie lubi, żeby go ktoś podglądał. Boi się, że mogę zawędrować na korytarz i odkryć przypadkiem jakieś jego sekrety. Zdaje się, że ty też żywisz taką samą niechęć do osób wścibskich. Gdybym cię zapytała, dlaczego tu dziś jesteś, popełniłabym chyba wielką niedyskrecję, prawda?

– Ojej, rozumiem, że jesteś rozgoryczona, zasłużyłam sobie na to! – wybuchnęła nagle. – Wiem, co o mnie myślisz. Może kiedyś będę mógł ci wszystko

wytłumaczyć, jeżeli do tego czasu nie znikniesz z mojego życia. Bądź przez chwilę jak mężczyzna, ciśnij w diabły zranioną ambicję i ciekawość. Stąпам po bardzo niepewnym gruncie, Mary, i jeden fałszywy krok może mnie zgubić. Gdzie jest mój brat?

– Powiedział nam, że spędzi noc w kuchni. Boi się czegoś albo kogoś; okna i drzwi są zaryglowane, a on nie rozstaje się ze strzelbą.

Jem roześmiał się chrapliwie.

– Nie wątpię, że się boi. I mogę cię zapewnić, że niezadługo będzie się bał jeszcze bardziej. Przyjechałem, żeby się z nim zobaczyć, ale jeżeli siedzi tam ze strzelbą w pogotowiu, odłożę lepiej wizytę do jutra, kiedy się już rozwidni.

– Jutro może być za późno.

– Co to znaczy?

– On chce o zmroku wyjechać z Jamajki.

– Mówisz prawdę?

– Po cóż miałabym ci kłamać?

Jem umilkł. Wiadomość zaskoczyła go widocznie i rozważał ją w myśli. Mary obserwowała go, dręczona wątpliwościami i rozterką; dawne podejrzenia powróciły ze zdwojoną siłą. To on jest owym gościem, na którego wuj czeka, którego wuj nienawidzi i którego się obawia. To on jest człowiekiem, który ma wuja w ręku. Przypomniała sobie wykrzywioną szyderczo twarz kramarza i jego słowa, które wprawiły wuję w furję: „Powiedz mi, panie Merlyn, czy dostajesz rozkazy od kogoś z góry?”. On jest człowiekiem, którego rozum ma na służbie siłę oberżysty, on jest tym, który ukrywał się w pustym pokoju.

Staął jej znów przed oczami roześmiany, beztroski Jem, który zawiózł ją do Launceston, chodził z nią po placu targowym, całował ją i tulił. Teraz był poważny, milczący, cienie przesłaniały mu twarz. Słyszała o rozdwojeniu jaźni i myśl o takiej możliwości napełniła ją niepokojem i lękiem. Był teraz dla niej kimś obcym, miał w sobie jakąś groźną zawziętość, której istoty nie rozumiała. Źle się stało, że mu powiedziała o zamierzonej ucieczce wuja, to może pokrzyżować jej plany. Ale

cokolwiek Jem uczynił lub zamierza uczynić, jeśli nawet jest przewrotny i podstępny, jeśli nawet jest mordercą, Mary w swej kobiecej słabości kocha go i musi go ostrzec.

– Kiedy spotkasz się z bratem, dobrze na siebie uważaj – powiedziała. – Jest w niebezpiecznym nastroju. Ma swoje plany i ktokolwiek stanie mu na przeszkodzie, może przyplacić to życiem. Mówię ci o tym przez wzgląd na twoje bezpieczeństwo.

– Nie boję się Jossa i nigdy się go nie bałem.

– Przypuśćmy. Ale może on boi się ciebie?

Jem nic nie odpowiedział, nachylił się tylko, przyjrzał jej twarzy i dotknął zadrapania biegnącego od czoła aż do podbródka.

– Kto to zrobił? – spytał ostro, wiodąc palcem od zadrapania do sińca na policzku.

Mary milczała chwilę, wreszcie jednak powiedziała:

– To się stało w Wigilię.

Z błysku w jego oku domyśliła się, że zrozumiał, że wie o tamtym wieczorze i dlatego właśnie jest teraz w Jamajce.

– Byłaś wtedy z nimi na brzegu? – szepnął.

Skinęła głową, obserwując go uważnie, lecz unikając słów, on zaś w odpowiedzi zaklął głośno i zaciśniętą pięścią uderzył w szybę, niepomny na trzask pękającego szkła i strumień krwi, który trysnął natychmiast ze skaleczonej ręki. Otwór okienny stał się teraz dość duży, aby można było wejść, toteż Jem w mgnieniu oka znalazł się przy niej, zanim się zorientowała, co się dzieje. Chwycił ją na rękę, zaniósł na łóżko, położył, potem namacał w ciemnościach świecę, zapalił, wrócił do posłania i ukląkł przy nim, oświetlając twarz Mary. Przesunął palcem po sińcach na jej szyi, a kiedy skrzywiła się z bólu, wciągnął raptownie powietrze i znowu zaklął.

– Mogłem ci tego oszczędzić – powiedział.

Zdmuchnął świecę, usiadł przy Mary na łóżku, ujął jej rękę, przez chwilę trzymał mocno, a potem delikatnie puścił.

– Boże Wielki, czemuś z nimi pojechała? – spytał.

– Byli pijani do nieprzytomności. Nie wiedzieli chyba, co robią. Mój opór tyle dla nich znaczył co opór dziecka. Było ich ze dwunastu, może nawet więcej, a wuj... im przewodził. Wuj i kramarz. Jeżeli wiesz o tym, po co mnie pytasz? Nie każ mi wspominać. Nie chcę pamiętać.

– Co ci zrobili?

– Mam sińce, zadrapania... sam widzisz. Usiłowałam uciec i zdarłam skórę z biodra. Oczywiście złapali mnie. Na brzegu związali mi ręce i nogi, zatkali mi workiem usta, żebym nie mogła krzyczeć. Widziałam, jak statek zbliża się we mgle, i nic nie mogłam zrobić, sama jedna na wicherze i deszczu. Musiałam patrzeć, jak giną...

Urwała, głos jej się załamał, przekręciła się na bok i ukryła twarz w dłoniach. On nie uczynił żadnego ruchu, nie odezwał się; siedział przy niej na łóżku i czuła, że myślami jest gdzieś daleko, tajemniczy, niedosięgly.

Była jeszcze bardziej osamotniona niż przedtem.

– Czy to mój brat najbardziej cię skatował? – zapytał po chwili.

Westchnęła ze znużeniem. Na wszystko było już za późno, nic nie miało teraz znaczenia.

– Mówiłam ci, że był pijany. Wiesz chyba lepiej ode mnie, do czego w takich chwilach jest zdolny.

– Tak, wiem.

Milczał przez kilka sekund, potem znów ujął jej rękę.

– Umrze za to – powiedział.

– Jego śmierć nie wskrzesi tych, których pozabijał.

– Nie o nich teraz myślę.

– Jeżeli myślisz o mnie, współczucie jest zbędne. Potrafię sama się zemścić. Jednej rzeczy się przynajmniej nauczyłam: polegać na sobie.

– Kobiety to kruche stworzenia, Mary, mimo całej ich odwagi. Najlepiej trzymaj się od tego wszystkiego z daleka. Sprawa należy teraz do mnie.

Nie odpowiedziała. Miała własne plany, które jego w ogóle nie dotyczyły.

– Co chcesz zrobić? – spytał.

– Jeszcze się nie zdecydowałam – skłamała.

– Jeżeli on zamierza wyjechać jutro w nocy, masz niewiele czasu do namysłu.

– On chce, żebyśmy obydwie z nim pojechały, ciotka i ja.

– A co ty na to?

– To będzie zależało od jutrzejszego dnia.

Mimo że go kocha, nie zwierzy mu się ze swoich planów. Jem nadal jest wielką niewiadomą, a przede wszystkim wrogiem obowiązujących praw. Naraz przeszło jej przez myśl, że jeśli wyda wuja, może i jego również wydać w ręce sprawiedliwości.

– Jeżeli cię o coś poproszę, co mi odpowiesz? – spytała.

Uśmiechnął się po raz pierwszy, drwiąco i pobłaźliwie, jak się uśmiechał w Launceston, i pod wpływem tej zmiany serce jej znów zaczęło się do niego wyrywać.

– Skąd mogę wiedzieć? – odparł.

– Chcę, żebyś stąd wyjechał.

– Za chwilę odjadę.

– Nie, chodzi o to, żebyś w ogóle opuścił tę okolicę. Musisz mi przyrzec, że nie wrócisz do Jamajki. Z twoim bratem sama sobie poradzę, z jego strony nic mi już teraz nie grozi. Nie chcę, żebyś tu jutro przyjeżdżał. Proszę cię, przyrzeknij mi, że wyjedziesz.

– Co ty knujesz?

– Coś, co ciebie nie dotyczy, ale może cię narazić na duże niebezpieczeństwo. Nic więcej nie mogę powiedzieć. Chciałabym, żebyś mi zaufał.

– Żebym ci zaufał? Wielki Boże, naturalnie, że ci ufam. To ty mi nie ufasz, głupiątko.

Roześmiał się cicho, nachylił, wziął ją w ramiona i pocałował tak jak niegdyś w Launceston, ale teraz był to inny pocałunek, długi, pełen gniewu i żalu.

– No cóż, prowadź swoją grę na własną rękę – rzekł – a ja będę prowadził swoją. Skoro koniecznie chcesz być chłopakiem, nie mogę ci przeszkodzić, ale na tę twarzyczkę, którą całuję i będę znów całował, zaklinam cię, bądź ostrożna. Nie chcesz chyba zginąć? Muszę cię teraz opuścić, za godzinę będzie widno. A jeżeli obydwa nasze plany spalą na panewce, co wtedy? Będziesz żałować, jeżeli nigdy mnie już nie zobaczysz? Oczywiście, że nie, nic ci przecież na tym nie zależy.

– Tego nie powiedziałam. Ty nic nie rozumiesz.

– Kobiety rozumują inaczej niż mężczyźni, ich myśli biegną innymi drogami. Dlatego nie lubię kobiet, zawsze przez nie tylko kłopoty i zamieszanie. Przyjemnie mi było z tobą w Launceston, Mary, ale kiedy waży się sprawa życia i śmierci, jak moja sprawa w tej chwili, to, na Boga, wolałbym, żebyś była o sto mil stąd albo siedziała grzecznie z robótką w ręku gdzieś w schludnym saloniku, gdzie należałabyś do mnie.

– Nigdy nie znałam takiego życia i nie zamierzam poznać.

– Czemu nie? Wyjdiesz z czasem za farmera albo sklepikarza i będziesz pędziła cnotliwy żywot, szanowana przez sąsiadów. Tylko nie mów, żeś mieszkała kiedyś w Jamajce i romansowała z koniokrądem, bo nie wpuszczą cię za próg. No, bywaj, życzę pomyślności.

Wstał, podszedł do okna, przecisnął się przez otwór wybity w szybie, następnie zwiesił nogi nad gankiem i trzymając się jedną ręką koca, zsunął się na ziemię.

Obserwowała go z okna, bezwiednie żegnając ruchem ręki, ale on się nie obejrzał, przemknął przez podwórze i znikł jak cień. Mary wolno wciągnęła z powrotem koc i położyła go na łóżku. Nie zaśnie już, wkrótce będzie świt.

Usiadła na łóżku, czekając, aż wuj otworzy drzwi, i układała plany na wieczór. Nie wolno jej w ciągu długiego dnia ściągnąć na siebie najłżejszych podejrzeń, musi zachowywać się biernie, nawet apatycznie, jak gdyby zrezygnowała z oporu i gotowa była wyruszyć w drogę z wujem i ciotką.

Potem znajdzie jakąś wymówkę – powie na przykład, że jest zmęczona i chce odpocząć trochę w swoim pokoju przed trudami nocnej podróży – a wtedy nastąpi najniebezpieczniejsza chwila. Będzie musiała ukradkiem, niepostrzeżenie wymknąć się z Jamajki i biec co tchu do Altarnun. Tym razem Francis Davey zrozumie. Czasu zostanie bardzo mało, będzie musiał natychmiast przystąpić do działania. Ona z jego aprobatą wróci wówczas do oberży, licząc na to, że nikt nie zauważył jej nieobecności. Na tym polega ryzyko. Jeżeli oberżysta zajrzy do pokoiku na górze i stwierdzi, że wyszła, życie jej niewarte będzie złamanego szeląga. Na to musi być przygotowana. Żadne tłumaczenia już jej nie uratują. Ale jeśli będzie trwał w przekonaniu, że ona śpi spokojnie na górze, gra potoczy się dalej. Poczynią przygotowania do podróży, może nawet wsiądą na wóz i wyjadą na drogę, tam już skończy się jej odpowiedzialność. Los ich wszystkich spocznie w ręku pastora z Altarnun. Poza tym Mary o niczym już nie myślała, zresztą nie miała zbytnej ochoty zaglądać w przyszłość.

Czekała tedy świtu, a kiedy nadszedł, czas dłużył się nieznośnie, każda minuta wydawała się godziną, każda godzina wiecznością. Atmosfera pełna była napięcia. W milczeniu, zacinając zęby, czekali nadejścia wieczoru. Za dnia niewiele można było zdziałać; w każdej chwili można się było spodziewać, że ktoś przeszkodzi w przygotowaniach. Ciotka Patience dreptała z kuchni do pokoju, kroczy jej rozlegały się ustawicznie w korytarzu i na schodach, gdy nieporadnie i bezowocnie usiłowała pakować dobytek. Robiła zawiniątka z nędznych resztek swojej odzieży, potem rozwijała je znowu, przypomniawszy sobie o jakiejś przez roztargnienie porzuconej części garderoby. Kręciła się bez celu po kuchni, otwierała szafy, zaglądała do szuflad, niespokojnymi palcami dotykała garnków, patelni i nie mogła się zdecydować, które wziąć, a które zostawić. Mary usiłowała jej w miarę możliwości pomagać, ale zadanie miała utrudnione – wiedziała przecież, o czym nie miała pojęcia ciotka, że cała ta praca pójdzie na marne.

Chwilami serce jej się ścisnęło, gdy pozwoliła myślom wybiec w przyszłość. Co zrobi ciotka Patience? Jak zareaguje, kiedy przyjdą odebrać jej męża? Jest przecież dzieckiem i trzeba się nią opiekować jak dzieckiem. Oto znów drepcze po

schodach na górę i Mary słyszy, jak ciągnie po podłodze swój kuferek, jak chodzi tam i z powrotem, tam i z powrotem, pakując jeden jedyny lichtarz w jakiś szal, po czym układa go obok pękniętego imbryczka i spłowiałej muślinowej pelerynki tylko po to, żeby znów to wszystko wyjąć i porzucić, robiąc miejsce dla jeszcze starszych skarbów.

Joss Merlyn spoglądał niechętnie na żonę i kłął, ilekroć upuściła coś na podłogę albo się o coś potknęła. Nastrój jego przez noc znów uległ zmianie. Czuwanie w kuchni nie poprawiło mu humoru, a fakt, że spodziewany gość wcale się nie zjawił, wzmógł tylko jego niepokój. Krążył po domu, zdenerwowany i roztargniony, mruzczał coś do siebie, wyglądał wciąż przez okno, jak gdyby lękał się, że ktoś go zniecka zaskoczy. Zdenerwowanie jego udzielało się też ciotce i Mary. Ciotka zerkała na niego niepewnie i również zwracała spojrzenie ku oknu, nasłuchując, ściągając ustawicznie wargi, gdy tymczasem ręce zwijały i rozwijały brzeg fartucha.

Z zaryglowanego pokoju, w którym znajdował się kramarz, nie dobiegał żaden odgłos. Gospodarz zresztą nie poszedł tam wcale i ani razu o kramarzu nie wspomniął. Cisza ta była sama przez się czymś dziwnym i niesamowitym. Gdyby kramarz ciskał przekleństwa lub dobijał się do drzwi, byłoby to bardziej zgodne z jego charakterem, ale on leżał w ciemnościach, nie czyniąc żadnego ruchu, nie wydając dźwięku, i Mary mimo nienawiści do niego wzdrygała się na myśl, że może już tam umarł.

Do posiłku południowego zasiedli przy stole w kuchni. Jedli bez słowa, niemal ukradkiem, a gospodarz, który zazwyczaj miał wilczy apetyt, tym razem w zamyśleniu bębnił palcami po stole i nie tknął wcale zimnego mięsa na talerzu. W pewnej chwili Mary podniosła oczy i spostrzegła, że wuj wpatruje się w nią spod krzaczastych brwi. Ogarnął ją paniczny strach, że coś podejrzewa, że domyśla się jej planów. Liczyła, że będzie w równie dobrym humorze jak poprzedniego wieczoru, miała zamiar w razie potrzeby dogadzać mu, odpowiadać na żarty żartami, nie sprzeciwiać się jego życzeniom. Teraz jednak siedział zaszępiiony, pogrążony w zadumie, a wiedziała z doświadczenia, że w takim nastroju jest

najbardziej niebezpieczny. Wreszcie zdobyła się na odwagę i zapytała go, o której godzinie zamierza wyruszyć z Jamajki.

– Jak będę gotów – odpowiedział krótko i nie dodał nic więcej.

Mary jednak nie dała za wygraną. Kiedy już pomogła sprzątnąć ze stołu i popełniając jeszcze jedno oszustwo, przekonała ciotkę, że trzeba koniecznie zapakować koszyk żywności na drogę, zwróciła się znów do wuja:

– Jeżeli mamy dziś jechać, czy nie lepiej będzie, jeżeli ciocia i ja położymy się teraz, żeby odpocząć przed podróżą? W nocy przecież nie zmrużymy oka. Ciocia od świtu jest na nogach, ja zresztą też. Nie na wiele się to chyba zda, jeżeli będziemy czekały tutaj do zmroku.

Starła się mówić jak najswobodniej, bez nacisku, ale obręcz ściskająca jej serce świadczyła o tym, że czeka na odpowiedź pełna lęku, nie mogła też spojrzeć wujowi w oczy. On zastanawiał się chwilę, ona więc, aby ukryć niepokój, odwróciła się i udawała, że szuka czegoś w kredensie.

– Możesz się położyć, jeżeli chcesz – powiedział w końcu wuj. – Czeka was obydwie jeszcze dużo pracy. Masz rację, że w nocy spać nie będziecie. Idźcie, idźcie, rad będę, że mi na kilka godzin zejdziecie z oczu.

Zrobiwszy pomyślnie pierwszy krok, Mary pozostała jeszcze chwilę przy kredensie, kontynuując rzekomą pracę, obawiała się bowiem, że zbyt pośpieszne opuszczenie kuchni może się wydać podejrzanym. Ciotka, która zawsze jak marionetka poddawała się wszelkim sugestiom, bez słowa poszła z siostrzenicą na górę i podreptała korytarzem do swego pokoju niby posłuszne dziecko.

Mary weszła do pokoiku nad gankiem, zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. Serce biło jej mocno, choć sama nie wiedziała, co bierze w niej górę, podniecenie czy też strach. Do Altarnun gościńcem jest blisko cztery mile, może przebyć tę drogę w ciągu godziny. Jeżeli wyjdzie z Jamajki o czwartej, kiedy już się zmierzcha, zdąży wrócić kilka minut po szóstej, a wuj nie przyjdzie chyba po nią przed siódmą. Ma więc trzy godziny na wykonanie planu, co do sposobu zaś wydostania się z domu decyzję już podjęła. Wyjdzie na dach ganku i zeskoczy

stamtąd na ziemię, tak jak Jem tego ranka. Nie jest tam zbyt wysoko, grozi jej najwyżej kilka zadrapań, no i twarde lądowanie. W każdym razie bezpieczniej jest obrać tę drogę, niż narazić się na spotkanie z wujem w korytarzu na dole. Ciężkie drzwi frontowe zawsze skrzypią przy otwieraniu, a znów gdyby chciała wyjść przez bar, musiałaby minąć otwarte drzwi kuchni.

Włożyła najcieplejszą suknię, drżącymi, gorącymi rękami zawiązała na ramionach stary szal. Teraz najbardziej uciążliwe było przymusowe czekanie. Kiedy znajdzie się na drodze, szybki ruch i cel wyprawy dodadzą jej otuchy i odwagi.

Usiadła przy oknie, patrzyła na bezludne podwórze, na gościniec, którym nikt nigdy nie przechodził, i czekała, aż zegar na dole wybije czwartą. Kiedy wreszcie zaczął bić, uderzenia rozbrzmiewały jak dzwon na trwogę, szarpiąc nerwy. Otworzyła drzwi na korytarz, nasłuchiwała przez chwilę i zdawało jej się, że słyszy jakieś kroki i szepty.

Była to oczywiście tylko gra wyobraźni, nic się nie poruszało. Zegar tykał obojętnie. Teraz każda chwila była droga, nie wolno było zwlekać. Zamknęła znów drzwi na klucz i podeszła do okna. Wydostała się przez otwór w szybie, za przykładem Jema opierając ręce na parapecie, i za sekundę siedziała okrakiem na szczycie ganku, patrząc w dół, na ziemię.

Teraz, gdy już się tu znalazła, odległość wydawała się większa, brakowało też koca, którym posłużył się Jem, żeby osłabić wstrząs. Dachówka była śliska, nie dawała oparcia ani dla rąk, ani dla stóp. Mary odwróciła się, czepiając się rozpaczliwie parapetu okna, który wydał się nagle bezpieczną, dobrze znaną przystanią, po czym zamknęła oczy i skoczyła. Nogi prawie natychmiast dotknęły ziemi – jak przewidywała, skok był niegroźny – ale wystające brzegi dachówki otarły jej skórę na łydkach i ramionach, wskrzeszając w pamięci upadek z powozu w wąwozie na wybrzeżu.

Podniosła głowę i spojrzała na Jamajkę, posępną i szarą w zapadającym zmierzchu. Wszystkie okna były zasłonięte okiennicami. Pomyślała o okropnościach, których świadkiem był ten dom, o tajemnicach kryjących się tu

obok innych, dawnych wspomnień o wesołych ucztach i radosnym śmiechu, zanim padł na te mury cień Jossa Merlyna. Odwróciła się do oberży plecami, jak człowiek odwraca się instynktownie od domu śmierci, i wyszła na gościniec.

Wieczór był pogodny – pod tym względem przynajmniej miała szczęście – ruszyła tedy naprzód, nie odrywając oczu od wijącej się przed nią białej, długiej drogi. Gęstniejący zmierzch zalegał trzęsawiska ciągnące się po obu stronach. Wysokie wzgórze po lewej, zrazu spowite mgłą, poczęło się teraz otulać czarnym całunem. Cicho było i bezwietrznie, a niebo bez chmur zapowiadało, że później zaświeci księżyc. Zastanawiała się, czy wuj wziął pod uwagę tę naturalną latarnię, która oświetli jego poczynania. Dla Mary nie miało to już znaczenia. Nie bała się też dzisiaj torfowisk, nic jej nie obchodziły. Dla niej istotna była tylko droga.

Doszła wreszcie do skrzyżowania Pięciu Dróg, skręciła w lewo i ruszyła w dół zboczem stromego wzgórza, wiodącym do Altarnun. Gdy mijiała teraz migotliwe światelka w oknach domów, gdy poczuła dobrotliwy zapach dymu z kominów, zaczęło ją ogarniać coraz silniejsze podniecenie. Słyszała tu znajome odgłosy, których od tak długiego czasu jej brakowało: szczekanie psa, szelest listowia, brzęk wiadra przy studni. Tu i ówdzie drzwi były otwarte, słychać było głosy. Za żywopłotem gdakały kury, jakaś kobieta wołała dziecko, które odezwało się na wołanie. Bryczka z turkotem przejechała koło Mary, woźnica powiedział jej „Dobry wieczór”. Wieś tchnęła spokojem, sennością, zadowoleniem z życia, pełna znanych i zrozumiałych zapachów. Mary minęła domki i zbliżyła się do probostwa za kościołem. Nie było widać światła. W domu panowała cisza. Drzewa zwierzały nad nim korony i Mary znów, podobnie jak za pierwszym razem, doznała wrażenia, że ten dom żyje przeszłością, że pogrążony jest we śnie, nieświadom czasów obecnych. Zakołatała do drzwi i usłyszała tylko, jak echo uderzeń rozbrzmiewa w pustych pokojach. Zajrzała do okien, ale oczy jej nie napotkały nic prócz łagodnych, obojętnych ciemności.

Klnąc własną głupotę, zawróciła i poszła do kościoła. Francis Davey oczywiście musi być tam. Jest przecież niedziela. Przystanęła na chwilę

w niepewności, gdy wtem otworzyła się furtka i na drogę wyszła kobieta z naręczem kwiatów.

Spojrzała uważnie na Mary, jakby zaskoczona widokiem osoby nieznajomej, i byłaby ją minęła, życząc dobrej nocy, gdyby Mary nie zwróciła się do niej:

– Najmocniej przepraszam, ale widzę, że pani idzie z kościoła. Może zechce mi pani powiedzieć, czy pastor Davey tam jest?

– Nie, pastora nie ma – odparła kobieta, po czym dodała: – Pani chciała się z nim widzieć?

– Tak, w bardzo pilnej sprawie – rzekła Mary. – Byłam u niego w domu, ale nikt mi nie otworzył. Czy mogłaby mi pani pomóc?

Kobieta przyjrzała się jej z zaciekawieniem, po czym pokręciła głową.

– Bardzo żałuję – powiedziała. – Pastor wyjechał. Ma wygłosić kazanie w innej parafii, daleko stąd. Nie wróci już dzisiaj do Altarnun.

14

Mary w pierwszej chwili otworzyła szeroko oczy i patrzyła na kobietę z niedowierzaniem.

– Wyjechał? – powtórzyła. – Ależ to niemożliwe. Pani się chyba myli?

Była z góry tak pewna swego, że nie mogła się pogodzić z tym niespodziewanym a fatalnym ciosem. Kobieta była wyraźnie dotknięta: nie widziała powodu, dla którego nieznajoma dziewczyna miałaby jej nie wierzyć.

– Pastor wyjechał wczoraj po południu – powiedziała. – Zaraz po obiedzie. Już ja chyba wiem najlepiej, bo prowadzę mu gospodarstwo.

Musiała jednak dostrzec wyraz bólu i zawodu na twarzy Mary, bo udobruchała się i zmieniła ton.

– Jeżeli pani chce, żebym powtórzyła mu coś po jego powrocie... – zaczęła, lecz Mary pokręciła tylko głową. Opuściła ją naraz odwaga i wola walki.

– Będzie już za późno – rzekła z rozpaczą. – To sprawa życia i śmierci. Skoro pastor wyjechał, nie wiem, do kogo się zwrócić.

W oczach kobiety znów zabłysła ciekawość.

– Czy ktoś zachorował? – spytała. – Mogę pokazać pani, gdzie mieszka doktor, jeżeli to się pani na coś przyda. Skąd pani przybywa?

Mary nie odpowiedziała. Zastanawiała się rozpaczliwie nad jakimś wyjściem z sytuacji. Powrót z niczym do Jamajki był niemożliwy. Mieszkańcom wioski nie

może zaufać, pewnie zresztą jej nie uwierzą. Musi znaleźć kogoś, kto reprezentuje władzę – kogoś, kto wie coś o Jossie Merlynie i o Jamajce.

– Kto tu w okolicy jest sędzią pokoju? – zapytała wreszcie.

Kobieta zmarszczyła czoło i zaczęła się zastanawiać.

– Tu, w pobliżu Altarnun, sędziego nie ma – rzekła z powątpiewaniem. – Zaraz, zaraz, najbliżej mieszka dziedzic Bassat z North Hill, ale to ze cztery mile stąd, może mniej, może więcej. Nie wiem dokładnie, bo nigdy tam nie byłam. Ale chyba nie pójdzie tam pani po nocy?

– Muszę iść – oświadczyła Mary. – Nie mam innego wyjścia. I nie wolno mi już tracić ani jednej chwili. Daruje pani, że zachowuję się tajemniczo, ale jestem w wielkim kłopotcie i tylko pastor albo sędzia mogą mi pomóc. Niech mi pani jeszcze powie, czy do North Hill trudno jest trafić?

– Nie, dość łatwo. Trzeba przejść dwie mile gościńcem w kierunku Launceston, a potem skręcić przy rogatce w prawo. Ale doprawdy, młoda dziewczyna po zapadnięciu zmroku nie powinna sama wyprawiać się w taką drogę. Ja bym się nigdy nie odważyła. Na torfowiskach spotyka się czasem ludzi, którym nie należy ufać. My w ostatnich czasach w ogóle staramy się nie oddalać od domu, tyle jest wypadków rozboju, a nawet i gorszych jeszcze rzeczy.

– Dziękuję pani za życzliwość, jestem szczerze obowiązana – rzekła Mary – ale przez całe życie mieszkałam i mieszkam na pustkowiu, więc się nie boję.

– Trudno, nie mogę pani zatrzymać siłą – powiedziała kobieta. – Najlepiej jednak byłoby, gdyby została pani tutaj i zaczekała na powrót pastora.

– To niemożliwe – odparła Mary. – Ale kiedy wróci, może zechce mu pani powiedzieć... Chwileczkę! Jeśli ma pani pióro i papier, napiszę do niego kilka słów, tak będzie jeszcze lepiej.

– Proszę wejść do mnie do domu, będzie mogła pani napisać, co zechce. Jeszcze dziś zaniosę list na probostwo i położę pastorowi na biurku. Kiedy wróci, od razu go zobaczy.

Mary poszła z kobietą do jej domu i czekała niecierpliwie, aż ta znalazła w kuchni pióro. Czas uciekał, a dodatkowa wędrowka do North Hill pokrzyżowała wszystkie jej uprzednie kalkulacje.

Kiedy się już zobaczy z panem Bassatem, nie sposób będzie wrócić do Jamajki, licząc na to, że wuj nie zauważy jej nieobecności. A gdy zauważy, uzna ucieczkę siostrzenicy za ostrzeżenie i postara się wyjechać wcześniej, niż zamierzał. W takim wypadku wszystkie wysiłki Mary pójną na marne...

Rozmyślania te przerwała kobieta, która wróciła, niosąc papier i gęsie pióro. Mary zaczęła pisać najprędzej, jak potrafiła, nie pozwalając sobie ani na chwilę namysłu.

Przyszłam błagać Księdza Pastora o pomoc, ale Go nie zastałam. Ksiądz Pastor słyszał już pewnie ze zgrozą, jak wszyscy okoliczni mieszkańcy, o rozbiciu statku w noc wigilijną. Sprawcą jest mój wuj, on i jego kompani z Jamajki, Ksiądz Pastor z pewnością się tego domyślił. Wuj wie, że w niedługim czasie padnie na niego podejrzenie, i dlatego ma zamiar opuścić dziś wieczór obojętą, przebyć Tamar i schronić się w hrabstwie Devon. Ponieważ Ksiądz Pastor jest nieobecny, idę teraz czym prędzej do pana Bassata do North Hill, opowiem mu wszystko i uprzedzę go o zamierzonej ucieczce, żeby mógł natychmiast wysłać do Jamajki ludzi, którzy schwytają wujka, zanim będzie za późno. Oddaję list gospodyni Księdza Pastora, a ona, ufam, położy kartkę w takim miejscu, żeby oczy Księdza Pastora padły na nią od razu po Jego powrocie. Piszę w wielkim pośpiechu.

Mary Yellan

Złożyła list i wręczyła kobiecie, dziękując za przysługę i ponownie zapewniając, że nie boi się iść sama, po czym ruszyła w dalszą drogę. Szła jednak z Altarnun pod górę z ciężkim sercem i dręczącym poczuciem osamotnienia.

Tak bardzo liczyła na pastora, że jeszcze teraz trudno jej było pogodzić się z myślą o doznanym zawodzie. Pastor nie wiedział oczywiście, jak pilnie jest jej potrzebny, a gdyby nawet wiedział, może oddałby mimo wszystko pierwszeństwo

swoim obowiązkom. Świadomość, że oddała się od świateł Altarnun, nic dotychczas nie wskórawszy, napełniała ją goryczą i pozbawiała otuchy. W tej chwili wuj być może dobija się już do drzwi pokoiku na górze i woła, żeby mu odpowiedziała. Zaczeka chwilę, a potem niechybnie wyważy drzwi. Zobaczy, że jej nie ma, a stłuczona szyba zdradzi sposób, w jaki wydostała się z domu. Czy wobec tego przyśpieszy odjazd, trudno przewidzieć. Mary najbardziej w tej chwili drżała o ciotkę i myśl o nieszczęsnej istocie, wyruszającej w drogę niczym przerażony pies ciągnięty na smyczy przez swego pana, sprawiła, iż dziewczyna zaczęła biec pustą białą drogą, zaciskając pięści i wojowniczo wysuwając naprzód podbródek.

Dotarła wreszcie do rogatki i skręciła w prawo na wąską, krętą drogę polną, jak zaleciła kobieta w Altarnun. Wysoki żywopłot po obu stronach ukrywał przed wzrokiem Mary widok groźnych, czarnych torfowisk. Droga wiła się tak samo jak podobne drogi w Helfordzie i ta raptowna zmiana scenerii po nieżycziwym, jednostajnym gościńcu przywróciła dziewczynie odwagę. Mary usiłowała jeszcze dodać sobie otuchy wyobrażeniem rodziny Bassatów jako ludzi uprzejmych i pełnych dobroci (tacy bowiem byli dobrze jej znani Vyvyanowie, rodzina ziemiańska z Trelowarren), którzy ze współczuciem i zrozumieniem wysłuchają wszystkiego, co ma im do powiedzenia. Wprawdzie poznała w swoim czasie dziedzica z nie najlepszej strony, ale przyjechał wtedy do Jamajki mocno zagniewany, i myślała teraz z żalem o obłudnej roli, jaką wobec niego odegrała. Co się tyczy pani Bassat, dziedziczka wie już z pewnością, że koniokrad wystrychnął ją w Launceston na dudka, całe szczęście więc, że Mary nie stała obok Jema, kiedy ten sprzedawał kuca jego prawowitej właścicielce. Snuła dalej fantastyczne rojenia na temat Bassatów, lecz wciąż przypominały się jej natarczywie drobne a niepomysłne wydarzenia, toteż w głębi serca czuła mrozący lęk przed rychłym spotkaniem.

Krajobraz znów się zmienił, wzgórza oddaliły się, ciemne, porośnięte lasem, gdzieś w pobliżu szemrał i rozpryskiwał się na kamieniach niewidoczny strumień. Torfowiska znikły. Spoza dalekich drzew wyjrzał księżyc, Mary szła więc pewniej oświetloną przezeń ścieżką, prowadzącą w dół, w dolinę, gdzie korony drzew

zwarły się przyjaźnie nad głową dziewczyny. Ujrzała wreszcie bramę i domek odźwiernego, droga zaś, którą przyszła, biegła dalej do jakiejś wsi.

Ta wieś to pewnie North Hill, a tu musi być dwór dziedzica Bassata. Kiedy szła aleją ku domowi, gdzieś w oddali zegar kościelny wybił siódmą. A więc już trzy godziny upłynęły od chwili, kiedy opuściła Jamajkę. Ogarnął ją znów lęk, gdy stanęła przed domem, wielkim i niegościnnym w ciemnościach, księżyc bowiem nie wzniósł się jeszcze dość wysoko, aby dobrotliwą poświatą złagodzić jego zarysy. Uderzyła w dzwon przy drzwiach i na ten dźwięk rozległo się natychmiast gniewne szczekanie psów. Po chwili wewnątrz domu dały się słyszeć kroki i w drzwiach stanął służący. Krzyknął ostro na psy, które wysuwały nosy przez uchylone drzwi i obwąchiwały nogi Mary. W starej sukni i podniszczonym szalu poczuła się naraz jak mała nędzarka przed tym mężczyzną, który czekał, aż ona się odezwie.

– Muszę zobaczyć się z panem Bassatem w bardzo pilnej sprawie – rzekła. – Pan Bassat nie zna mojego nazwiska, ale jeżeli zechce poświęcić mi kilka chwil, wszystko wyjaśnię. Chodzi o rzecz niesłychanie ważną, w przeciwnym razie nie ośmieliłabym się niepokoić pana dziedzica o tej porze, na dodatek w niedzielę.

– Pan Bassat wyjechał dziś rano do Launceston – odpowiedział służący. – Wezwano go nagle i dotychczas nie wrócił.

Tym razem Mary nie zdołała się już opanować, z ust jej wyrwał się okrzyk rozpaczny.

– Przychodzę z daleka – powiedziała z takim przejęciem, jak gdyby jej udręka i ból mogły sprowadzić natychmiast dziedzica. – Jeżeli nie zobaczę się z panem Bassatem w ciągu godziny, stanie się coś strasznego i wielki zbrodniarz ujdzie sprawiedliwości. Patrzy pan na mnie ze zdziwieniem, ale mówię prawdę. Gdyby chociaż był ktoś, do kogo mogłabym się zwrócić...

– Pani dziedziczka jest w domu – rzekł służący, mocno już zaniepokojony. – Może przyjmie panią, jeżeli sprawa jest tak pilna. Proszę przejść za mną do biblioteki. Proszę się nie bać psów, nie zrobią pani nic złego.

Mary weszła do holu jak we śnie, wiedząc tylko, że znów spotkał ją zawód i znikąd nie może się już spodziewać ratunku.

Obszerna biblioteka z ogniem płonącym w kominku wydała jej się wręcz nierzeczywista; jaskrawe światło raziło oczy, nawykłe do ciemności. Kobieta, w której poznała od razu elegancką damę z jarmarku w Launceston, siedziała na fotelu przy kominku i czytała na głos dwojgu dzieciom. Podniosła ze zdumieniem oczy, kiedy Mary wprowadzono do pokoju.

Służący podnieconym tonem rozpoczął wyjaśnienia:

– Ta młoda osoba ma bardzo ważne wiadomości dla pana dziedzica. Pomyślałem, że najlepiej będzie przyprowadzić ją do pani.

Pani Bassat od razu wstała, upuszczając książkę.

– Może chodzi o któregoś z koni? – spytała. – Richards mówił mi, że Salomon kaszle, a Brylant nie chce jeść. Chłopiec stajenny jest taki niedbały, że wszystko się może zdarzyć.

Mary pokręciła głową.

– W gospodarstwie pani wszystko jest w porządku – powiedziała z powagą. – Przynoszę wiadomości innego rodzaju. Gdybym mogła pomówić z panią sam na sam...

Pani Bassat uspokoiła się wyraźnie, słysząc, że koniom nic nie grozi. Szepnęła coś szybko dzieciom, które wybiegły z pokoju; za nimi podążył służący.

– Co mogę dla pani zrobić? – spytała życzliwie. – Jest pani blada i zmęczona. Może zechce pani usiąść?

Mary niecierpliwie potrząsnęła głową.

– Dziękuję bardzo, ale muszę się dowiedzieć, kiedy pan Bassat wróci do domu.

– Nie mam pojęcia – odparła pani Bassat. – Dziś rano musiał nagle wyjechać i prawdę mówiąc, jestem o niego bardzo niespokojna. Jeżeli ten potworny oberżysta stawi opór, a to rzecz prawie pewna, pan Bassat mimo obecności wojska może dostać kulę.

– Co to znaczy? – spytała błyskawicznie Mary.

– No bo dziedzic wyruszył na bardzo niebezpieczną wyprawę. Pani twarz nie jest mi znana, sądzę więc, że nie pochodzi pani z North Hill, gdyż słyszałyby pani zapewne o tym Merlynie, co ma oberżę przy gościńcu do Bodmin. Dziedzic od dłuższego już czasu podejrzewa go o straszliwe zbrodnie, ale dopiero dziś rano otrzymał niezbite dowody. Pojechał niezwłocznie do Launceston po posiłki i z tego, co mi powiedział przed wyjazdem, wnoszę, że zamierza dziś wieczór otoczyć oberżę i schwytać jej mieszkańców. Pojedzie, naturalnie, dobrze uzbrojony i z licznym oddziałem żołnierzy, ale nie zaznam spokoju, dopóki nie wróci.

Coś w twarzy Mary musiało ją ostrzec, bo zbladła naraz, cofnęła się do kominka i sięgnęła po gruby sznur dzwonka wiszący na ścianie.

– Pani jest tą dziewczyną, o której mówił – powiedziała szybko. – Tą dziewczyną z oberży, siostrzenicą właściciela. Proszę stać w miejscu, proszę się nie ruszać, bo wezwę służbę. Pani jest tą dziewczyną, wiem, on mi panią opisywał. Czego pani ode mnie chce?

Mary wyciągnęła błagalnie rękę; była równie blada jak kobieta przy kominku.

– Nie zrobię pani nic złego – zapewniła. – Proszę nie dzwonić. Zaraz wszystko wyjaśnię. Tak, jestem dziewczyną z oberży Jamajka.

Pani Bassat nadal jej nie ufała. Obserwowała bacznie Mary i wciąż trzymała rękę na sznurze.

– Nie mam tu pieniędzy – powiedziała. – Nic nie mogę dla pani zrobić. Jeżeli przysłała pani do North Hill, żeby się wstawić za wujem, już jest na to za późno.

– Pani nie chce mnie zrozumieć – rzekła Mary cicho. – A oberżysta z Jamajki nie jest moim rodzonym wujem, tylko mężem mojej ciotki. Dlaczego tam mieszkam, w tej chwili nie ma to znaczenia i za długo by o tym opowiadać. Boję się go i nienawidzę bardziej niż pani czy ktokolwiek inny w okolicy i mam do tego niemało powodów. Przysłałam tu zawiadomić pana Bassata, że Joss Merlyn zamierza opuścić dziś oberżę i w ten sposób ująć sprawiedliwości. Mam niezbite dowody jego winy, a sądziłam, że pan Bassat takich dowodów nie posiada. Mówi

pani, że pan dziedzic już wyjechał i może w tej chwili jest już przy oberży. Wobec tego wszystkie moje wysiłki były zbędne.

Usiadła, złożyła ręce na kolanach i patrzyła tępo w ogień. Wyczerpała już wszystkie środki i na razie niezdolna była myśleć o tym, co będzie dalej. W znużonej głowie nie pozostało nic prócz świadomości, że wszystkie dzisiejsze trudy były zbędne i daremne. Mogła wcale nie opuszczać pokoiku w Jamajce. Pan Bassat i tak by tam przybył. Przez swą upartą chęć działania popełniła właśnie ów błąd, którego chciała uniknąć. Nieobecność jej przeciągnęła się za długo, wuj do tego czasu z pewnością domyślił się już wszystkiego i prawdopodobnie przyspieszył ucieczkę. Dziedzic Bassat i jego ludzie przyjadą do pustej oberży.

Podniosła znów oczy na panią domu.

– Zrobiłam wielkie głupstwo, przychodząc tutaj – powiedziała z głębokim smutkiem. – Myślałam, że postępuję mądrze, ale ośmieszyłam się tylko i zaszkodziłam całej sprawie. Kiedy wuj zobaczy, że mnie nie ma w pokoju, domyśli się od razu, że go zdradziłam. Wyjedzie z Jamajki, zanim przybędzie pan Bassat.

Dziedziczka wypuściła z ręki sznur dzwonka i podeszła do Mary.

– Mówi pani szczerze i ma pani uczciwą twarz – powiedziała serdecznie. – Przepraszam, jeśli niewłaściwie panią w pierwszej chwili potraktowałam, ale sama nazwa Jamajka budzi grozę i myślę, że każdy by się na moim miejscu przeraził, gdyby nagle stanęła przed nim siostrzenica oberżysty. Znalazła się pani w okropnej sytuacji i jest pani niezwykle dzielna, że przeszła sama jedna tyle mil, aby ostrzec mojego męża. Ja bym oszalała ze strachu. Teraz chodzi tylko o to, jak mogę pani pomóc. Chciałabym bardzo, ale musi mi pani powiedzieć, co mam zrobić.

– Nic teraz nie możemy zrobić – odparła Mary, kręcąc głową. – Muszę chyba poczekać tutaj na powrót pana Bassata. Nie będzie zachwycony, kiedy się dowie, jak wszystko pogmatwałam. Bóg widzi, że zasłużyłam sobie na wyrzuty...

– Ja będę mówiła za panią – oświadczyła pani Bassat. – Nie mogła pani wiedzieć, że mój mąż został już o wszystkim poinformowany, więc szybko go

ugłaskam, jeśli zajdzie potrzeba. Niech się pani cieszy, że tymczasem ma tu bezpieczne schronienie.

– W jaki sposób pan dziedzic tak nagle dowiedział się prawdy? – spytała Mary.

– Nie mam pojęcia. Wezwano go pilnie dziś rano, jak już pani mówiłam, i zdążył tylko powiedzieć mi kilka słów, gdy już osiodłano konia i musiał jechać. Niechże pani teraz postara się odpocząć i zapomnieć na razie o całej tej okropnej sprawie. Pewnie umiera pani z głodu.

Pani Bassat podeszła do kominka, aby tym razem pociągnąć kilkakrotnie za sznur dzwonka. Mimo całej swej rozpacz i przygnębienia Mary musiała odnotować w myśli ironiczną stronę sytuacji. Pani domu, tak teraz życzliwa i gościnna, przed chwilą jeszcze groziła jej interwencją tej samej służby, która miała obecnie przynieść poczęstunek. Mary przypomniała sobie również scenę na jarmarku, kiedy ta sama dama, odziana w aksamitną pelerynę i kapelusz z piórami, zapłaciła wysoką cenę za własnego kuca. Dobrze byłoby wiedzieć, czy oszustwo wyszło w końcu na jaw, bo gdyby pani Bassat dowiedziała się o współudziale Mary, nie kwapiłaby się pewnie z okazaniem gościnności.

Tymczasem wszedł służący z nosem wysuniętym do przodu, jak gdyby chciał zwęszyć, co się właściwie dzieje. Pani Bassat kazała mu przynieść na tacy kolację dla Mary, a psy, które wbiegły za nim do pokoju, starały się zawrzeć teraz przyjaźń z dziewczyną. Merdały ogonami, wpychały jej do rąk miękkie nosy i najwyraźniej traktowały ją jak osobę już tu zadomowioną. Ale to, że znajduje się we dworze pana Bassata, wciąż wydawało się Mary czymś nierealnym, toteż mimo wysiłków nie mogła się wyzbyć wewnętrznego napięcia. Czuła, iż nie ma prawa siedzieć tu przy płonącym kominku, gdy tam, w ciemnościach otaczających Jamajkę, toczy się walka na śmierć i życie. Jadła machinalnie, zmuszając się do przełykania pożywienia niezbędnego do podtrzymania sił i z trudem słuchając paplaniny pani Bassat, która w dobroci serca żywiła mylne przeświadczenie, że nieprzerwana rozmowa o niczym jest najlepszym środkiem uspokajającym. Nie zdawała sobie sprawy, że trajkotanie to potęguje tylko niepokój Mary, toteż gdy dziewczyna po zjedzeniu kolacji złożyła znów ręce na podolku i wpatrywała się w ogień,

gospodyni, wyczerpawszy już wszelkie tematy, wzięła album swoich akwareli i zaczęła przewracać karty, aby gościa zabawić.

Kiedy zegar nad kominkiem wybił ósmą, Mary nie mogła dłużej tego znieść. Bezczyność była gorsza od niebezpieczeństw i pościgu.

– Niech mi pani daruje – powiedziała, wstając. – Jest pani dla mnie taka dobra, nie potrafię wprost wyrazić swojej wdzięczności, ale niepokoję się, okropnie się niepokoję. Wciąż myślę o mojej biednej ciotce, która w tej chwili cierpi może męki nie do opisanego. Muszę się dowiedzieć, co się dzieje w oberży, choćbym miała pójść tam sama jedna.

Pani Bassat, strapiona, upuściła album.

– Rozumiem, że się pani niepokoi. Widzę to przez cały czas i staram się jakoś oderwać pani myśli od tej sprawy. Jakie to okropne. Ja też jestem bardzo niespokojna o męża. Ale nie może pani teraz iść samotnie. Nim pani tam dojdzie, będzie już po północy, a Bóg jeden wie, co może panią spotkać na drodze. Każę podać bryczkę i Richards z panią pojedzie. Jest bardzo solidny, można na nim polegać, a na wszelki wypadek weźmie ze sobą broń. Jeżeli natrafi pani na potyczkę, zorientuje się pani z daleka i nie zbliży się, dopóki się wszystko nie skończy. Pojechałabym z panią, ale zdrowie mi chwilowo nie dopisuje i...

– Ależ nigdzie nie może pani jechać! – wtrąciła szybko Mary. – Zaprawiona jestem do niebezpieczeństw i do nocnych wędrówek, a pani nie. Za dużo to będzie kłopotu budzić o tej porze stajennego i zaprzęgać konie. Doprawdy nie jestem zmęczona, mogę iść pieszo.

Ale pani Bassat pociągnęła już za sznur dzwonka.

– Proszę powiedzieć Richardsowi, żeby niezwłocznie zajechał tu bryczką – zwróciła się do zdumionego lokaja. – Wydaj mu dalsze rozkazy, kiedy zajedzie. Proszę powiedzieć, że ma się pośpieszyć.

Następnie ubrała Mary w obszerną pelerynę z kapturem, dała jej gruby koc i szal do owinięcia nóg, zapewniając przez cały czas, że tylko zły stan zdrowia nie pozwala jej pojechać z nią, z czego Mary była szczerze zadowolona, ponieważ

panią Bassat z pewnością trudno by uznać za idealną towarzyszkę do tak ryzykownej eskapady.

Po kwadransie bryczka zajęła przed ganek. Na koźle siedział Richards. Mary poznała w nim od razu służącego, który w swoim czasie był z panem Bassatem w Jamajce. Widać było, że niechętnie w wieczór niedzielny opuszcza dom, ale niechęć ta prysła, gdy się dowiedział, co za misję mu się powierza. Z dwoma pistoletami za pasem i z rozkazem strzelania do każdego, kto spróbuje zaatakować bryczkę, przybrał od razu wojowniczą minę w poczuciu nieograniczonej władzy, jakiej nigdy dotychczas nie zaznał. Mary usiadła przy nim, żegnana chóralnym szczekaniem psów, i dopiero za zakrętem, kiedy dwór znikł już z oczu, uświadomiła sobie, na jak lekkomyślną i niebezpieczną waży się wyprawę.

Wszystko mogło się zdarzyć w ciągu pięciu godzin jej nieobecności w oberży, a nawet bryczką nie sposób dotrzeć tam wcześniej niż o wpół do dziesiątej. O układaniu planów nie ma mowy, wszelkie działanie będzie zależało wyłącznie od nakazu chwili. Ale księżyc jest już wysoko na niebie, lekki wietrzyk owiewa jej twarz, dodając odwagi, a jazda ta, choć niebezpieczna, lepsza jest przecież od bezradnego słuchania paplaniny pani Bassat. Ten Richards jest uzbrojony, ona sama też w razie konieczności potrafi użyć broni.

Richardsa oczywiście paliła ciekawość, lecz Mary zbywała krótko jego pytania i nie zachęcała do rozmowy.

Jechali tedy przeważnie w milczeniu. Słyszeć było tylko klaskanie kopyt konia o drogę i od czasu do czasu pohukiwanie sowy wśród nieruchomych drzew. Szelest listowia żywopłotu i szmery wiejskie pozostały w tyle, gdy bryczka wjechała na gościniec wiodący do Bodmin i znów po obu stronach rozpostarły się ciemne torfowiska, oblegając trakt niczym pustynia. Wstęga gościńca w poświacie księżyca odbijała bielą. Wiła się i ginęła w fałdach dalszych wzgórz, naga i bezludna. W wieczór wigilijny, kiedy Mary tędy jechała, wiatr smagał zaciekle koła powozu, deszcz walił w okna, teraz powietrze nadal było zimne i dziwnie nieruchome, torfowiska zaś leżały ciche i srebrzyste w promieniach księżyca. Czarne skały wznosiły senne oblicza ku niebu, a zalewająca je poświata łagodziła

i wygładzała ostre, granitowe rysy. Panował tu dziś nastrój pogodnego spokoju, nic nie zakłócało snu pradawnych bogów.

Koń ciągnący bryczkę energicznie pokonywał drogę, którą Mary przedtem musiała przebyć pieszo. Poznawała teraz każdy zakręt gościńca, każde miejsce, w którym torfowiska wdzierały się na trakt kępami trawy lub pokręconymi miotłami żarnowca.

Tam, w dolinie, za jej plecami, płoną światła Altarnun, a za chwilę skrzyżowanie Pięciu Dróg zarysuje się niby palce jednej ręki.

Oto już znaleźli się na odcinku wiodącym do Jamajki. Nawet w pogodny wieczór zawsze hulał tu wiatr, ta bowiem część gościńca otwarta była na wszystkie strony świata; dziś wicher dął z zachodu, przenikliwy i zimny, niosąc zapachy bagienne znad trzęsawisk i strumieni. Żywej duszy wciąż nie było na drodze, która to wznosiła się, to znów opadała, i chociaż Mary wytężyła oczy i uszy, nie zdołała nic dojrzeć ani usłyszeć. W taki wieczór najłżejszy nawet dźwięk rozchodzi się daleko, toteż zbliżanie się oddziału pana Bassata w sile kilkunastu ludzi słyhać byłoby z odległości co najmniej dwóch mil.

– Są już tam, na miejscu, szkoda gadać – zwrócił się Richards do Mary – i oberżysta ze związanymi rękami klnie pewnie dziedzica w żywy kamień. Dobra to będzie rzecz dla całej okolicy, kiedy tego łotra unieszkodliwią, a dawno by się już to stało, gdyby dziedzic mógł postawić na swoim. Szkoda, że nie wyruszyliśmy wcześniej, musiała być spora zabawa z ujęciem tego olbrzyma.

– Niewielka zabawa, jeżeli pan Bassat przekonał się, że ptaszek odfrunął – odparła spokojnie Mary. – Joss Merlyn zna torfowiska jak swoje pięć palców, a nie będzie się ociągał, mając choćby godzinę przewagi.

– Mój pan urodził się tutaj i wychował tak samo jak oberżysta – powiedział Richards. – Jakby doszło do pościgu na przełaj, zawsze bym postawił na dziedzica. Poluje tu od tyciego chłopca, blisko pięćdziesiąt lat. Gdzie się przemknie lis, tam przejdzie też dziedzic. Ale tego zbója złapali na miejscu, nie zdążył uciec, mogę się założyć.

Mary pozwoliła stajennemu mówić; te urywane zdania nie drażniły jej tak jak przedtem dobrotliwa gadanina pani Bassat, a barczysta postać i szczerą, ogorzałą twarz budziły zaufanie i dodawały otuchy w tę upiorną noc.

Zbliżali się do spadku terenu i do wąskiego mostka przecinającego rzekę Fowey. Mary słyszała już szmer i bulgotanie wody płynącej wartko po kamieniach. Przed jadącymi wyrosło strome wzgórze, białe w świetle księżyca, a gdy na szczycie zarysowały się ciemne kominy Jamajki, Richards umilkł, obmacał pistolety za pasem i chrząknął, kręcąc nerwowo głową. Mary serce zabiło szybko, uczepliła się kurczowo boku bryczki. Koń spuścił nisko głowę i zaczął się wspinać pod górę, dziewczynie zaś zdawało się, że odgłos kopyt uderzających o twardą nawierzchnię rozlega się zbyt donośnie – gdyby mogła, chętnie by go uciszyła.

Kiedy byli już prawie na szczycie, Richards odwrócił się i szepnął Mary do ucha:

– Może najlepiej będzie, jeżeli pani zaczeka tu przy drodze, na bryczce, a ja pójdę pierwszy i zobaczę, czy oni tam są?

Mary pokręciła głową.

– Lepiej, żebym ja poszła – powiedziała. – A pan może iść parę kroków za mną albo zaczekać tutaj, aż zawołam. Tak jest cicho, że dziedzic i jego ludzie chyba jeszcze nie przyjechali, a oberżysta pewnie umknął. Gdyby jednak tam był – mam na myśli wuja – ja mogę zaryzykować i odważyć się na spotkanie z nim, ale dla pana ryzyko jest za duże. Niech mi pan da pistolet. Mając broń, mogę się go zbytnio nie obawiać.

– Oj, nie powinna pani iść sama – rzekł z powątpiewaniem Richards. – Może pani trafić wprost na niego, a wtedy nic już od pani nie usłyszę. Słusznie pani mówi, ta cisza jest dziwna. Spodziewałem się krzyków, szamotaniny i głosu dziedzica wybijającego się ponad cały zgiełk. Jakieś to wszystko jest niesamowite. Musiano dziedzica zatrzymać w Launceston. Coś mi się widzi, że najmądrzej będzie zawrócić na trakt i czekać, aż oni nadjadą.

– Dość długo już dziś czekałam i o mało nie oszalałam z tego czekania – odparła Mary. – Wolę spotkać się oko w oko z wujem, niż tkwić tu w rowie, nic nie widząc ani nie słysząc. Chodzi mi o ciotkę. Jest w całej tej sprawie niewinna jak dziecko i muszę się zatroszczyć o jej bezpieczeństwo. Niech mi pan da pistolet i niech mnie pan puści. Potrafię skradać się jak kot i z pewnością nie wsadzę głowy w pętlę, za to ręczę.

Zrzuciła ciężką pelerynę z kapturem i chwyciła pistolet, który stajenny z ociąganiem jej podał.

– Niech pan za mną nie idzie, dopóki nie zawołam albo nie dam jakiegoś znaku – nakazała. – Gdyby usłyszał pan strzał, wówczas może pan ostatecznie ruszyć. Ale mimo wszystko proszę iść bardzo ostrożnie. Nie ma potrzeby, żebyśmy oboje jak głupi wpadli w pułapkę. Ja zresztą jestem prawie pewna, że wuj już odjechał.

Teraz wolałaby, żeby tak było, żeby wuj schronił się w Devonie i w ten sposób położył kres całej historii. Okolica pozbyłaby się go najmniejszym kosztem. Mógłby nawet, jak sam mówił, rozpocząć życie od nowa albo, co bardziej prawdopodobne, ukryć się w jakiejś dziurze pięćset mil od Kornwalii i zapisać na śmierć. Mary nie zależało już na jego ujęciu, pragnęła tylko, żeby sprawa skończyła się raz na zawsze, pragnęła przede wszystkim znów mieć własne życie, zapomnieć o wuju i znaleźć się możliwie jak najdalej od oberży Jamajka. Zemsta wydawała się w tej chwili rzeczą pozbawioną sensu i treści. Widok Jossa Merlyna w otoczeniu dziedzica i jego ludzi, związanego, bezradnego, nie sprawiłby już Mary satysfakcji. Przemawiała do Richardsa tonem pewnym i stanowczym, w istocie jednak mimo posiadanej broni bała się śmiertelnie spotkania z wujem. Myśl, że może nagle zobaczyć go w korytarzu oberży, z ręką podniesioną do uderzenia, wpatrującego się w nią ciężkim spojrzeniem oczu nabiegłych krwią, kazała jej przystanąć przed wejściem na dziedziniec i obejrzeć się na zacieniony rów, w którym pozostał Richards. Potem ujęła mocniej pistolet i z palcem na cynglu wyjrzała zza muru.

Na dziedzińcu nie było nikogo. Drzwi stajni były zamknięte. W oberży ciemno było i cicho jak przed siedmioma godzinami, kiedy stąd wychodziła. Spojrzała w górę na swoje okno – ziało pustką, nietknięte od chwili, gdy wymknęła się tamtędy po południu.

Nigdzie nie widać było śladów kół ani przygotowań do drogi. Mary podkraśla się do stajni i przyłożyła ucho do drzwi. Po chwili czekania usłyszała, jak kuc poruszył się niespokojnie w swojej przegrodzie, potem brzęknął kopytem o kamienną podłogę.

A więc nie wyjechali, wuj nadal jest w Jamajce.

Serce jej zamarło. Przeszło jej przez myśl, że lepiej by może było wrócić do bryczki, do Richardsa, i poczekać zgodnie z jego radą na przybycie dziedzica wraz z oddziałem. Jeszcze raz ogarnęła spojrzeniem milczący, zamknięty dom. Gdyby wuj zamierzał odjechać, z pewnością do tej pory już by wyruszył w drogę. Samo ładowanie wozu trwa co najmniej godzinę, a pewnie już dochodzi jedenasta. Może zmienił plany i postanowił iść pieszo, ale w takim razie ciotka Patience nie mogłaby mu towarzyszyć. Mary zawahała się. Sytuacja stawała się coraz dziwniejsza i coraz bardziej nierzeczywista.

Stała przy ganku i nasłuchiwała. Spróbowała nawet nacisnąć klamkę drzwi. Były oczywiście zamknięte. Przesunęła się za róg domu, minęła wejście do baru i dotarła do ogródka warzywnego przy kuchni. Skradała się cichutko, ukrywając się w cieniu, aż doszła do miejsca, w którym przez szparę w okiennicy kuchennej powinno by się dostrzec płomyk świecy. Światła nie było. Mary zbliżyła się do okiennicy i przyłożyła oko do szpary. W kuchni ciemno było jak w grobie. Położyła rękę na klamce drzwi i nacisnęła ją powoli. Drzwi się otworzyły. Zdumiona i zaskoczona tą łatwością, zatrzymała się na progu, bojąc się wejść.

Może wuj siedzi tam, trzymając strzelbę w pogotowiu, i czeka na nią?

Bardzo wolno przysunęła twarz do uchylonych drzwi. Nie dobiegł jej żaden dźwięk. Kątem oka widziała popioły w kominku, ale żar całkowicie niemal wygasł. Zrozumiała wówczas, że nikogo tu nie ma. Jakiś instynkt podpowiedział jej, że

kuchnia jest pusta od kilku godzin. Pchnęła drzwi i weszła do środka. Poczowała zimno i wilgoć. Zaczekała, aż oczy jej przywykną do ciemności – mogła teraz rozróżnić zarysy stołu i stojącego przy nim krzesła. Na stole stała świeca. Mary przytknęła ją do ledwie czerwieniejących węgielków i po chwili knot rozżarzył się i zamigotał. Kiedy płomyk przybrał na sile, podniosła świecę wysoko nad głowę i rozejrzała się wokoło. W kuchni nadal znać było usilne przygotowania do odjazdu. Zawiniątko ciotki na krześle, na podłodze stos koców czekających na zrolowanie. W kącie, na zwykłym miejscu, stała strzelba wuja. Postanowili więc poczekać do jutra, a teraz położyli się i śpią w sypialni na górze.

Drzwi na korytarz stały otworem, cisza była jeszcze groźniejsza niż przedtem, niesamowita, przerażająca.

Coś jednak się tu zmieniło, brakowało jakiegoś dźwięku i cisza była skutkiem tego braku. Naraz Mary zorientowała się, że nie słyszy zegara. Tykanie ustało.

Wyszła na korytarz i przez chwilę znów nasłuchiwała. Tak jest, w domu panuje cisza, bo zatrzymał się zegar. Ruszyła wolno naprzód, trzymając w jednej ręce świecę, w drugiej zaś wymierzony przed siebie pistolet.

Skręciła za róg, tam gdzie długi ciemny korytarz łączył się z sienią, i ujrzała, że zegar, który stał zawsze przy ścianie obok drzwi do salonu, przewrócił się i upadł cyferblatem w dół. Szyba rozprysła się na tysiące odłamków, część drewna poszła w drzazgi. Ściana, przy której stał, świeciła teraz dziwną nagością, ciemnożółta barwa w tym miejscu stanowiła rażący kontrast ze spłowiałą szarzystą resztą tapety. Zegar upadł w poprzek wąskiej sieni, toteż Mary wtedy dopiero, kiedy doszła do stóp schodów, zobaczyła, co znajduje się za nim.

Wśród odłamków, twarzą do ziemi, leżał właściciel oberży Jamajka.

Przewrócony zegar ukrywał go zrazu, Joss Merlyn leżał bowiem w cieniu. Jedną rękę odrzuconą miał do przodu, druga trzymała się kurczowo połamanych drzwiczek zegara. Ponieważ nogi wyciągnięte były na całą długość, przy czym stopa jednej wbiła się w boazerię, wydawał się jeszcze większy niż za życia, a olbrzymia jego postać zagradzała przejście od ściany do ściany.

Na kamiennych płytach podłogi pełno było krwi, krew też, ciemną teraz i prawie skrzepłą, widać było między ramionami, tam gdzie dosięgnął go nóż.

Otrzymał cios w plecy, rozłożył zapewne ręce, stracił równowagę i chwycił się zegara, a kiedy padł na twarz, pociągnął zegar za sobą i zginął z dłonią zaciśniętą na jego drzwiczkach.

15

Minęła długa chwila, nim Mary odeszła od schodów. Utraciła naraz siły, stała się równie bezwładna jak postać leżąca na podłodze. Oczy wpatrywały się w rzeczy drobne i nieistotne: odłamki szkła również zaplamione krwią, jaskrawożółty pas tapety tam, gdzie przedtem stał zegar.

Na ręce wuja siedział pająk; dziwne się Mary wydawało, że ręka pozostaje nieruchoma, że nie stara się spędzić pająka. Wuj zaraz by go strząsnął. Pająk przesunął się dalej, przebiegł po ramieniu, wspiął się na bark, stamtąd na plecy. Kiedy znalazł się przy ranie, zatrzymał się, zatoczył koło i znów wrócił zaciekawiony do rany, a szybkie jego ruchy świadczyły o całkowitym braku strachu. Było w tym coś wstrętne, coś z profanacji śmierci. Pająk wiedział, że oberżysta nic mu już nie może zrobić. Mary też o tym wiedziała, w przeciwieństwie jednak do pająka nie wyzbyła się lęku.

Najbardziej przerażała ją cisza. Teraz, kiedy zegar przestał tykać, całym swym jestestwem tęskniła za tym dźwiękiem; powolne, astmatyczne rżenie było przecież tak dobrze znane, stanowiło symbol normalności.

Pełgający płomyk świecy oświetlał ściany, ale nie sięgał szczytu schodów, ziejącego przepastnym mrokiem.

Mary wiedziała, że za nic w świecie nie zdoła wejść po schodach na górę. Cokolwiek się tam znajduje, musi pozostać w spokoju. Śmierć zstąpiła dziś na ten dom i jej posepny duch wciąż unosił się w powietrzu. Dziewczynie przeszło przez

myśl, że na to właśnie Jamajka zawsze czekała, tego się bała. Wilgotne mury, skrzypiące stopnie, szmery i szepty, bezimienne kroki, wszystko to były ostrzeżenia domu, który od dawna przeczuwał, co mu grozi.

Mary wzdrygnęła się. Zrozumiała, że charakter tej ciszy ma swe źródło w sprawach dalekich, pogrzebanych i zapomnianych.

Nade wszystko lękała się paniki, krzyku, który cisnął się jej na usta, gwałtownych ruchów rąk i nóg bijących powietrze, żeby się wydostać na zewnątrz. Lękała się, że panika może ją ogarnąć, niwecząc rozsądek; zwłaszcza teraz, gdy oprzytomniała nieco po straszliwym odkryciu, strach może nią owładnąć, przytłoczyć ją, ścisnąć za gardło. Palce utracą czucie, świeca wypadnie z rąk. Zostanie wówczas sama, spętana mrokiem. Chwyciło ją gwałtowne pragnienie ucieczki, lecz je pokonała. Wycofała się z sieni na korytarz, nadal mocno trzymając migoczącą świecę, gdy jednak doszła do kuchni i ujrzała otwarte drzwi do ogrodu, opuścił ją spokój. Z głośnym szlochem wybiegła na zewnątrz, na otwartą, zimną przestrzeń, skręcając za róg domu jak ślepa, otarła wyciągnięte ręce o chropowaty mur. Pędziła przez dziedziniec, jakby ją ktoś ścigał, aż wypadła na trakt i tam wreszcie ujrzała znajomą, barczystą sylwetkę stajennego. Richards wyciągnął ramiona, żeby ją podtrzymać, ona zaś uczepiła się jego pasa, szukając opieki, obrony, a zęby szczękały jej głośno pod wpływem gwałtownej reakcji, która teraz dopiero nastąpiła.

– Nie żyje – wyjąkała. – Leży tam martwy na podłodze. Widziałam go.

Mimo wysiłków nie mogła opanować dzwonienia zębami i drżenia ciała. Richards zaprowadził ją do bryczki, okrył peleryną, ona zaś otuliła się szczelnie, rada, że wreszcie się rozgrzeje.

– Nie żyje – powtórzyła. – Dostał nożem w plecy, widziałam rozcięte ubranie i moc krwi. Leży twarzą do ziemi. Zegar upadł z nim razem. Krew już skrzepła, a on wygląda tak, jakby leżał tam od kilku godzin. W oberży jest ciemno i cicho. Nikogo więcej nie ma.

– Ciotki też nie ma? – szepnął stajenny.

Mary pokręciła głową.

– Nie wiem. Nie patrzyłam. Musiałam stamtąd wyjść.

On dostrzegł, że dziewczyna goni resztkami sił i za chwilę upadnie, pomógł więc jej wsiąść do bryczki i sam przy niej usiadł.

– Dobrze już – mówił – dobrze. Proszę posiedzieć spokojnie. Nikt pani nie skrzywdzi. No już, już. Dobrze już, dobrze.

Ochryply jego głos podziałął na Mary kojąco. Skuliła się przy stajennym na siedzeniu, otulona aż po usta ciepłą peleryną.

– Taki widok to nie dla młodego dziewczęcia – powiedział Richards. – Trzeba było pozwolić, żebym ja poszedł. Żałuję teraz, że nie została pani tu przy bryczce. Musiało to być dla pani okropne, kiedy zobaczyła pani, że leży tam zamordowany.

Szorstkie współczucie stajennego dobrze Mary zrobiło. Zaczęła powracać do równowagi.

– Kuc jest w stajni – powiedziała. – Słuchałam pod drzwiami i usłyszałam, że się tam rusza. Nawet nie skończyli przygotowań do wyjazdu. Drzwi kuchenne nie są zamknięte na klucz, na podłodze leżą tłumoki i koce gotowe do załadowania na wóz. To się musiało stać kilka godzin temu.

– Zastanawia mnie, co też robi dziedzic – powiedział Richards. – Powinien by dawno już tutaj być. Czułbym się spokojniejszy, gdyby przyjechał i mogłaby mu pani o wszystkim opowiedzieć. Coś bardzo złego dzieje się dzisiaj. A pani w ogóle nie powinna była tu przyjeżdżać.

Umilkli i oboje zwrócili oczy ku drodze, wypatrując dziedzica.

– Któż to zabił oberżystę? – odezwał się po namyśle Richards. – Z jego siłą każdemu powinien by dać radę. Chociaż wielu co prawda mogło przyłożyć do tego rękę. Znienawidzony był jak mało kto.

– Przecież tam był kramarz – powiedziała wolno Mary. – Zapomniałam o kramarzu. To musiał być on, wydostał się z zamkniętego pokoju.

Uczepiła się tej myśli, aby obronić się przed inną, z ożywieniem tedy opowiedziała o tym, jak kramarz poprzedniego wieczoru przyszedł do oberży.

Zdawało się od razu, że znaleźli sprawcę i innego wyjaśnienia zbrodni być nie może.

– Daleko nie ucieknie, dziedzic zaraz go złapie – powiedział stajenny. – Może pani być pewna. Na torfowiskach nikt się nie ukryje, jeżeli nie pochodzi z tych stron, a nie słyszałem nigdy o kramarzu Harrym. Ale ci ludzie Merlyna ściągali tu pono ze wszystkich nor i rynsztoków Kornwalii. Jak to się mówi, najgorsze męty. – Urwał, potem dodał: – Pójdę do oberży, jeżeli pani chce, i zobaczę, czy nie zostawił śladów. Może coś znajdę...

Mary chwyciła go za ramię.

– Nie zostanę już sama – powiedziała szybko. – Może mnie pan uważać za tchórza, ale nie zniosłabym samotności. Gdyby pan był tam, w Jamajce, toby mnie pan zrozumiał. W domu jest dziś taka okropna cisza. Nic jej nie obchodzi nieszczęsny człowiek, który leży tam na dole.

– Przypominam sobie czasy, zanim pani wuj tutaj przybył, kiedy dom stał pustkami i dla zabawy braliśmy tam psy, żeby zapolowały na szczury. Nic nam wtedy złego nie przychodziło do głowy, ot, niezamieszкана budowla i tyle. Ale dziedzic utrzymywał oberżę w dobrym stanie i czekał na odpowiedniego dzierżawcę. Sam pochodzę z St Neot, nigdy tu nie bywałem, zanim przyszedłem do dziedzica na służbę, ale opowiadali ludzie, że za dawnych czasów w Jamajce było wesoło, zbierało się dobre towarzystwo, oberżę prowadzili ludzie przyjemni, gościnni, co zawsze mieli wolne łóżko dla zdrożonego wędrowca. Zatrzymywały się dylizanse, które nigdy już teraz tu nie stają, a za lat chłopięcych pana Bassata zjeżdżali tu raz na tydzień okoliczni ziemianie z chartami i stąd wyruszali na polowanie na lisy. Może te czasy jeszcze wrócą.

Mary pokręciła głową z powątpiewaniem.

– Widziałam tu same złe rzeczy – powiedziała. – Widziałam tylko cierpienie, okrucieństwo i ból. Kiedy wuj przybył do Jamajki, rzucił widocznie swój cień na wszystko, co dobre, i dobre rzeczy umarły.

Oboje mówili teraz szeptem, bezwiednie oglądając się na wysokie, szare kominy, rysujące się wyraźnie w świetle księżyca. Myśleli oboje o tym samym, ale żadne nie miało odwagi wypowiedzieć myśli na głos – stajenny przez delikatność, Mary po prostu ze strachu.

Wreszcie odezwała się głosem schrypniętym i cichym:

– Coś złego musiało się także stać z moją ciotką. Wiem o tym. Wiem, że ciotka nie żyje. Dlatego bałam się pójść na górę. Leży tam w ciemnościach. Ten, co zabił wuja, na pewno ją też zabił.

Stajenny chrząknął.

– Może uciekła na torfowiska – powiedział. – Może pobiegła gościńcem, żeby wezwać pomoc.

– Nie – szepnęła Mary. – Ona nigdy by tak nie postąpiła. Byłaby teraz przy nim w sieni, tkwiłaby skulona u jego boku. Ona nie żyje. Wiem, że nie żyje. Gdybym nie zostawiła jej samej, to by się nie stało.

Mężczyzna umilkł. W niczym nie mógł jej pomóc. Koniec końców, była mu obca, nie odpowiadał za to, co się działo w oberży przez ten czas, kiedy tu mieszkała. I tak już ciążyła mu odpowiedzialność za dzisiejszy wieczór, pragnął tylko, żeby jak najrychlej przyjechał dziedzic. Bójka, wrzaski, owszem, to rozumiał, miało to dla niego sens, ale jeżeli, jak mówi dziewczyna, rzeczywiście popełniono morderstwo i oberżysta leży tam martwy, a może jego żona także – bezcelową jest rzeczą, aby tkwili tu jak zbiegowie, najlepiej byłoby czym prędzej się stąd zabierać, ruszyć traktem do najbliższej osady, zobaczyć i usłyszeć żywych ludzi.

– Przyjechałem z rozkazu mojej pani – zaczął niepewnie – ale mówiła, że będzie tu dziedzic. Jako że go nie ma...

Mary podniosła ostrzegawczo rękę.

– Cicho – rzuciła. – Słyszysz pan coś?

Zwrócili głowy na północ i wytężyli słuch. Nikły, lecz niewątpliwy tętent kopyt dolatywał spoza doliny, spoza szczytu dalszego wzgórza.

– To oni – ożywił się Richards. – To dziedzic! Wreszcie nadjeżdża. Niech pani uważa, zobaczymy ich, kiedy będą zjeżdżali traktem w dolinę.

Czekali i po upływie minuty pierwszy jeździec ukazał się niby czarna smuga na tle białej drogi, za nim następny i następny. Utworzyli teraz długą linię i pędzili galopem, a siwek, który czekał cierpliwie przy rowie, nastawił uszu i zwrócił łeb do siedzących, jak gdyby o coś pytał. Tętent zbliżał się. Richards z radosną ulgą wybiegł na drogę, krzycząc głośno i wymachując rękami.

Ten, co jechał na przedzie, skręcił w bok i na widok stajennego z okrzykiem zdziwienia ściągnął wodze.

– Co tu robisz, u diabła ciężkiego? – krzyknął, był to bowiem sam dziedzic. Jednocześnie ręką dał znak pozostałym jeźdźcom.

– Oberżysta nie żyje, zamordowany! – zawołał stajenny. – Mam na bryczce jego siostrzenicę. To pani dziedziczka mnie tu przysłała, wielmożny panie. Ta młoda osoba najlepiej sama panu dziedzicowi wszystko opowie.

Przytrzymał konia, pomagając swemu panu zsiść i starając się równocześnie odpowiadać na zadawane szybko pytania. Jeźdźcy też zebrali się wokoło, domagając się wiadomości. Niektórzy także posiadali z koni, przytupywali i chuchali w dłonie, żeby je ogrzać.

– Jeżeli tego człowieka zamordowano, jak powiadasz, Bóg widzi, że słusznie mu się to należało – rzekł pan Bassat – ale mimo wszystko wolałbym własnoręcznie zakuć go w kajdany. Umarłemu nie wymierzy się kary. Wy wszyscy jedźcie na dziedziniec, a ja zobaczę, czy uda mi się wydobyć coś sensownego z tej dziewczyny.

Richardsa, uwolnionego wreszcie od odpowiedzialności, otoczyli natychmiast przybyli, traktując go jak bohatera, który nie tylko wykrył zbrodnię, ale też sam jeden ujął sprawcę; aż wreszcie stajenny z ociąganiem musiał wyznać, że udział jego w całej sprawie był niewielki. Dziedzic, w normalnych nawet okolicznościach niezbyt bystry, nie orientował się, skąd Mary się tu wzięła, i myślał, że została pojmana przez stajennego.

Ze zdumieniem tedy wysłuchał relacji o tym, jak przeszła piechotą tyle mil do North Hill w nadziei, że go zastanie, a potem, nie poprzestając na tym, obstawała przy powrocie do Jamajki.

– Nie mogę się w tym wszystkim połapać – oświadczył szorstko. – Sądziłem, że trzyma pani z wujem. Dlaczego więc okłamała mnie pani, kiedy byłem w oberży? Powiedziała pani, że o niczym nie wie.

– Kłamałam przez wzgląd na ciotkę – rzekła Mary znużonym tonem. – Chodziło mi wtedy tylko o to, żeby ją osłaniać, a poza tym nie wiedziałam jeszcze tego, co wiem dzisiaj. Jeżeli zajdzie konieczność, chętnie wyjaśnię wszystko przed sądem, ale gdybym próbowała opowiedzieć to panu teraz, i tak by pan nie zrozumiał.

– Nie mam zresztą czasu na słuchanie – odparł dziedzic. – Postąpiła pani bardzo dzielnie, idąc taki szmat drogi z Altarnun, żeby mnie ostrzec, i zakonotuję to sobie na pani korzyść. Ale gdyby tamtym razem była pani ze mną szczerą, uniknęłoby się może wszystkich tych kłopotów i zapobiegło straszliwej zbrodni popełnionej w noc wigilijną. Pomówimy jednak o tym później. Stajenny powiada, że znalazła pani wuja zabitego, ale poza tym nic pani o tej zbrodni nie wie. Gdyby była pani mężczyzną, musiałaby teraz pójść ze mną do oberży, ale oszczędzę pani tego. – Podniósł głos i krzyknął do stajennego: – Jedź bryczką na dziedziniec i czekaj tam z tą młodą osobą, a my wkroczymy do oberży! Muszę panią prosić, aby zaczekała na dziedzińcu – dodał, zwracając się do Mary – jeżeli pani starczy odwagi. Pani jedna spośród nas wie coś o całej sprawie i ostatnia widziała pani wuja przy życiu.

Mary skinęła głową. Była już tylko biernym narzędziem sprawiedliwości i musiała robić, co jej kazano. Dziedzic oszczędził jej przynajmniej okropnych chwil, jakie by przeżyła, gdyby musiała ponownie wejść do oberży i spojrzeć na ciało wuja. Na dziedzińcu, który zasnuty był cieniem, kiedy pierwszy raz tu przyszła, panował teraz ożywiony ruch. Konie stukały kopytami o bruk, pobrzękiwały uzdy i wędzidła, rozbrzmiewały kroki i głosy mężczyzn, nad które wybijały się krótkie, szorstkie rozkazy dziedzica.

Zgodnie ze wskazówkami otrzymanymi od Mary ruszył z ludźmi na tyły oberży i po chwili cisza domu prysła. Otwarto na oścież okno baru i okna salonu, część mężczyzn poszła widocznie na górę i przeszukiwała puste pokoje gościnne, tam bowiem również odryglowano i pootwierano okna. Tylko ciężkie drzwi frontowe pozostały zamknięte; Mary wiedziała, że ciało wuja broni dostępu do progu.

Ktoś zawołał głośno z domu, odpowiedział na to gwar głosów i jakieś pytanie dziedzica. Dźwięki dobiegały teraz wyraźnie przez otwarte okno salonu. Richards zerknął na Mary i z bladości jej twarzy zorientował się, że wszystko słyszała.

Mężczyzna, który stał przy koniach i nie wszedł wraz z innymi do oberży, krzyknął do stajennego:

– Słyszysz, co mówią? Na górze jest jeszcze jeden trup.

Richards nie odpowiedział. Mary owinęła się szczelniej peleryną i nasunęła kaptur na twarz. Czekali w milczeniu. Po chwili dziedzic sam wyszedł na dziedziniec i zbliżył się do bryczki.

– Bardzo mi przykro – powiedział. – Mam dla pani niedobłą wiadomość. Może się pani jej spodziewała?

– Tak – odrzekła Mary.

– Myślę, że wcale nie cierpiała. Musiała umrzeć w jednej sekundzie. Leżała w pokoju na końcu korytarza, tuż przy progu. Przebita nożem, tak jak pani wuj. Z pewnością nic nie czuła. Niech mi pani wierzy, ogromnie mi przykro. Chciałbym móc pani tego oszczędzić.

Stał przy niej zakłopotany i strapiony, powtarzając wciąż, że ona z pewnością nie mogła cierpieć, że o niczym nie wiedziała, a potem, widząc, że lepiej Mary zostawić samą, bo w niczym jej nie może pomóc, pomaszerował przez dziedziniec z powrotem do oberży.

Mary siedziała bez ruchu, okryta peleryną jak całunem, i na swój sposób modliła się o to, aby ciotka Patience jej przebaczyła, aby znalazła spokój, gdziekolwiek jest, i pozbyła się ciężkich okowów życia, odzyskując wolność. Modliła się także o to, aby ciotka zrozumiała, co ona usiłowała zrobić, a przede

wszystkim o to, aby matka Mary znalazła się przy ciotce, ratując ją przed samotnością. Z myśli takich czerpała niejaką pociechę, wiedziała jednak, że jeśli odtworzy w pamięci dzieje ostatnich kilku godzin, dojdzie do jednego jedyne go, raniącego boleśnie wniosku: gdyby nie opuściła Jamajki, ciotka może by teraz żyła.

Wtem z domu znów doleciał gwar, potem rozległy się krzyki, tupot nóg i chór podnieconych, donośnych głosów, aż Richards z przejęcia zapomniał o swych obowiązkach, podbiegł do otwartego okna salonu i przerzucił nogę przez parapet. Dał się słyszeć trzask pękających desek przy odrywaniu okiennic w zamkniętym pokoju, do którego widocznie nikt dotychczas nie wchodził. Mężczyźni burzyli barykadę drewnianych bali, ktoś podniósł w górę pochodnię, aby oświetlić pokój. Mary widziała, jak płomień zatańczył w przeciągu.

Potem światło znikło, głosy zamarły w oddali i usłyszała kroki zmierzające ku tyłom domu. Po chwili mężczyźni wyłonili się zza rogu, sześciu czy siedmiu, z dziedzicem na czele, wlokąc coś, co wiło się, wrywało i usiłowało się uwolnić, wydając ochrypłe, przerażone okrzyki.

– Mają go! To morderca! – krzyknął Richards do Mary, na co ta zrzuciła kaptur i spojrzała w dół, na grupę mężczyzn, którzy podeszli do bryczki. Pojmany podniósł głowę i patrzył na nią, mrugając raptownie, gdyż oświetlała go pochodnia, którą świecili mu w oczy. Odzież miał pokrytą pajęczynami, twarz zarośniętą, szerniałą – był to kramarz Harry.

– Kto to jest?! – krzyczeli mężczyźni. – Zna go pani?

Dziedzic obszedł bryczkę i kazał podprowadzić schwytanego bliżej, aby Mary dobrze go widziała.

– Znaleźliśmy go w zamkniętym pokoju. Leżał na workach. Twierdzi, że nic nie wie o zbrodni.

– Należał do szajki – powiedziała wolno Mary. – Wczoraj wieczorem przyszedł do oberży i pokłócił się z wujem. Wuj obezwładnił go, zamknął w zaryglowanym pokoju i groził mu śmiercią. Ten mężczyzna miał wszelkie powody, żeby zabić wuja, i nikt prócz niego nie mógł tego zrobić. On kłamie.

– Ale drzwi były zamknięte, potrzeba było trzech mężczyzn czy nawet więcej, żeby je wyłamać – rzekł dziedzic. – Ten człowiek w ogóle nie wychodził z pokoju. Proszę spojrzeć na jego ubranie, na oczy, wciąż jeszcze oślepięone światłem. To nie jest morderca, którego pani szuka.

Kramarz zerknął ukradkiem to na tego, to na owego spośród mężczyzn, którzy go trzymali. Jego małe, złe oczka strzelały w prawo i w lewo. Mary zrozumiała naraz, że dziedzic ma słuszość – Harry nie mógł popełnić morderstwa. Leżał w zaryglowanym pokoju od chwili, kiedy Joss Merlyn zamknął go tam przeszło dwadzieścia cztery godziny temu. Leżał w ciemnościach, czekając na uwolnienie, a podczas nieobecności Mary ktoś przyszedł do Jamajki i dokonawszy swego dzieła, znów znikł w mroku.

– Ten, kto to zrobił, nie wiedział wcale, że ten łotr siedzi zamknięty w tamtym pokoju – mówił dalej dziedzic. – Jako świadek na nic się nam nie zda, bo nic nie widział ani nie słyszał. Ale mimo to wsadzimy go do więzienia, no i powiesimy, jeżeli na to zasłużył, a sądzę, że zasłużył aż nadto. Przedtem jednak będzie musiał złożyć zeznania i podać nazwiska swoich współników. Jeden z nich zabił oberżystę z zemsty, może pani być tego pewna, i wytropimy go, choćbyśmy mieli puścić za nim wszystkie psy gończe z całej Kornwalii. Niech kilku z was zaprowadzi tego opryszka do stajni i tam go pilnuje, a reszta niech wraca ze mną do oberży.

Mężczyźni znów chwycili kramarza, ten zaś, domyśliwszy się, że odkryto jakąś nową zbrodnię i podejrzenie może paść na niego, odzyskał wreszcie mowę i bełkotliwie zapewniał o swej niewinności, przysięgając na Trójcę Świętą i błagając o miłosierdzie, aż któryś z mężczyzn szturchańcem nakazał mu milczenie i zagroził, że bez dalszych ceregieli powieszą go zaraz nad drzwiami stajni. To kramarza uciszyło, mrucał tylko pod wąsem przekleństwa, raz po raz zwracając szczerze oczka ku Mary, która w odległości kilku jardów siedziała na wysokiej bryczce.

Siedziała, podparwszy brodę rękami, nie naciągając już kaptura na głowę, i nie słyszała przekleństw kramarza ani nie widziała jego podstępnych wąskich oczu,

przypomniała sobie bowiem inne oczy, które patrzyły na nią tego ranka, i inny głos, spokojny i zimny, którym ktoś powiedział o własnym bracie: „Umrze za to”.

Przypomniało jej się też zdanie rzucone niedbale w drodze do Launceston: „Nigdy jeszcze nie zabiłem człowieka”, a także słowa Cyganki z jarmarku: „Krew masz na ręce, zabijesz kiedyś człowieka”. Wszystko, o czym chciała zapomnieć, krążyło jej teraz po głowie i oskarżało go wrzaskliwie: nienawiść do brata, żyłka okrucieństwa, którą miał w sobie, brak czułości, skażona krew Merlynów.

To go przede wszystkim zdradzi. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Jaki ojciec, taki syn. Krew zawsze się odezwie. Przyjechał do Jamajki, jak zapowiedział, i jego brat nie żyje, jak on poprzysiągł. Prawda stanęła przed nią w całej swej ohydzie i potworności. Żałowała teraz, że nie było jej w domu i że jej również nie zabił. Jest złodziejem, toteż zakradł się jak złodziej nocny, a potem znikł. Wiedziała, że mając ją za świadka, można, cegielka po cegielce, zbudować przeciw niemu oskarżenie; wyrosnie wokół niego mur, zza którego nie ma ucieczki. Wystarczy, żeby podeszła teraz do dziedzica i powiedziała: „Wiem, kto to zrobił”, a uwierzą jej wszyscy co do jednego; stłoczą się przy niej jak sfora psów gończych rwących się do pościgu, a trop zaprowadzi ich przez Rushyford i moczary Trewartha na Bagnisko Dwunastu Topielców. Śpi tam może teraz, niepomny zbrodni, niczym się nie przejmując, rozciągnięty na łóżku w samotnym domku, w którym urodzili się obaj, on i brat. Kiedy nadejdzie ranek, odjedzie, być może pogwizdując, na swoim koniu i zniknie z Kornwalii na zawsze. Morderca, bezlitosny morderca, taki sam jak jego ojciec.

W wyobraźni słyszała daleki tętent jego konia na tracie, wybijający wśród ciszy nocnej werbel pożegnania, ale imaginacja ustąpiła miejsca rozsądkowi, rozsądek kazał Mary wrócić do rzeczywistości i stwierdzić, że dźwięki, które słyszy, nie są wytworem wyobraźni, lecz realnymi uderzeniami kopyt o trakt.

Odgłos kopyt zbliżał się. Koń biegł równym truchtem, ani wolno, ani prędko, rytmiczna zaś melodia, którą wygrywał na twardej nawierzchni, odbijała się echem w bijącym sercu Mary.

Teraz już nie tylko ona nasłuchiwała. Mężczyźni pilnujący kramarza mruknęli coś do siebie półgłosem i zwrócili głowy ku drodze, Richards zaś, który stał przy

nich, po sekundzie wahania pobiegł szybko ku oberży, aby zawołać dziedzica. Tętent kopyt teraz, gdy koń wspinał się pod górę, rozbrzmiewał głośno, jak wyzwanie rzucone ciszy nocnej, a kiedy jeździec wjechał na szczyt i wyłonił się zza muru, z oberży w asyście stajennego wyszedł dziedzic.

– Stać! – zawołał. – W imieniu króla! Muszę zapytać, co pan robi dziś wieczorem na trakcie.

Jeździec ściągnął wodze i skręcił na dziedziniec. Spod czarnej, obszernej peleryny nie widać było kto to, ale kiedy z ukłonem zdjął kapelusz, aureola włosów załśniła bielą w poświacie księżyca, a głos, który odpowiedział dziedzicowi, był łagodny i melodyjny.

– Pan Bassat z North Hill, jak sądzę – rzekł jeździec, pochylając się w siodle i ukazując kartkę trzymaną w ręce. – Mam tutaj list od Mary Yellan z oberży Jamajka. Panna Yellan prosi mnie o ratunek z opresji, ale widząc zgromadzone tutaj towarzystwo, wnoszę, że przybywam za późno. Chyba mnie pan sobie przypomina. Spotykamy się nie po raz pierwszy. Jestem pastorem z Altarnun.

16

Mary siedziała sama w dużym pokoju na probostwie i wpatrywała się w torf tłący się na kominku. Spała do późna, sen ją pokrzepił, była teraz wypoczęta, ale wciąż jeszcze nie czuła spokoju wewnętrznego, którego tak pragnęła.

Wszyscy byli dla niej dobrzy i wyrozumiali, może nawet za wiele było tej niespodziewanej dobroci po tak długim napięciu nerwów. Sam pan Bassat życzliwie, choć niezgrabnie poklepał ją po ramieniu, jakby była skrzywdzonym dzieckiem, i swoim szorstkim, lecz dobrotliwym tonem powiedział: „Teraz musi pani się przespać, zapomnieć o wszystkim, co pani przeszła, i pamiętać tylko, że to już minęło, nie wróci. Przyrzekam, że w bardzo niedługim czasie odnajdziemy tego, co zabił pani ciocię, i po następnej rozprawie sądowej pójdzie na szubienicę. A kiedy odzyska pani równowagę po okropnych przeżyciach ostatnich paru miesięcy, powie pani, co by chciała robić i dokąd pojechać”.

Mary straciła wszelką wolę, tamci za nią podejmowali decyzje, gdy więc Francis Davey ofiarował jej schronienie w swoim domu, przyjęła zaproszenie biernie i obojętnie, zdając sobie sprawę, że wyrażona apatycznie zgoda zakrawa na niewdzięczność. Znowu odczuła, że bycie kobietą jest upokarzające, gdyż upadek sił i ducha otoczenie traktuje u kobiety jak rzecz naturalną i samą przez się zrozumiałą.

Gdyby była mężczyzną, potraktowano by ją brutalnie, w najlepszym zaś razie obojętnie, kazano by jej jechać do Bodmin lub do Launceston, aby tam złożyła

zeznania. Zakładano by, że sama musi znaleźć sobie kwatery, a po zakończeniu wyczerpujących indagacji może się wynosić choćby na koniec świata. No i wyjechałaby, wsiadłaby na jakiś statek, pracowałaby na pokładzie w zamian za wyżywienie i przejazd, albo może z jedynym srebrnym pensum w kieszeni ruszyłaby pieszo, gdzie oczy poniosą, wolna i niezależna, serce mając spokojne. Ale ją, ze łzami wciąż napływającymi do oczu, z głową pękającą z bólu, starano się czym prędzej usunąć z obojętym, była tu bowiem utrapieniem i zawadą, jakimi są po tragicznym wydarzeniu każda kobieta i każde dziecko.

Pastor sam zawiózł ją dwukółką – stajenny dziedzica jechał za nimi konno – i wdzięczna mu była za jego dar milczenia. O nic nie pytał, nie mamrotał słów współczucia, które by trafiły w próżnię, popędzał tylko konia i zajechał do Altarnun, kiedy zegar na kościele wybił pierwszą.

Obudził gospodynię mieszkającą w pobliskim domku, tę samą kobietę, z którą Mary rozmawiała po południu, i poprosił, żeby przyszła i przygotowała pokój dla gościa. Przyszła natychmiast, bez trajkotania lub okrzyków zdziwienia, przyniosła też z domu świeżą pościel. Rozpaliła ogień w kominku, ogrzała przy nim szorstką, wełnianą koszulę nocną. Mary tymczasem zrzuciła ubranie, gdy zaś łóżko było posłane, pozwoliła się do niego zaprowadzić jak posłuszne dziecko.

Byłaby od razu zamknęła oczy, ale czyjaś ręka otoczyła nagle jej ramiona i spokojny, łagodny głos powiedział tonem perswazji:

– Proszę to wypić.

Przy łóżku stał Francis Davey we własnej osobie, w ręce trzymał szklanę, a jego dziwne oczy, przezroczyście i pozbawione wyrazu, wpatrywały się w Mary.

– Teraz będzie pani spała – rzekł.

Po goryczy gorącego naparu poznała, że pastor musiał wsypać do niego jakiś proszek i że zrobił to, bo dobrze rozumiał jej udękę.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, był dotyk jego ręki na czole i te spokojne białe oczy, które mówiły jej, że ma o wszystkim zapomnieć. Potem zasnęła, jak jej nakazał.

Była blisko czwarta po południu, kiedy Mary się obudziła. Czternaście godzin snu, jak zresztą pastor przewidywał, zrobiło swoje, przytępiając ostrze cierpienia, uodporniając na ból. Wspomnienie ciotki Patience nie szarpało już tak nieznośnie serca, gorycz stała się mniej dotkliwa. Rozsądek mówił Mary, że nie może czynić sobie wyrzutów; zrobiła tylko to, co jej nakazywało sumienie. Sprawiedliwość musi zawsze stać na pierwszym miejscu. W swym ograniczeniu Mary nie przewidziała możliwości tragedii, tu jedynie tkwił błąd. Pozostał tylko żal, lecz żal nie mógł ciotki wskrzesić.

Takim torem biegły myśli Mary po obudzeniu. Gdy się jednak ubrała, zeszła do dużego pokoju i ujrzała, że w kominku płonie ogień, zasłony są zaciągnięte, a pastora nie ma w domu, ogarnęło ją znów dawne uczucie dręczącej rozterki i znów doszła do wniosku, że tylko ona ponosi odpowiedzialność za nieszczęście. Wciąż miała przed sobą twarz Jema, taką jaką ją ostatni raz widziała w szarym świetle brzasku, ściągniętą i chudą. Niezłomne postanowienie czaiło się wówczas w jego oczach, w linii zaciętych ust, a ona zignorowała tę zapowiedź katastrofy. To on był ową niewiadomą, owym nieznanym czynnikiem, od początku do końca, od tamtego poranka, kiedy pierwszy raz zjawił się w barze Jamajka, ona zaś z całym rozmysłem przymykała oczy, nie chcąc widzieć prawdy. Jest kobietą i bez żadnego uzasadnionego powodu kocha go. Pocałował ją i jest z nim związana na zawsze. Mary czuła się jak istota upadła, zhańbiona; ona, tak dotychczas silna, stała się słaba na ciele i umyśle, a wraz z niezależnością straciła też wszelką dumę i ambicję.

Jedno słowo do pastora, kiedy ten wróci, jedna wiadomość przesłana dziedzicowi, a ciotka Patience będzie pomszczona. Jem zawisnie na szubienicy, jak niegdyś jego ojciec, Mary zaś wróci nad Helford, aby poszukać nici dawnego życia, splątanych teraz i przysypanych ziemią.

Wstała z fotela przy kominku i zaczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju. Zdawało się jej, że zмага się z problemem, lecz zarazem dobrze wiedziała, że wszystko to jest kłamstwem, nędzną sztuczką mającą na celu oszukanie własnego sumienia, bo nigdy rozstrzygającego słowa nie wypowie.

Jemowi nic z jej strony nie grozi, odjedzie więc z piosenką na ustach, śmiejąc się z Mary, a potem wyrzuci z pamięci i ją, i swego brata, i Boga, ona zaś, na zawsze zgnębiona, złamana, będzie długo dźwigała jarzmo lat, naznaczona piętnem zbrodniczego milczenia, aż w końcu stanie się ogólnym pośmiewiskiem jako zgorzkniała stara panna, która nie może zapomnieć o tym, że ją ktoś raz w życiu pocałował.

Cynizm i sentymentalizm stanowiły dwa krańcowe bieguny, których należało unikać, gdy zaś Mary wciąż chodziła, gnana niepokojem zarówno ducha, jak i ciała, wydało jej się naraz, że Francis Davey obserwuje ją z ukrycia, zimnymi oczami zaglądając jej wprost w duszę. Mimo iż nie było go tu, pokój zachowywał coś z jego osobowości. Mogła sobie bez trudu wyobrazić go, jak z pędzlem w ręku stoi w kącie przy sztalugach, patrząc przez okno na rzeczy, które dawno minęły i przestały istnieć.

Nieopodal sztalug stały płótna skierowane do ściany. Mary z ciekawości odwróciła je ku światłu. Oto wnętrze kościoła – zapewne jego kościoła – namalowane, jak się zdaje, o zmierzchu letniego dnia, bo nawet osnuwał cień. Sklepienia zalane były dziwną zieloną poświatą, sięgającą aż pod pułap, i ten niespodziewany, zaskakujący koloryt pozostał w pamięci Mary, gdy już odstawiła obraz, aż musiała raz jeszcze podnieść go i dokładnie obejrzeć.

Być może ta zielona poświata stanowiła osobliwość kościoła w Altarnun i została na płótnie wiernie odtworzona, mimo to jednak była niesamowita, niepokojąca i Mary pomyślała, że gdyby miała własny dom, nie chciałaby powiesić w nim tego obrazu.

Nie zdołałaby ująć w słowa tego uczucia, ale miała wrażenie, że jakiś duch, nieznaną w ogóle kościoła, dostał się do wnętrza i wypełnił zacienioną nawę obcym tchnieniem. Odwracając obrazy jeden po drugim, ujrzała, że wszystkie mają tło podbarwione w ten sam sposób i w tym samym stopniu. Malowidło, które mogłoby być uderzająco pięknym studium torfowiska w wiosenny dzień, skażone było ciemnym zabarwieniem i samym rysunkiem chmur przytłaczających scenerię, przy czym dominowała tu wciąż ta sama zielona poświata.

Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy fakt, że pastor urodził się albinosem, nie wpłynął na jego poczucie koloru; może coś jest nie w porządku z jego wzrokiem i widzeniem świata? Tłumaczyłoby to sprawę, mimo to jednak Mary już po odstawieniu płócien na miejsce nadal czuła się dziwnie i nieswojo. Kontynuowała inspekcję pokoju, lecz niewiele jej to dało, bo umeblowany był skąpo, a ozdób i książek nie było wcale. Nawet na biurku nie było żadnych listów i sprawiało ono takie wrażenie, jak gdyby pastor rzadko go używał. Mary zabębniła palcami po lśniącym blacie, zastanawiając się, czy to przy nim pastor pisze kazania, w pewnej zaś chwili pod wpływem nagłego, niczym nieusprawiedliwionego odruchu wysunęła wąską szufladę z prawej strony. Szuflada była pusta, Mary od razu się zawstydzila. Miała już ją zamknąć, kiedy zauważyła, że papier, którym wyłożono szufladę, jeden róg ma zagięty, a na drugiej stronie coś jest narysowane. Wyjęła papier i spojrzała na rysunek. Było to znów wnętrze kościoła, ale tym razem w ławkach siedzieli parafianie, a sam pastor stał na ambonie. W pierwszej chwili Mary nie zauważyła w szkicu nic niezwykłego; temat był czymś naturalnym dla duszpasterza będącego zarazem wytrawnym rysownikiem, gdy jednak przyjrzała się uważnie, dostrzegła, jak został potraktowany.

W gruncie rzeczy nie był to szkic, lecz karykatura, groteskowa i ohydna. Parafianie mieli na sobie odświętne ubrania, jak to zwykle w niedzielę, ale zamiast twarzy ludzkich pastor narysował im baranie i owcze głowy. Bezmyślne, rozdziawione pyski zwracały się do kaznodziei z wyrazem głupawo uroczystym, kopyta złożone były do modlitwy. Rysy każdego owczego czy też baraniego pyska odtworzono pieczołowicie, jak gdyby chodziło o wierne oddanie cech oryginału, wszystkie jednak miały ten sam wyraz – wyraz twarzy idioty, który o niczym nie ma pojęcia i o nic nie dba. Kaznodzieją w czarnym surducie i z aureolą białych włosów był Francis Davey, ale miał on twarz wilka i ten wilk śmiał się ze zgromadzonego przed nim stada wiernych.

Cała rzecz była szyderstwem, bluźnierczym i przerażającym. Mary szybko przykryła ręką rysunek i odłożyła go z powrotem do szuflady niezarysowaną stroną

do góry, potem zasunęła szufladę, odeszła od biurka i usiadła znów na fotelu przy kominku. Natrafiła przypadkiem na sekret, którego wolałaby nie znać. Nie dotyczył jej wcale, był sprawą między rysownikiem a jego Bogiem.

Kiedy usłyszała kroki pastora na ścieżce pod oknem, wstała pośpiesznie i przesunęła fotel, tak żeby znalazł się w cieniu i żeby pastor nie zauważył jej zmieszania.

Fotel zwrócony był oparciem w stronę drzwi. Mary siedziała bez ruchu, czekając na pastora, nie nadchodził jednak tak długo, że w końcu odwróciła się, aby posłuchać, czy nie rozlegną się jego kroki, i wówczas go ujrzała. Stał za jej fotelem, widocznie bowiem wszedł bezszelestnie z sieni. Mary drgnęła zaskoczona, wtedy on postąpił naprzód, bliżej kominka.

– Proszę mi wybaczyć – rzekł. – Nie spodziewała się mnie pani tak prędko i wtargnąłem do pani marzeń.

Zaprzeczyła ruchem głowy i bąknęła jakąś wymówkę, natenczas on zapytał ją od razu o zdrowie i jak się jej spało, jednocześnie zaś zdjął ciepły płaszcz i w czarnym surducie duchownego stanął przy kominku.

– Czy pani już coś jadła? – spytał, a usłyszawszy, że nie, wyjął zegarek i sprawdził, która godzina. Dochodziła szósta. – Usługiwałem już pani przy stole, panno Yellan, i nieraz jeszcze będę pani usługiwał – powiedział. – Ale tym razem, jeśli nie zrobi to pani różnicy i jeśli czuje się pani na siłach, zechce pani nakryć do stołu i przynieść z kuchni tacę. Hannah z pewnością wszystko na niej przygotowała, więc jej nie będziemy już trudzić. Co do mnie, mam coś do napisania; oczywiście jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Zapewniła go, że wypoczęła doskonale i marzy tylko o tym, żeby się na coś przydać. Pastor skinął głową i rzekł:

– A więc za kwadrans siódma.

Potem odwrócił się do niej plecami i zrozumiała, że ma zostawić go samego.

Poszła do kuchni, nieco wytrącona z równowagi jego nagłym zjawieniem się i zadowolona, że dał jej dodatkowe pół godziny samotności, gdy bowiem nadszedł,

jeszcze się nie opanowała dostatecznie, by prowadzić swobodną rozmowę. Może kolacja nie potrwa długo, a potem pastor wróci do biurka i Mary będzie mogła nadal o tym wszystkim rozmyślać. Żałowała, że otworzyła szufladę. Przykre wspomnienie o karykaturze wciąż powracało. Czuła się jak dziecko, które wbrew zakazowi rodziców docieka sedna jakiejś sprawy, a potem pełne wstydu i winy lęka się, że się z tym zdradzi. Byłaby rada, gdyby mogła zjeść kolację sama w kuchni i gdyby pastor nie traktował jej jak gościa, lecz jak pokojówkę. Na razie sytuacja była niejasna, gdyż uprzejmości pastora w sposób szczególny przeplatane były rozkazami. Starła się tedy jak najdłużej przygotowywać wszystko do kolacji, bo dobrze jej było wśród znajomych kuchennych zapachów, i bez entuzjazmu czekała na wybicie wyznaczonej godziny. W końcu zegar z kurantem na wieży kościelnej wydzwonił trzy kwadransy, nie zezwalając na dalszą zwłokę, zniosła więc tacę do pokoju i miała tylko nadzieję, że nic z jej rozterki wewnętrznej nie odbije się na twarzy.

Pastor, zwrócony plecami do kominka, stał przy stole, który zawczasu przysunął bliżej ognia. Mary nie patrzyła na pastora, ale czuła na sobie jego uporczywe spojrzenie, krępujące jej ruchy. Zdała sobie też sprawę, że w pokoju coś się zmieniło. Kątem oka dostrzegła, że złożył sztalugi, spod ściany zaś znikły obrazy. Na biurku po raz pierwszy panował nieład, zaścielały je stosy papierów i korespondencji, ponadto pastor musiał zapewne palić listy, bo wśród popiołów na kracie kominka widać było szerniałe, niedopalone strzępy papieru.

Usiedli przy stole. Pastor przysunął jej półmisek z zimnym pasztetem.

– Czyżby panna Yellan wyzbyła się wszelkiej ciekawości, że nie pyta mnie, co robiłem przez cały dzień? – odezwał się wreszcie, pokpiwając z niej łagodnie.

Mary od razu zaczerwieniła się jak winowajczyni.

– Nie moją jest rzeczą pytać, gdzie ksiądz pastor był.

– Myli się pani – rzekł. – Owszem, to pani rzecz. Jak dzień długi, zajmowałem się pani sprawami. Przecież prosiła mnie pani o pomoc, prawda?

Mary, zawstydzona, nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

– Jeszcze księdzu pastorowi nie podziękowałam za tak szybki przyjazd do Jamajki – odparła w końcu. – Ani za łóżko wczoraj wieczorem i za dzisiejszy mocny sen. Na pewno uważa mnie ksiądz pastor za niewdzięcznicę.

– Tego nie powiedziałem. Dziwię się tylko pani cierpliwości. Nie było jeszcze drugiej po północy, kiedy prosiłem, żeby pani zasnęła, a teraz jest już siódma wieczór. To dużo czasu, a sprawy nie stoją w miejscu.

– A więc ksiądz pastor tej nocy wcale nie spał?

– Spałem do ósmej rano. Potem zjadłem śniadanie i znów ruszyłem w drogę. Mój siwek okulał, jakoś więc sobie radziłem z kucem. Wlókł się jak zółw do Jamajki, a z Jamajki do North Hill.

– Był ksiądz pastor w North Hill?

– Pan Bassat zaprosił mnie na obiad. Było nas tam ośmiu czy dziesięciu i każdy wywrzaskiwał swoje zdanie do głuchego ucha sąsiada. Posiłek przeciągał się nieznośnie i rad byłem, kiedy wreszcie dobiegł końca. Wszyscy jednak stwierdziliśmy zgodnie, że zabójca pani wuja niedługo będzie się cieszył wolnością.

– Czy pan Bassat kogoś podejrzewa?

Mary zadała to pytanie tonem oględnym, nie podnosząc oczu znad talerza. Jedzenie miało dla niej smak trocin.

– Pan Bassat gotów jest podejrzewać nawet samego siebie. Przesłuchał wszystkich mieszkańców w promieniu dziesięciu mil, a ponadto wczoraj na drogach był istny legion obcych przybyszów. Upłynie tydzień, a może i więcej, zanim zdoła się ich wszystkich zbadać, ale to drobiazg, pana Bassata nic nie zniechęci.

– Co zrobiono z... z moją ciotką?

– Zawieziono ich oboje dziś rano do North Hill i tam będą pochowani. Wszystko już załatwione, może się pani o nic nie troszczyć. Co do reszty, cóż, zobaczymy.

– A kramarz? Nie wypuścili go chyba?

– Nie, siedzi pod kluczem i bluzga przekleństwami. Kramarz nie budzi we mnie szczególnej sympatii. Pani też pewnie za nim nie przepada.

Mary, nie skosztowawszy mięsa, odłożyła widelec, który podnosiła właśnie do ust.

– Co to znaczy? – spytała, jakby się broniąc.

– Powtarzam, że nie przepada pani pewnie za kramarzem. Rozumiem panią doskonale, bo w życiu nie widziałem osobnika, który budziłby we mnie większą odrazę. Od Richardsa, stajennego pana Bassata, słyszałem, że podejrzewała pani kramarza o zabójstwo i mówiła to panu Bassatowi. Stąd mój wniosek, że go pani nie lubi. Pechowo się dla nas wszystkich składa, że ów zamknięty pokój stanowi dowód jego niewinności. Byłby doskonałym kozłem ofiarnym i oszczędziłby wszystkim moc kłopotu.

Pastor nadal zajadał z apetytem, Mary jednak udawała tylko, że je, gdy zaś zaproponował jej drugą porcję, odmówiła.

– Cóż takiego kramarz zrobił, że się tak pani naraził? – spytał, wciąż obstając przy temacie.

– Napadł na mnie raz.

– Tak też sądziłem. Charakterystyczne dla pewnego rodzaju ludzi. Oparła mu się pani, oczywiście?

– Zdaje się, że go poraniłam. Więcej mnie już nie tknął.

– No tak, już się nie ważył. Kiedy to się zdarzyło?

– W noc wigilijną.

– Po tym, jak rozstałem się z panią na skrzyżowaniu Pięciu Dróg?

– Tak.

– Zaczynam rozumieć. A więc nie wróciła pani tej nocy do oberży? Spotkała pani na drodze oberżystę i jego kompanów?

– Tak.

– A oni zabrali panią ze sobą na wybrzeże, żeby mieć lepszą zabawę?

– Bardzo proszę, niech ksiądz pastor o nic więcej mnie nie pyta. Nie chciałabym mówić o tej nocy ani teraz, ani w przyszłości, nigdy. Są rzeczy, które najlepiej wykreślić z pamięci.

– Nie będzie już pani o tym mówiła. Robię sobie wyrzuty, że pozwoliłem pani samej jechać dalej. Patrząc na panią teraz i widząc te jasne oczy, cerę bez skazy, głowę podniesioną do góry, a przede wszystkim zarys podbródka, nikt by się nie domyślił, ile pani przeszła. Słowo wiejskiego pastora może niewiele jest warte, ale dała pani dowody niezwykłego męstwa. Podziwiam panią.

Podniosła na niego oczy, potem zwróciła je w bok i zaczęła kruszyć w palcach kawałek chleba.

– Kiedy się zastanawiam nad kramarzem – odezwał się po chwili pastor, nałożywszy sobie na talerz okazałą porcję deseru – muszę stwierdzić, iż zabójca popełnił gruby błąd, że nie zajrzał do zaryglowanego pokoju. Może mu się śpieszyło, ale parę minut nie mogło przecież robić zbyt wielkiej różnicy, a niezawodnie wykonałby całą rzecz dokładniej.

– W jakim sensie, proszę księdza pastora?

– No, załatwiając porachunki z kramarzem.

– Chce pan powiedzieć, że jego też miał zabić?

– Właśnie. Kramarz za życia nie należy do ozdób tego świata, po śmierci zaś mógłby przynajmniej stać się pokarmem dla robaków. Takie jest moje zdanie. Co więcej, gdyby zabójca wiedział, że kramarz na panią nastawał, miałby jeszcze jeden, i to bardzo poważny, powód, aby go zabić.

Mary ukroiła kawałek ciasta, na które nie miała najmniejszej ochoty, i z wysiłkiem włożyła odrobinę do ust. Udając, że je, starała się zachować pozory równowagi. Ale ręka trzymająca nóż drżała i udawanie nie na wiele się zdało.

– Nie rozumiem – rzekła. – Co ja mam z tą sprawą wspólnego?

– Jest pani zbyt skromna – odparł.

Jedli w milczeniu. Mary spuściła głowę i nie odrywała oczu od talerza. Instykt podpowiadał jej, że pastor bawi się nią, jak rybak zabawia się rybą, którą złapał na

wędkę. Wreszcie, niezdolna czekać dłużej, wybuchnęła:

– Więc pan Bassat i reszta panów niewiele wskórali i zabójca nadal jest na wolności?

– O, nie jesteśmy znów aż tak niedołążni. Pewne postępy zrobiono. Kramarz, na przykład, usiłując ratować własną skórę, złożył możliwie wyczerpujące zeznania, ale niewiele nam pomógł. Uzyskaliśmy od niego relację o robocie na wybrzeżu w noc wigilijną – w której to robocie, jak twierdzi, nie brał udziału – i pewne informacje o sprawkach z poprzednich długich miesięcy. Między innymi opowiedział o furgonach, które przyjeżdżały w nocy do Jamajki, i podał nazwiska swoich współników. To znaczy te, które znał. Organizacja, jak się okazuje, była znacznie rozleglejsza, niż dotychczas przypuszczano.

Mary milczała. Pokręciła tylko głową odmownie, kiedy zaproponował jej jeszcze kawałek ciasta.

– Wyraził nawet supozycję – mówił dalej pastor – że oberżysta Jamajki był tylko ich przywódcą nominalnym, otrzymywał zaś rozkazy od kogoś stojącego wyżej. Nadało to sprawie zupełnie nowy aspekt. Zebranych dżentelmenów bardzo to poruszyło i zaniepokoiło. Co pani powie o teorii kramarza?

– Oczywiście, jest możliwa.

– Pani sama bodajże w rozmowie ze mną wyraziła kiedyś podobne przypuszczenie?

– Może. Nie pamiętam.

– Jeżeli tak jest, wówczas nieznaną przywódcą i mordercą musi być chyba jedną i tą samą osobą. Zgadza się pani?

– No, owszem, chyba tak.

– To powinno znacznie zmniejszyć krąg podejrzanych. Możemy pominąć całą hałastę i szukać kogoś, kto ma głowę na karku i silną indywidualność. Spotkała pani kogoś takiego w Jamajce?

– Nie, nigdy.

– Musiał przychodzić tam i odchodzić ukradkiem, prawdopodobnie pod osłoną nocy, kiedy pani i pani ciotka spałyście. Nie przyjeżdżał z pewnością traktem, bo słyszałyby pani tętent końskich kopyt. Ale istnieje zawsze możliwość, że przybywał pieszo, prawda?

– Tak, możliwość taka istnieje, jak ksiądz pastor powiada.

– Wobec tego człowiek ów musi znać torfowiska albo przynajmniej najbliższą okolicę. Jeden z panów podsunął myśl, że zabójca mieszka niedaleko, w takiej odległości, którą można przebyć pieszo lub konno. I dlatego właśnie pan Bassat zamierza przesłuchać wszystkich mieszkańców w promieniu dziesięciu mil, jak wspomniałem na początku kolacji. Tym samym się zaciśnie wokół zabójcy i jeżeli będzie zwlekał, to go schwytają. Wszyscy jesteśmy o tym przekonani. Skończyła pani? Bardzo mało pani zjadła.

– Nie jestem głodna.

– Przykro mi. Hannah pomyśli, że nie doceniliśmy należycie jej ciasta. Czy mówiłem pani, że widziałem pani znajomego?

– Nie, nie mówił ksiądz pastor. Ale nie mam przyjaciół prócz księdza pastora.

– Dziękuję, panno Yellan. Uroczy komplement i zachowam go w pamięci jak skarb. Ale nie mówi pani całkowitej prawdy. Ma pani znajomego, sama mi to pani mówiła.

– Nie wiem, kogo ksiądz pastor ma na myśli.

– No, no, dajmy spokój. Czy to nie brat oberżysty zabrał panią na jarmark do Launceston?

Mary ścisnęła ręce pod stołem i wbiła paznokcie w ciało.

– Brat oberżysty? – spytała, żeby zyskać na czasie. – Nie widziałam go od tamtego dnia. Myślałam, że wyjechał.

– Nie, od Bożego Narodzenia jest tu w okolicy. Sam mi to mówił. Jeśli chodzi o ścisłość, doszło jego uszu, że schroniła się pani u mnie, prosił więc, abym coś pani od niego powtórzył. „Proszę jej powiedzieć, że mi przykro”. Tak powiedział. Sądzę, że miał na myśli pani ciotkę.

– Czy to wszystko, co powiedział?

– Sądzę, że powiedziała by więcej, ale pan Bassat nam przerwał.

– Pan Bassat? Pan Bassat był tam, kiedy on z panem rozmawiał?

– Oczywiście. Jeszcze kilku panów pozostało w pokoju. To było tuż przed moim odjazdem z North Hill, kiedy zakończono debaty na dzień dzisiejszy.

– Dlaczego Jem Merlyn był obecny przy debatach?

– Miał do tego prawo, sądzę, jako brat zmarłego. Nie wydawał się specjalnie przygnębiony stratą, ale może nie żyli w zgodzie.

– Czy... czy pan Bassat i inni panowie wypytywali go?

– Przez cały dzień wciąż z nim rozmawiali. Młody Merlyn, jak się okazuje, obdarzony jest inteligencją. Odpowiedzi jego były bardzo bystre i wnikliwe. Musi być znacznie mądrzejszy, niż kiedykolwiek był jego brat. Mówiła pani, że pędzi dość nieuregulowany tryb życia, o ile pamiętam. Zdaje się, że kradł konie.

Mary potwierdziła skinieniem głowy. Palce jej kreśliły na serwecie jakiś deseń.

– Widocznie zajmował się tym, dopóki nie było nic lepszego do roboty – rzekł pastor. – Ale kiedy nadarzyła się sposobność użycia inteligencji, skorzystał z niej i chyba trudno mu to mieć za złe. Bez wątpienia dobrze mu zapłacono.

Łagodny głos szarpał jej nerwy, kłuł je każdym słowem jak szpilką. Zrozumiała, że pastor ją w końcu pokonał i że nie zdoła dłużej udawać obojętności. Podniosła na niego oczy pełne udręki i wyciągnęła błagalnie ręce.

– Co oni z nim zrobią, księżę pastora? Co z nim zrobią?

Blade, pozbawione wyrazu oczy patrzyły na nią i po raz pierwszy dostrzegła, że zamigotało w nich zdziwienie.

– Co zrobią? – powtórzył. – A dlaczego mieliby coś robić? Myślę, że zawarł pokój z panem Bassatem i może się już niczego nie obawiać. Wątpię, żeby mieli mu wypominać dawne grzechy po przysłudze, jaką im oddał.

– Nie rozumiem. Jaką przysługę oddał i komu?

– Pani myśl dzisiaj pracuje bardzo wolno, panno Yellan, a ja widocznie mówię zagadkami. Nie wiedziała pani, że to Jem Merlyn zadenuncjował brata?

Mary patrzyła na niego tępo, myśli w ogóle odmówiły jej posłuszeństwa. Powtórzyła za nim słowa jak dziecko, które uczy się lekcji.

– Jem Merlyn zadenuncjował brata?

Pastor odsunął talerz i zaczął ustawiać znów wszystko porządnie na tacy.

– Z całą pewnością – odparł. – Pan Bassat dał mi to do zrozumienia. Podobno dziedzic w wieczór wigilijny spotkał pani przyjaciela w Launceston i porwał go do North Hill dla pewnego eksperymentu. „Ukradłeś mi konia – powiedział – jesteś takim samym łotrem jak twój brat. W mojej mocy jest wsadzić cię jutro do więzienia, a nie zobaczysz konia przez dziesięć lat albo i dłużej. Ale puszcę cię wolno, jeżeli dostarczysz mi dowodów, że twój brat z oberży Jamajka jest tym, za kogo go mam”. Pani młody przyjaciel poprosił o czas do namysłu, gdy zaś nadeszła wyznaczona godzina, pokręcił tylko głową. „Nie – rzekł. – Musi go pan sam złapać, jeżeli panu na nim zależy. Ani mi się śni wchodzić w układy z przedstawicielami prawa”. Ale dziedzic podsunął mu pod nos odezwę. „Spójrz, Jem, i powiedz, co o tym myślisz. W noc wigilijną zdarzyła się tu największa katastrofa od czasu, gdy *Lady of Gloucester* zeszłej zimy rozbiła się o skały w pobliżu Padstow. Może teraz zmienisz zdanie?” Reszty historii nie słyszałem dokładnie, bo ludzie wciąż wchodzili i wychodzili, ale o ile się orientuję, pani przyjaciel zdołał w nocy uwolnić się z więzów i zbiegł. Wszyscy już myśleli, że nigdy go nie zobaczą, aż tu wczoraj rano wrócił, podszedł do dziedzica, kiedy ten wychodził z kościoła, i oświadczył z całym spokojem: „Dobrze, panie Bassat, będzie pan miał dowody”. Dlatego właśnie powiedziałem przed chwilą, że Jem Merlyn jest mądrzejszy od brata.

Pastor sprzątnął ze stołu, postawił tacę w kącie, potem jednak znów usadowił się wygodnie w fotelu z wysokim oparciem i wyciągnął nogi do ognia. Mary nie dostrzegła wcale, co on robi. Wpatrywała się przed siebie, wstrząśnięta do głębi usłyszaną wiadomością. Oskarżenie, które z takim lękiem i bólem sformułowała pod adresem ukochanego, rozpadło się jak domek z kart.

– Księżę pastorze – powiedziała wolno – jestem chyba największą idiotką, jaką kiedykolwiek wydała Kornwalia.

– Chyba tak, panno Yellan – potwierdził pastor.

Oschły jego ton, tak uderzający po łagodności głosu, jaką dotychczas znała, stanowił sam w sobie naganę. Mary przyjęła ją pokornie.

– Cokolwiek się zdarzy – mówiła dalej – mogę teraz odważnie i bez zawstydzienia patrzeć w przyszłość.

– Cieszy mnie to – odparł.

Odrzuciła włosy z twarzy i uśmiechnęła się po raz pierwszy od chwili, kiedy pastor ją poznał. Wyzbyła się wreszcie niepokoju i strachu.

– Co jeszcze mówił i robił Jem Merlyn? – spytała.

Pastor spojrział na zegarek, westchnął i schował go.

– Szkoda, że nie mam czasu pani opowiedzieć – rzekł – ale dochodzi już ósma. Godziny płyną za szybko dla nas obojga. Myślę, że na razie przestaniemy się zajmować Jemem Merlynem, dość długo o nim rozmawialiśmy.

– Proszę mi powiedzieć tylko jedno: czy był w North Hill, kiedy ksiądz pastor wyjeżdżał?

– Owszem, był. Ściśle biorąc, to jego ostatnia uwaga kazała mi czym prędzej wracać do domu.

– Cóż takiego księdzu pastrowi powiedział?

– Nie zwracał się bezpośrednio do mnie. Oznajmił, że zamierza jeszcze dziś wieczór pojechać do Warleggan i odwiedzić tamtejszego kowala.

– Ksiądz pastor żartuje sobie ze mnie.

– Ani przez chwilę. Warleggan leży dość daleko od North Hill, ale sądzę, że młody Merlyn trafi tam po ciemku.

– Cóż to ma wspólnego z księdzem pastorem, jeżeli nawet Jem odwiedzi kowala?

– Pokaże kowalowi hufnal, który znalazł na wrzosowisku nieopodal oberży. Hufnal wypadł z podkowy; robotę oczywiście wykonano niedbale. Hufnal był nowy, a Jem Merlyn jako koniokrad zna robotę wszystkich kowali na torfowiskach. „Proszę spojrzeć – zwrócił się do dziedzica. – Znalazłem to dziś rano na polu za

oberżą. Teraz, kiedy panowie zakończyli naradę i nie jestem już potrzebny, pojedę za pańskim pozwoleniem do Warleggan, pokażę hufnal Tomowi Jory'emu i powiem mu w oczy, że kiepski z niego kowal”.

– I co wtedy? – spytała Mary.

– Wczoraj była niedziela, tak? A w niedzielę żaden kowal nie weźmie młotka do ręki, chyba że ma wielki respekt przed klientem. Jeden tylko jeździec był wczoraj przy kuźni Toma Jory'ego i prosił o nowy hufnal dla okulawionego konia, a zdarzyło się to około siódmej wieczór. Potem jeździec ruszył dalej w kierunku oberży Jamajka.

– Skąd ksiądz pastor to wie?

– Bo tym jeźdźcem był pastor z Altarnun.

Cisza zapadła w pokoju. Wprawdzie ogień na kominku płonął równie jasno jak przedtem, ale w powietrzu naraz powiało mrozem. Każde z dwojga czekało, aż przemówi to drugie, i w pewnej chwili Mary usłyszała, że Francis Davey przełknął ślinę. Wreszcie podniosła na niego wzrok i ujrzała to, czego się spodziewała: blade oczy wpatrzone w nią nad stołem, teraz już nie zimne, lecz płonące w białej masce twarzy, jakby obdarzone własnym, odrębnym życiem. Rozumiała teraz wszystko, co chciał dać jej do zrozumienia, nadal jednak nie mówiła nic; czepiała się kurczowo pozorów niewiedzy jako środka obrony, starając się zyskać na czasie, który był obecnie jedynym jej sprzymierzeńcem.

Jego oczy nakazywały, aby przemówiła, nadal więc grzejąc ręce przy ogniu, zmusiła się do uśmiechu.

– Ksiądz pastor istotnie raczy dziś mówić zagadkami.

Nie odpowiedział od razu; usłyszała, że znów przełknął ślinę, po czym pochylił się do przodu, zmieniając nagle temat.

– Straciłaś do mnie zaufanie, zanim jeszcze dziś wróciłem – rzekł. – Otworzyłaś moje biurko i znalazłaś rysunek. Zaniepokoił cię. Nie, nie widziałem tego. Nie mam zwyczaju podglądać przez dziurkę od klucza. Zauważyłem po prostu, że ktoś poruszył papier. Zadałaś sobie pytanie, które zadawałaś już przedtem: „Cóż to za człowiek, ten pastor z Altarnun?“, a kiedy usłyszałaś moje kroki na ścieżce, skuliłaś się w fotelu przy kominku, byle tylko nie spojrzeć mi

w oczy. Nie bój się mnie, Mary. Nic już nie trzeba udawać, możemy być ze sobą zupełnie szczerzy.

Mary spojrzała na niego i zaraz odwróciła głowę; w oczach jego wyczytała coś, czego nie chciała dopuścić do świadomości.

– Bardzo przepraszam, że otworzyłam biurko – powiedziała. – To niewybaczalne i sama dotychczas nie rozumiem, jak to się stało. Co się tyczy rysunku, nie znam się na takich rzeczach i nie potrafię powiedzieć, czy jest dobry, czy zły.

– Mniejsza, czy jest dobry, czy zły, chodzi o to, że cię przeraził.

– Tak, księżę pastorze, przeraził mnie.

– Powiedziałaś sobie znów: „Ten człowiek jest dziwolągiem, wybrykiem natury, a jego świat nie jest moim światem”. Miałaś słuszność, Mary. Żyję w dawnych czasach, kiedy ludzie nie byli tak pokorni jak dzisiaj. O, nie mam na myśli tych twoich bohaterów historycznych w haftowanych kabatach i obcisłych spodniach, ci nigdy mnie nie pociągali. Moje czasy to czasy najdawniejsze, kiedy morza i rzeki stanowiły jedną całość, a zapomniani dziś bogowie kroczyli po górach i wzgórzach.

Wstał i stanął przed kominkiem, gibki i smukły w swoim czarnym odzieniu, na którego tle odcinały się białe włosy i oczy. Głos miał teraz łagodny, jak wówczas, gdy go poznała.

– Gdybyś była badaczką pradziejów, zrozumiałabyś – rzekł. – Ale jesteś kobietą, żyjesz w dziewiętnastym stuleciu, dlatego też moje słowa wydają ci się dziwne. Owszem, jestem dziwolągiem, anachronizmem. Nie należę do obecnej epoki. Urodziłem się od razu z żalem do niej i z żalem do całej ludzkości. W dziewiętnastym wieku bardzo trudno jest o spokój. Cisza znikła, nawet z gór. Myślałem, że znajdę spokój w Kościele, ale dogmaty mi obmierzły, a w ogóle cały fundament wspiera się na bajkach. Sam Chrystus jest tylko szyldem, kukielką stworzoną przez człowieka. Ale o tym wszystkim możemy porozmawiać później, kiedy nikt nie będzie nam deptał po piętach. Mamy przed sobą całą wieczność.

Jedno przynajmniej jest dobre – nie mamy tłumoków ani tobołów, możemy wędrować swobodnie jak pradawni wędrowcy.

Mary wpatrywała się w niego, ściskając kurczowo poręczę fotela.

– Nie rozumiem księdza pastora.

– Ależ tak, rozumiesz mnie doskonale. Wiesz już, że to ja zabiłem oberżystę z Jamajki i jego żonę, a kramarz nie żyłby, gdybym wiedział o jego istnieniu. Przez ten czas, kiedy teraz do ciebie mówiłem, zestawiałaś sobie w myśli całość z poszczególnych części. Wiesz, że to ja kierowałem każdym posunięciem twego wuja i że był on tylko nominalnym przywódcą. Siadywałem tu z nim po nocach – zajmował fotel, na którym w tej chwili siedzisz – i razem wpatrywaliśmy się w mapę Kornwalii rozłożoną na stole. Joss Merlyn, postrach całej okolicy, obracał w rękę kapelusz i z respektem dotykał palcami czoła, ilekroć się do niego odzywałem. Był w tej grze jak dziecko, niezdolny do jakiegokolwiek czynu bez moich rozkazów, bezmyślny, buńczuczny zawadiaka, który ledwo potrafił odróżnić prawą rękę od lewej. Jego próżność stanowiła łączącą nas więź, bo im większym rozgłosem cieszył się wśród kompanów, tym bardziej był zadowolony. Powodziło nam się w naszych przedsięwzięciach, on wiernie mi służył i nikt inny nie wiedział o naszej spółce. Ty, Mary, stałaś się na naszej drodze kamieniem, o któryśmy się potknęli. Ze swoimi szeroko otwartymi oczkami i nieustraszoną, dociekliwą główką weszłaś między nas i zrozumiałem, że koniec jest bliski. I tak zresztą wyczerpaliśmy już wszystkie możliwości gry, czas był najwyższy ją zakończyć. Jakże mi wciąż nie dawałaś spokoju z właściwą sobie odwagą i uczciwością i jakże cię za to podziwiałem! Oczywiście musiałaś usłyszeć mnie w pustym pokoju na górze i musiałaś potem prześliznąć się na dół i zobaczyć sznur na belce. To był dla ciebie pierwszy punkt zaczepienia. Później znów wykradłaś się na torfowiska za wujem, który miał ze mną umówione spotkanie na Roughtorze, a kiedy zgubiłaś go w ciemnościach, trafiłaś na mnie i uczyniłaś swoim powiernikiem. Cóż, zostałem twoim przyjacielem, nie zaprzeczysz, i udzieliłem ci dobrej rady, prawda? Lepszej nie udzieliłby ci sam sędzia pokoju, wierz mi. Twój wuj nie wiedział wcale o naszym dziwnym przymierzu, a gdyby nawet wiedział, i tak by nic nie zrozumiał.

Sam ściągnął na siebie śmierć przez swoje nieposłuszeństwo. Znałem już twoją determinację i wytrwałość, wiedziałem, że zadenuncjujesz go przy pierwszej sposobności. Wobec tego nie powinien był dać ci takiej sposobności, bo tylko czas mógł uspokoić twoje podejrzenia. Ale twój wuj musiał upić się w Wigilię, dostać szału i postępując jak dzikus i głupiec, postawić całą okolicę na nogi. Wiedziałem wówczas, że się zdradził, a mając stryczek na szyi, zagra ostatnim atutem i wyda mnie jako swego rozkazodawcę. Musiał więc umrzeć, Mary, podobnie jak twoja ciotka, która była jego cieniem, a gdybyś ty była w oberży wczoraj wieczorem, kiedy tamtędy przejeżdżałem, ty byś również... Nie, ty byś nie zginęła.

Nachylił się, chwycił ją za obie ręce i zmusił, żeby wstała i spojrzała mu w oczy.

– Nie – powtórzył – ty byś nie zginęła. Poszłabyś za mną, jak pójdziesz dzisiaj.

Patrzyła na niego, obserwując jego oczy. Nic z nich nie mogła wyczytać – przejrzystych i zimnych jak zawsze – ale ręce zaciśnięte były mocno na jej przegubach i czuła, że tak łatwo jej nie puszcza.

– Myli się pan – rzekła. – Zabiłby mnie pan wczoraj tak samo, jak zabije mnie teraz. Bo ja z panem nie pójdę, panie Davey.

– Raczej śmierć niż hańba? – powiedział z uśmiechem, który przemknął po jego wąskich wargach. – Nie stawiam cię wobec takiego dylematu. Zacerpnęłaś znajomość świata ze starych ksiąg, Mary, w których zły ma długi ogon pod peleryną i ogień bucha mu z nozdrzy. Po prostu dowiodłaś, że jesteś niebezpieczną przeciwniczką, i wolę mieć cię po swojej stronie. Proszę, wyrażam ci w ten sposób uznanie. Jesteś młoda, masz pewien urok, którego bardzo bym nie chciał zniweczyć. Poza tym przyjdzie czas, że nawiążemy znów nić przyjaźni, tak raptownie dziś zerwaną.

– Ma pan słuszność, traktując mnie jak dziecko i jak idiotkę – rzekła Mary. – Tak się właśnie zachowuję od chwili, kiedy natknęłam się na pańskiego konia owego wieczoru w listopadzie. Nasza rzekoma przyjaźń była haniebnym szyderstwem i udzielał mi pan rad, mając na rękach nieobeschłą jeszcze krew

niewinnego człowieka. Mój wuj był przynajmniej uczciwy; pijany czy trzeźwy, rozpowiadał o swoich zbrodniach i widział je w snach – były jego zmorą. Ale pan... nosi pan ubiór kapłana Bożego, aby się uchronić przed podejrzeniami, kryje się pan pod osłoną krzyża. Pan mówi mi o przyjaźni...

– W swym oburzeniu i odrazie jeszcze bardziej mi się podobasz, Mary – odparł. – Masz w sobie ogień, jaki cechował pradawne kobiety. Towarzystwo twoje jest rzeczą nie do pogardzenia. Daj spokój, nie dyskutujmy teraz o sprawach religii. Kiedy mnie lepiej poznasz, powrócimy do tego tematu i opowiem ci, jak szukałem uciezki przed samym sobą na łonie chrystianizmu i przekonałem się, że Kościół zbudowano na nienawiści, zawiści i chciwości, czyli na wszystkich stworzonych przez człowieka atrybutach cywilizacji, gdy tymczasem pradawne pogańskie barbarzyństwo było czymś nagim i czystym. Przepełniło mnie obrzydzenie... Biedna Mary, tak mocno osadzona w dziewiętnastym wieku, z tą twarzyczką zaskoczonego fauna, wpatrzoną w moją twarz. Tak, przyznaję, jestem dziwolągiem, jestem w twoim małym światku potworem. Czyś już gotowa? Twoje okrycie wisi w holu, a ja czekam.

Cofnęła się pod ścianę, spoglądając na zegar, Francis Davey jednak nie puścił jej rąk, lecz jeszcze mocniej je ścisnął.

– Zrozum – powiedział łagodnie. – Dom jest pusty, wiesz o tym, a krzyków, żalonych w swej wulgarności, nie usłyszy nikt. Poczciwa Hannah siedzi przy kominku u siebie w domu, po drugiej stronie kościoła. Jestem silniejszy, niż przypuszczasz. Biedna biała fretka sprawia wrażenie słabiutkiej, prawda? To cię wprowadza w błąd, ale twój wuj znał moją siłę. Nie chcę sprawić ci bólu, Mary, ani pozbawiać cię tej odrobiny urody, jaką posiadasz, ale jeśli nadal będziesz mi się opierała, będę musiał ważyć się na to dla świętego spokoju. No, posłuchaj, gdzież ten duch przygody, który ci zawsze przyświecał? Gdzie twoja odwaga, twoja waleczność?

Zegar podpowiedział Mary, że Francis Davey przekroczył już wyznaczoną sobie granicę czasu i musi się śpieszyć. Ukrywał zniecierpliwienie, ona jednak dostrzegła je w mruganiu powiek, w zaciśniętej linii warg. Było w pół do

dziewiątej, Jem do tego czasu z pewnością dojechał już do Warleggan i porozumiał się z kowalem. Dzieli ich jakieś dwanaście mil, ale nie więcej. A Jem nie jest taki głupi jak ona. Zastanawiała się szybko, ważąc szanse powodzenia i przegranej. Jeżeli pojedzie teraz z Daveyem, będzie mu kulą u nogi, zwolni tempo ucieczki: to rzecz nieuchronna, którą na pewno w swoich planach bierze pod uwagę. Pościg wkrótce się rozpocznie i jej obecność w końcu musi Daveya zdradzić. Jeżeli odmówi wyruszenia, cóż, w najlepszym razie dostanie nożem w serce, bo Davey mimo wszystkich pochlebstw na pewno nie zechce dźwigać ze sobą rannej towarzyszki.

Wspomniał o jej waleczności i o duchu przygody. No cóż, przekona się, jak daleko może ją zaprowadzić odwaga, przekona się, że potrafi tak samo jak on postawić życie na jedną kartę. Jeżeli jest obłąkany – a tak Mary sądzi – obłąd doprowadzi go do zguby; jeżeli nie jest obłąkany, ona będzie mu taką samą przeszkodą, jaką była od początku; dziewczęcy jej spryt stoczy walkę z jego rozumem. Mary ma po swojej stronie słuszność i wiarę w Boga, on jest wygnańcem w piekło, które sam sobie stworzył.

Powzięła tedy decyzję, uśmiechnęła się i spojrzała mu w oczy.

– Jadę z panem, panie Davey – rzekła – ale ostrzegam: będę cierniem w pańskim boku i kłodą na pańskiej ścieżce. Pożałuje pan tego w końcu.

– Jedź jako wróg czy jako przyjaciel, to mi obojętne – odparł. – Będziesz mi kamieniem młyńskim u szyi, ale tym bardziej będziesz mi się przez to podobała. Wkrótce odrzucisz fanaberie, zapomnisz o nędznych przesądach cywilizacji, które ci wpojono w dzieciństwie. Nauczę cię, Mary, takiego życia, jakiego mężczyźni i kobiety nie znają od przeszło czterech tysięcy lat.

– Nie będę odpowiednią towarzyszką na pańskiej drodze.

– Na drodze? Kto tu mówi o drogach? Ruszymy przez torfowiska, przez wzgórza, będziemy stąpali po skałach i wrzosach jak niegdyś druidowie.

Omam nie roześmiała mu się w twarz, lecz on skierował się ku drzwiom i otworzył je przed nią, ona zaś z ironicznym ukłonem wyszła na korytarz. Ogarnął

ją teraz całkowicie duch przygody i nie lękała się już ani Daveya, ani nocy. Nic nie miało teraz znaczenia, bo ten, którego kochała, był na wolności, niesplamiony niczyją krwią. Mogła go kochać bez uczucia wstydu, gdyby chciała, krzyczeć w głos o swej miłości; wiedziała, co dla niej zrobił, wiedziała, że do niej wróci. W wyobraźni słyszała już, jak ściga ich konno, słyszała jego okrzyk triumfu.

Poszła za Daveyem do stajni, gdzie stały osiodłane konie. Na ten widok nie była przygotowana.

– Nie bierze pan bryczki? – spytała.

– Nie dość mi kłopotu z tobą, żebym miał brać dodatkowe obciążenie? – odparł. – Nie, Mary, musimy być wolni i swobodni. Umiesz przecież jeździć konno, każda kobieta urodzona na wsi to potrafi; a ja będę trzymał twojego konia za uzdę. Szybkości, niestety, obiecać nie mogę, bo kuc już się dzisiaj natrudził i niechętnie będzie nam służył, a siwy, jak wiesz, okulał i mała będzie z niego pociecha. Ach, Urwisie, nie wiesz, że ten odjazd jest z twojej głównie winy. Kiedyś zgubił hufnal na wrzosowisku, zdradziłeś swego pana. Za karę musisz teraz nieść na grzbiecie kobietę.

Noc była ciemna, w powietrzu czuło się przykrą wilgoć, zimny wiatr przeszywał na wskroś. Niebo zalegały nisko wiszące chmury, przesłaniając księżyc. Znikąd ani odrobiny światła, niepodobna było liczyć na to, że ktoś dostrzeże z daleka konie. Pierwszy rzut kości był więc dla Mary niepomyślny, a noc sprzyjała pastorowi z Altarnun. Mary wspięła się na siodło, zastanawiając się, czy głośne wołanie o ratunek obudzi śpiącą wieś, ale w tej samej chwili, gdy o tym pomyślała, poczuła, że ręka pastora wsadza jej stopę w strzemię, a rzuciwszy okiem na dół, dostrzegła pod jego peleryną błysk stali. On podniósł głowę i uśmiechnął się.

– Niemądry pomysł, Mary – powiedział. – W Altarnun ludzie chodzą wcześniej spać, a zanimby się rozczmuchali i przetarli oczy, byłbym już daleko na tamtym torfowisku, a ty... ty leżałabyś twarzą w dół, mając za poduszkę mokrą trawę, i koniec byłby z twoją młodością i urodą. Ruszajmy! Jeżeli zziębły ci ręce i nogi, jazda je rozgrzeje, a na siwym będzie ci się jechało bardzo wygodnie.

Nie powiedziała nic, ujęła tylko wodze. Za daleko już zabrnęła w tej grze, musiała teraz doprowadzić ją do końca.

On dosiadł gniadego kuca, przywiązał do niego siwka postronkiem i ruszyli w swą przedziwną podróż niby dwoje pielgrzymów.

Gdy mijali cichy kościół, zamknięty i osnuty mrokiem, Davey zdjął czarny kapelusz i uklonił się dwornie.

– Szkoda, że nie słyszałaś nigdy moich kazań – powiedział półgłosem. – Siadywali tam w ławkach niczym owce, tak jak ich narysowałem. Usta mieli otwarte, dusze uśpione. Kościół był dla nich tylko dachem nad głową i czterema murowanymi ścianami, a ponieważ na początku poświęciły go ręce ludzkie, sądzili, że jest miejscem świętym. Nie wiedzą, że pod kamieniem węgielnym leżą kości ich pogańskich przodków i tkwią dawne granitowe ołtarze, na których ongiś składano ofiary, długi czas przedtem, nim Chrystus umarł na krzyżu. Stałem o północy w kościele, Mary, i słuchałem ciszy. W powietrzu rozlegają się szepty i szmery buntu, co pochodzą z głębi ziemi i nie wiedzą nic o kościele ani o Altarnun.

Słowa jego odbiły się echem w jej mózgu, kierując myśli ku ciemnemu korytarzowi Jamajki. Przypomniała sobie, jak stała tam nad ciałem wuja i czuła płynącą z murów grozę, zrodzoną z dawnej jakiejś sprawy. Śmierć wuja nie była niczym doniosłym, stanowiła jedynie powtórzenie czegoś, co zdarzyło się niegdyś, dawno, dawno temu, kiedy wzgórze, na którym wznosi się dziś Jamajka, było tylko skałą porośniętą gdzieniegdzie wrzosem. Mary przypomniała sobie, że zadrżała, jak gdyby pod dotknięciem zimnej, nieludzkiej ręki; zadrżała i teraz, spoglądając na Francisa Daveya, na jego białe włosy i oczy: oczy, które widziały zamierzchną przeszłość.

Wjechali na skraj torfowiska, na kamienistą drogę wiodącą do brodu, przebyli strumień i znaleźli się w czarnym sercu torfowiska. Nie było tu już żadnych dróg ani ścieżek, tylko kępy twardej trawy i zeschnięte badyle wrzosów. Konie raz po raz potykały się o kamienie lub zapadały w miękkim gruncie okalającym bagniska, lecz Francis Davey znajdował drogę niczym jastrząb w powietrzu. Zatrzymywał się na sekundę, oglądał trawę pod kopytami, potem skręcał i już był na twardej ziemi.

Otoczające skały zasłaniały wszystko wokół, konie więc wkrótce ukryły się między pagórkami. Bok przy boku szły dziwnym, krótkim krokiem przez zarośla żarnowca.

Mary zaczęła stopniowo tracić nadzieję. Obejrzała się za siebie na czarne wzgórza. Mile rozpościerały się pomiędzy nią a Warleggan, North Hill należało już do innego jak gdyby świata. Torfowiska miały w sobie pradawny, zły czar, były niedostępne, ciągnęły się w nieskończoność. Francis Davey znał ich tajemnice i poruszał się w mroku swobodnie jak ślepiec we własnym domu.

– Dokąd jedziemy? – spytała w końcu Mary, a on zwrócił do niej głowę, uśmiechnął się spod runda kapelusza i wskazał na północ.

– Przyjdzie czas, kiedy przedstawiciele prawa będą patrolowali wybrzeża Kornwalii – rzekł. – Mówiłem ci o tym podczas naszej ostatniej wspólnej jazdy z Launceston. Ale dziś i jutro nie spotkamy tam jeszcze nikogo; tylko dzikie ptactwo i mewy krążą po skalistych urwiskach od Boscastle do Hartland. Atlantyk od dawna jest moim przyjacielem, być może bardziej surowym i bezlitosnym, niżbym sobie życzył, ale zawsze przyjacielem. Słyszałaś o statkach, Mary, chociaż ostatnimi czasy wolałaś o nich nie wspominać. Otóż taki statek zabierze nas z Kornwalii.

– Mamy więc opuścić Anglię?

– Cóż innego proponujesz? Po dzisiejszym dniu pastor z Altarnun musi zerwać z Kościołem i znów stać się zbiegiem. Zobaczysz Hiszpanię, Mary, i Afrykę także, poznasz, co to prawdziwe słońce. Jeżeli zechcesz, poczujesz pod stopami piasek pustyni. Wszystko mi jedno, dokąd pojedziemy, wybór będzie należał do ciebie. Dlaczego uśmiechasz się i kiwasz głową?

– Uśmiecham się, bo wszystko, co pan mówi, to czysta fantazja i niepodobieństwo. Wie pan równie dobrze jak ja, że ucieknę od pana przy pierwszej sposobności, może w pierwszej wiosce. Pojechałam z panem tylko dlatego, że w przeciwnym razie zabiłby mnie pan, ale w biały dzień, w pobliżu osiedli i ludzi będzie pan równie bezsilny jak ja teraz.

– Jak sobie życzysz, Mary. Przewidziałem to niebezpieczeństwo i jestem na nie przygotowany. Zapominasz w swym zadufaniu, że północne wybrzeże Kornwalii jest całkiem odmienne od części południowej. Pochodzisz z Helfordu, gdzie śliczne drogi wiją się wzdłuż rzeki, gdzie wioski ciągną się sznurem jedna za drugą, a przy drogach stoją domy i chaty. Wybrzeże północne, jak się sama przekonasz, nie jest bynajmniej tak gościnne. To bezludne pustkowie, takie samo jak te torfowiska, i dopóki nie dojedziemy do przystani, którą mam na myśli, nie ujrzysz żadnej twarzy ludzkiej prócz mojej.

– Przypuśćmy, że tak będzie – oświadczyła Mary z gniewem, którego podłożem był strach. – Przypuśćmy, że dojedziemy do morza, wsiądziemy na ten pański czekający statek i odpłyniemy. Proszę bardzo, może pan wymienić każdy kraj, jaki się panu podoba. Ale czy myśli pan, że pojedę tam z panem i nie zdemaskuję pana, mordercy ludzi?

– Do tego czasu zapomnisz o tym wszystkim, Mary.

– Zapomnę o tym, że zabił pan siostrę mojej matki?

– Tak, o tym i o innych jeszcze rzeczach. Zapomnisz o torfowiskach, o oberży, o własnych twoich niepewnych stopkach, które trafiły przypadkiem na moją ścieżkę. Zapomnisz o swoich łzach na trakcie z Launceston i o młodym człowieku, który był ich powodem.

– Miło panu pozwalać sobie na wycieczki osobiste, panie Davey.

– Miło mi ranić cię do żywego. O, nie przygryzaj warg i nie marszcz brwi. Czytam w twoich myślach. Mówiłem ci już, że w swoim czasie słuchałem spowiedzi i znam marzenia kobiet lepiej, niż ty je znasz. Pod tym względem mam przewagę nad bratem oberżysty.

Uśmiech znów przemknął po jego wąskich wargach, ona zaś odwróciła głowę, żeby nie widzieć oczu, których spojrzenie ją poniżało.

Jechali dalej w milczeniu i po chwili zdało się Mary, że mroki nocy zgęstniały jeszcze bardziej. Nie widziała już otaczających wzgórz.

Konie ostrożnie posuwały się naprzód, ale raz po raz przystawały i parskały, jak gdyby ze strachu, niepewne drogi. Grunt stał się rozmokły, zdradliwy i choć Mary nie mogła już widzieć ziemi po bokach, wyczuwała, że wokół ciągną się moczary.

To było przyczyną lęku koni. Mary spojrzała na swego towarzysza, aby sprawdzić, w jakim jest nastroju. Pastor, pochylony w siodle, wyteżał oczy w coraz gęstszym mroku i po napiętej linii profilu i zaciętych ustach poznała, że skupia całą uwagę na drodze, wobec niebezpieczeństwa, którego się nie spodziewał. Zdenerwowanie konia udzieliło się Mary. Przypomniała sobie te mokradła, widziane za dnia, brunatne kępy trawy kołyszące się na wietrze, dalej wysoką, cienką trzcinę, drżącą i szeleszczącą przy najlżejszym powiewie, za nią zaś czekającą w ciszy czarną wodę. Wiedziała, że nawet rdzenni mieszkańcy torfowisk potrafią się tu pomylić i zejść z bezpiecznej ścieżki, że ktoś, kto kroczy pewnie przed siebie, może naraz potknąć się i w jednej chwili utonąć. Francis Davey zna dobrze torfowiska, ale nawet on nie jest nieomylny, może zabłądzić w ciemnościach.

Gdzieś szemrał i śpiewał potok. Potok płynący po kamieniach słychać było zwykle z odległości mili lub nawet dalej, ale woda bagnisk nie wydawała dźwięku. Pierwszy fałszywy krok mógł być krokiem ostatnim. Nerwy Mary napięte były w oczekiwaniu najgorszego, na pół świadomie przygotowywała się już do tego, że zeskoczy z siodła, gdyby koń zachwiał się nagle i z okropnym pluskiem zanurzył się w groźnych chwastach. Usłyszała, że towarzysz jej przełknął ślinę, odgłos ten wzmógł jej lęk jeszcze bardziej. Davey spojrzał w prawo i w lewo, zdjął przy tym kapelusz, żeby lepiej widzieć. Krople wilgoci lśniły mu już we włosach i osiadały na ubraniu. Mary patrzyła na opary wznoszące się z terenu położonego niżej. Czuła kwaśny odór gnijącej trzciny. Naraz tuż przed nimi, zagrządzając drogę, wyrosła biała ściana mgły, tłumiąca wszelkie dźwięki, niedopuszczająca żadnych zapachów.

Davey ściągnął wodze i konie usłuchały go natychmiast. Drżały i parskały, para z ich boków łączyła się z mgłą.

Czekali chwilę, gdyż mgła na torfowiskach znika czasem równie nagle, jak spada, ale tym razem nie czuło się oczyszczającego tchnienia wiatru, nie widać

było rozplywających się nici. Mgła spowijała ich gęstą pajęczyną.

Francis Davey zwrócił głowę do Mary. Wyglądał jak duch, ale twarz jego była nadal białą, nieprzeniknioną maską.

– Bogowie są dla mnie niełaskawi – rzekł. – Znam od dawna tutejsze mgły, ta nie rozwieje się wcześniej niż za kilka godzin. Jazda dalej przez grzędawiska byłaby gorszym jeszcze szaleństwem od zawrócenia. Musimy czekać świtu.

Mary nie odezwała się. Zaczęła powracać do niej nadzieja, zaraz jednak przypomniała sobie, że mgła utrudnia pościg i jest takim samym wrogiem myśliwych, jak i zwierzyny.

– Gdzie jesteśmy? – spytała, na co on ujął znów jej wodze i skierował konie w lewo, na wyższy teren, aż wreszcie zjechali z chybotliwej trawy i znaleźli się na twardym wrzosowisku. Biała mgła szła za nimi krok w krok.

– Odpoczniesz w końcu, Mary – powiedział Davey. – Jaskinia będzie ci schronieniem, a granit łóżem. Jutro może powrócisz do świata, ale dziś będziesz spała na skale Roughtor.

Konie z wysiłkiem, powoli, wspinały się na czarne zbocze. Potem Mary, otulona peleryną, siedziała jak widmowa postać przy kamiennej płycie. Kolana podciągnęła aż pod brodę, otoczyła je ramionami, mimo to jednak zimne powietrze przenikało przez fałdy okrycia i docierało do skóry. Wielki, poszarpany szczyt skały wznosił się ponad mgłą ku niebu jak korona, niżej zaś chmury wisiały grubą, niezmienną warstwą, tworząc zwartą, nieprzebytą ścianę.

Powietrze było tu świeże i kryształowo czyste, w przeciwieństwie do świata tam w dole, gdzie żywe istoty musiały błądzić po omacku we mgle. Wiatr szeptał wśród kamieni i poruszał gałązkami wrzosu, inny zaś powiew, ostry i zimny jak nóż, przemykał po płytach ołtarzy i odbijał się echem w pieczarach. Wszystkie te odgłosy łączyły się w jakiś szczególny poszum.

Chwilami wszystko milkło i zapadała dawna, martwa cisza. Konie stały pod osłoną wielkiego głazu, przytulone do siebie łbami, ale one również wyraźnie były niespokojne, bo raz po raz zwracały oczy ku swemu panu. Ten siedział opodal,

o kilka jardów od towarzyszki, lecz co pewien czas czuła na sobie jego spojrzenie, przenikliwe, wążące szanse powodzenia. Miała się wciąż na baczności, w każdej chwili gotowa do odparcia ataku, ilekroć więc poruszył się nagle lub obrócił na swoim kamiennym łożu, odrywała ręce od kolan, zaciskała pięści i czekała.

Powiedział jej, żeby spała, ale o śnie tej nocy nie mogło być mowy.

Gdyby poczuła senność, starałaby się ją odpędzić, walczyłaby z nią, jak się walczy z wrogiem. Wiedziała, że może ulec senności nagle, zanim zda sobie z niej sprawę, a później obudzi się, czując na szyi dotknięcie zimnych rąk i widząc nad sobą bladą twarz. Ujrzy aureolę krótkich białych włosów i nieruchome, pozbawione wyrazu oczy, płonące ogniem, który już raz widziała. Tu przecież jest jego królestwo, w tej samotni, w tej ciszy, gdzie strzegą go wielkie, groźne zwały granitu, a z dołu osłania biała mgła. W pewnej chwili usłyszała, że chrząknął, jak gdyby chciał coś powiedzieć. Jakże daleko są od wszelkiego życia, pomyślała, dwoje ludzi strąconych w wieczność. To koszmar, ta noc nigdy się nie skończy, dzień już nie nadejdzie, wkrótce więc ona sama zginie, przestanie istnieć, wtopi się w jego cień.

On jednak nie powiedział nic, a z ciszy znów doleciał szum wiatru. Wznosił się i opadał, zawodząc wśród kamieni. Był to nowy wiatr, który łkał i płakał, wiatr znikąd, z żadnego wybrzeża morskiego. Zrywał się po prostu z głazów, z ziemi pod nimi, śpiewał w pieczarach i w szczelinach skalnych, zaczynał od westchnienia, a kończył lamentem. Rozbrzmiewał w powietrzu jak chór umarłych.

Mary otuliła się szczelniej peleryną, nasunęła na uszy kaptur, aby tłumić dźwięki, wiatr jednak wciąż przybierał na sile, szarpał ją za włosy, a jakiś podmuch wpadł z piskiem do jaskini za jej plecami.

Ciężka mgła w dole wciąż czepiała się uparcie ziemi, najlżejszy powiew nie starał się rozwiać chmur. Tu, na szczycie, wiatr złościł się i płakał, szeptał o strachu, szlochał nad wspomnieniami dawnego rozlewu krwi i minionej rozpacz, a jakaś niesamowita, zagubiona nuta odbijała się echem wśród zwałów granitu nad głową Mary, na samym wierzchołku skały, jak gdyby bogowie we własnych osobach stali tam, wznosząc wielkie głowy ku niebu. W wyobraźni słyszała szept

tysiąca głosów, tupot tysiąca nóg, widziała, jak głązy obok niej zamieniają się w ludzi. Twarze mieli pozbawione ludzkiego wyrazu, starsze od czasu, surowe i kanciaste niczym granit, mówili językiem, którego Mary nie rozumiała, a palce ich rąk i nóg były zakrzywione jak ptasie szpony.

Obracali ku niej kamienne oczy, lecz jej nie widzieli, spoglądali gdzieś poza nią i czuła, że jest jak liść na wietrze, niesiona bez celu to w tę, to w ową stronę, gdy tymczasem oni, pradawne potwory, żyją i trwają.

Szli ku niej ramię w ramię, nie widząc jej ani nie słysząc, sunęli naprzód jak ślepcy, niosąc jej nieuchronną zagładę. Krzyknęła i zerwała się na nogi, drżąc na całym ciele.

Wiatr ucichł, czuła na włosach tylko leciutkie tchnienie; zwały granitu były ciemne i nieruchome jak przedtem, a Francis Davey obserwował ją, podpierając ręką brodę.

– Zasnąłaś – rzekł, ale odparła, że nie, sama w to nie wierząc, choć w myśli wciąż zmagą się ze snem, który snem nie był. – Jesteś zmęczona, a mimo to upierasz się przy tym, żeby czuwać do świtu – powiedział. – Dopiero północ, do rana daleko. Uspokój się, Mary, i śpij. Myślisz, że chcę cię skrzywdzić?

– Nic nie myślę, ale nie mogę spać.

– Zziębłaś do szpiku kości, skulona i oparta plecami o kamienną płytę. Mnie jest niewiele cieplej, ale tu w załomie skalnym przynajmniej nie ma przeciągu. Najlepiej byśmy zrobili, gdybyśmy się postarali wzajemnie ogrzać.

– Mnie nie jest zimno.

– Proponuję to, bo wiem coś niecoś o tutejszych nocach – rzekł. – Najzimniejsze są godziny przed świtem. Niemądrze robisz, że siedzisz sama. Chodź, oprzyj się o mnie, plecami o plecy. Wtedy może zaśniesz. Nie mam ani zamiaru, ani ochoty cię dotknąć.

W odpowiedzi pokręciła tylko głową i zacisnęła ręce pod okryciem. Nie widziała jego twarzy, siedział bowiem w cieniu, zwrócony do niej profilem, czuła jednak, że uśmiecha się w ciemnościach, drwiąc z jej strachu. Zimno jej było, jak

powiedział, całym ciałem pragnęła ciepła, ale nie chciała szukać u niego opieki. Ręce jej zdrętwiały, nóg wcale już nie czuła, zdawało się, że zamieniła się w granit. Zapadała co chwila w sen, a wtenczas ukazywał się on, Davey, olbrzym o białych włosach i oczach, który dotykał jej szyi i szeptał coś do ucha.

Wkraczała w nieznaną, nowy świat, zaludniony takimi jak on, którzy rozpościerali ramiona i nie pozwalali przejść dalej. Wtem budziła się nagle, przywołana do przytomności lodowatym podmuchem wiatru, i okazywało się, że nic się nie zmieniło, nadal panują mrok, mgła, noc, a upłynęło zaledwie sześćdziesiąt sekund.

Chwilami szła z nim przez Hiszpanię, on zrywał dla niej olbrzymie kwiaty z purpurowymi główkami, wciąż się do niej uśmiechając, a kiedy odrzucała od siebie kwiaty, czepiały się jej spódnicy jak macki, wpełzały na szyję, zamykały ją w potwornym, śmiertelnym uścisku.

Albo jechała z nim powozem, niskim i czarnym jak żuk, a ściany zwierzały się nagle, dusząc oboje, wyciskając ostatnie tchnienie z ciał, aż te ciała stawały się płaskie, zmiażdżone i leżały przy sobie, porzucone na wieki wieków niby dwie granitowe płyty.

Z tego snu ocknęła się nagle, czując na ustach jego rękę, i tym razem nie była to halucynacja znużonego umysłu, lecz okropna rzeczywistość. Usiłowała się wyrwać, ale trzymał ją mocno, chrapliwym głosem nakazując milczenie.

Wykręcił jej ręce za plecami, związał je bez pośpiechu i bez cienia brutalności, lecz spokojnie, dokładnie, używając własnego paska. Więzy były mocne, ale nie sprawiały bólu, on zresztą sprawdził palcem, czy pasek nie ociera jej skóry.

Następnie wyjął z kieszeni chustkę, złożył ją, wsadził jej do ust i końce związał na karku, nie mogła więc już mówić ani krzyczeć, mogła tylko leżeć i czekać na następne jego posunięcie.

Kiedy to wszystko zrobił, pomógł Mary wstać, nogi bowiem miała wolne i mogła chodzić. Zaprowadził ją nieco dalej za wielkie granitowe głazy na zboczu wzgórza.

– Muszę to zrobić, Mary, przez wzgląd na nas oboje – powiedział. – Wczoraj wieczorem, kiedyśmy wyruszyli, nie wziąłem pod uwagę mgły. Jeżeli teraz przegram, będzie to z jej powodu. Posłuchaj, a zrozumiesz, dlaczego cię związałem i dlaczego twoje milczenie może nas jeszcze uratować.

Stanął na skraju skały i trzymając Mary za ramię, wskazał na dół, w kierunku białej mgły.

– Słuchaj – powiedział znowu. – Może masz lepszy słuch ode mnie.

Zrozumiała teraz, że musiała spać dłużej, niż się jej zdawało, bo ciemności zaczęły się z wolna rozpraszać. Nisko wiszące chmury wlokły się po niebie jakby przemieszane z mgłą, ale na wschodzie nikły blask zwiastował nadejście bladego, opornego słońca.

Mgła wciąż nie ustępowała, okrywając białym kocem leżące w dole torfowiska. Mary spojrzała w kierunku, który Davey wskazywał ręką, nie widziała jednak nic prócz oparów i wrzосу ociekającego wodą. Potem wsłuchiwała się, jak zalecił, i z oddali, spod warstwy mgły, dobiegły jakieś odgłosy, coś pośredniego między krzykiem a wołaniem. Zrazu trudno było rozróżnić, co to za dźwięki, ton bowiem był dziwny, niepodobny do ludzkiego głosu. Zbliżały się jednak, coraz wyraźniej rozrywając ciszę, coraz silniejsze, jakby podniecone. Francis Davey spojrzał na Mary. Mgła nadal lśniła na jego rzęsach i włosach.

– Wiesz, co to jest? – spytał.

Pokręciła głową, zresztą gdyby nawet mogła mówić, nie potrafiłaby odpowiedzieć na to pytanie. Nigdy jeszcze nic podobnego nie słyszała. Uśmiechnął się wówczas zjadliwie.

– Ja raz słyszałem i zapomniałem o tym, że dziedzic z North Hill trzyma w psiarni sforę ogarów. Wielka to szkoda dla nas obojga, Mary, że o tym nie pamiętałem.

Zrozumiała wreszcie, a słysząc dalekie, niecierpliwe ujadanie, spojrzała z przerażeniem w oczach na towarzysza, a następnie przeniosła wzrok na dwa konie stojące nadal spokojnie przy głazach.

– Tak – rzekł, idąc za jej spojrzeniem – musimy puścić je luzem i przepędzić na dół, na torfowiska. Nie mogą nam się już przydać, a sprowadziłyby tylko na nas całą sforę. Biedny Urwisie, raz jeszcze byłbyś mnie zdradził.

Ze ściśniętym sercem patrzyła, jak odwiązuje konie i prowadzi je nad strome zbocze. Tam nachylił się, zebrał garść kamieni i obsypywał konie gradem uderzeń, aż zaczęły się ślizgać i potykać wśród rosnących tu i ówdzie mokrych paproci, gdy zaś atak nie ustawał, instynkt zmusił je w końcu do ucieczki. Parskając z przerażenia, pognały stromym zboczem w dół i znikły wśród białych oparów. Ujadanie ogarów zbliżyło się, głośnie, natarczywe. Francis Davey podbiegł do Mary, zrzucając z ramion długi czarny płaszcz i ciskając kapelusz między wrzosy.

– Chodź – powiedział. – Czyśmy przyjaciele, czy wrogowie, grozi nam wspólne niebezpieczeństwo.

Wdrapywali się po zboczu wśród głazów i płyt. Davey obejmował Mary ramieniem, gdyż mając związane ręce, poruszała się z trudem. Omijali załomy skalne, przeciskali się przez szczeliny, brnąc po kolana w mokrych paprociach i czarnych wrzosach, wspinali się coraz wyżej, aż dotarli na sam szczyt skały Roughtor. Tu na wierzchołku granit wygięty był w sposób przedziwny, tworząc coś na kształt dachu. Mary padła bez tchu przy wielkiej płycie, krew płynęła jej z zadraśnięć i zadrapań, Davey jednak piął się wyżej, znajdując oparcie dla stóp w zagłębieniach granitu. Wyciągnął ręce do Mary i choć kręciła głową i dawała znaki, że nie może już iść, nachylił się i szarpnięciem postawił ją na nogi. Potem przeciął pas krępujący jej ręce i wyrwał z ust chustkę.

– Ratuj się więc sama, jeśli zdołasz! – krzyknął.

Oczy płonęły mu w bladej twarzy, biała aureola włosów powiewała na wietrze. Mary uczepliła się kurczowo kamiennego stołu jakieś dziesięć stóp nad ziemią, zdyszana, wyczerpana do ostateczności, gdy on wspinał się dalej, wyżej, a jego smukła czarna postać na gładkiej powierzchni skały sprawiała wrażenie gąsienicy. Szczekanie psów dolatujące spod nieprzeniknionej warstwy mgły wydawało się niezemskie, nadprzyrodzone, jednocześnie zaś rozległy się krzyki i nawoływania mężczyzn, wypełniając powietrze zgiełkiem tym bardziej przerażającym, że źródło

jego pozostawało niewidoczne. Chmury sunęły szybko po niebie, nad wieńcem mgły zabłysło żółtawe światło. Mgła rozdzieliła się i rozpadła. Wznosiła się do góry krętą kolumną pary, wchłanianą od razu przez chmury, ziemia zaś, którą mgła tak długo okrywała, patrzyła teraz w niebo jak nowo narodzona. Mary rzuciła okiem na zbocze. Ludzie, niby czarne kropki, nurzali się po kolana we wrzosach, skowyczące zaś psy, cynobrowobrazowe na tle szarego kamienia, snuły się wśród głązów jak szczury.

Ruszyli szybko tropem, pięćdziesięciu ludzi czy może nawet więcej, w miarę zaś jak się zbliżali, granie ogarów odbijało się głośnym echem w szczelinach i cichym kwileniem w grotach.

Chmury rozproszyły się, podobnie jak przedtem mgła, i skrawek nieba wielkości męskiej dłoni zalśnił błękitem nad ich głowami.

Ktoś znów coś krzyknął i mężczyzna, który klęczał na wrzosowisku niecałe pięćdziesiąt jardów od Mary, podniósł strzelbę do ramienia i strzelił.

Kula odbiła się od głązu, nie czyniąc Mary krzywdy, a gdy mężczyzna wstał, ujrzała, że jest to Jem i że jej nie widział.

Wystrzelił znowu. Tym razem kula świsnęła koło ucha i Mary poczuła na policzku jej tchnienie.

Ogary nikły wśród paproci i znów się wyłaniały, jeden wskoczył na występ skalny poniżej miejsca, w którym znajdowała się Mary, wielkim nosem obwąchiwał pilnie granit. Jem strzelił raz jeszcze. Mary obejrzała się za siebie i wysoko nad głową ujrzała na tle nieba czarną sylwetkę Francisa Daveya, stojącą na szerokiej płycie jak na ołtarzu. Stał przez chwilę nieruchomo jak posąg, białe włosy powiewały na wietrze, potem rozpostarł ramiona, jak ptak rozpościera skrzydła do lotu, pochylił się nagle i z granitowego szczytu runął w dół na mokre wrzosowisko między drobne, ostre kamienie.

18

Był mroźny, pogodny dzień na początku stycznia. Doły i wyboje gościńca, zazwyczaj pełne gęstego błota lub wody, pokryła cienka warstwa lodu, koleiny zaś posiwiały od szronu.

Szron przesunął też białą dłonią po torfowiskach, które ciągnęły się teraz do widnokrzęgu poblądłe, nieokreślonej barwy, będąc żalonym przeciwstawieniem lśniącego błękitu nieba. Grunt stwardniał, krótka trawa chrzęściła pod nogami jak żwir. W krainie łąk i żywopłotów promienie słońca rozsiewałyby ciepło, tworząc pozór wiosny, tutaj jednak powietrze było ostre, szczypało w policzki, wszędzie wokół znać było mrozący dotyk zimy. Mary szła sama Bagniskiem Dwunastu Topielców, mocny wiatr bił jej w twarz. Zastanawiała się, czemu też Kilmar, wznoszący się na lewo od niej, stracił całą swą grozę i jest już tylko czarną poszarpaną skałą na tle nieba. Być może to lęk odbierał jej przedtem zdolność dostrzegania piękna, być może pod jego wpływem nie potrafiła oddzielać przyrody od ludzi, surowy bowiem krajobraz torfowisk kojarzył się nierozdzielnie ze strachem i nienawiścią, jakie budził w niej wuj i oberża Jamajka. Torfowiska nadal były posępne, wzgórza nieżyczliwe, lecz dawna zła moc znikła i Mary mogła chodzić po nich bez cienia obawy.

Nic nie stało teraz na przeszkodzie, aby chodziła, gdzie jej się tylko podoba, myśl jej więc wybiegła ku stronom rodzinnym, ku zielonym dolinom południa.

Serce ścisnęła dręcząca tęsknota za domem, za widokiem miłych, dobrze znanych twarzy.

Szeroka rzeka płynęła szybkim nurtem, woda obmywała piaszczyste brzegi. Mary z uczuciem bólu przypominała sobie wszystkie zapachy i dźwięki, które tak długo stanowiły jej otoczenie, wspominała odnogi biegnące od matki rzeki niczym krnąbrne dzieci, aby zagubić się wśród drzew i przeistoczyć w wąskie, szemrzące strumienie.

Lasy były upragnioną przystanią znużonych wędrowców, szelest listowia rozbrzmiewał w lecie prześliczną muzyką, a nawet w zimie grube, choć nagie, konary dawały bezpieczne schronienie. Mary stęskniła się już za śpiewem ptaków, za furkotem ich skrzydeł wśród drzew. Marzyły jej się znajome odgłosy farmy: gdakanie kur, wysokie pianie koguta, chrapliwe gęganie spłoszonych gęsi. Chciałaby znów wciągnąć w nozdrza zapach tłustego, ciepłego nawozu, poczuć na rękach gorący oddech krów, usłyszeć ciężkie kroki na podwórzu i brzęk wiader przy studni. Chciałaby znów stać oparta o furtkę, wyglądać na wiejską ulicę, życzyć dobrej nocy przechodzącym sąsiadom i patrzeć, jak z kominów wije się niebieski dym. Jeśli tam wróci, usłyszy znów znajome głosy, ochryple, lecz miłe jej uchu, a od czasu do czasu śmiech z okna którejś kuchni. Zajmie się pracą na swojej farmie; będzie wcześniej wstawiała i przynosiła wodę ze studni, będzie się poruszała wśród nielicznego inwentarza pewnie i swobodnie, będzie gięła grzbiet przy pracy, a wysiłek uzna jedynie za szczęście i środek uśmierzający ból. Wszystkie pory roku witać będzie radośnie, bo wynikiem ich będą dobre zbiory, odzyska też pogodę i spokój ducha. Należy do roli, powróci do niej i na niej pozostanie, jak pozostawali wszyscy jej przodkowie. Ziemia helfordzka dała jej życie, po śmierci więc Mary stanie się znów częścią tej ziemi.

Nie przejmowała się samotnością i nie poświęcała jej myśli. Człowiek pracy nie zważa na samotność, wieczorem, po skończonej robocie, kładzie się po prostu spać. Obmyśliła już wszystko i obrana droga wydawała jej się słuszna i dobra. Nie będzie dłużej zwlekać i wahać się, jak to czyniła przez ostatni tydzień, lecz zaraz po powrocie do dworu na drugie śniadanie zakomunikuje państwu Bassatom

o powziętej decyzji. Są dla niej bardzo dobrzy i życzliwi, za bardzo nawet, bo wciąż namawiają, żeby została u nich przynajmniej przez zimę, a nie chcąc, żeby czuła się dla nich ciężarem, proponują taktownie objęcie jakiejś posady we dworze – może na przykład doglądać dzieci albo dotrzymywać towarzystwa pani Bassat.

Słuchała tych perswazji potulnie, acz niechętnie, udzielała jak najgrzeczniejszych, lecz wymijających odpowiedzi i wciąż dziękowała im za wszystko, co dla niej zrobili.

Dziedzic, rubaszny i wesoły, przy obiedzie czynił jej dobrotliwe wymówki:

– Daj pokój, Mary, uśmiechy i podziękowania to rzecz bardzo piękna, ale musisz się w końcu zdecydować. Za młoda jesteś, żebyś mogła mieszkać sama, i powiem w oczy: za ładna. Masz tutaj, w North Hill, dom, wiesz o tym, a moja żona przyłącza się do mnie i oboje prosimy cię, żebyś została. Roboty tu jest huk, sama wiesz, huk doprawdy. Trzeba ścinać kwiaty do ozdoby pokoi, są listy do pisania, dzieci, które trzeba surowo napominać. Będziesz miała pełne ręce roboty, za to ci ręczę.

W bibliotece zaś pani Bassat mówiła niemal to samo, kładąc Mary na kolanie przyjazną dłoń.

– Tak nam miło mieć cię w domu, czemu nie chcesz zostać na stałe? Dzieci cię ubóstwiają, Henry powiedział mi nawet wczoraj, że jeśli szepniesz słówko, gotów ci oddać swojego kucyka! A to już dowód najwyższego uznania, mogę cię zapewnić. Postaramy się, żeby ci było u nas dobrze, nie zaznasz trosk ani kłopotów, a pod nieobecność pana Bassata będziesz mi dotrzymywała towarzystwa. Wciąż tęsknisz za swoją farmą?

Mary uśmiechnęła się, jeszcze raz za wszystko podziękowała, ale nie potrafiła wyrazić słowami, jak wiele znaczy dla niej wspomnienie stron rodzinnych.

Państwo Bassatowie domyślali się, że Mary wciąż jest pod wrażeniem przejść ubiegłych miesięcy, starali się też na wszelkie sposoby, aby odzyskała zdrowie i równowagę psychiczną, równocześnie jednak prowadzili w North Hill dom

otwarty, zjeżdżali się więc tu sąsiedzi z całej okolicy, no i oczywiście interesował ich jeden tylko temat. Dziedzic Bassat ze sto pięćdziesiąt razy chyba powtarzał swoją opowieść, aż wreszcie słowa Altarnun i Jamajka stały się nie do zniesienia dla uszu Mary, która chciała na zawsze wyrzucić te nazwy z pamięci.

Wizyty sąsiadów dostarczyły jeszcze jednego powodu do podjęcia decyzji o odjeździe: Mary stała się zbyt wyraźnym przedmiotem ogólnego zaciekawienia, Bassatowie zaś z niejaką dumą prezentowali ją znajomym jako bohaterkę.

Mając szczerą dla nich wdzięczność, starała się, jak mogła, nigdy jednak nie czuła się wśród nich swobodnie. Nie byli ludźmi jej pokroju. Należeli do innego gatunku, do innej sfery. Szanowała ich, lubiła, życzyła im jak najlepiej, ale nie potrafiłaby ich pokochać.

W dobroci serca zachęcali ją do udziału w rozmowie, kiedy byli goście, dokładali starań, żeby nie pozostawała na uboczu, ona zaś tęskniła za ciszą swojego pokoju albo za swojską kuchnią stajennego Richardsa, którego rumiana żona chętnie by ją u siebie widziała.

Dziedzic jednak silił się wciąż na dowcipy. Zwracał się na przykład do niej o radę, zaśmiewając się z każdego własnego słowa:

– W Altarnun będzie teraz wolna prebenda. Może byś ją objęła, Mary? Ręczę, że lepiej byś się wywiązywała z obowiązków duszpasterza niż ten poprzedni!

Mary tedy uśmiechała się, żeby nie sprawić mu przykrości, w duchu zaś dziwiła się, że taki jest nietaktowny i nie rozumie, jak bolesne wspomnienia budzą w niej jego słowa.

– No, w Jamajce nie będzie już nigdy szmuglu – powiadał. – A gdyby ode mnie zależało, to i mocnych trunków. Wymiotę z budynku wszystkie pajęczyny do czysta, a jak z nim skończę, żaden już kłusownik ani Cygan nie będzie śmiał pokazać tam nosa. Postawię za ladą uczciwego chłopka, co nigdy w życiu nie powąchał brandy. Będzie nosił zawsze czysty fartuch i każę mu wypisać nad drzwiami: „Prosimy do środka”. A wiesz, co za goście pierwsi tam zawitają? Ależ ty i ja, Mary!

Tu dziedzic wybuchnął śmiechem i klepał się po udach, gdy tymczasem Mary zmuszała się do uśmiechu, żeby się nie zorientował, jak mało zabawne są jego żarty.

Myślała o tym wszystkim, spacerując sama jedna po Bagnisku Dwunastu Topielców, i znów dochodziła do wniosku, że musi jak najprędzej wyjechać z North Hill, jego mieszkańcy bowiem nie są i nigdy nie będą jej bliscy, i tylko w swojej umiłowanej helfordzkiej dolinie zazna znów spokoju i zadowolenia.

Od strony Kilmaru nadjeżdżał wóz, zostawiając czarne ślady na oszronionej drodze. Był to jedyny ruchomy punkt na milczącej równinie. Mary obserwowała go podejrzliwie, na tym torfowisku bowiem nie było żadnych osiedli prócz domku w Trewartha, ten zaś, jak jej było wiadomo, stał w tej chwili opuszczony. Nie widziała też właściciela domku od chwili, kiedy strzelał do niej na Roughtorze.

– Niewdzięczny łobuz, jak i cała reszta jego rodziny – orzekł dziedzic. – Gdyby nie ja, tkwiłby teraz w więzieniu i miałby do odsiedzenia wyrok dostatecznie długi, żeby stracić całą fantazję. Przyparłem go do muru i musiał się poddać. Przyznaję, że potem dobrze się spisał, bo dopomógł wytropić ciebie i tego zbója w czarnym surducie. Ale nawet mi nie podziękował za to, że dowiodłem jego niewinności w tej sprawie, a teraz, o ile wiem, wyniósł się gdzieś na koniec świata.

Domek w Trewartha był więc pusty, zdziczałe konie hasały wolno po torfowiskach, a ich pan odjechał z piosenką na ustach, jak zresztą Mary przewidywała.

Wóz zbliżył się do zbocza wzgórza i Mary ręką osłoniła przed słońcem oczy, żeby lepiej go widzieć. Koń z wysiłkiem ciągnął wóz pod górę i Mary ze zdziwieniem ujrzała osobliwy ładunek garnków, patelni, materaców i żerdzi. Ktoś widocznie przewoził cały swój dobytek. Ale nawet teraz jeszcze nie domyśliła się kto to i dopiero kiedy wóz był już niedaleko, a woźnica, idący pieszo obok, podniósł głowę i skinął jej ręką, poznała go. Siłąc się na obojętny wyraz twarzy, ruszyła w dół zbocza do wozu i zajęła się od razu koniem, klepiąc go i do niego przemawiając, a tymczasem Jem przysunął nogą duży kamień pod koło i wbił go mocno, żeby wóz się nie stoczył.

– Lepiej się czujesz?! – zawołał spoza wozu. – Słyszałem, żeś chora i leżysz w łóżku.

– Musiałeś źle słyszeć – odparła Mary. – Jestem w North Hill, we dworze, i chodzę stale po tamtejszych gruntach. Nic mi nie dolega poza tym, że nie cierpię tych stron.

– Gadali też, że masz tam zostać na stałe i dotrzymywać towarzystwa pani Bassat. To pewnie bliższe prawdy. Cóż, będziesz miała jedwabne życie. Chyba poczciwi z nich ludzie, jak się ich lepiej pozna.

– Nikt w Kornwalii nie okazał mi tyle serca od czasu, jak umarła moja matka. To jedyna rzecz, która ma dla mnie znaczenie. Ale mimo to nie zostanę w North Hill.

– Naprawdę?

– Tak. Wracam do domu.

– Co tam będziesz robić?

– Postaram się znów odzyskać farmę, a przynajmniej na nią zapracować, bo na razie nie mam jeszcze dość pieniędzy. Ale i tam, i w Helston mam przyjaciół, którzy mi na początku pomogą.

– Gdzie będziesz mieszkać?

– We wsi nie ma takiej chaty, której nie mogłabym nazwać swoim domem, gdybym tylko chciała. My tam, na południu, jesteśmy dobrymi sąsiadami, żebyś wiedział.

– Nie miałem nigdy sąsiadów, więc nie mogę się z tobą spierać, ale od dziecka mam uczucie, że mieszkać we wsi to jakby się mieszkało w pudle. Wsadzasz nos przez płot do ogrodu sąsiada, a jeżeli jego ziemniaki są większe od twoich, zaraz się zaczynają rozmowy i kłótnie, na dobitkę wiesz, że jak ugotujesz na kolację królika, tamten zaraz poczuje zapach u siebie w kuchni. Tam do licha, Mary, to w ogóle nie jest życie.

Roześmiała się, bo Jem z obrzydzeniem zmarszczył nos, następnie zaś ogarnęła spojrzeniem wyładowany wóz i panujący na nim nieład.

– Co z tym wszystkim chcesz zrobić? – spytała.

– Nie znoszę moich stron tak samo jak ty – odrzekł. – Chcę uciec od odoru torfu i bagien i od widoku Kilmaru, który wykrzywia do mnie swoją ohydną gębę od świtu do nocy. Tu jest mój dom, Mary, tu, na tym wozie, jest wszystko, co kiedykolwiek mogłem za dom uważać, więc zabieram go ze sobą i ustawię tam, gdzie mi przyjdzie ochota. Od dziecka jestem włóczęgą, żadnych więzów, żadnych trwałych związków, żadnych kobiet na dłuższy czas, i myślę, że umrę już jako włóczęga. To jedyne dla mnie życie.

– Jem, w ciągłych wędrówkach nie znajdzie się spokoju ani ciszy. Bóg widzi, że sama egzystencja jest dość długą i ciężką wędrówką, po co czynić ją jeszcze cięższą? Przyjdzie czas, kiedy zachce ci się własnego spłachetka ziemi, własnych czterech ścian, własnego dachu i miejsca, gdzie można złożyć biedne, znużone kości.

– Cały kraj do mnie należy, Mary, jeżeli już o to chodzi, niebo mi dachem, a ziemia łóżkiem. Ty tego nie rozumiesz. Jesteś kobietą, twoim królestwem jest dom i wszystkie drobne codzienne, znane sprawy. Nigdy tak nie żyłem i nigdy tak żyć nie będę. Jednej nocy śpię w górach, następnej w mieście. Lubię szukać szczęścia tu i tam, a wszędzie nieznajomi są mi towarzyszami, przechodnie przyjaciółmi. Dziś spotykam kogoś na drodze i podróżuję z nim przez godzinę czy przez rok, jutro rozstaję się z nim na zawsze. Ty i ja nie możemy się porozumieć, każde z nas mówi innym językiem.

Mary nadal klepała konia, jego jędrne ciało było ciepłe i wilgotne pod jej dłonią, a Jem obserwował ją z cieniem uśmiechu na ustach.

– Dokąd pojedziesz? – spytała.

– Gdzieś na wschód od Tamaru, zresztą wszystko mi jedno – odparł. – Nie wrócę na zachód, chyba że się zestarzeję, osiwieję i o różnych rzeczach zapomnę. Myślałem o tym, żeby ruszyć na północ, do środkowych hrabstw. To bogate strony i kwitnące; można się tam dorobić majątku, trzeba tylko chcieć. Może przyjdzie

taki dzień, że będę miał pełne kieszenie pieniędzy i zacznę dla przyjemności kupować konie, zamiast je kraść.

– To czarny, brzydki kraj – powiedziała Mary.

– Nie obchodzi mnie kolor gleby – odrzekł. – Torf też jest czarny, no nie? I czarny jest deszcz, kiedy pada na twoje helfordzkie chlewy. Co za różnica?

– Gadasz tylko, żeby się sprzeczać, Jem, ale w tym, co mówisz, nie ma ani odrobiny rozsądku.

– Jak mogę być rozsądny, kiedy opierasz się o mojego konia, twoje rozwichrzone włosy splatają się z jego grzywą, a ja wiem, że za pięć czy dziesięć minut będę już po tamtej stronie wzgórza, bez ciebie, zwrócony ku Tamarowi, a ty będziesz szła do North Hill na herbatkę z dziedzicem Bassatem?!

– To odłóż wyjazd i jedź ze mną do North Hill.

– Mary, nie bądź głupia. Wyobrażasz sobie, że będę pił herbatę z dziedzicem i bujał na kolanie jego dziateczki? Nie należę do tej sfery, tak samo zresztą jak i ty.

– Wiem o tym. I dlatego właśnie wracam nad Helford. Tęsknię za domem, Jem, chcę znów poczuć zapach rzeki i pochodzić po znajomych ścieżkach.

– No to idź, odwróć się do mnie plecami i zaraz ruszaj w drogę. Po jakichś dziesięciu milach dojdiesz do traktu, który cię zaprowadzi do Bodmin, z Bodmin do Truro, z Truro do Helston. W Helston odnajdziesz swoich kochanych przyjaciół i będziesz u nich mieszkała, dopóki nie odzyskasz farmy.

– Surowy dziś jesteś bardzo... i okrutny.

– Jestem surowy dla swoich koni, kiedy są uparte i krnąbrne, ale to wcale nie oznacza, że ich nie kocham.

– Nikogo w życiu nie kochałeś – powiedziała Mary.

– Rzadko mi się zdarzało używać tego słowa, to wszystko – odparł.

Obszedł znów wóz i kopniakiem wyrzucił kamień spod koła.

– Co robisz? – spytała Mary.

– Jest już po dwunastej i powinienem ruszać w drogę. Dość tu zmitrężyłem – rzekł. – Gdybyś była mężczyzną, powiedziałbym, żebyś pojechała ze mną, a ty byś

wskoczyła na siedzenie, wsadziła ręce do kieszeni i jechałabyś przy mnie tak długo, jak długo byś miała ochotę.

– Pojechałabym, gdybyś mnie zawiózł na południe.

– Owszem, ale jadę na północ, a ty nie jesteś mężczyzną, jesteś tylko kobietą, o czym przekonałabyś się na swoją szkodę, gdybyś ze mną pojechała. Usuń się na bok, Mary, i nie kręć lejców. Jadę. Do widzenia.

Ujął jej twarz w dłonie, pocałował i zobaczyła, że on się śmieje.

– Kiedy będziesz tam, w helfordzkiej stronie, starą panną w mitenkach, przypomnisz sobie o tym – powiedział – i będzie ci to musiało wystarczyć do końca twoich dni. „Kradł konie – powiesz sobie – i nie dbał o kobiety, ale gdyby nie moja duma, byłabym teraz razem z nim”.

Wspiął się na wóz i z jego wysokości spojrzał na Mary, trzaskając z bata i tłumiąc ziewnięcie.

– Ujadę do wieczora pięćdziesiąt mil – rzekł – a potem będę spał jak kamień w namiocie przy drodze. Rozpalę ognisko i usmażę sobie boczku na kolację. Pomyślisz o mnie czy nie?

Ale Mary nie słuchała. Stała zwrócona na południe, splatając i rozplatając dłonie. Za tymi wzgórzami posępne torfowiska zamieniają się w łąki, łąki w doliny i potoki. Spokój i cisza helfordzka czekają na nią nad brzegiem wartkiej rzeki.

– To nie duma – powiedziała w końcu. – Ty wiesz, że to nie duma. Serce mi się wyrywa do domu i do wszystkich rzeczy, które utraciłam.

On nie powiedział nic, zgarnął tylko lejce i gwizdnął na konia.

– Czeka! – zawołała Mary. – Czeka! Przytrzymaj go i podaj mi rękę.

Odłożył bat, nachylił się, chwycił ją mocno i posadził obok siebie na koźle.

– Co teraz? – spytał. – I dokąd chcesz, żebym cię zawiózł? Helford masz za plecami, wiesz o tym?

– Wiem – odrzekła.

– Jeżeli pojedziesz ze mną, będzie to ciężkie życie, czasem nawet niebezpieczne, Mary, bez dłuższych postojów, bez wygod i odpoczynku.

Mężczyźni są złymi towarzyszami, kiedy najdzie ich niedobry humor, a ja, Bóg to wie, jestem z nich wszystkich najgorszy. Rezygnując z farmy, źle wyjdiesz na tej zamianie i słabe masz widoki na spokój, którego tak pragniesz.

– Zaryzykuję, Jem. Postaram się nawet znosić twoje humory.

– Kochasz mnie, Mary?

– Myślę, że tak, Jem.

– Bardziej niż Helford?

– Na to nie potrafię odpowiedzieć.

– Więc dlaczego siedzisz tu przy mnie?

– Bo chcę, bo muszę, bo teraz i zawsze tu właśnie pragnę być – rzekła Mary.

Roześmiał się na to, ujął jej rękę i włożył w nią lejce, ona zaś nie obejrzała się już za siebie, lecz zwróciła twarz w kierunku Tamaru.